

Wojciech Górecki urodził się w 1970 roku w Łodzi. Zadebiutował w 1986 roku na łamach „Sztandaru Młodych”. Współpracował m.in. z „Razem”, „Gazetą Wyborczą”, „Życiem Warszawy”, „Więzią”, „Res Publicą Nową” i „Tygodnikiem Powszechnym”. Członek zespołu redakcyjnego „Tygla Kultury”. Współautor filmu dokumentalnego Boskość Stalina w świetle najnowszych badań (TVP 1998). Autor książek: Łódź przeżyta katharsis (1998), Planeta Kaukaz (2002) oraz La terra del vello d'oro. Viaggi in Georgia (2009). Tłumaczony na język włoski, uhonorowany Nagrodą Giuseppe Mazzottiego. W latach 2002-2007 pierwszy sekretarz, a następnie radca w Ambasadzie RP w Baku. Był ekspertem misji UE badającej okoliczności wojny w Gruzji w 2008 roku. Pracuje w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpia.

Wojciech Górecki

Toast za przodków

Seria REPORTAŻ

Paweł Smoleński Izrael już nie frunie Mariusz Szczygieł Gottland Włodzimierz Nowak Obwód głowy

Maciej Zaremba Polski hydraulik i inne opowieści ze Szwecji

Renata Radłowska Nowohucka telenowela

Martin Pollack Dlaczego rozstrzelali Stanisławów

Jacek Hugo-Bader Biała gorączka

Klaus Brinkbaumer Afrykańska odyseja

Jean Hatzfeld Strategia antylop

Włodzimierz Nowak Serce narodu koło przystanku

20. 20 lat nowej Polski w reportażach według Mariusza Szczygła

Jacek Hugo-Bader W rajskiej dolinie wśród zielska

Wojciech Tochman Bóg zapłać

W serii ukazą się m.in.: Witold Szablowski Zabójca z miasta moreli Peter Fróberg Idling Uśmiech Pol Pot

Wojciech Górecki Planeta Kaukaz Chloe Hooper Wysoki

Świetlana Aleksijewicz Wojna nie przypomina kobiety (tytuł roboczy)

wydawnictwo- zarne Wołowiec 2010

Projekt okładki AGNIESZKA PASIERSKA / PRACOWNIA PAPIERÓWKA Obraz na okładce NIKO
PIROSMANISZWILI, UCZTA W PERGOLI Fotografia Autora © by KRZYSZTOF STRACHOTA

Copyright ©by WOJCIECH GÓRECKI, 2010

Copyright © for mapa by OŚRODEK STUDIÓW WSCHODNICH /

WOJCIECH MAŃKOWSKI

Redakcja JUSTYNA WODZISŁAWSKA Korekta MAŁGORZATA UZAROWICZ / D2D.PL

ZUZANNA SZATANIK / D2D.PL

Projekt typograficzny i redakcja techniczna ROBERT OLEŚ / D2D.PL

Skład ZUZANNA SZATANIK / D2D.PL

Rodzicom

ISBN 978-83-7536-194-0

Oto siedzimy tu razem, przedstawiciele trzech największych narodów Kaukazu - Gruzinka, Muzułmanin [Azerbejdżanin] i Ormianin. Urodziliśmy się pod tym samym niebem, żyjemy na tej samej ziemi. Różnimy się, ale jesteśmy jednością - jak Trójca. Należymy równocześnie do Europy i do Azji, wchłonęliśmy w siebie Zachód i Wschód - i dzielimy się z nimi naszym bogactwem.

Kurban Said, Ali i Nino

To jest opowieść o Azerbejdżanie, Gruzji i Armenii - trzech krajach, które wchodziły w skład Związku Radzieckiego, a obecnie z mozołem budują swoje państwa. Gruzini i Ormianie mieli przed wiekami kwitnące królestwa zdławione przez potężniejszych sąsiadów. Azerbejdżan nie istniał wcześniej jako jednolite państwo (poza epizodem z lat 1918-1920), ale dowodząc swojego prawa do bytu, też najchętniej odwołuje się do przeszłości.

Azerbejdżanie, Gruzini i Ormianie - przynajmniej większość z nich - nie mają wątpliwości, że należą do Europy.

Jeżdżę w tamte strony od początku lat dziewięćdziesiątych. Region nazywano wówczas Zakaukaziem (dziś najczęściej mówi się: Kaukaz Południowy). Narodzinom nowych państw towarzyszyły wojny, pucze i zamachy stanu, rozkwitały mafie, pieńił się zwykły bandytyzm, panowała nędza. Z czasem podpisano rozejmy, rozdzielono władzę, bandyci zalegalizowali swoje fortuny, waluty narodowe umocniły się. Rzecz jasna, żaden „koniec historii” nie nastąpił, o czym przekonaliśmy się, śledząc tragiczne wypadki w Gruzji w sierpniu 2008 roku.

W Gruzji i Armenii bywałem wielokrotnie, w Azerbejdżanie mieszkałem przez pięć lat. Z tego powodu, a także z przyczyn konstrukcyjnych, Azerbejdżan opisuję oddzielnie, a Gruzję i Armenię - razem.

Toast za przodków jest luźną kontynuacją książki Planeta Kaukaz, poświęconej Kaukazowi Północnemu, a szczególnie górskim republikom Federacji Rosyjskiej.

WG

Punkt widzenia

Leszka M. gościliśmy w Baku kilkakrotnie.

Za pierwszym razem przyjechał z Teheranu. Przeszedł się po mieście, zajrzał do herbaciarni, popatrzył na ludzi. Wieczorem powiedział:

- Czuję się jak w Europie.

Za drugim razem przyleciał prosto z Warszawy. Przytłoczyły go zgiełkowe ulice, chaotyczny ruch samochodów i przechodniów, namolni sklepikarze i kierowcy taksówek.

- To jednak Azja - stwierdził.

Za trzecim razem nic go nie zdziwiło.

Lekcja geografii

- Sam nie trafisz - uprzedził Kerim. - Wyjedź z miasta na południe. Miniesz pierwszy i drugi zjazd na Lokbatan, a potem zjazd na Putę. Kilometr dalej odbija na prawo droga gruntowa. Spotkajmy się przy tej drodze.

Z centrum najlepiej wydostać się Bulwarem Nafciarzy, potem przecina się Bałowo z czynnym do dziś carskim więzieniem, w którym siedział Stalin, a następnie Szichowo.

Przedmieścia Baku - pisał pół wieku temu Wacław Kubacki -są bardzo obszerne, malownicze i egzotyczne. Klecone, plecione, łatanne. Trzciniowe, badyłowe i szałasowe. Jakieś ekstremistyczne campingi. Kombinacje blachy, drutu, podartych rybackich sieci, rozprutych worków, dykty, sznurków i rozbitych skrzynek od herbaty. Niefrasobliwe, kolorowe miasteczko z „użytkowych” odpadów.

Wjeżdża się w ten świat - który od czterdziestu, a może i czterystu lat się nie zmienił, tylko materiały są inne, teraz królują tworzywa sztuczne - wprost z nowobogackich enklaw zbytku i rozbuchanej konsumpcji. Slumsy tłoczą się tuż za parkanami szykownych pensjonatów i hoteli, kuszących salonami spa i własnymi plażami. Mieszkają tam zachodni nafciarze: spece od platform wiertniczych, przepompowni, tankowców i rurociągów. W swoich krajach nie stać ich na takie luksusy.

Hotele i pensjonaty zaczęły wyrastać w ostatnich latach, po tym jak Azerbejdżan zdecydował, że będzie wysyłał ropę na Zachód. Nazywają się Barbados, Ramada, Crescent Beach.

W końcu mijamy hotele i slumsy i nieodwołalnie opuszczamy Baku. Z lewej widać teraz Morze Kaspijskie, ale nie sposób dostać się na brzeg. Wybrzeże okupuje monumentalny industrial - stocznia, rafineria i jeszcze jakieś fabryki, wzniesione w apogeum komunizmu, a dziś modernizowane, jednak odporne na lifting: łatwiej byłoby je zburzyć i postawić na nowo. Wśród płątaniny rur i zwałów porzucanego żelastwa, na dziedzińcach fabrycznych hal i między zbiornikami na ropę, tkwią domy pokryte eternitem. Żyją tam ludzie. (Podobne domy widziałem na starych polach naftowych w Ba-łachanach i Bibi Ejbacie, są otoczone jeziorkami połyskującej ropy, przez które przechodzi się po rozłożonych deskach. To relikty pierwszego boomu naftowego, gdy Gorki pisał o Baku, że tak musi wyglądać piekło, a Czechow nie chciał tu mieszkać nawet za milion rubli).

Z prawej strony, za torem kolejowym, rysują się stożki gór gobustańskich. Roślinność jest skąpa, stepowa: rzadka trawa, krzewiny, burzany. Na poboczu pasą się stadka białych, szarych, brązowych i czarnych baranów.

Ziemia i wszystko, co na niej rośnie, jest brunatne, wypalone słońcem, zakurzone. Kolory rozjaśniają się dopiero w okolicy Saljanów, gdzie Kura wpada do morza, a na jaskrawą zieleń przychodzi czekać trzysta kilometrów, aż do subtropikalnego Tałyszu na granicy z Iranem. (Do granicy z Gruzją jest dwa razy tyle: w Elacie trzeba skręcić na zachód, a potem przebyć Nizinę Kurańską i boczne pasmo Małego Kaukazu). Dzisiaj jedziemy bliżej - dwadzieścia parę, najwyżej trzydzieści kilometrów od Baku.

Gruzja i Armenia poprzez Morze Czarne i Anatolie utrzymywały kontakt z Europą starożytną, a potem z Bizancjum - pisał Ryszard Kapuściński w książce Kirgiz schodzi

z konia. - Stamtąd przejęły chrześcijaństwo, które na ich terenie oparło się ekspansji islamu. Oddziaływanie Europy na Azerbejdżan jest już słabe i co najwyżej wtórne. Między Europą i Azerbejdżanem wznoszą się zapory Kaukazu i Wyżyny Armeńskiej, natomiast na wschodzie Azerbejdżan przechodzi w niziny, jest łatwo dostępny, otwarty. Azerbejdżan to przedpole Azji Centralnej.

Kerim czekał stareńką ładą - tak zdezelowaną, że nie śmiał wyjeżdżać nią na szosę. Samochód nie miał reflektorów ani lusterek, zamiast tylnej szyby był kawał dykty, a przednia, wielokrotnie rozbita, ledwie trzymała się na miejscu. Zwichrowane koła zostawiały na piasku esy-floresy, jakby przejechał tędy peleton zawianych rowerzystów. Nawet najbardziej skorumpowany policjant nie przepuściłby takiego grata, zresztą Kerim nie miał jia łapówkę. Dojeżdżał ładą do krzyżówki, a potem łapał okazję. Czasem przewoził autem parę worków węgla albo kilka baranów - ale też tylko od szosy do domu albo od domu do szosy.

Ruszyliśmy za nim, droga pięła się łagodnymi zakosami w głąb gór gobustańskich i wkrótce straciliśmy z oczu wybrzeże. Prawdę mówiąc, to żadne góry, w tej części ledwie dochodzą do trzystu, czterystu metrów, dopiero bardziej na zachód robią się wyższe. W popołudniowym słońcu przypominały dekorację, kiczowatą scenografię do filmu o podboju Księżycy albo o życiu na Marsie. Bo w tych górach oprócz samych gór, pokrytych coraz rzadszą trawą, oraz drogi, którą jechaliśmy, nie było nic, nawet karłowatego drzewka ani większego głazu. I ani śladu człowieka. Wydawało się, że nawet ptaki tędy nie latają! Wiedziałem, że to złudzenie. W trawie na pewno kłębiły się żmije i niezliczone owady, parę kilometrów dalej była stocznia, rafineria i szosa, łącząca Baku z Teheranem i Tbilisi. Działała komórka. Odruchowo sprawdziłem jednak, czy mamy pełny bak i wodę do picia.

Wszystko przez te stożki. Tutaj połowa gór to uśpione wulkany. Ich sen nie jest głęboki, przypomina nerwową drzemkę. W pobliżu są kolonie wulkanów czynnych non stop: co parę chwil plują zimnym błotem o żelazistym zapachu i mają po kilka metrów wysokości, ale zdarzają się też wulkaniki mikroskopijne, parocentymetrowe, właściwie otworki w ziemi, toczące błotnistą pianę. Największe wulkany potrafią wyrzucić słup błota na setki metrów - te budzą się na szczęście raz na parę, a czasem parędziesiąt lat.

To stara ziemia. W pobliskich jaskiniach znaleziono wielką ilość rysunków naskalnych, liczących co najmniej kilka tysięcy lat. Thor Heyerdahl, który wierzył w pradawne związki Kaukazu i Skandynawii, doszukał się w nich wizerunków łodzi, przypominających drakkary Wikingów.

Parę kilometrów od jaskiń skrywa się w górach pir Gara Atły (Czarny Jeździec). Pir to święte miejsce, ludowe sanktuarium. Pirem jest najczęściej grób świętego męża (w Iranie pir to świątobliwy, siwobrody starzec), ale w pirze na wyspie Artiom czczą meteoryt, w innym, pod Sabirabadem - żmiję, a w pobliżu Nabrania, krok od modnych wczasowisk Green Village i Cardinal, pirem jest kępka drzew. Tajemniczy Czarny Jeździec, pochowany w naturalnej, skalnej krypcie - podmurowany grób należy obejść trzy razy - był zapewne pustelnikiem, a może szejkiem sufickim albo lokalnym Robin Hoodem. Wielki człowiek, silny pir, powiedział mi opiekun grobu. Kiedy żył? Trzysta lat temu, a może tysiąc. Trafiłem tam przypadkiem, zaciekawiony drogą przez skalne rumowisko. Kończyła się właśnie przy pirze. Opiekun powiedział mi

jeszcze, że trzeba rzucić kamieniem o pobliską skałę: jeśli zatrzyma się na którymś z wyłomów, nasza prośba będzie wysłuchana. Rzuciłem, ale kamień stoczył się na dół, drwiąc z naprędce pomyślanej intencji.

W innej części gór gobustańskich, na zupełnym odludziu, w kotlinie otoczonej wulkanami i samej przypominającej ogromny krater, rozciąga się cmentarz Sofi Hamid. Powiadają, że po śmierci ciała Hamida wsadzono na wielbłąda, a potem pochowano w miejscu, gdzie zwierzę się zatrzymało. Taka była wola świętego. Działo się to dawno, trzysta, a może tysiąc lat temu. Obok mogiły Hamida stanął kamienny posąg wielbłąda, a dookoła wyrósł cmentarz. Każdy chciał leżeć obok świętego, by mieć bliżej do raju. Najstarsze z tysięcy grobów dawno zarosły trawą, na nowszych zostały resztki arabskich inskrypcji; jeszcze nowsze mają napisy cyrylicy i są pomalowane w jaskrawe barwy, które nie bledną przez dziesięciolecia. Tu i ówdzie wyryto przedmioty związane ze zmarłym: mogiłę szynkarza ozdobi samowar, mogiłę szofera - ciężarówka. Na świeżych grobach przeważa alfabet łaćski, z wolna powraca też arabski.

Nocą z cmentarza Sofi Hamid widać łuny Sangaczału: supernowoczesny terminal, zarządzany przez British Petroleum, daje początek kilku rurociągom, którymi kaspijska ropa i gaz płyną nad Morze Czarne i Morze Śródziemne.

Nasza droga kilka razy rozgałęziała się; odnogi czasem znów łączyły się ze sobą, ale nieraz ta druga znikła bez śladu za najbliższym wzniesieniem. Kerim miał rację: nie sposób tu trafić bez przewodnika. Kolejny zakręt wyprowadził nas na niewielki płaskowyż. Na jego skraju, przed linią następnych wzniesień, przycupnęła uboga zagroda. Byliśmy na miejscu.

Domek z nieotynkowanych pustaków przypominał wiatę i mógł mieścić dwie, najwyżej trzy izdebki. Dach z blachy falistej wysuwał się daleko poza jego obręb, kryjąc jeszcze część podwórza, zagrodzonego murkiem od strony wzniesień. Urządzono tam letnią kuchnię i jadalnię. Na jednej z szafek stał włączony telewizor, zasilany prądem z generatora: widać, że życie toczyło się tu na dworze. Krajobrazu dopełniał garaż, który sąsiadował z kuchnią.

Pachniało tymczasowością i prowizorką. Obejście przypominało cygański tabor, wiecznie gotowy do drogi - wystarczyło zdemontować dach, poskładać pustaki, wrzucić bambetle na pakę ciężarówki.

Nie było wątpliwości, że tu mieszkają uchodźcy. Uchodźca zawsze wierzy, że znalazł się w nowym miejscu przez pomyłkę, na chwilę, dopóki wszystko się nie uspokoi i nie wyjaśni. Żyje doraźnie, z dnia na dzień. Nie zapuszcza korzeni. Oszczędza siły na powrót i odbudowę prawdziwego życia tam, w utraconym edenie.

Kerim rzeczywiście był uchodźcą, a właściwie przesiedleńcem: uchodźca ucieka z innego kraju, przesiedleńcy porusza się w granicach własnej ojczyzny. Międzynarodowe prawo humanitarne uważa pierwszą kategorię za bardziej pokrzywdzoną, uchodźcy mają prawo do azylu i pomocy w myśl Konwencji Genewskiej z 1951 i Protokołu Nowojorskiego z 1967 roku. A przesiedleńcami powinno się

opiekować ich własne państwo.

W Azerbejdżanie uchodźców jest niewielu. Mało kto przybył z Armenii. Większość z setek tysięcy ludzi, wyrzuconych z domów na początku lat dziewięćdziesiątych, podczas konfliktu z Ormianami o Górski Karabach, mieszkała właśnie w Karabachu albo w okolicach, w Agdamie, Fizuli, Kelbadża-rze, Zangilanie, Dżebrailu, Gubadłach - na ziemiach zajętych i okupowanych przez siły ormiańskie, ale prawnie należących do Azerbejdżanu. To wielka armia, co dziesiąty Azerbejdżanin jest przesiedleńcem.

Wielu z nich zatrzymało się w Bejlaganie, Imiszli, Agdża-bedi, Bardzie - byle bliżej rodzinnych stron. Zamieszkali w namiotach, wagonach kolejowych i szałasach, kleconych naprędce z blachy i dykty. Oby do wiosny, do lata, do jesieni, byle przetrzymać jeszcze jedną zimę. Kwatera na mieście, praca na etat, jakaś stabilizacja - to było podejrzane, pachniało zdradą, a na pewno defetyzmem. Przecież za parę miesięcy, za pół roku, najwyżej za rok wrócimy i wszystko będzie jak dawniej!

Władzom było to na rękę. Pokazywały zagranicznym delegacjom miasteczko namiotowe w okolicach Sabirabadu, tonące w wiecznym błocie slumsowisko pod Saatly, bocznice kolejową w Imiszli, gdzie na rodzinę przypadało pół bydłowego wagonu, a na torach pod wagonami trzymano w klatkach żywy inwentarz. Obozy kłuły w oczy i zaświadczały o azer-bejdżańskiej krzywdzie. Dopiero po kilkunastu latach władze zaczęły budować pierwsze osiedla, które zrywały z prowizorką - miały własną szkołę, meczet, klub. Miały bieżącą wodę i normalny prąd zamiast podłączeń na lewo, na taśmę klejącą, na słowo honoru, na ślinę. Na tych osiedlach każda rodzina miała własny domek i kawałek ziemi, więc ten i ów może pomyślał, że już się stąd nie ruszy.

Część uciekinierów osiadła w Baku. Najpierw budzili współczucie, z czasem zaczęli denerwować. Przeszły lata - a oni tkwią jak wyrzut sumienia, bezwstydnie obnosząc się ze swym nieszczęściem! Rzucają się w oczy, to do nich należą obskurne Moczydła w środku miasta, zawsze obwieszone suszącą się bielizną, a w nocy rozświetlone feerią stuwatówek, bo przesiedleńcy nie płacą za prąd. Blokowiska grzęzną w śmieciach i rozkładają się - tu odpadnie balkon, tam zerwie się kawałek dachu, nikt niczego nie naprawia, bo po co dbać o nie swoje. Jakby mieszkańcy mścili się za swój los na przedmiotach.

Mówi się, że władze zrobią z tym w końcu porządek, wyburzą uchodźcze enklawy, dadzą ludziom mieszkania - tylko kto potem, kiedy Azerbejdżanie dogadają się już z Ormianami, zechce wracać do Karabachu?

Gdy wysiadaliśmy z auta, rozszczękał się brytan, zagłuszając rodzinę Kerima, która wyszła nas przywitać. W końcu przestał, ale odezwały się kury, uwięzione w kojcu z metalowej siatki. W pobliżu pobekiwały barany.

- To moje ranczo - zaśmiał się Kerim. - Tu jestem wolny, nikt mi nie mówi, co mam robić. A do miasta mam godzinę, półtorej.

Kerim był dziennikarzem, pisał o prawach człowieka. Działał też w kilku organizacjach pozarządowych: jedna walczyła z dyskryminacją przesiedleńców, inna chciała pokojowego rozwiązania konfliktu w

Karabachu, jeszcze inna zajmowała się uzdolnioną młodzieżą. Od czasu do czasu przygotowywał ekspertyzy dla bakijskich przedstawicielstw OBWE i Rady Europy. Mówiąc szczerze, tylko to dawało jakiś pieniądz.

Póki dzieci były małe, jakoś na wszystko starczało. Potem zaczęła się szkoła i coraz trudniej było związać koniec z końcem. W końcu Kerim załatwił kredyt i kupił stadko jagniąt - pasły się pod domem, nic nie kosztowały. Inwestycja już się zwróciła: kiedyś jeden człowiek wybierał się tędy do piru i wziął dwa barany, żeby je zarznąć i zjeść na ofiarę. Tak smakowały, że polecił Kerima znajomym, i posypały się następne zamówienia.

- Teraz jestem farmerem! - Kerim cieszył się swoją zaradnością.

Stół był ustawiony na świeżym powietrzu, nieco poniżej domu, wśród warzywnych grządek i krzewów dzikiej róży. W pobliżu płynął strumyk, pewnie jedyny w okolicy. Odchodziła od niego misterna sieć kanalików, które nawadniały wszystkie zagony. Pagórki osłaniały ogród od wiatru, z najwyższego było widać morze.

Nie wiem, jak udało mu się wyczarować takie чудо. Wymagało lat pracy i wiele miłości. Kerim musiał się tu jednak zasiedzieć.

Najstarsza córka Kerima przyniosła wodę w dzbanie, abyśmy mogli oplukać sobie ręce, żona podała nam ręczniki. Jak we wschodniej bajce.

Gospodarz pokręcił głową:

- W Szuszy inaczej podejmowaliśmy gości.

Prędzej czy później Karabach wyływał w każdej rozmowie, nie było od niego ucieczki. Był rok 2007 - mijało dwadzieścia lat od pierwszych zamieszek, piętnaście od wybuchu wojny i trzynaście od zawieszenia broni, które niczego nie przesądziło. Od trzynastu lat kraj żył w zawieszeniu.

O Karabachu ułożono tysiące piosenek, napisano setki książek, nakręcono dziesiątki filmów. Kiedyś chciałem znaleźć pojedynczy numer jakiegokolwiek azerbejdżańskiej gazety, w której nie byłoby żadnej wzmianki ani odniesienia do Karabachu - nie znalazłem.

W domu przesiedleńców inne tematy w ogóle brzmiały niestosownie.

Od Szuszy, gdzie podejmowanie gości było dziedziną sztuki, Kerim przeszedł do Wysp Alandzkich. Był tam z grupą azerbejdżańskich ekspertów. Oglądali, jak Europa radzi sobie z mniejszościami narodowymi i na czym polega autonomia. Organizacja, która sfinansowała podróż, zaprosiła także delegację ormiańską i pod koniec pobytu Azerbejdżanin zapytał Ormianina: „Nia chcielibyście tak żyć?”.

„Nie jesteście Finami” - odpowiedział Ormianin.

„A wy Szwedami” - odpalił pierwszy.

- Widzisz, my mamy z Ormianami wiele wspólnego, nawet nie przypuszczasz, jak dużo - podsumował

opowieść Kerim.

- Jak ty możesz podawać im rękę! - wybuchnął naraz brat Kerima, Arzuman, który wcześniej siedział cicho. - Zabrali nam wszystko, utuczili się naszą krwią jak pijawki, a ty szla-jasz się z nimi po Europach. Wstyd mi za ciebie, rozumiesz?!

Musieli kłócić się setki razy. Arzuman nie rozumiał, po co rozmawiać z Ormianami.

- Jakbym spotkał takiego gada, od razu ukręciłbym mu łeb, o tak - syknął.

Nie mieszkali razem, Arzuman zajął z żoną i dziećmi barak obok rafinerii, kilka lat był tam stróżem, ale ostatnio kierownik przyjął na jego miejsce swojego ziomka. Od tamtej pory Arzuman najmował się po okolicy jako pastuch. Gdyby nie Ormianie, uprawiałby ojcowy sad pod Szuszą, żył jak perski szach i gwizdał na wszystko.

- Wiesz, dlaczego ich prezydent, Koczarian, tak nas nienawidzi? Bo jest nieślubnym synem Azerbejdżanina i teraz mści się na całym narodzie! - Arzuman powtórzył plotkę, która od jakiegoś czasu krążyła po Baku. Wierzył w nią bez zastrzeżeń. Baku to raj dla mitomanów, najbardziej karkołomne teorie znajdują tutaj rzesze wyznawców.

Arzuman i Kerim byli rodzonymi braćmi, ale bardzo się różnili.

Arzuman skończył klasę z językiem azerbejdżańskim. Wychował się na klasykach Orientu: Ferdousim, Hafezie, Omarze Chajjamie, Nizamim, Nasimim, Chaganim. Kerim uczył się w tej samej szkole, ale w klasie rosyjskiej - czytał Czechowa, Dostojewskiego, Lermontowa i Puszkina, a także, w rosyjskich tłumaczeniach, Szekspira, Dantego, Goethego, Rimbauda.

Arzuman był fatalistą, Kerim podchodził do życia jak do matematycznego zadania, które trzeba rozwiązać.

Arzuman mógł godzinami opowiadać o padyszachach, wschodnich księżniczkach, okrutnym Starcu z Gór i przebiegłym Hodży Nasreddinie. Kerim pisywał wiersze; jeszcze w szkole wygrał konkurs literacki, a potem zawsze nosił ze sobą kajecik, w którym zapisywał pomysły. Lubił poezję Ra-suła Rzy, który uczył, że człowiek powinien żyć tak, aby zajmować swoją osobą jak najmniej miejsca, ale po jego śmierci wszyscy powinni odczuć pustkę.

Mieli nawet trochę inną karnację - Arzuman wyraźnie ciemniejszą.

Zapadł zmrok i ogarnęła nas błogość. Piliśmy teraz herbatę i jedliśmy słodczyce, bracia już się nie kłócili, Ormianie odeszli w chwilową niepamięć. Nadeszła pora Arzumana:

- Pewna kobieta przygarnęła na noc grupę podróżnych - zaczęła. - „Wejdźcie do domu, moje wielbłądy”, zapraszała. Nakarmiła ich, a potem przygotowała postania. „Śpijcie dobrze, moje jagniątko”, powiedziała na dobranoc. Następnego dnia pożegnała ich słowami: „Szczęśliwej drogi, moi muzykanci!”. Jeden z podróżnych spytał, czemu ich tak dziwnie nazywa. Kobieta odpowiedziała: „Wieczorem byliście dla mnie wielbłądami, bo każdy gość jest wyjątkowy i wielki jak wielbłąd. Potem byliście jagniętami, bo

znaleźliście się w moim domu, gdzie ja jestem panią. Teraz jesteście muzykantami, bo ruszacie w świat i będziecie rozgłaszać chwałę naszego miasteczka".

Takie opowieści musieli snuć goście karawanseraju, który stoi tuż przy szosie do Teheranu, parę kilometrów przed san-gaczalskim terminalem. Pochodzi z czternastego wieku, w pobliżu zachowały się owdan, czyli podziemna cysterna na wodę, i dewelik, stajnia dla wielbłądów.

Poczułem, że granica między Azją a Europą biegnie tutaj, przecinając nasz stół i rozdzielając na pół rodzinę Kerimlich. Arzuman należał do świata Orientu, Kerim był człowiekiem Zachodu. Pewnie nigdy się nad tym nie zastanawiali. Zdecydował przypadek, może wybór tej, a nie innej klasy w szkole, a może jakaś cecha charakteru albo usposobienia.

Powieść Ali i Nino Kurbanda Saida zaczyna się od lekcji geografii:

- Północ, południe i zachód Europy oblewają morza, które stanowią naturalne granice tego kontynentu. Są to: Ocean Arktyczny, Morze Śródziemne i Atlantyk. Wschodnia granica Europy przechodzi przez Imperium Rosyjskie. Najpierw biegnie grzbietem Uralu, a następnie rozcina Morze Kaspijskie i Kaukaz. W tym miejscu nauka jeszcze się ostatecznie nie wypowiedziała. Niektórzy uczeni zaliczają do Europy również południowe zbocza kaukaskich gór, inni natomiast uważają, że ta ziemia nie może być uznana za Europę, szczególnie jeśli brać pod uwagę rozwój kulturalny zamieszkujących tu ludów. Moje dzieci! To od was zależy, czy nasze miasto będzie należeć do postępowej Europy, czy do zacofanej Azji!

Profesor, wbity w kapiący złotem mundur wykładowców rosyjskich gimnazjów, uśmiechnął się z zadowoleniem. A czterdziestu uczniów trzeciej klasy Rosyjskiego Imperatorskiego Gimnazjum Humanistycznego w Baku wstrzymało oddech wobec bezkresu wiedzy oraz ciężaru odpowiedzialności, która spadła na ich barki.

Przez dłuższą chwilę milczeliśmy. My - czyli trzydziestu muzułmanów, czterech Ormian, dwóch Polaków, trzech staro-wierców i jeden Rosjanin. Nagle Muhammad Hejdar, który siedział w ostatniej ławce, podniósł rękę i powiedział:

- Przepraszam, panie profesorze, ale my byśmy chcieli zostać w Azji.

Profesor Sanin zmieszał się. Jego zadaniem było wychowanie swych uczniów na prawdziwych Europejczyków.

Dzienniki bakijskie (i)

?

-

13 marca 2005

Dobry, wyważony reportaż Adama Rogali w TVN. Rogala był w Azerbejdżanie tydzień; nie ograniczył się do Baku, pojechał na prowincję, dotarł nawet na Kamienie Naftowe. Udało mu się zdobyć fragmenty starych kronik filmowych, na których ropa tryska w niebo z prymitywnych, drewnianych wież wiertniczych.

Dwaj kolejni bohaterowie reportażu - bezrobotny mężczyzna oraz minister kultury Poład Bulul oglu - mówią to samo: że z Zachodu idzie zepsucie i zgorzenie i trzeba to jakoś powstrzymać, bo Azerbejdżan ma inne wartości (bezrobotny powiedział, że „na Zachodzie latają goło”).

Tak nas tutaj postrzegają - przez pryzmat najgorszych filmów, taniej rozrywki, podrzędnych kanałów telewizyjnych.

A my jak niby postrzegamy ich świat?

9 listopada 2006

Kolejny raz w Muzeum Dywanów. Lubię tu przychodzić. Dzieje dywanu wiele mówią o losach różnych ludów i kultur.

Na Zachodzie dywan był długo przedmiotem zbytku, luksusem dostępnym dla nielicznych. Miał cieszyć oko, tworzyć nastrój, zaświadczać o wysokiej pozycji właściciela.

Na Wschodzie, w ojczyźnie dywanów, był to przede wszystkim mebel - najważniejszy, a czasem jedyny w domu. Pełnił funkcje łóżka, krzesła, stołu. Majętny rzemieślnik albo kupiec mógł sobie pozwolić na dywan droższy i lepszej jakości, ale zasiadał na nim i spał tak samo jak pasterz na płachcie wołtoku w szałasie. Dawniej w Azerbejdżanie (i nie tylko tu) tkano jeszcze rozmaite przedmioty codziennego użytku: sakwojaże, torby podróżne, pojemniki na pościel i ubrania - które przypominały nasze skrzynie - a nawet półki na domowe drobiazgi. Były lżejsze i poręczniejsze od drewnianych, służyły ludom mobilnym, ruchliwym, nieraz koczowniczym lub półkoczowniczym, zresztą drewno kosztowało majątek. Rzecz jasna,

Orient znał również tkaniny ozdobne - słynne perskie kobierce! - ale te trafiały na ścianę, a nie na podłogę.

Przy wejściu do wschodniego domu zdejmowało się buty -bo nie można chodzić komuś w butach po pościeli albo obrusie! Teraz też się często zdejmuje, nawet w miastach, gdzie nikt już nie sypia ani nie jada na dywanie. To niemal odruch. Bez obuwia wchodzimy zawsze do meczetu - Domu Bożego. W meczetach nie ma ławek, ale podłogę szczelnie przykrywają dywany, a w uboższych świątyniach wykładzina.

W zachodnim domu nie zdejmowało się butów, bo do siedzenia służyły ławy i krzesła - po podłodze tylko się chodziło. Dywan - jeśli był - wisiał na ścianie (choćby arrasy albo malowane kołtryny, wyparte z czasem przez tapety).

Sytuacja, typowa dziś w wielu domach na Wschodzie i na Zachodzie, w której dywan leży na podłodze, a na nim stoi stół z krzesłami - to w istocie kulturowy miks, połączenie dwóch tradycji czy stylów życia. Kondominium dwóch cywilizacji.

23 października 2003

Skończyłem Ali i Nino Kurbanda Saida.

AU i Nino to z jednej strony orientalna wersja Romea i Julii: osiąd powieści jest historia uczucia Alego Chana Szyrwanczy-ra, Azerbejdżanina muzułmanina i Nino Kipiani, Gruzinki chrześcijanki, oraz ich krótkiego małżeństwa, zakończonego śmiercią Alego w obronie niepodległego Azerbejdżanu, najechanego przez bolszewików. Z drugiej strony - to bodaj pierwsza nowoczesna narracja o zderzeniu cywilizacji i jego konsekwencjach.

Główni bohaterowie są ludźmi wykształconymi, ukończyli rosyjskie gimnazja w Baku, pochodzą z zamożnych i świątliwych rodzin, dorastali w tym samym mieście. Mimo to Ali pozostaje dzieckiem Azji, a Nino Europejką. Zderzenie cywilizacji przejawia się w icj codziennym życiu, w obrzydliwej dla Nino procesji biczowników w dzień Aszury w Teheranie, do której jak zahipnotyzowany przyłącza się Ali, czy w dyplomatycznym przyjęciu w Baku, gdzie w swoim żywiole jest Nino, zaś Ali czuje zażenowanie i wstręt, widząc zachodnich gości wpatrzonych w nagie ramiona jego żony. Pozycja kobiety w rodzinie i społeczeństwie (inna w krajach Orientu i inna na Zachodzie), inne rozumienie małżeństwa, inna etykieta - sprawy te przewijają się w książce w wielu scenach i epizodach.

Autor urodził się w Baku i pozostał człowiekiem Wschodu, choć całe dorosłe życie spędził na Zachodzie i pisał po niemiecku (pierwsze wydanie Ali i Nino ukazało się w Wiedniu w 1937 roku). Był „anty-Kiplingiem” - urodzony w Bombaju Rudyard Kipling, ze słynnym: Oh, East is East, and West is West (Wschód jest Wschodem, a Zachód - Zachodem), należał całym sobą do świata Zachodu.

Wnuczka imama

Na następny dzień nic nie pamiętała: ani jak urzędnik mero-stwa zapytał Pierre'a, czy chce się z nią ożenić, a ten skwapliwie potwierdził, ani jak po chwili sama wypowiadała standardową formułę, ani jak podpisali akt ślubu. Nie pamiętała obiadu, który Pierre zaaranżował w ich ulubionej knajpce, spaceru nad Sekwanę, życzeń. Dopiero kiedy fotograf - kolega Pierre'a z liceum - przyniósł im świeżo wywołane zdjęcia, uwierzyła, że wyszła za mąż.

Panną młodą była ona sama, Giulnara, dwudziestoosmioletnia Azerbejdżanka o oliwkowej cerze i kruczoczarnych włosach, mówią, że piękna, a na pewno efektowna - już dawno przekonała się, jakie wrażenie robi na mężczyznach. Wieczna prymuska, absolwentka Sorbony z rozpoczętą habilitacją. A także - sejidka, wnuczka imama z nachiczewańskiego meczetu i zdrajczyni: rodziny, tradycji, ojczyzny. Od wczoraj żona Francuza i mieszkanka najcudowniejszego miasta świata.

Już za sam wygląd, za wysoko upięte włosy i prostą, przyozdobioną jedynie szalem suknię w kolorze ecru, należała się jej solidna bura. W jej stronach ślubny rysztunek powinien oszałamiać i porażać zmysły, lśnić ciężkim złotem kolii, kolczyków i brosz, drgać girlandami cekinów i udrapowanych koronek, dźwięczeć kaskadami bransoletek, powiewać sutymi

falbanami. Inaczej byłoby niepoważnie i wyzywająco, obrażałoby pana młodego i jego rodzinę, i wszystkich gości. Kiedy Giulnara pierwszy raz przyjechała do Europy, odkryła ze zdumieniem, że to, co na Wschodzie uchodzi za kanon piękna, na Zachodzie nazywają kiczem. Tam elegancją jest nadmiar, tutaj

umiar - pomyślała i nawet ją to rozbawiło. Z czasem przywykła do prostoty i ascezy, choć na własny ślub marzyła o czymś bardziej strojnym. Wszystko było jednak załatwiane w takim pośpiechu, że nie miała wyboru, musiała wziąć pierwszy model, jaki na nią pasował. Stokroć gorszym grzechem było, że wyszła za mąż na własną rękę, a najgorszym - że poślubiła niemuzułmanina i nie-Azerbejdżanina.

Słuchała jednym uchem szczebiotu Pierre'a, który komplementował jej wczorajszy *extérieur* i snuł plany na najbliższe sto lat, i próbowała ogarnąć swoje życie. A więc miała to już za sobą, dokonała wyboru, skończy się rozdwojenie jaźni, zmiana skóry za każdym lotem z Paryża do Baku i z Baku do Paryża, napięta uwaga, by nie strzelić głupstwa. Pragnęła odzyskać spokój, który utraciła wiele miesięcy temu, kiedy zaczynała się ta historia, ale na razie nie czuła ulgi, jedynie smutek: teraz nie było odwrotu, spaliła mosty, zatrzasnęła furtkę do tamtego świata. Wiedziała, że nie wróci do Azerbejdżanu, a jeśli kiedyś odważy się przylecieć, żeby zobaczyć mamę i siostry, będzie cały czas rozglądać się, czy nikt jej nie poznał, przemykać bocznymi ulicami, unikać bulwarów i skwerów, odwracać twarz w metrze i marszrutce. Gdyby spotkał ją któryś z niezliczonych kuzynów i pociotków, mógłby napluć jej w twarz albo zabić - i pewnie miałby rację.

- Pochodzisz z rodu sejidów, potomków Proroka - oznajmił ojciec, gdy ze swoją najbliższą przyjaciółką chciała pójść do szkoły baletowej i powiedziała o tym pomysłe rodzicom. Ojciec nie chciał się zgodzić, a gdy nalegała, wziął ją na długi spacer. Zawsze traktował ją poważnie, nawet gdy była małym dzieckiem; tłumaczył, dlaczego należy zachować się tak, a nie inaczej, cierpliwie objaśniał świat. Był inżynierem, ale czytał dużo literatury pięknej, prenumerował tygodniki i tolstyje żurnaly, interesował się historią. - Sejidce nie wypada fikać koziołków - mówił wtedy. - Nie należymy tylko do siebie, jesteśmy częścią jakiejś rodziny, klanu, narodu. Nasi krewni pomagają nam, a my pomagamy im, w tym nasza siła. Nie możemy robić sobie nawzajem przykrości. Musimy dawać przykład wszystkim szyitom.

Mało z tego rozumiała. Na pewno tyle, że ma mnóstwo obowiązków i niewiele praw. Nie wolno jej było niegrzecznie się odezwać ani niestarannie ubrać, nie mogła sobie nawet po-kapryścić - bo zhańbiłaby swój ród (tak powiedziała jej kiedyś najstarsza siostra ojca, ciotka Walida, którą nazywała po cichu Walidolem). Szybko zdała sobie sprawę, że nikt, może poza ojcem, nie widzi w niej prawdziwej Giulnary - dziewczynki, a potem dorastającej panienki, która ma własne radości i smutki, zainteresowania i emocje, życie. Patrzyli na nią jak na wnuczkę świętobliwego Mirmameda, który studiował Koran w Nadżafie, świętym mieście szyitów, i mieszkał w Republice Nachiczewańskiej, gdzie był imamem meczetu.

Później dowiedziała się, że ojciec popełnił mezalians. Oboje z matką studiowali na bakijskich uczelniach, on przyjechał z Nachiczewanu, ona z Karabachu, poznali się przez znajomych. To było szybkie małżeństwo, nie miało prawa się udać, rodzina groziła ojcu wydziedziczeniem, mieli już dla niego inną kandydatkę, on jednak postawił na swoim. Matka nie miała posagu i nosiła sukienkę na ramiączkach, w Karabachu tak się chodziło, w Baku w ogóle nie było o czym mówić, ale w TEJ rodzinie to się nie mieściło w głowie. Ciotka Walida najchętniej wskoczyłaby w czador, tylko bała się KGB. Dziadek przez kilka lat nie odzywał się do ojca. Ojciec był cały czas na cenzurowanym. Szkoła baletowa byłaby gwoździem do trumny.

Miała dziewięć czy dziesięć lat, gdy wreszcie poznała dziadka. Pojechali do Nachiczewanu na całe lato;

zamieszkali w ogromnym domu, w którym od rana do nocy kręciło się mnóstwo ludzi i przez pierwsze dni Giulnara myślała, że to wszystko rodzina: dalsi kuzyni, nieznanne wujenki i stryjenki, pracioteczne potomstwo. Zapytała ojca.

- Oni pomagają - odpowiedział lakonicznie. - Twój dziadek jest bardzo, bardzo szanowanym człowiekiem, żywym świętym. Ludzie przychodzą, żeby mu okazać уваżanie i zaskarbić sobie łaski. Kobiety sprzątają, piorą, gotują, mężczyźni zajmują się ogrodem, reperują, jak coś się zepsuje.

- Służba?! - wyrwało się Giulnarze staromodne słowo, które znała z czytanki. Wiedziała już, że w dawnych czasach źli panowie zmuszali ludzi, żeby dla nich pracowali. Ale teraz, kiedy człowiek lata w kosmos i wszystkie dzieci chodzą do szkoły, służby już nie ma, tak jak nie ma królów i cesarzy...

- Nawet tak nie myśl! - ojciec spurpurowiał. - Oni sami chcą pomagać. Nigdy przenigdy nie wolno ci nikomu powiedzieć, co tu widziałas. Jeśli powiesz, pójde do więzienia, a ty do domu poprawczego!

Dziadek miał na karku osiemdziesiątkę, ale trzymał się dobrze: wyniosły, kościsty starzec o oszczędnych ruchach, małomówny, nierozstający się z karkułowatą papachą. Rano szedł do meczetu, a po południu przyjmował interesantów, wielu przybywało z daleka, prosili o radę i błogosławieństwo, nieraz o jałmużnę. Czasem pytali, czy mają kupić samochód albo iść do szpitala - i uzależniali decyzję od jego odpowiedzi. Dom prowadziła ciotka Walida, ona kierowała ruchem gości i zarządzała „służbą”. Nigdy nie wyszła za męża. Ponoć dziadek zasięgał jej rady w trudnych sprawach.

W ciągu tych dwóch miesięcy Giulnara rozmawiała z dziadkiem dwa albo trzy razy. Pytał, jak jej idzie w szkole, i kazał słuchać ojca. Przy pożegnaniu mocno ją przytulił i powiedział, że w nią wierzy.

Nie powtórzyła nikomu, co widziała w Nachiczewanie. Nie mówiła też, że w domu się modła, że chodzą ukradkiem do meczetu i że ojciec słucha zagranicznych rozgłośni. Nie mówiła o wielu innych rzeczach.

Była na drugim roku romanistyki, gdy zmarł ojciec, a na trzecim, gdy odszedł dziadek. O ile pierwszą śmierć - nagłą, zupełnie niespodziewaną - odchorowywała wiele miesięcy, drugą przyjęła jak naturalną kolej rzeczy. Nie przypuszczała, jak bardzo wpłynie na jej życie.

Głową klanu została ciotka Walida. Nie organizowano oczywiście żadnych zebrań, głosowań. Wszyscy wiedzieli, że była najbliższą dziadka. Gdyby dziadek miał wątpliwości, zostawiłby na pewno jakieś wskazówki.

Uwaga ciotki skupiła się na osieroconej rodzinie Giulnary. W domu były teraz same kobiety - matka i trzy córki. Wszystkie trzy już studiowały i ciotka bała się, że bez męskiej opieki zepsują się, zejdą na złą drogę.

Na uczelni zaczęli pojawiać się, niby przypadkiem, dalsi kuzyni Giulnary. Jeden przekazywał pozdrowienia od sąsiada - którego mijala co rano, idąc na zajęcia („Akurat przechodziłem, chciałem ci

zrobić przyjemność"), drugi chciał pilnie pożyczyć Historię Azerbejdżanu i pomyślał, że trzytomowy komplet będzie miała na pewno przy sobie. Raz przed wejściem zaczepił ją nieznajomy chłopak: uśmiechnął się i zapytał, czy nie wypićby z nim kawy. Po sekundzie uświadomiła sobie, że widziała go w Nachiczewanie, był synem kobiety z dziadkowej „służby". Szybko odwróciła się i odeszła. Bała się, że ją obserwują. Sekunda dłużej - i pomyślał, że jest „łatwa", bo wdaje się z obcym w pogawędkę. Nie daj Bóg, gdyby rzeczywiście umówiła się, wtedy nikt porządny na pewno by się z nią nie ożenił, a matce wypominano by do końca życia, że źle ją wychowała. Odtąd nawet na przerwach starała się trzymać z grupą koleżanek.

W domu też nie miała spokoju. Parę razy w miesiącu, zawsze tuż po ósmej wieczór, puk, puk, wchodził znajomy ojca z Nachiczewanu, przynosił a to list, a to słoik powideł, które przysyłał jakiś krewniak, i już od progu rozglądał się po mieszkaniu, pytając o „dziewczynki". Stawiały się bez ociągania - porządne panienki muszą być o tej porze w domu. Giulnarze przyszło do głowy, że ktoś upatrzył sobie jedną z nich na żonę dla syna i poprosił tego znajomego, żeby wybadał, czy się dobrze prowadzą, ale gdy w ślad za znajomym nie pojawił się żaden swat, uznała wizyty za profilaktyczną akcję Walidola.

Kiedy zaproponowano jej roczne stypendium we Francji, zamiast się ucieszyć, pomyślała, że ciotka nigdy się nie zgodzi, a matka sama nie podejmie decyzji. Wcześniej problemem był tygodniowy obóz językowy w Zagulbie: miała jechać cała ich grupa, ale jak przyszło co do czego, zgłosiło się tylko pięciu chłopców, dziewczyn rodzice nie puścili i obóz odwołano. Powiedziała o wszystkim matce, ta uśmiechnęła się tajemniczo:

- Zostaw to mnie!

Nigdy nie dowiedziała się, czym matka przekonała ciotkę. Klan miał swoje sekrety. Kilka miesięcy później lądowała na Aeroport Paris-Charles de Gaulle.

Wizyta, niezapowiedziana jak wszystkie ważne, zaskoczyła je w rozgardiaszu powitań. Giulnara wróciła do Baku poprzedniego dnia, teraz chichotała z siostrami, przeglądając zdjęcia, które robiła francuskim znajomym, i ustawiając na półkach drobne pamiątki, matka gotowała późny obiad, zerkając im przez ramię. W drzwiach stała ciotka Walida.

- Dobrze, że jesteś, kochanie, tak się stęskniłam! - stękała zasapana, ściskając Giulnarę. Była już w latach i miała swoją tuszę, a one mieszkały na czwartym piętrze bez windy. - Właśnie byłam u doktora, dowiedziałam się, że przyjechałaś, i musiałam cię zobaczyć, słonko ty nasze, ty nasza mądra dziewczynko!

Ciotka pojawiała się w Baku rzadko, raz na parę lat i Giulnara najpierw pomyślała, że to niezwykle zbieg okoliczności. Tylko dlaczego tak ją emablowała, nie zwracając prawie uwagi na siostry i matkę?

- Pokaż się cioci. - Walida siedziała już w fotelu i wpatrywała się uważnie w stojącą przed nią bratanicę. - Wypiękniałaś w tym Paryżu, no tak, Francja, ale schudłaś za bardzo. Azerbejdżańskiej kuchni nic nie zastąpi! - Sięgnęła do torby i wyciągnęła baniaczek z orzechową konfiturą, spécialité de la maison

nachiczewańskich gospodyń. - Podjedz sobie, dziecko.

Została u nich na obiad, potem długo piły razem herbatę i rozmawiały o niczym.

- Na mnie czas - powiedziała wreszcie. - Umówiłam się z Farhadem, na pewno już czeka na dole. Ach, zapomniałabym na śmierć. - Odwróciła się do Giulnary i zapłała ją za rękę. - Widziałam*dziś Ajdyna. Bardzo, bardzo miły chłopiec. Przesyła ci pozdrowienia.

- Ajdyn? - zdziwiła się Giulnara.

- No, Ajdyn, Ajdyn. Syn stryja Jalczina. Jak to nie wiesz? Przecież twój dziadek i jego pradziadek byli rodzonymi braćmi!

- Ach, Ajdyn - Giulnara wreszcie zaskoczyła, o kogo chodzi. - To jeszcze dzieciak.

- Lata lecą - powiedziała sentencjonalnie ciotka. - Skończył drugi rok prawa. Jeszcze dwa, trzy lata i trzeba będzie go ożenić...

Więc o to chodzi, olśniło Giulnarę. Ciotka chce nas wyswatać, dlatego przyjechała.

Powinna się spodziewać. Jak na Azerbejdżan była prawie starą panną, choć jeszcze nie czuła tykającego zegara i chciała się dalej uczyć. Jej francuscy rówieśnicy bawili się w najlepsze, nikt nie myślał o rodzinie. Trochę im zazdrościła.

Ciotka była znana ze swej pasji do aranżowania małżeństw. Niczym doświadczony hodowca dobierała ludzi w pary - tej będzie dobrze z tamtym, tamtej z owym, temu z jeszcze inną a potem organizowała wesele, a raczej wesela, bo w Azerbejdżanie zwykle są dwa, mężczyźni i kobiety bawią się oddzielnie, przynajmniej w dobrych, bogobojnych rodzinach. Po śmierci dziadka, korzystając z pozycji głowy klanu, rozhułała się na dobre. Jej słowo stawało się rozkazem, potrafiła wcielić w życie każdy pomysł, nawet jeśli młodzi wcale się ku sobie nie mieli.

Wierzyła, że to dla ich dobra.

Giulnary nie zrażało, że miałyby wyjść za kuzyna. Wiedziała, że w Europie to zakazane, ale w Azerbejdżanie zdarzało się dość często i miało swoje plusy: wiesz, z kim się wiążesz, znasz rodziców, pieniądze zostają w rodzinie. Bywało, że młodzi mieli wspólnego dziadka, choć niektórzy mułtowie uważali, że to zbyt bliskie pokrewieństwo, i nie chcieli spisywać kontraktu ślubnego, kiabinu; wspólny pradziadek nie budził zastrzeżeń. Kuzyn, nie kuzyn - ważne, jaki człowiek. Giulnara chciała, żeby był mądry i dobry i żeby się jej trochę podobał.

- To co, ciociu, z tym Ajdynem? - spytała.

- No nic. Moglibyście się czasem spotkać, porozmawiać. On jest taki miły.

- Oczywiście, ciociu, spotkam się i porozmawiam, ale mam malutką prośbę - uśmiechnęła się przymilnie. Nagle przyszedł jej do głowy zupełnie szalony pomysł i postanowiła zagrać va banque. Wóz albo przewóz.

- Słucham, kochanie. - Ciotka była samą słodyczą.

- Chciałabym jeszcze zrobić doktorat, właściwie to już zaczęłam pisać, w Paryżu są świetne warunki, raz-dwa i będzie po wszystkim, zobaczy ciocia, a z doktoratem na pewno dostanę pracę na uniwersytecie, to prestiżowa sprawa. Przez dwa lata na pewno skończę, góra dwa i pół. Będę przyjeżdżać.

Matka i siostry były zaskoczone tak samo jak ciotka. Giulnara nic im nie powiedziała, nie miała sumienia. Wyjeżdżała z Paryża z myślą, że już tam nie wróci, a studia doktorskie, na które zapisała się za usilną namową dwóch profesorów, jeszcze przed sekundą wydawały się nierealne. Prawdę mówiąc, myślała, jak się z nich wykręcić.

Ciotka chwilę milczała, ważyła odpowiedź, w końcu machnęła ręką.

- Cóż, dziecko, jedź, jeśli chcesz, tylko żebyś czegoś złego nie wyjeżdżała. Pamiętaj, nauka to nie wszystko, liczą się jeszcze mądrość i serce, i wiara w Boga.

Nikt nie powiedział niczego wprost, ale było jasne, że Giulnara i ciotka ubiły interes: doktorat za małżeństwo z Ajdynem.

Poznała Pierre'a pod koniec pierwszego stypendium, mieli zajęcia w tym samym gmachu, ale wcześniej musieli się mijać albo w tłumie studentów nie zwrócili na siebie uwagi. Prezentacji dokonała wspólna koleżanka:

- To jest Giulnara, caryca Kaukazu, udzielna księżna Baku, Karabachu i Nacz"ichewanu.

- Nachiczewanu, jeśli łaska.

- O, właśnie. A to Pierre. Pierre, powiedz coś o sobie.

Od razu spodobał się Giulnarze, był wysokim, pewnym siebie blondynem o rozbajającym uśmiechu i ironicznym poczuciu humoru. Ona też musiała mu wpaść w oko, bo parę razy odprowadził ją do akademika, a potem odwiózł na lotnisko. Przemknęło jej nawet przez myśl, że ona i Pierre... Lecz było to tak absurdalne, że niewarte uwagi. Kiedy jednak znów siedziała w samolocie do Paryża, zrozumiała, że wraca dla niego.

Zadzwoniła zaraz po przyjeździe:

- Jestem.

Zjawił się z naręczem kwiatów. Zostali parą.

Najgorsze były zawsze pierwsze godziny, potem Giulnara przestawiała się: zniknęła księżniczka Baku,

Karabachu i „Naczi-chewanu”, a na arenę wracała wnuczka imama. Już z domu dzwoniła do Ajdyna, spotykali się, szli na bulwar albo na

Targową - żeby zobaczyć ich całe miasto - jedli lody, pili lemoniadę i fotografowali się na tle zatoki. Mogli pokazywać się razem, byli jak gdyby narzeczeństwem, ciotka rozgłosiła to w klanie, jednak aby nikogo nie zgorzyć, a trochę dla pewności (wiadomo, że lichy nie śpi), towarzyszyła im siostra albo któraś z kuzynek matki.

Giulnara nie chciała Ajdyna, ale nie mogła mu tego powiedzieć wprost. Po pierwsze, na pewno by nie zrozumiał. Żadnemu chłopcu z Kaukazu nie przyjdzie do głowy, że dziewczyna może go nie akceptować. Przecież od urodzenia był oczkiem w głowie mamusi, babć, sióstr, cioć i sąsiadek, przecież tysiące razy powtarzano mu, jaki jest piękny i wspaniały - więc jak to, dlaczego? Po drugie, była dobrze wychowana. Po trzecie, miała umowę z ciotką. Umowę, która niby niczego nie przesądzała.

Ajdyn patrzył w Giulnarę jak w obrazek. Był niegłupi, poczciwy i rzeczywiście miły, ale jakiś dziecinny, mdły, bez wyrazu. Nie widziała go w roli przywódcy stada - jak w przyпіływie dobrego humoru mawiał o sobie jej ojciec. Najpierw ją wkurzał, potem zaczął bawić: mogła okręcić go sobie wokół palca, wiele kobiet robi tak ze swoimi mężczyznami w patriar-chałnym Azerbejdżanie. Raz spotkała przyjaciółkę, którą też wydali za krewniaka. Opowiadała, że troszczy się o nią i dzieci, i Giulnara stwierdziła:

- Dobrego masz męża.
- Łaski nie robi, spróbowałby być niedobry. Przecież to kuzyn.

Po dwóch tygodniach Giulnara zdawała sobie sprawę, że mogłaby tak przeżyć życie: spacer na bulwarze, lody, lemoniada, telewizor, co tydzień salon kosmetyczny, w weekend zakupy, lato w Mardakanie, dzieci, mąż pantoflarz i niezobowiązująca praca, która nie narusza męskiego ego, najlepiej w szkolnictwie, czasem jakaś rodzinna plotka. Ogarniała ją panika.

- Będziesz musiała wracać.
- Wiem.
- Co zrobimy?
- Nie wiem.

Była już doktorem. Obrona poszła gładko; potem Giulnara przez miesiąc załatwiała drobne formalności, wmawiając sobie, że cały czas studiuje. W końcu już nic nie miała do roboty.

Od kilku godzin spacerowali z Pierfe'em po Jardin des Tuileries i fizycznie czuli uciekający czas. Trzeba było coś postanowić.

- Pojedź ze mną.
- Co?!

- Lećmy razem do Baku!

Pierre wiedział o wszystkim, chociaż wiele rzeczy nie mieściło mu się w głowie. Nauczył się przyjmować je na wiarę, bez pytań o sens i logikę. Ufał Giularze i chciał jej pomóc, ale czuł, że może tylko kibicować.

- Nie jestem pewny, czy to dobry pomysł.

- Musimy spróbować.

Pomyślała, że przedstawi go matce, wyjaśni. Ułożyła sobie nawet, co powie, ale w miarę jak samolot zbliżał się do Baku, traciła odwagę. Po hali przylotów miotała się jak zaszczuty pies, wściekła, że przyszło jej do głowy coś tak niedorzecznego. Klan nigdy, nigdy się nie zgodzi, przecież ledwie tolerowali matkę, która była muzułmanką i Azerbejdżanką. Wyklną ją za to, co już zrobiła, za bezczelność i nieposłuszeństwo, za wodzenie się z obcokrajowcem. Będzie dla nich dziwką, zdzirą, bladzią, skazaną na staropanieństwo i wieczne docinki, nawet gamo-niowaty Ajdyn już na nią nie spojrzy.

- Jedź do hotelu - rzuciła Pierre'owi. - Odezwę się do ciebie.

Przez parę dni, dzięki podwójnej dawce środków uspokajających, była wzorową córką i czułą narzeczoną Ajdyna. Wreszcie udało się jej wyrwać do koleżanki, która miała kawalerkę na Baifowie, ale mieszkała z rodzicami. Bez ceregieli poprosiła o klucz. Potem zadzwoniła do Pierrea i podała adres. Na Baifowie nikt jej nie znał, groźba dekonspiracji była znikoma. Podjechała marszrutką, a Pierre'owi kazała wziąć taksówkę.

- Przepraszam, że ci zawracałam głowę - zaczęła. - To było szczeniackie, niepotrzebne. Nie możemy być razem. Nie zrobię tego rodzinie.

- Nie kochasz mnie.

- Oczywiście, że kocham.

- To po co im ulegasz? Wyjedźmy, pobierzmy się.

- Ty nic nie rozumiesz. To nie Francja. Nie mogę stracić rodziny.

- Oni cię zniszczą. Wyjdiesz za tego chłystka, bo tak ci każe ciotka? Czysta hipokryzja. Ojcowie rodzin mają na boku inne kobiety, nawet dzieci, i wszystko jest w porządku, sama opowiadałaś. Byle zachować pozory.

- Oni wszyscy chcą mojego dobra, troszczą się o mnie, dają mi bezpieczeństwo, nigdy nie zostawią w potrzebie. Zawsze mogę na nich polegać. A to, co sobie myślę, to moja prywatna sprawa, mój margines wolności.

Sama nie do końca wierzyła w to, co mówi. Jej klan był konserwatywny nawet jak na Azerbejdżan. Stanowił zakrzepłą, skamieniałą strukturę, państwo w państwie. Ci wszyscy dobrzy ludzie, których kochała i szanowała, byli uwikłani w monstrualny teatr, gdzie każdy ma do odegrania jakąś rolę. Ale im dłużej siedziała w Azerbejdżanie, tym bardziej wydawało jej się to naturalne. Tu jednak nie widziała się tylu nieszczęśliwych, samotnych, pokaleczonych ludzi, co we Francji - wolność ma swoją cenę. Teraz chciała jak najszybciej skończyć z Pierre'em.

Pożegnali się chłodno, jakby wspólne trzy lata nie miały znaczenia.

Nie potrafiła zapomnieć. Miała do siebie żal, że nie potrafi pokochać Ajdyna, do matki - że za pierwszym razem puściła ją na Zachód, ale przede wszystkim do ojca: ojciec nauczył ją myśleć i zaraził złym przykładem. Azerbejdżańskie przysłowie mówi: „Jeśli chcesz spokoju - bądź głuchy, ślepy i niemy”. Giulnara tak nie umiała i musiała ogłupiać się prochami.

Ach, mieć to już za sobą! Papiery do ślubu były gotowe. Lada dzień oficjalnie zaręczy się i wtedy ojciec Ajdyna ustali z jej matką ostatnie szczegóły. Potem pójdzie szybko: kiabin, wesele, ciąża, poród. Może nie będzie tak źle, może się przyzwyczai. W ostateczności zawsze można się rozwieść, było to bardzo źle widziane, ale od czasu do czasu zdarzało się, nawet w ich klanie. Najważniejsze, to mieć szybko dziecko. Kobieta bez dziecka była tutaj nikim.

W przeciwieństwie do reszty rodziny nie wierzyła w przeczucia i znaki, ale kiedy zadzwoniła komórka i na wyświetlaczu pokazał się francuski numer, wiedziała, że za chwilę wszystko wywróci się do góry nogami. Odebrała połączenie, to był jej promotor.

- Myślałem, że zastanę panią w Paryżu, tak, wiem, tamten telefon nie odpowiadał, dlatego pozwoliłem sobie... Może powinienem wcześniej, ale nie miałem pewności, dopiero teraz się wyjaśniło. Więc będę miał w katedrze wolne miejsce, czeka na panią od zaraz. Jest pani zainteresowana? Naprawdę? To bardzo, bardzo się cieszę! Kiedy pani będzie?

- Pojutrze.

Na bezpośredni lot nie było już miejsc, ale znalazła nocne połączenie przez Moskwę. Na szczęście miała trochę pieniędzy i ważną wizę schengenką. Walizkę spakowała w kwadrans, mogła to robić z zamkniętymi oczami. Kiedy matka wróciła do domu, Giulnara była gotowa do wyjścia.

- Gdzieś się wybierasz, kwiatuszku?

Nie potrafiła się przyznać, zaczęła kręcić o tygodniowych kursach, grantach, certyfikatach, dodatkowym egzaminie, o którym właśnie się dowiedziała. Matka patrzyła na nią osłupiała, nie poznawała własnej córki i nie wierzyła w ani jedno jej słowo.

- Mnie nie musisz kłamać. Masz tam kogoś i jedziesz do niego.

- Tak, mamo.

- Wiesz, co tu się będzie działo? 1

- Wiem.

- To z Bogiem.

Sparaliżowana ze strachu zadzwoniła bladym światem do studia Pierre'a. Nie uprzedziła go. Może jej nie zechce albo, co gorsza, w mieszkaniu będzie inna kobieta? Wtedy pozostałby jej Pont au Change i to, co w Nędznych Wiktor Hugo zrobił ten nieszczęsny inspektor Javert. Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej?

Była tu kilka razy, ale nigdy sama, zawsze w większym towarzystwie. Pierre śmiał się, że jest przewrażliwiona, ale nie mogła się przełamać. W jej kraju dziewczyna, która odwiedza w pojedynkę samotnego mężczyznę, kojarzy się jednoznacznie. Teraz było jej wszystko jedno.

Po dobrej chwili drzwi otworzyły się. Pierre był sam.

- Ożenisz się ze mną?

- Przyjechałaś, żeby mi się oświadczyć?

- Tak.

- Mówisz poważnie?

- Tak.

- Przyjmuję!!!

Zaczęła się rozpakowywać, a on poszedł robić śniadanie i po chwili zawołał ją do kuchni. Na stole obok pieczywa, masła, jogurtów, serów i miodu stała butelka bordeaux i dwa kieliszki.

- Mam nadzieję, że nie za wcześnie?

- Przecież wiesz, że nie piję alkoholu.

- Wiem, ale dziś jest wyjątkowy dzień.

- Nie ma wyjątków, Pierre. Teraz tym bardziej nie mogę. Muszę pamiętać, kim jestem.

Chcieli pobrać się jak najszybciej, to wymagało ekwilibrysty-ki. Giulnara biegała po Paryżu i po raz pierwszy czuła, że to jej miasto, jej kraj. Wcześniej była gościem, ojczyznę miała daleko, za Kaukazem, a tutaj musiała na każdym kroku tłumaczyć, że Azerbejdżan jest niepodległy, że owszem, należeli do Rosji,

ale nie, nie, żadne białe niedźwiedzie, przeciwnie, ciepło, palmy, morze i góry, trochę jak u was na Riwierze, trochę gazu i ropy, islam, ale bez ortodoksji, nie, proszę pani, nie jesteśmy Arabami!

Na Arabów trafiła w meczecie, weszła zapytać o mułłę i kia-bin, to było dla niej bardzo ważne. Udali, że jej nie widzą, nie odpowiedzieli na pozdrowienie, cholerni seksiści. Wściekła się, obsztorcowała ich po arabsku - znała arabski, perski, turecki i angielski, nie licząc azerbejdżańskiego, rosyjskiego i francuskiego. Obrzucili ją wyzwiskami. Potem przypomniała sobie, że w Saint-Denis jest młody mułła, też sunnita, jak tamci, ale przynajmniej Turek. Pojechała do niego i załatwiła wszystko od ręki.

W kiabinie Pierre zobowiązał się, że będzie o nią dbał, że utrzyma dom i zapewni dzieciom porządne wykształcenie.

Pierre zasnął, nie doczekawszy nocy poślubnej, jeszcze nie dziś, kochany, jeszcze muszę pomyśleć, jutro, pojutrze na pewno, sama tego pragnę, jesteś moim mężem, ale teraz daj mi chwilę. Po raz pierwszy od bardzo dawna nie wzięła uspokajaczy, chciała spojrzeć na trzeźwo na nowe życie, które rozpoczęła poprzedniego dnia, ale jej myśli uciekały do Azerbejdżanu, do matki, siostr, starej ciotki Walidy, do Nachiczewanu i Baku i rozumiała, że przeszłość będzie w niej tkwić jak zadra.

Dzieci, pomyślała, tylko dzieci mogą jej pomóc. Dziećmi postara się zmyć winy wobec klanu. Będą Francuzami, ale muszą być także Azerbejdżanami, muszą znać język, kulturę, obyczaj. Muszą znać religię. Może mułła zgodzi się je uczyć, będzie prowadziła je do meczetu co tydzień albo dwa razy w tygodniu, kupi książki, nauczy czytać po arabsku. Zrobi wszystko.

Gdy kiedyś przyjadą do Azerbejdżanu i ktoś je zapyta, skąd się wzięły, muszą wiedzieć, że są prawnukami Mirmameda, świętobliwego imama z nachiczewańskiego meczetu, który jeszcze przed pierwszą wojną pobierał nauki w świętym mieście Nadżaf.

Dzienniki bakijskie (2)

11 lutego 2005

Budzę się wcześnie, przed piątą, żeby pouczyć się języka. Towarzyszy mi muezin: w ciągu dnia jego głos ginie w szumie trzymilionowego miasta, ale teraz słyszę go bardzo wyraźnie. Wiernych wzywam modlitwą, a dla mnie - śpiewa.

12 lutego 2005

Wieczór z Kasią, Lucianem i Simona w teatrze Juh (azerb. Yug). Grają sztukę, której tytuł można przetłumaczyć Na łożu śmierci albo Wyzionienie ducha (azerb. Can usta). Autorką jest współczesna azerbejdżańska pisarka Afag Masud.

Stary człowiek, dawny dygnitarz partyjny, żegna się ze światem: to jego ostatnie chwile. Jest przy nim sąsiadka literatka, która chce opisać umieranie i marzy o Nagrodzie Nobla (alter ego Masud?). Przez ascetyczny pokój - tylko łóżko, wieszak i porozrzucone wszędzie papierowe teczki, w których zamknięte jest życie gospodarza - przewijają się zjawy z przeszłości: były kierowca dygnitarza, szef miejscowego KGB, dawni koledzy. Przychodzą też żywi: krewni umierającego oraz pewna kobieta, która chce dowiedzieć się z jego papierów czegoś o własnej matce, zesłanej przed wielu laty na Syberię.

Reżyser Wagif Ibrahimoglu mówi nam po spektaklu, że starsi widzowie nie wiedzą, jak się do tej sztuki odnieść: spoglądają na siebie, wzdrygają się, gdy padają słowa „KGB” albo „Sybir”. Młodszy reaguja spontanicznie. Aktorzy za każdym razem patrzą, jaka przyszła publiczność, a potem grają pod nią - jeśli więcej jest osób starszych, dbają, żeby nie prze-szarżować.

To pierwszy spektakl Juha, w którym dominuje słowo. W stworzonym przez Ibrahimoglu teatrze, który mieści się w dziewiętnastowiecznej, kopulastej łaźni przy ulicy Muchta-rowa, do tej pory bardziej liczył się gest, śpiew, muzyka, ruch sceniczny - i tak ma pozostać.

Juh (yug, yog) to nazwa starotureckiego rytuału pogrzebowego. Po pogrzebie, tłumaczył Ibrahimoglu, na świeżych jeszcze mogiłach, dawni Turcy z zapamiętaniem oddawali się porubstwu. Orgia przynosiła zwycięstwo nad śmiercią: na miejscu pozornego triumfu śmierci powstawało nowe życie.

13 lutego 2005

Zatruliśmy się gazem z nieszczęelnego piecyka w kuchni. Kasia zemdlala od razu, mnie udało się jakoś

otworzyć okno, a potem wyłączyć piecyk. Cały dzień dochodzimy do siebie.

Palimpsest

Krzyż był równoramienny, ramiona kończyły się pąkami, które przypominały andegaweńskie lilie. Żora powiedział, że rozczapierzone płatki to płomienie:

- Przed przyjęciem chrześcijaństwa czciliśmy ogień.

Dawna wiara nigdy do końca nie umiera, potrafi skryć się w symbolach i świętych miejscach nowej religii i przetrwać tysiąclecia. Przed ogniem czczono w tych stronach Księżyc, dlatego w płomieniu wpisane są jeszcze półokręgi.

Żora był Udinem. Na świecie jest dziesięć tysięcy Udinów, a połowa z nich mieszka we wsi Nidź w Azerbejdżanie.

Udini pochodzą od starożytnych Utiów, jednego z dwudziestu sześciu plemion, które według Strabona zamieszkiwały Albanię Kaukaską.

Tamta Albania nie miała nic wspólnego z Albanią z Bałkanów: wkroczyła na arenę dziejów w ostatnich wiekach przed Chrystusem, wojowała z Rzymem i Persją, przestała się liczyć w siódmym wieku, po najeździe Arabów. Nie była nigdy państwem scentralizowanym - raczej luźną federacją ludów wschodniego i południowo-wschodniego Kaukazu. Stolica mieściła się najpierw w Kabali, kilkanaście kilometrów od Nidżu, a potem w Bardzie - też niedaleko. Albanowie, tak jak

Ormianie i Gruzini, mieli własny alfabet, składał się z pięćdziesięciu dwóch, a może nawet pięćdziesięciu

czterech liter. Stworzyli ciekawą kulturę, ale niewiele zachowało się do naszych czasów.

W dziewiątym wieku albańscy książęta próbowali odbudować państwo - i ponieśli ostateczną klęskę. Przez następne tysiąc lat Albania nie dawała znaku życia. Po podboju Kaukazu przez Rosję archeolodzy rozkopią Kabałę, a lingwiści zainteresują się językiem udińskim i odkryją, że jest podobny do lezgińskiego i innych języków Dagestanu. U schyłku dwudziestego wieku gruziński badacz Zaza Aleksidze znajdzie w klasztorze Świętej Katarzyny na Synaju trzystustronicowy albański palimpsest i podejmie próbę jego odczytania. Z pomocą przyjdzie mu współczesny język udiński. W 2001 roku odcyfruje pierwsze słowo - Tesaloniki. Będzie już wiedział, że to Pismo Święte, jeden z Listów Świętego Pawła.

Okaże się, że Albania cały czas żyje.

Krzyż z płomieniami był wykuty nad wejściem do kościoła Dżotari - najstarszego we wsi, siedemnastowiecznego. Pozbawiona ozdób kamienna bryła miała okna jak otwory strzelnicze i przypominała bunkier; z dachu wyrastała ażurowa wieżyczka. Wcześniej, objaśnił Zora, też był w tym miejscu kościół, ale na planie koła, nie prostokąta.

Wejście było bardzo niskie - jak w wielu świątyniach Wschodu. Ten, kto przestępuje próg, musi się pochylić. Skłonić głowę.

Kronikarz dziejów Albanii Mojżesz Kałankatujski (Kagan-katwaci) napisał, że Albanowie przyjęli chrzest w pierwszym wieku, z rąk świętego Elizeusza, ale stało się to zapewne trzysta lat później - w podobnym czasie, co w Gruzji i Armenii. Ostatecznie w tej części Kaukazu zapanuje islam, przyniosą go Arabowie, a potem Seldżuci. W muzułmańskich wioskach w okolicach Agdaszu czy Udżaru kobiety do dziś robią jednak na chlebie znak krzyża, choć nie wiedzą, skąd wziął się ten zwyczaj.

Chrześcijaństwo przetrwało najdłużej w górskich aułach i na przedgórzu kaukaskim, w Nidżu i Wartaszenie, gdzie mieszkali Utiowie, którzy stali się Udinami. Przetrwał także albański katolik, chociaż dawno nie było Albanii i nikt nie pamiętał o albańskim alfabecie. Święte księgi były teraz spisywane po ormiańsku, w liturgii brzmiał starormiański grabar.

W 1836 roku Mikołaj 1 włączył Kościół Albański do Ormiańskiego. To miał być ratunek, Udinów było coraz mniej, a wokół żyli sami muzułmanie. Kościoły od stuleci łączyła unia, albańska odrębność była symboliczna - ale była i Udini byli do niej przywiązani.

Zora był pewien, że Ormianie omotali cara, pociągnęli za odpowiednie»6znurki, podkupili dwór, utkali pajęczynę intryg.

Władze Kościoła Ormiańskiego zinwentaryzowały przejęte udińskie świątynie. W Dżotari odpowiednią informację wykuto tuż obok krzyża. Wchodząc, trzeba było teraz pokłonić się ormiańskim literom.

» • •

Przez większą część historii ziemie obecnego Azerbejdżanu wchodziły w orbitę Persji. Perskie wpływy obejmowały całą Albanię Kaukaską i leżącą bardziej na południe Atropatenę (dzisiejsze pogranicze

azerbejdżańsko-irańskie), sięgały aż do Derbentu w Dagestanie.

Między dziewiątym a jedenastym wiekiem obecny Azerbejdżan i obecny północno-zachodni Iran zaludnili Turcy. Napłynęli w kilku falach, wchłonęli dotychczasowych mieszkańców i sami stali się gospodarzami. W ciągu następnych stuleci założyli wielką ilość chanatów, księstw, związków i konfederacji, które toczyły ze sobą wojny, zawierały sojusze, broniły się przed najazdami i same najeżdżały sąsiadów. Zmieniały się dynastie, przesuwały granice, powstawały i upadały miasta, ale zwierzchność nad tym żywiołem - czasem faktyczną, czasem tylko symboliczną - sprawował król królów, perski szach.

Językiem tych ziem został turecki, który z czasem stanie się azerbejdżańskim. Nim mówiło się na co dzień. Dla poezji i polityki zarezerwowany był perski: grał rolę, jaka w Europie przypadła francuskiemu. Poeci, których Azerbejdżan uznaje za swoich klasyków - Niżami z Gandzy i Chagani z Szemachy - tworzyli po persku, choć czasem wymykały się im tureckie słowa. Dopiero Nasimi, który żył nieco później, pisał trochę po azerbejdżańsku.

Religia i nauka były domeną arabskiego, muzułmańskiej łaciny. Ziemie, o których mówimy, były częścią ummy, światowej wspólnoty muzułmanów - i przez wieki była to identyfikacja silniejsza niż wspólnota języka czy wspólnota poddanych tego samego władcy. Od północnej Afryki, przez Bliski Wschód i wschodnioeuropejskie stepy, aż po Azję Centralną i przedpola Indii i Chin - wszędzie tam obywatel ummy czuł się u siebie: wszędzie tak samo zawodził muezin, wszędzie dawano dzieciom podobne imiona. Na studia jeździło się do Bagdadu albo Buchar, jak w Europie do Padwy czy Paryża.

Między szesnastym a dziewiętnastym wiekiem, a dokładniej między rokiem 1514 a 1828, Persja stoczyła dziewięć wojen z Imperium Osmańskim, walki trwały łącznie prawie sto lat. Największe ówczesne potęgę ummy były się o ziemię i szlaki handlowe, ale też o wiarę. Persja właśnie przyjęła szyizm, mniejszościowy nurt islamu, w którym za prawowitego następcę Mahometa uważany jest Ali, jego zięć. Turcy osmańscy byli sunnitami, według sunnitów sędzia po Proroku słusznie przypadła kalifom: Abu Bakrowi, Umarowi i Utmanowi. Sunniti mieli szyitów za heretyków i wiecznych buntowników.

Walka była poniekąd bratobójcza, turecko-turecka. Wojny zaczęły się za Ismaila 1, tureckiego (i szyickiego) szacha Persji. Potem fronty kilkakrotnie przetaczały się przez Kaukaz: przez Gruzję, Armenię i Azerbejdżan. Ale dla Turków azerbejdżańskich, w większości też szyitów, nie miało znaczenia, że turecki sułtan mówił ich językiem - był najeźdźcą, konkwistadorem, wrogiem. Osmanom sprzyjała tylko część szyrwańskich elit: Safawidzi odebrali Szyrwanowi - państwu położonemu na terenie dzisiejszego środkowego Azerbejdżanu - niezależność. Dawni azerbejdżańscy historycy, jak Abbas Kuli Aga Bakicha-now, nazywali tych, którzy poparli sułtana, zdrajcami.

Rosjanie pierwszy raz najechali Persję w 1722 roku, zajęli nawet Baku, ale po śmierci Piotra 1 wycofali się z nad Morza Kaspijskiego. Wrócili po kilkudziesięciu latach. Na początku dziewiętnastego wieku Rosja

stoczyła z Persją dwie wojny, które zaważyły na losach Azerbejdżanu. Zawarty po drugiej z wojen, w 1828 roku, traktat turkmenczajski podzielił azerbejdżańskie ziemie na część północną, która przypadła Rosji (potem, po epizodycznej niezależności, należała do Związku Sowieckiego, a obecnie jest niepodległym państwem), oraz południową, która została przy Persji - Iranie. Granicę wytyczono wzdłuż rzeki Araks. Przebiega w tym samym miejscu do dziś.

Częste początkowo kontakty między północą a południem w czasach sowieckich praktycznie zamarły, a traktat z Turk-menczaju stał się symbolem narodowego nieszczęścia. Szansę na zjednoczenie Azerbejdżanu (pod egidą Moskwy) zrodziła druga wojna światowa, podczas której sowieckie wojska okupowały część Iranu. W 1945 roku powstał w Tebrizie pro-sowiecki autonomiczny rząd azerbejdżański, ale po kilku miesiącach Stalin zrezygnował z ekspansji w tym kierunku i skupił się na Europie Środkowej. Rząd w Tebrizie upadł, ministrowie uciekli do Baku. Dwa brzegi Araksu znów oddaliły się od siebie.

Rozpad ZSRR przyniósł najpierw nadzieję, a zaraz potem rozczarowanie. Znow można było się odwiedzać. Współczesny historyk zanotował:

Już pierwsze kontakty nieco onieśmieliły obie strony, ujawniając znaczące różnice kulturowe i religijne. „Północni” byli zszokowani przywiązaniem „Południowców” do islamu i widzieli w nich niepoprawnych konserwatystów, a „Południowców” nieprzyjemnie zaskoczyło to, co uznali za wysoki stopień „rusyfikacji” „Północnych”. Każda ze stron uważa się przy tym za bardziej cywilizowaną od drugiej. (Wiktor Szniirelman, Wojnypamięci).

Rusyfikację Szniirelman rozumiał jako dostępność alkoholu i rozluźnienie obyczajów.

* » *

Zapytałem Żorę, co było potem, gdy Kościół Albański został włączony do Ormiańskiego.

Odpowiedział, że Udini przestali praktykować. Nie przyjęli nowych porządków, nie przyjęli ormiańskich księży. A później przyszła władza sowiecka i zlikwidowała wszystko. W sumie przez półtora wieku w Nidżu nie było żadnej wiary.

Nie chciał pamiętać, że Udini przez stulecia modlili się po ormiańsku. Po konflikcie w Karabachu, po tym, co zaszło między Azerbejdżanami a Ormianami, pomyślał, że kiedyś można było żyć w zgodzie (a jeśli nawet nie w zgodzie, to przynajmniej w nieagresji), wydawał się absurdalny.

Właśnie: kiedy zaczął się konflikt w Karabachu, Azerbejdżanie brali czasem Udinów za Ormian - bo to chrześcijanie, ale nie Ruscy. Na dodatek wielu miało ormiańskie nazwiska - z takimi w ogóle nie dojdiesz. Jednego Udina pobili, drugiemu zabrali mieszkanie, trzeciego wyrzucili z pracy. Trudno wszystkim tłumaczyć, że Strabon, że Albania. Żeby nie było kłopotów, przez parę lat Udinów nie brali do armii. Potem od razu poszło do wojska pół wsi. Ciężkie czasy były. Żeby przeżyć, trzeba było być świętszym od papieża.

Nie wiemy, jak wyglądał albański obrządek.

Ormianie uważają, że nie różnił się od ormiańskiego. Azerbejdżanie, a za nimi Udini - że wprost przeciwnie: był prawosławny, nie gregoriański, i najbardziej przypominał gruziński.

Uczonym z zagranicy też nie można do końca wierzyć: każdy, kto zajmuje się sprawami tak pogmatwanymi i egzotycznymi jak chrystianizm w Azerbejdżanie, ma swoje sympatie. Ci, którzy jeżdżą na konferencje do Baku, omijają Erywań. I odwrotnie.

Gdyby nagle odnalazły się albańskie księgi liturgiczne, możemy być pewni, że jedna ze stron uznałaby je za sfałszowane - a może nawet obie strony?

Ostatni ksiądz posługujący wśród Udinów został zesłany do Kazachstanu na początku lat trzydziestych. Już nie wrócił. Przed aresztowaniem zdążył ochrzcić Żorę. W pokoleniu Żory ochrzczonych było jeszcze dużo, wśród młodszych - tylko pojedyncze osoby. Kogoś, zdaje się, ochrztili w Rosji, kogoś podobno w Gruzji. Wiadomo, wtedy ludzie się nie chwalili.

(Być może ktoś chrzcił się u Ormian - ale do tego nikt się za żadne skarby nie przyzna do dziś).

Wszyscy, nawet nieochrzczeni, wiedzieli jednak, że są chrześcijanami.

* * *

Trudno powiedzieć, kiedy Azerbejdżan stał się Azerbejdżanem, to znaczy - kiedy przestrzeń geograficzna i kulturowa stała się przestrzenią polityczną. Zapewne w szesnastym wieku, za pierwszych Safawidów, może nieco wcześniej. Zapewne proces zaczął się od Ardabilu i Tabrizu, które dziś należą do Iranu: państwa Szyrwan - z Szemachą i Baku - długo nikt nie nazywał Azerbejdżanem.

Równie trudno określić moment, w którym język Azerbejdżanu oddzielił się od tureckiego pnia i stał się azerbejdżańskim. Tym bardziej że spośród rozgałęzionej rodziny języków tureckich właśnie azerbejdżański jest najbliższy współczesnemu tureckiemu.

Najtrudniej ustalić, kiedy zamieszkująca Azerbejdżan ludność, w ogromnej większości tureckojęzyczna, stała się narodem azerbejdżańskim. Ormianie do dziś mówią o Azerbejdżanach „Turcy”, a prezydent Hejdar Alijew rzucił kiedyś hasło „Jeden naród - dwa państwa”, mając na myśli Turcję i Azerbejdżan.

Charakter Azerbejdżanu określiło jego położenie. Specyfiką tej ziemi była przejściowość. Z niej brała się rozmyta tożsamość i słabe więzy między mieszkańcami. Azerbejdżan zawsze był krajem pogranicza - góry spotykały się tu z morzem i stepem, Kaukaz z Persją, Persja z Turcją, chrześcijaństwo z islamem (a także z zaratusztrianizmem i judaizmem), islam szyicki z sunnickim, a później Rosja z Bliskim Wschodem oraz Europa z Azją.

Dla wszystkich były to peryferie - odległa prowincja, najdalsza reduta, ostatni przyczółek. Tutaj przed prześladowaniami chronili się innowiercy, sekciarze i apostaci. Liczyli, że z dala od stolic i siedzib władzy nie będą się rzucać w oczy. Tu osiedlali się churramici, ismailici, hurufici i babidzi, a potem, za cara, mołokanie.

Można powiedzieć, że Gruzja też leżała na peryferiach, zależy, z której strony patrzeć, chrześcijańskiego Zachodu albo Bliskiego Wschodu - ale Gruzja była sama w sobie całym światem. Gruzini mieli swój własny język, który zapisywali swoim własnym alfabetem.

Armenia też stanowiła odrębny świat - choć bardziej rozproszony, przypominający archipelag (dalsze wyspy archipelagu zamieszkiwała diaspora - na Bliskim Wschodzie, w Europie, Rosji, potem w Ameryce). Ale punktem odniesienia były dla Ormian konkretne miejsca: Wyżyna Armeńska i Święty Ecz-miadzyn. Ormianie również mieli własny język i własny alfabet, a na dodatek - własny Kościół.

Azerbejdżanie należeli do różnych światów: perskiego, tureckiego, szyickiego, rosyjskiego, bliskowschodniego (We mnie mieszczą się dwa światy, lecz ja w żadnym się nie mieszczę - pisał Imadeddin Nasimi, członek sekty hurufitów, którego w 1417 roku żywcem odarto ze skóry za herezję; przełożył Tadeusz Chrościelewski). Swoją tożsamość musieli budować w opozycji: jesteśmy szyitami jak Persowie, ale mówimy po turecku, więc nie jesteśmy Persami. Mówimy po turecku, ale jesteśmy szyitami - więc nie do końca jesteśmy też Turkami.

Kiedy w 1875 roku w Baku ukazała się pierwsza gazeta w języku azerbejdżańskim, ogromna większość Azerbejdżan nie umiała czytać i pisać, a na pytanie „kim jesteś?” odpowiedziałyby: mużułmaninem, Turkiem, tutejszym.

Jeden ze współpracowników pisma - które nazywało się „Akinczi” (Siewca) i miało służyć ludowi - został zlinczowany w Szemasze przez ów lud, niechętny nowinkom (założył szkołę azerbejdżańsko-rosyjską zamiast mektebu, uczącego po arabsku).

Nieliczna azerbejdżańska inteligencja atakowała wydawcę za to, że zamiast literackiego perskiego używa „nienadającej się do druku gwary prostactwa”. Jeden z pisarzy zarzucił mu szerzenie wśród chłopstwa „nihilistycznych i nieazjatyckich, lecz europejskich ambicji”.

Następne pokolenie inteligencji zachłysnęło się pantur-kizmem - ideą głoszącą jedność ludów tureckich. Działacz polityczny i niedoszły lekarz Ali bej Husejnzade stworzył program „Turkizacja, europeizacja, islamizacja”. Odbiciem tej triady stanie się niebiesko-czerwono-zielona flaga Azerbejdżanu.

Współczesny badacz napisał: Było naturalne, że azerbejdżańska elita, elita kolonii, oglądała się na sąsiednie mużułmańskie państwa, które zdołały zachować niepodległość. Dominacja szyizmu powinna zbliżyć ją raczej do Iranu, nie do Turcji, jednak dwa czynniki przyczyniły się do jej tureckiej orientacji. Po pierwsze, w nacjonalizmach Europy, na których wzorował się nacjonalizm azerbejdżański, kluczową rolę odgrywał język. [...] Po drugie, Turcja była krajem bardziej postępowym. (Ali Abasow, Istam w sowriemiennom Azierbaj-dżanie: obrazy i realii).

W 1918 roku Azerbejdżanie doczekali się własnego państwa narodowego. Objęło ziemie na północ od Araksu, ale Persowie i tak protestowali przeciwko samej nazwie: bali się, że Baku, wspierane przez

Stambuł, będzie pretendować do azerbejdżańskich ziem w Iranie.

Było to pierwsze w historii świeckie państwo utworzone przez muzułmanów. Istniało dwa lata. Potem zostało podbite przez bolszewików.

• * *

Najbardziej rzucały się w oczy prosiaki. Miały długą, brunatną szczecinę i wałęsały się stadkami po całej wiosce, żerując wzdłuż płotów i na poboczach dróg. Trudno uwierzyć, że byliśmy w Azerbejdżanie: tutaj nie jedzą wieprzowiny. (A jeśli jedzą - to po cichu, bez ostentacji).

Prosiaki wskazywały, że w tej wiosce mieszkają chrześcijanie.

Oprócz prosiaków niewiele różniło Udinów od sąsiadów.

Kościół Dżotari stał pusty, tak jak dwa inne. Nie było nabożeństw, nie obchodzono świąt. Czasem ktoś zaszedł i zapalił świeczkę. Świeczników nie było, więc przylepiał ją do kamiennej ściany albo stawiał wprost na ołtarzu.

Modlił się?

Raczej nie. Modlitw po udińsku nie było, a po ormiańsku nikt nie pamiętał, zresztą ormiański brzmiałby niestosownie. Po rosyjsku? Jakoś nie przychodziło do głowy.

Co bardziej pobożny jeszcze się żegnał, ale nie całą dłonią, tylko małym palcem złączonym z kciukiem - tak uczyli starcy.

Starcy uczyli również, że rano, zaraz po przebudzeniu, i wieczorem, tuż przed zaśnięciem, trzeba westchnąć do Jezusa. To chyba wszystko.

Były jeszcze święte miejsca: niektóre wspólne dla całej wsi, inne należały do jednego rodu, jeszcze inne - tylko do jednej rodziny. Najbardziej szanowane rodziny miały siedem świętych miejsc. Tak było u Keczarich.

To mógł być kamień albo rozłożyste stare drzewo (czasem przepołowione piorunem), albo grotka, albo uroczysko. Ważne, aby w pobliżu był duży krzew, gdzie można wiązać szmatki na spełnienie intencji, z którymi się przyszło.

Intencje? Na przykład: syn szedł do wojska i ojciec przyrzekał, że jeśli ten wróci cały i zdrowy, to zarżnie barana. Kiedy syn wracał, baran szedł pod nóż, a potem od razu na ruszt. Kości trzeba było zakopać, aby nie ruszyły ich psy. Albo: ojciec zachorował i syn obiecał, że poświęci barana, jak tatuś wyzdrowieje. I Bóg pomagał.

Coś jeszcze? Nie wolno składać ofiar w poniedziałek. We wtorek można, ale najlepszy jest piątek albo niedziela.

To wszystko przetrwało u Udinów do dziś. Podobnie jak u Azerbejdżan, Gruzinów, nawet Ormian. Dlaczego miało nie przetrwać? Święte miejsca istniały na długo przedtem, zanim Elizeusz przyniósł tu chrześcijaństwo, a Arabowie islam. Kaukaz nie odrzucał żadnej wiary, mógł przyjąć nową - wtedy ta stara musiała usunąć się, ustąpić jej miejsca, ale przecież zostawała. Nowe obrzędy zapisywały się na starych jak w pa-limpseście.

Ormianie mieli Azerbejdżan za przybłądów, którzy rozgościli się w cudzym domu, założyli nie swoje ubrania i udawali gospodarzy; za pastuchów, którzy przywędrowali ledwie tysiąc lat temu, na Kaukazie to tyle, co splunięcie, a potem, zamiast pójść sobie dalej, z niewiadomych przyczyn zostali i na domiar złego dowodzą, że należy się im a to Karabach, a to Nachiczewan, a to nawet,

0 zgrozo, Zangezur, ze słynnym ormiańskim klasztorem Tatew. W oczach Azerbejdżan Ormianie są chytry, podstępni i perfidni, zawsze lubili wykorzystywać innych, zwłaszcza sąsiadów, i żyć wygodnie na cudzy koszt; zawsze mieli lepsze układy w Moskwie.

W Związku Radzieckim granice między republikami związkowymi niby nie miały znaczenia (choć mogły bardzo utrudnić życie), ale nikt nie chciał ustąpić: o każdą dolinę, przełęcz czy wioskę toczyły się zaciekle boje. Nawet gdy wszystko było już ustalone, delegacje republik jeździły do Moskwy i przekonywały, że tu i ówdzie przydałaby się korekta. Przykład Abchazji

1 Karii, które straciły związkowy status i zostały autonomiami, uczył, że należy zachować czujność.

Jak dowieść praw do ziemi? Na Kaukazie trzeba mieszkać na niej od zawsze - od stworzenia świata, a przynajmniej od potopu i arki Noego. Pewni swego sąsiedzi nie dadzą spokoju, nie ustąpią. Gandzę, miasto Nizamię, Ormianie zaczęli nazywać już Gandzakiem, a zamiast „Szusza” mówili „Szuszi”, jak na rybę. Tylko patrzeć, jak powiedzą, że Baku też im się należy!

Do walki ruszyli azerbejdżańscy historycy i archeolodzy. Odkryli, że pierwsze plemiona tureckie dotarły na Kaukaz wcześniej, niż sądzono - nie w jedenastym czy dziewiątym, ale już w siódmym, szóstym, a nawet czwartym wieku naszej ery. Seldżycy i inni przybysze z Wielkiego Stepu, od których zaczęła się właściwa turecka kolonizacja Azerbejdżanu, przyszli zatem na gotowe - grunt przygotowali im Hunowie, Oguzowie i Chazarowie.

Teoria była zgrabna, ale nie dowodziła ciągłości osadnictwa i nie tłumaczyła, co było przed czwartym wiekiem. A czas naglił- Ormianie właśnie anektowali państwo Urartu - a to przynajmniej tysiąc lat więcej w głąb historii.

Wtedy akademik Zija Buniatow przypomniał Albanę Kaukaską.

Azerbejdżanie mają wielu przodków. Tureccy przybysze mieszały się z tubylcami - przede wszystkim z

Albanami, czyli Kaukazczykami, ale także z Persami z Atropatenu, a nawet z Arabami, którzy rządili tą ziemią przez trzysta lat. Tak uformował się naród azerbejdżański. Wydawało się oczywiste, że w tej mieszance dominowali Turcy, ale Buniatow uznał, że było inaczej.

Uczonemu zastanowiło nagle zniknięcie Albanów - niemożliwe, żeby po dwudziestu sześciu plemionach, które opisał Strabon, po gospodarzach dużego państwa, zostali tylko Udini i trochę górskiego drobiazgu. Doszedł do wniosku, że Alba-nowie żyli dalej, ale utracili swój język i wiarę - te przejęli od tureckich przybyszów. Azerbejdżanie byłiby zatem sturczo-nymi Albanami, a jeśli tak, to mogą uważać się na Kaukazie za autochtonów!

Swoje przemyślenia Buniatow zawarł w książce Azerbejdżan w VII-VI wieku, która wyszła w 1965 roku. W azerbejdżańskiej nauce był to przełom: wcześniej nikomu nie przyszło do głowy, że można mówić o Azerbejdżanie we wczesnym średniowieczu. Skoro jednak Azerbejdżan stawał się tożsamy z Albanami, to dlaczego nie? Później ukażą się: Azerbejdżan w VII-VI wieku Sary Kasumowej i Etniczna mapa Azerbejdżanu w okresie panowania Achemenidów (VI-IV w. p.n.e.) Raufa Melikowa.

W 2009 roku w Baku odbyła się międzynarodowa konferencja archeologiczna Azerbejdżan - kraj łączący Wschód i Zachód (7000-4000 p.n.e.).

Według dostępnych źródeł - co prawda niepełnych i spornych - starożytna Albania sięgała na południu do rzeki Kury. Buniatow i jego uczniowie dowodzili, że obejmowała także międzyrzecze Kury i Araksu. W ten sposób Karabach, Zangezur i Nachiczewan stawały się albańskie, a zatem - azerbejdżańskie. Albanowie z tamtych ziem mieli ulec armenizacji i przyjąć chrześcijaństwo w wersji gregoriańskiej. Ormianie z Karabachu byłiby więc krewnymi Azerbejdżan, a Tatew - zabytkiem azerbejdżańskim. „Prawdziwi” Ormianie mieli pojawić się tam dopiero w osiemnastym i dziewiętnastym wieku - przesiedlili się na terytorium Rosji z Persji i Imperium Osmańskiego (pisała o tym uczennica Buniatowa, Farida Mamedowa).

Brak źródeł tylko uwiarygodniał tę teorię: jeżeli nie zachowały się ważne albańskie rękopisy - a wiemy, że były, wspominał o nich Mojżesz Kałankatwaci (Kagankatwaci) - to znaczy, że zniszczyli je Arabowie i Ormianie! Buniatow był przekonany, że Ormianie chcieli zatrzeć po Albanach wszelkie ślady - wchłonąć ich, tak jak udało im się wchłonąć Kościół Albański.

Jeszcze w czasach ZSRR teoria Buniatowa trafiła do azerbejdżańskich szkół. Potem albański mit zderzył się z mitem Wielkiej Armenii. Konflikt karabaski toczył się jednocześnie w dwóch wymiarach: współcześnie i w głębokiej przeszłości.

Izraelski dziennikarz zanotował: W większości miejsc spekulacje typu rozważań Buniatowa o początkach narodu azerbejdżańskiego byłyby przedmiotem abstrakcyjnych seminariów akademickich i nie miały związku z realnym życiem. Ale Kaukaz zawsze musi być innego zdania. (Yo'av Karny, Highlanders. A Journey to the Caucasus in Quest of Memory).

* * *

Zora miał niebieskie oczy - jak większość mieszkańców wioski, jak podobno wszyscy, jeśli wierzyć

Strabonowi, starożytni Kaukazczycy.

Niechętnie opuszczał Nidż. Po studiach - skończył w Baku orientalistykę - rozpoczął pracę w miejscowym Komitecie (do partii należał czterdzieści pięć lat), potem redagował powiatową gazetę. Czuł się komunistą.

Poznał Zię Buniatowa, który odnalazł w Udinach brakujące ogniwo między Albanią a Azerbejdżanem. Zaprzyjaźnili się. Uczony podarował mu swój przekład Koranu. Zora ustawił prezent na honorowym miejscu, obok perskiego wydania Biblii.

Dzięki Buniatowowi zainteresował się folklorem: zaczął zbierać udińskie legendy, opowieści, pieśni, wiersze, potem wydał parę książek.

Kiedy skończył się komunizm, ktoś powiedział, że trzeba zarznąć koguta na ołtarzu w kościele Dżotari - ponoć tak robią wszyscy chrześcijanie. Ktoś inny nastawał, żeby wybrać spośród siebie księdza. Ludzie przychodzili z tym do Żory, bo miał autorytet. Wypytywali też, jak się modlić i jak obchodzić święta. A Żora nie wiedział - bo i skąd?

Pojechał do Buniatowa, ale tego wciągnęła polityka i nie mógł zajmować się odrodzeniem Kościoła Albańskiego (wkrótce zginie w niewyjaśnionych okolicznościach, ponoć z rąk bojowników Hezbollahu). Pojechał do Faridy Mamedowej - zasypała go szczegółami, a on potrzebował praktycznych porad.

Pojechał do gruzińskiego patriarchy Ilii (Eliasa) u. Ten zgodził się przysłać duchownych, ale powstał problem: w Cerkwi Gruzji księgi są po gruzińsku, Udini nic by nie zrozumieli.

W końcu pojechał do władcy Aleksandra z Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Umówili się, że moskiewskie seminarium przyjmie udińskich studentów, wykształci ich w prawosławnej teologii i wschodnich obrządkach. Potem się zobaczy - może zostaną wyświęceni? Do tego czasu do Nidżu będą przyjeżdżać rosyjscy duchowni z Baku.

Usiadł do Pisma Świętego. W ciągu trzech lat przełożył na udiński cztery Ewangelie i Dzieje Apostolskie. Tłumaczył z perskiego, sprawdzał z wersją rosyjską, porównywał ze starymi przekładami na turecki i azerbejdżański.

W końcu zarejestrował związek wyznaniowy: Albańsko--Udińską Wspólnotę Chrześcijańską.

Zawsze, tłumaczył mi, wierzyłem w Boga, ale nie znałem się na religii, nie interesowałem się. Dopiero życie zmusiło. Nikt inny by się tym nie zajął.

Kościół Albański odrodził się po 167 latach, a właściwie po 1297, bo już wtedy, na początku ósmego wieku, połączył się unią z Kościołem Ormiańskim.

Któregoś razu do Nidżu trafił słynny podróżnik Thor Heyerdahl (pod koniec życia Norweg często

przyjeżdżał do Azerbejdżanu, badał średniowieczne związki między Skandynawią a Kaukazem). Oczywiście, okolice pokazywał mu Żora.

Zachęczone przez Heyerdahla norweskie fundacje podjęły się sfinansowania restauracji albańskich zabytków: najpierw kościoła we wsi Kisz, a potem kościoła Dżotari w Nidżu.

* * *

Władza sowiecka walczyła z islamem i nie ufała Turkom, dlatego Azerbejdżanie nie mogli budować swej tożsamości ani w oparciu o religię, ani przynależność do wielkiej tureckiej wspólnoty etnicznej. Była to, pamiętajmy, tożsamość ledwie przebudzona, jeszcze amorficzna, świeża. Gdy rozpadł się Związek Radziecki, okazało się, że jedyne, co łączy Azerbejdżan - i to nie wszystkich - to niechęć do Ormian i poczucie krzywdy. Potem doszła upokarzająca klęska w Karabachu i zrodziła następne kompleksy. Pilnie potrzebna była pozytywna idea. Spoivo.

Abulfaz Elczibej, pierwszy demokratycznie wybrany prezydent Azerbejdżanu, stawiał na panturkizm: jesteśmy Turkami azerbejdżańskimi, Azeroturkami, tłumaczył, należymy do ogromnej rodziny rozrzuconej od Bosforu po Jakucję.

Zmienił alfabet z grażdanki na łaćniński, aby odciąć się od Rosji i zbliżyć do Turcji i Europy. (Była to trzecia zmiana alfabetu w dwudziestym wieku; pierwszym alfabetem był arabski, w 1929 roku zastąpił go łaćniński, a w 1939 - cyrylicy). Zmienił nawet nazwę języka: z azerbejdżańskiego na turecki.

Prezydent Hejdar Alijew, który przyszedł po Elczibeju, precyzował: Turcy to nasi bracia, ale my jesteśmy Azerbejdżanami, naszą ziemią jest Azerbejdżan, narodziliśmy się na Kaukazie, gdzie kwitła Albania Kaukaska. Język znów nazywał się azerbejdżański, ale łaćniński alfabet pozostał.

Alijew nie szczędził grosza na odnowę zabytków: meczetów, mauzoleów, starych cmentarzy. Nakazał remont kompleksu pałacowego Szyrwanszachów w Baku - miał być wysoki połysk, godny królów i cesarzy. Poleciał nawet doprowadzić do porządku przedislamskie miejsce kultu w Nachiczewanie.

Historia, kalkulował Alijew, musi napawać Azerbejdżanina dumą - a kto będzie dumny ze smętnych resztek, które pokrywa lizaj, z zapadłych kopuł, z wyrobionych kamiennych schodów, z takiego ni to, ni sio? Może na Zachodzie byliby dumni, ale nie tutaj. Tutaj musi być rozmach, przepych, kipiące bogactwo, żeby rzuciło na kolana i wgniotło w ziemię. Żeby Azerbejdżanin pomyślał: Ho, ho, ci Szyrwanszachowie byli potęgą, nie wypadli sroce spod ogona! I żeby uwierzył, że przyszłość, która jest tuż-tuż, w zasięgu ręki, będzie równie wspaniała.

Alijew wprowadził nowe święta: Dzień Ocalenia Narodowego (na pamiątkę swojego powrotu do władzy), Święto Odrodzenia Narodowego, Dzień Niepodległości, Dzień Republiki, Dzień Sił Zbrojnych, Dzień Ludobójstwa Azerbejdżan, Dzień Solidarności Azerbejdżan z Całym Światem. Zajęcia w szkole i przedszkolu musiały zaczynać się od odśpiewania hymnu. Flagi Azerbejdżanu wywieszono wszędzie, jak w Ameryce.

Pomnik Hejdara Alijewa stoi teraz w Baku na wymuskany, obłożonym marmurami skwerze, pomiędzy halą widowiskową jego imienia a wieżowcem banku centralnego, który jest po bokach czarny, a w środku złoty, co ma symbolizować ropę, która zamienia się w kruszec. Podniesioną ręką wskazuje drogę.

Odpowiednio mniejsze pomniki wskazują drogę w mniejszych miejscowościach.

Wahadło szybko osiągnęło wartość maksymalną i odchyliło się w drugą stronę. Wystarczy zajrzeć do gazet. Jak wiadomo, Azerbejdżan jest krajem o bogatej kulturze - to z relacji z wystawy debiutującej malarki. Jak wiadomo, azerbejdżańskie wina w niczym nie ustępują europejskim, nie mówiąc o mołdawskich czy gruzińskich - to z artykułu o rozwoju winiarstwa. Jak wiadomo, Azerbejdżan ma do zaoferowania turystom nie mniej niż Egipt, Hiszpania czy Turcja - to z reklamy biura podróży.

Musiałoby się tak stać. Tak dzieje się zawsze, gdy idzie się na skróty - bo w ciągu paru lat trzeba nadrobić stulecia. Gdy pospiesznie tworzy się mity i tradycje, gdy historycy pracują na akord. Gdy buduje się naród od góry.

Ale czy można było inaczej?

* * »

Renowacja Dżotari była na ukończeniu, gdy Udini postanowili skuć ormiańskie litery - znak inwentarzowy, potwierdzający własność katolikatatu w Eczmiadynie. Gdyby nie remont, nikt by ich pewnie nie ruszył, ale na odnowionej fasadzie wybijały się, raziły oczy.

Od tych liter zaczęło się nieszczęście.

Obraził się ambasador Norwegii, dusza człowiek, który odwiedzał Nidż masę razy i Żora był pewien, że to wypróbowany przyjaciel. Teraz oficjalnym tonem oznajmił, że skucie liter to barbarzyństwo, którego nie będzie tolerował. Żorą zatrzęsło: tamten mówił, że wszystko rozumie, ale co on może rozumieć, w tych literach skumulowało się tysiąc lat nienawiści, upokorzeń, krzywd i pretensji, był tam i Karabach, i rzeź, jaką Ormianie urządzili Azerbejdżanom w Chodżałach, i cierpienia Udinów, wziętych omyłkowo za Ormian. Dlaczego więc bronić tych liter, po co w niepodległym Azerbejdżanie jakieś ormiańskie bazgrały?

Żora bał się, że ambasador każe fundacji zatrzymać prace i zostaną z rozgrzebanym remontem, przecież Baku nie pomoże, bo ma własne zabytki! Nie wiedział, że ambasador nie ma takiej władzy, nie może po prostu kazać, a nawet jakby mógł, to pewnie by nie chciał. Ambasador zrobił jednak coś gorszego - obdzwonił kolegów i Żora, poczciwy Żora, który muchy by nie skrzywdził, który zawsze chciał dobrze, który nigdy nie wypuścił gości bez podarków, choćby worka orzechów i kilku butelek morwowego samogonu, więc Żora był teraz w oczach świata (bo był pewny, że wie o tym już cały świat - przecież uwierzył, że Azerbejdżan jest jego pępkiem!) jakimś dewasta-torem, wandalą, ksenofobem, rasistą. I to za co? Za to, że świątynia odzyskała pierwotny wygląd?

Na otwarcie nie przyjechał nikt z Zachodu, ani jeden dyplomata - a Żora miał nadzieję, że jednak

przyjadą: wcześniej robili sobie wycieczki całymi ambasadami, kazali się oprowadzać, nie pytali, czy ma czas, czy nie jest może zmęczony. Oczywiście wyobraźni widział, jak symbolicznie przyjmują Udinów do rodziny narodów europejskich i jak odrodzony Kościół Albański powraca do świata chrześcijan i zajmuje w nim należne sobie miejsce. Wystarczył, okazuje się, telefon od ambasadora Norwegii - i cała wizja brutalnie się rozwiąła.

Do Nidzu zjechali za to bakijscy oficjele i czereda azerbejdżańskich stacji telewizyjnych, które ich filmowały. Żorę ledwie zauważali - dali powiedzieć parę słów, ale potem przegonili do kąta.

Oficjele długo mówili o Albanii Kaukaskiej, o wielkim narodzie azerbejdżańskim, o Hejdarze Alijewie, o Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. To było ich święto.

Potem wszyscy wyjechali - a do Żory nikt nawet nie zadzwonił. Nie był już potrzebny.

Wkrótce zmarł. Nie doczekał pierwszego Bożego Narodzenia w odnowionej świątyni. Pękło mu serce.

Widziałem jego grób: kopczyk ziemi z koślawą tabliczką informującą, że żył siedemdziesiąt sześć lat. Krzyż był najprostszy z możliwych, dwa metalowe pręty - ale miałem nadzieję, że to palimpsest. Że w głębi kryje się albański krzyż, z płomieniami jak lilie andegaweńskie na zakończeniach ramion i z ukrytymi w nich symbolami Księżyca.

Dzienniki bakijskie (3)

14 kwietnia 2007

Wagif Ibrahimoglu mówi mi, że Żydzi Górscy - mieszkający na północy Azerbejdżanu - tradycyjnie opisywali cały świat za pomocą dwóch słów: animuni i anizmuni, „nasze” i „nie nasze”. Wszystko mieściło się dla nich w tych dwóch słowach. Nie było nic pomiędzy.

6 maja 2006

Ktoś mi opowiada, że przed wizytą Ilhama Alijewa w północno--zachodnich powiatach kraju lokalne władze poleciły wyburzyć zachowane w okolicy Zakatałów resztki średniowiecznego kaukaskiego muru obronnego. Odrobinę dalej postawiono nowy mur - równy, błyszczący od czarnej farby olejnej, którą pociągnięto spojenia między kamieniami, bielony wapnem. Godny spojrzenia głowy państwa.

27 grudnia 2003

Porządkuję wycinki, wkładam je do rozmaitych teczek: „Historia”, „Kultura”, „Prowincja”, „Baku”, „Karabach” „Islam”... Są wycinki, które pasują do kilku różnych teczek, ale niektóre wymykają się jakimkolwiek klasyfikacjom. Te bywają najciekawsze.

Wódz

Kiedy odszedł, dziennikarz Elmar Husejnow napisał:

Stało się to, czego wielu oczekiwało ze strachem, wielu z nadzieją, ale nikt - z obojętnością. Umarł Hejdar Alijew. Przez te wszystkie lata rządził nami, jakby był nieśmiertelny, i gdy wydawało się, że będzie żył bez końca - on jednak umarł. Artykuł nosił tytuł Koniec wieczności.

Baku, Pałac Republika, 26 listopada 2002

Hejdar Alijew tkwił przygarbiony i samotny w prezydenckiej łoży. Wyglądał źle. W świetle reflektora, który nieostrożnie oświetlił jego postać, zobaczyliśmy pomarszczoną, cienką jak patyk szyję, zapadłe policzki i nieobecne oczy. Próbował uśmiechnąć się, ale ściśnięte szczęki, zdradzające żelazną wolę, dzięki której od tylu lat rządził Azerbejdżanem, a teraz panował nad starczą słabością, nie chciały odpuścić i zobaczyliśmy tylko nieporadny grymas.

Wiedzieliśmy, że ciężko chorował, wiosną w klinice w Cleve-landzie miał operację prostaty, a w poprzednich latach tamtejsi lekarze kilka razy otwierali jego zbuntowane serce, które nie chciało dłużej pompować krwi. Mimo komunikatów służby prasowej, że prezydent jest w pełni sił i bez wytchnienia

pracuje dla ojczyzny, mimo że znowu przyjmował ambasadorów, podpisywał dekrety, przecinał wstęgi i przemawiał na akademiach, czuliśmy, że słabnie, odchodzi. Ale nie potrafiliśmy wyobrazić sobie jednak Azerbejdżanu bez niego, to on był państwem, jak Ludwik Któryś-Tam-Nasty, on myślał za nas wszystkich i decydował, którądy popłynie ropa naftowa ze złóż na Morzu Kaspijskim oraz kto będzie kierownikiem szkoły powszechnej w Jardymły w Górach Tałyskich. Zresztą, nieraz już słyszeliśmy plotki, że umarł, tak jak w dziewięćdziesiątym dziewiątym, gdy cudotwórcy z Clevelandu wszczepili mu by--passy i długo nie było żadnych komunikatów, ale on, po dwóch miesiącach, a kuku, wrócił rześki i uśmiechnięty i już na lotnisku poznał imiona niegodziwców, którzy zatarli ręce na wieść o jego śmierci, i wtedy pojawiły się nowe plotki - że sam wszystko wymyślił, aby zobaczyć, kto jest mu naprawdę wierny, albo żeby oszukać śmierć.

W największej hali widowiskowej w kraju dwa tysiące aktywistów świętowało dziesięciolecie Partii Nowego Azerbejdżanu, sam ją założył, gdy rozpadał się Związek Radziecki, sam stworzył jej potęgę, bez niego bylibyśmy nikim, jemu zawdzięczaliśmy stanowiska, zaszczyty i pieniądze, więc teraz, gdy nieszczęsny reflektor wydobył go z półmroku, w którym chciał się schować, zerwaliśmy się na równe nogi, klaszcząc i krzycząc: „Niech żyje Hejdar, Hejdar, Hejdar, Hejdar, Hej-dar!", i mogliśmy tak klaskać i krzyczeć do końca świata, bo za żadne skarby nikt nie chciał skończyć pierwszy. Tylko on mógł nas uspokoić, zdawał sobie z tego sprawę, zawsze w mig oceniał sytuację, wiedział, że to będzie próba sił. Znow oświetlił go reflektor, tym razem nie było przypadku, podniósł rękę, ale to wzmogło jedynie owacje, nie miał wyjścia, musiał wstać i pokazać, że rządzi i że wciąż ma nas w garści.

Oparł ręce na balustradzie, pochylił się dla równowagi i drgnął, mój Boże, pomyślałem, jak on to robi, przecież nawet siedzenie sprawia mu widoczny ból, on jednak natężył siły i balansując ciałem, zdołał się trochę unieść! Wiwaty nie cichły, a on pomału, z potwornym wysiłkiem prostował się i gdy już stał, oderwał od oparcia prawą dłoń i pokazał gestem, że dosyć, starczy tego entuzjazmu. Skandowaliśmy jeszcze przez chwilę, dla przyzwoitości, a potem ucichliśmy, bacząc tylko, by nie ustąpić w gorliwości

sąsiadom z najbliższych rzędów. On usiadł - i myśmy usiedli.

Rozwiały się nasze wątpliwości, więc jeszcze nie teraz, jaka ulga, najgorsza jest niepewność, na Wschodzie musi być jeden chan, sekretarz, prezydent, inaczej wszystko się rozłązi. To nie znaczy, że nie ma intryg i spisków, wódz nawet woli, kiedy jest kilka frakcji i można wspierać raz jedną, raz drugą, ale wszystko po cichu, bez rozgłosu, można powiedzieć - w rodzinie. Dlatego wielu z nas nie rozumiało opozycji, która publicznie, w gazetach i na wiecach obrzucała Hejdara błotem, na dodatek - cóż za hańba! - skarżyła się na niego zagranicznym przedstawicielom, różnym radom Europy i europejskim komisjom, które przyjeżdżały do Baku i uczyły jego, Alijewa, jak ma rządzić, gówniarze, jeszcze koszule w zębach nosili, gdy on już rządził, więc kto będzie lepiej rozumiał, czego potrzebuje azerbejdżański lud.

Ze sceny przemawiał teraz stary Szachlar Askerow, dawny towarzysz Hejdara. Pomagał zakładać mu partię, teraz nie krył wzruszenia i łamiącym się głosem wychrypiał: „Hejdarze, ty jesteś dla nas jak Ataturk dla Turków, jak Lenin dla bolszewików, jak Waszyngton dla Amerykanów!”. Nie mogliśmy tego tak zostawić i znowu poderwaliśmy się z miejsc, i zaczęliśmy skandować imię wodza. On podniósł się drugi raz, tym razem szybciej, prawie nie pomagając sobie rękoma, i nie uciszył nas od razu, tylko trwał nieruchomo przez dobrą chwilę, karmiąc się naszym entuzjazmem i chłonąc nasze hołdy. Jego policzki w oczach nabierały kolorów, zelżała szczękościsk. Widzieliśmy, jak upaja się władzą, jak spija jej narkotyzujący nektar i jak ciągle mu mało. Ależ bestia, myśleliśmy z podziwem, byłby wodzem w każdym miejscu i w każdym czasie, ma to we krwi.

Gdy wstawał po raz trzeci, nie było widać przebytych wiosen ani chorób, wróciła sprężystość ruchów i sportowa figura, której wszyscy mu zazdrościli. Potem zszedł na scenę i przemówił. Przypomniat, jak w zaraniu niepodległości Azerbejdżan stanął nad przepaścią, ponosząc klęskę za klęską w Karaba-chu, a nieudolne, wręcz przestępcze rządy Ludowego Frontu doprowadziły gospodarkę do ruiny. Wtedy, ciągnął, wróciłem, aby uratować ojczyznę, założyłem z garstką współtowarzyszy naszą partię, nie było lekko, ale lud nas poparł, dziś kraj kwitnie, a przyszłość będzie wielka. Tę opowieść, azerbejdżańską legendę założycielską, powtarzał zawsze przy takich okazjach, wysłuchiwali jej również goście Hejdara, stała się rytuałem, podobnie jak zaklęcia o demokracji, społeczeństwie obywatelskim i gospodarce rynkowej, którymi splotał daninę nowym czasom. Wiedzieliśmy, że tak musi być, on nie mógł się mylić. Następnie ogłosił, że za rok znów weźmie udział w wyborach prezydenckich, tego też wszyscy oczekiwali, choć ten i ów nie rozumiał, po co w ogóle jakieś wybory, strata czasu i zawracanie głowy, zareagowaliśmy jednak z odpowiednim entuzjazmem, żeby zobaczyć nasze szczere poparcie, i byliśmy dumni, że ogłosił to w naszym gronie, a nie, powiedzmy, na spotkaniu z mieszkańcami Imiszli. Z kolei oburzył się na opozycję, która chce podpalić kraj, aby ogrzać sobie ręce, i pogroził palcem Isie Gambarowi, przywódcy partii Musawat. Co znaczą, pytał, wasze demonstracje, to idiotyczne „chleba, chleba”, czyżbyście zapomnieli, panowie opozycjoniści, że chleba to nie było za waszych rządów, a teraz jest i chleb, i ziemniaki, i owoce, i mięso - tu rzucił kilka liczb i było widać jak na dłoni, że produkcja rośnie, a opozycja bezczelnie kłamie. Obrugał jeszcze z nazwiska redaktorów kilku gazet, którzy gonią za sensacją i dają wiarę słuchom, zamiast pisać rzetelnie, tak jak jest, po czym omówił postępy w sektorze nafty i gazu i przeszedł do spraw zagranicznych. Mówił przez godzinę i cały czas stał, a gdy skończył, oczy błyszczały mu młodzieńczo.

Przekonaliśmy się, że znowu wszystko wie, wszystko kontroluje, czyta wszystkie gazety i ma na wszystko baczenie.

* * »

Nie wiemy, kiedy i gdzie przyszedł na świat.

Oficjalnie urodził się 10 maja 1923 roku w Nachiczewanie, w rodzinie robotnika kolejowego, ale wielu dałoby sobie uciąć rękę, że był co najmniej dwa, trzy lata starszy - inaczej swą pierwszą funkcję kierowniczą, szefa tajnego archiwum na-chiczewańskiego NKWD, musiałby objąć w wieku osiemnastu lat. Rozpocząła się wojna sowiecko-niemiecka, a w sierpniu 1941 roku wojska sowieckie weszły do Iranu, starszych brali na front. Czyżby uciekał przed armią, fałszując metrykę? On, urodzony wojownik? A może przeciwnie - był tak zdolny, że NKWD przymknęło oko na wiek? Gdy rozpoczynał służbę, miał za sobą technikum pedagogiczne i dwa lata architektury w Instytucie Przemysłowym w Baku. Później skończył zaocznie historię.

(Odnotujmy dla porządku, że według jednej z wersji nieoficjalnych urodził się w Sisjanie w Armenii, skąd pochodziła część jego rodziny, według innej - gdzieś w Górskim Karaba-chu, a według jeszcze innej miał korzenie kurdyjskie. Wersje te opowiedzą wam w każdej bakijskiej herbaciarni, zarzekając się, że to szczerą prawdą, bo kuzyn opowiadającego kolegował się kiedyś z sąsiadem ochroniarza Hejdara albo służył w wojsku z przyjacielem syna jego bratanka. Alijewowi plotki zdawały się nie przeszkadzać, na Wschodzie władzę musi otaczać tajemnica. A nawet, jeśli któraś plotka była prawdziwa - to i tak nikt nigdy nie wiedział która).

Wątpliwe, by pociągała go komunistyczna ideologia, raczej czekistowska romantyka, jak Richarda Sorge, Niemca z Baku, który szpiegował dla Stalina. Na pewno chciał wyrwać się

z Nachiczewanu, azerbejdżańskiej eksklawy wepchniętej między Armenię, Iran i Turcję, dziury, gdzie diabeł mówi dobranoc. Udało się. Szybko, bardzo szybko awansował do Baku. Na początek objął funkcję naczelnika wydziału w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Ludzie, którzy go wtedy znali, mówią, że był pedantyczny, pracowity i piekielnie ambitny.

Nie wiemy, co dokładnie robił. Jeśli wierzyć pogłoskom, zajmował się Wschodem - Turcją, Iranem, Afganistanem, Kurdami. Związek Radziecki miał tam rozliczne interesy, a Azerbejdżanie nie potrzebowali tłumaczy: turecki i azerbejdżański są bliźniaczo podobne, w Iranie mieszka wielomilionowa azer-bejdżańska mniejszość, zresztą, nie brakowało Azerbejdżan znających biegle perski, a nawet arabski. Szybka kariera wskazywała na spektakularne sukcesy.

Ożenił się z Zarifą, córką Aziza Alijewa, znanego lekarza, w przeszłości członka najwyższych władz sowieckiego Azerbejdżanu, wtedy odsuniętego na boczny tor (nie byli spokrewnieni, Alijew to popularne nazwisko). To była dobra inwestycja - choć nie ma powodu wątpić w uczucie. Teś wprowadził go do bakijskiej elity. Kontakty okazały się bezcenne, gdy Hej-dar zostanie wiceszefem, a potem szefem KGB Azerbejdżanu w randze generała majora. Na jego dacy w Zagulbie zagoszczą malarze, poeci, kompozytorzy, naukowcy, dzięki nim nabierze szlifów, jakich nie mogły dać organy bezpieczeństwa (do

końca czuł słabość do artystów, w ostatnich latach życia zaprzyjaźnił się z Mściławem Rostropowiczem, urodzonym w Baku wirtuozem wiolonczeli).

W połowie 1969 roku został pierwszym sekretarzem Komunistycznej Partii Azerbejdżanu - najważniejszą osobą w republice. Leonid Breżniew, przywódca Związku Radzieckiego, wyciągnął go z kapelusza: do sukcesji po Welim Achundowie szykowali się jego zastępcy i nikt nie przypuszczał, że wybór padnie na szefa tajnej policji. Podobno Alijew pomógł losowi i w decydującej chwili pokazał Breżniewowi papiery, jakie zebrał na azerbejdżańską wierchuszkę. Podobno dossier trzymał w swoim domu, w sejfie ukrytym za reprodukcją obrazu Szyszkina Poranek w sosnowym lesie. Za Achundowa republika ugrzęzła w korupcji, trzy czwarte ludności żyło w ubóstwie, a niektórzy w skrajnej nędzy, tu i ówdzie wybuchały zamieszki głodowe, KGB wiedziało kto, komu, kiedy i za ile (prawdę mówiąc, wszyscy w Azerbejdżanie wiedzieli). Podobno Alijew przekonał genseka, że tylko on może nad tym zapanować.

Tak rozpoczęła się epoka Hejdara Alijewa. Trwała, z małą przerwą, trzydzieści cztery lata, a właściwie trwa nadal, bo prezydentem jest teraz İlham Alijew, syn Hejdara i Zarify. Wódz przeżył Breżniewa, Andropowa, Czernienkę, Gorbaczowa i Jelcyna, przetrwał upadek Związku Sowieckiego i chaos pierwszych lat niepodległości, wprowadził Azerbejdżan do Rady Europy. Uwierzył, że jest nieśmiertelny, i wpoił tę wiarę w lud.

Nie przypominał aparaczyka: był przystojny, dobrze ubrany i ciągle się uśmiechał, uśmiech nie schodził mu z twarzy. Zarifą, która robiła własną karierę - była wybitnym oftalmologiem - też nie pasowała do sowieckich standardów, zwłaszcza tu, w Azerbejdżanie, gdzie kobiety ciągle żyły w cieniu ojców, mężów i synów. W Baku pojawiły się dyskoteki, z podziemia wyszedł jazz.

Nie wyplenił korupcji. Nawet niespecjalnie się starał. Setki, tysiące stanowisk obsadził rodziną. Zaczął od najbliższych krewnych, potem sięgnął po kuzynów, kumów, pociotków, rodzeństwo prastryjeczne, prawujeczne i pracioteczne, wreszcie po sprawdzonych kolegów z KGB. Nikt nie miał mu tego za złe, siła Wschodu opiera się na rodzinie. Jeśli zostałeś kimś ważnym i nie zadbałeś o rodzinę, wezmą cię za wyrodka albo figuranta, który nic nie może. Tak czy owak źle. Ważne, że Alijew dawał żyć innym: wysyłał młodzież na studia na najlepsze uczelnie Moskwy i Leningradu, dbał o miejsca pracy i zarobki robotników. Rozwinęło się przede wszystkim Baku, prowincja jak dawniej klepała biedę, ale i tam coś kapnęło, gdy

objeżdżał kraj z gospodarskimi wizytami - tu kawałek drogi, tam szkoła, ówdzie ośrodek zdrowia.

Był arcymistrzem PR, choć nie mógł znać tego słowa. Zaklinał, że bliscy jego sercu są nafciarze, że ceni trud chłopów i zrobi wszystko, aby poprawić byt rybaków, ale naprawdę hołubił pisarzy, dziennikarzy, reżyserów i uczonych - rozdawał im mieszkania, nagradzał, pytał o zdrowie. W niepodległym Azerbejdżanie intelektualiści masowo poprą jego powrót do władzy i choć po latach wielu rozczaruje się,

mało kto przystąpi do opozycji. Jeśli dziś wspomina się lata siedemdziesiąte jako złoty wiek Azerbejdżanu, to nie wiadomo, ile w tym prawdy, ile nostalgii za spokojnym życiem, a ile roboty „inżynierów dusz”.

Alijew nie dostałby wolnej ręki, gdyby nie cieszył się względami Breżniewa. Zabiegał o nie jak pasza o łaskę sułtana, jak melik o przychyłność padyszacha. Specjalne samoloty woziły na Kreml „dary słonecznego Azerbejdżanu”: kawior, białogłębę, pomarańcze, wina, koniaki. Ale to był standard, podobne samoloty wysłał Szewardnadze z Gruzji, Kunajew z Kazachstanu, Raszydow z Uzbekistanu. Alijew górował nad tamtymi fantazją, kazał tkąć portrety genseka na dywanach (największy nie zmieścił się w standardowym wagonie bagażowym) i opiewać jego imię w dastanach i rubajjatach. W jednym ze swoich przemówień wymienił nazwisko Breżniewa 175 razy, dwukrotnie częściej niż słowo socjalizm.

Breżniew trzy razy odwiedzał Azerbejdżan, wywożąc zawsze piramidy gościńców. Najbardziej zachwycił go sygnet z wielkim brylantem, otoczonym piętnastoma mniejszymi. Symbolizował genseka i piętnaście republik związkowych. „Są niczym planety, krążące wokół słońca” - tłumaczył Alijew. Trudno się dziwić, że Leonid Iljicz czuł do Hejdara Alirzajewi-cza słabość i nie umiał oprzeć się jego prośbom: o nowe drogi, ropociągi, fabryki i uniwersytety, o wyższe dotacje, o większą pulę miejsc na prestiżowych uczelniach.

Wraz z Alijewem rósł w siłę klan nachiczewański. Im bogatsza była republika, tym większe możliwości otwierały się dla ministrów, dyrektorów, prezesów, naczelników i kierowników. Niektórzy prywatyzowali, rzecz jasna nieformalnie, swoje przedsiębiorstwa, szkoły i szpitale. Każdy państwowy sklep, restauracja czy kino miał w Azerbejdżanie swojego „gospodarza”, który czerpał z niego dochody.

W dekadzie 1982-1992 kariera Alijewa przypominała sinusoidę albo kardiogram. Najpierw krzywa strzeliła ostro w górę, zatrzymała się i w pewnej chwili zaczęła z wolna opadać, a potem zapikowała na łeb na szyję, zostawiając daleko w tyle wartości średnie; blisko dna, u samego dołu diagramu, ponownie zmieniła kierunek i znowu podjęła wspinaczkę na szczyt.

W pierwszych dniach rządów Jurija Andropowa, który objął władzę po śmierci Breżniewa, Alijew przeniósł się do Moskwy. Został członkiem Politbiura, a niedługo później - pierwszym wicepremierem ZSRR. Żaden Azerbejdżanin nie zaszedł wcześniej tak wysoko. Teraz Alijew mógł oczekiwać szybkiej nominacji na premiera (w miejsce dobiegającego osiemdziesiątki Tichonowa), a potem... kto wie? Andropow, który kierował wcześniej sowieckim KGB i ufał ludziom z organów bezpieczeństwa, wkrótce jednak zmarł, a Konstantin Czernienko, który przyszedł po nim, rządził jeszcze krócej. Kolejnym przywódcą ZSRR został Michaił Gorbaczow.

Nowy sekretarz generalny nie lubił Azerbejdżanina, widział w nim orientального despotę i skorumpowanego wazeliniarza. Ten, kojarzony z Breżniewowskim betonem, nie miał ochoty popierać pierestrojki. Przystał do „twardogłowych”. Przeliczył się, po raz pierwszy postawił na złego konia. Usunięcie go nie było łatwe i zajęło Gorbaczowowi cztery lata, ale w końcu gen-sek postawił na swoim. W kwietniu 1989 roku Alijew stracił ostatnie ze swoich stanowisk, członka Komitetu Centralnego KPZR,

„w związku z osiągnięciem wieku emerytalnego”.

W Moskwie mieszkał jeszcze przez rok. Po pacyfikacji Baku przez Armię Czerwoną (20 stycznia 1990 roku) zwołał konferencję prasową, na której potępił sowieckie władze. 4 lutego w „Prawdzie”, najważniejszej gazecie ZSRR, ukazał się artykuł demaskujący alijewszczyznę - prywatyzację Azerbejdżanu przez klan nachiczewański. Zrozumiał, że nic tu po nim.

Wrócił do Nachiczewanu, gdzie ciągle go kochali. Po dwóch miesiącach został deputowanym do nachiczewańskiej Rady Najwyższej (parlamentu). Po roku był już jej przewodniczącym (i z automatu - wiceprzewodniczącym Rady Najwyższej Azerbejdżanu). Po dwóch latach założył Partię Nowego Azerbejdżanu.

Sumgait, siedziba władz miejskich, 3 kwietnia 2003

Hejdar Alijew przyjechał do Sumgaitu bez zapowiedzi. Lokalni notable, ściągani pospiesznie do sali konferencyjnej merostwa, zachodzili w głowę, co się mogło wydarzyć, a kiedy zobaczyli prezydenta, padł na nich strach. Szóstym, urzędniczo-lokajskim zmysłem wyczuli kłopoty, bo gdyby miało być miło, gdyby prezydent miał nagradzać, awansować i rozdawać, a przynajmniej uświetniać albo zaszczycać, wiedzielibyśmy o tej wizycie trzy miesiące wcześniej, zdążylibyśmy pomalować fasady domów wzdłuż trasy przejazdu, posadzić kwiaty i przygotować transparenty, a w przeddzień kazalibyśmy usunąć z ulic samochody (i niech właściciele martwią się, co z nimi zrobić, skoro nikt tu nie ma garażu) i profilaktycznie zamknąć okolicznych lumpów. Dzieci wręczyłyby kwiaty i wyrecytowały wierszyk (nasz prezydent wprost przepada za dziećmi), a młodzież w strojach ludowych zatańczyłaby lezginkę. Potem pojechalibyśmy nad morze, do najbardziej szykownej sumgaickiej restauracji, którą postawił nasz komendant policji i na wszelki wypadek zapisał na teściową. Wszystko byłoby tak, jak było zawsze i jak powinno być,

jesteśmy przecież dorośli i odpowiedzialni, zajmujemy ważne stanowiska i wiemy, czego oczekuje od nas góra.

Na dodatek te kamery, które wszystko filmują - to nie prezydencka telewizja, która kręci dla protokołu i dla potomności, tylko zwyczajne azerbejdżańskie stacje, operatorzy obstawili całą salę, ktoś ich musiał uprzedzić, nie ma co, będzie widowisko na cały kraj.

-

- Szanowni mieszkańcy Sumgaitu, panie i panowie - rozpoczął Alijew, a wszystkich przeszły ciarki. Tak się nie mówi na naradach, tak się przemawia do narodu! - Już dawno - ciągnął - chciałem przyjechać do Sumgaitu, spotkać się z wami, poznać bliżej wasze miasto i pomyśleć, co jeszcze można dla

Sumgaitu zrobić. Dzisiejszy mój przyjazd nosi trochę nie-codzienny charakter. Jest to związane ze zmianą waszych władz. f

Tawakkiul Mamedow był merem dwa lata i dziesięć miesięcy. Przez ten czas naraził się kilku ważnym ludziom, na czele z Fikretem Sadychowem, dyrektorem zakładów chemicznych „Azerkimia”, do których należało pół Sumgaitu - osiedla mieszkaniowe, szkoły, przedszkola, domy kultury. Jakiś czas temu Mamedow zwolnił brata Sadychowa ze stanowiska swojego zastępcy. Drań nic nie robił i śmiał się, gdy Mamedow zwracał mu uwagę: nie tobie, odpowiadał tamten, będę się tłumaczył, pilnuję interesu Fikreta i nic ci do tego. Kiedy w końcu wyleciał, Fikret poprzysiągł Tawakkiulowi zemstę. Mera nie znosili także sumgaiccy parlamentarzyści, Tofik Hu-sejnow i Chydyr Ałowlu - drugi był ważniejszy, bo kierował lokalnym komitetem Partii Nowego Azerbejdżanu - a także biznesmen Zaman Iskenderow, który miał trzysta hektarów ziemi w rejonie chyzyńskim i sprywatyzowany dom handlowy w Sumgaicie. Sam Tawakkiul też nie był czysty, powiadali, że zapłacił za swoje stanowisko pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a potem łupił ile wlezie mieszkańców, aby zainwestowane

pieniądze szybko się zwróciły. Gdy usłyszał słowa prezydenta, zbladł. Dopięli swego, pomyślał, siła złęgo na jednego, będzie wstyd na cały Azerbejdżan, ale trudno, przeżyjemy, teraz najgorsze to się obrazić, nie, nie dam im satysfakcji, jeszcze się odegram.

- Jakiś czas temu - mówił dalej Alijew - dostaliśmy anonim, że Tawakkiul Mamedow źle pracuje, że nie sprawdza się, że był pijany na weselu sekretarki i tak dalej. Tak, tak, podobno on pije i zażywa narkotyki! Tego anonimu nie potraktowaliśmy poważnie, ale później kilka razy przychodził Fikret Sa-dychow, spotykał się z szefem mojej kancelarii Ramizem Me-chdijewem i z kierownikiem wydziału Jusifem Gumbatowem i mówił to samo: że sprawa wygląda tak i tak, że Tawakkiul Mamedow nie powinien dalej pracować w Sumgaicie i trzeba go zwolnić. Sadychow próbował też zobaczyć się ze mną, ale nie miałem czasu.

W końcu zameldowano mi, że Sadychow chce przyjść razem z deputowanymi: Tofikiem Husejnowem i Chydyrem Ałowlu. Przyjąłem ich. Mówili o błędach mera, a najwięcej mówił Sadychow. Powiedział, że Mamedow źle zarządza kadrami, i potwierdził plotki, które były w anonimie. Potem to samo powtórzyli Husejnow i Ałowlu. Ta trójka zajmuje w Sumgaicie ważne stanowiska, cieszą się zaufaniem. Jeśli stoją przed prezydentem i mówią to wszystko, to znaczy, że ponoszą odpowiedzialność i że ich słowa mogą być prawdziwe.

Tawakkiul Mamedow też zgłaszał się kilka razy, a potem poprosił, żebym przyjął go razem z Fikretem Sadychowem. Spełniłem prośbę i kilka dni temu przyjąłem ich. Sadychow powtórzył przy Mamedowie to,

co mówił wcześniej, ale Mamedow, po pierwsze, wszystkiemu zaprzeczył, a po drugie, opowiedział o tym, co zrobił w Sumgaicie. Wysłuchawszy ich obu, doszedłem do wniosku, że Tawakkiul Mamedow popełnił błędy i dopuścił się poważnych zaniedbań. Nie mówię tu o plotkach, bo kto potwierdzi, że, powiedzmy, wtedy i wtedy był pijany? Jeśli jest tu ktoś, kto może potwierdzić, to niech opowie. Albo kto potwierdzi, że zażywa narkotyki? Zapytałem go nawet wprost: ćpasz?, ale on przysięgał, że rzucił pięć lat temu. Tak więc plotki zostawmy. Mer zrobił, co mógł, ale zatrzymałeś się, kochanieńki, w połowie drogi, nie doprowadziłeś do końca rozpoczętych spraw, nie sprawdziłeś się.

Myśleliśmy, że to już wszystko, ale wtedy prezydent niespodziewanie zaatakował Fikreta Sadychowa (który zdążył spuścić wzrok, aby nie drażnić nas błyskiem triumfu) i zaczął wyciągać po kolei wszystkie brudy szefa „Azerkimii”. - Masz w ręku, drogi Fikrecie, wielkie zakłady - powiedział - masz ogromny potencjał, ale nic dla miasta nie robisz, dbasz tylko o siebie. Bardzo nieładnie, Fikrecie! W domu kultury, należącym do „Azerkimii”, zerwał się dach, ale nie kiwnąłeś nawet palcem, tylko zamknąłeś budę na cztery spusty i cieszyłeś się, że masz problem 2 głowy. To samo z teatrem, mówili mi, że od dawna jest zamknięty, zabrałeś ludziom kulturę, Fikrecie. Z twoją firmą też nie jest dobrze, zalega z podatkami, dowiadywałem się u ministra, a jeszcze został ci do spłacenia ten kredyt, który wzięłeś od Japończyków, na razie oddałeś dopiero trzydzieści dwa miliony. Na dodatek mściłeś się na Ta-wakkiulu, bo zwolnił twojego brata. Dobrze zrobił, że zwolnił, co to, tylko twoi krewni mogą pracować na stanowiskach, a inni nie? Tak więc pamiętaj, ty też popełniłeś wiele błędów, Fikrecie Sadychow, i ty, deputowany Tofiku Husejnow, i ty, deputowany Chydyrze Ałowlu, i ty, biznesmenie Zamanie Isken-derow, i ty, Szakirze Abyszow, dawny merze. Zgromadziliście wielki majątek, sprywatyzowaliście to miasto, dobrze, bogacie się, ale dbajcie, żeby był z tego pożytek dla Sumgaitu i żeby inni też coś z tego mieli.

Prezydent cały czas perorował, a dó nas nareszcie dotarło, co miał na myśli, gdy mówił, że Tawakkiul Mamedow zatrzymał się w połowie drogi. Otóż chodziło mu o to, że Tawakkiul

Ba

83

po zwolnieniu z pracy brata Fikreta nie wykończył samego Fi-kreta! Gdyby to Tawakkiul dogadał się z deputowanymi, gdyby zadbał o ich poparcie, dziś bez dwóch zdań wyleciałby Fikret. Alijew nie mógł bronić jednego przeciwko czterem. Tawak-kiula ukarano, bo był słaby, a tamtym pogożono palcem:

macie sporo za paznokciami i może was spotkać to samo. Teraz będą się bić, kto da więcej na kampanię prezydencką, która zacznie się lada chwila, a miasto wypucują tak, że się będzie świeciło. Tawakkiul też już rozumiał, już nie robi głupstwa, gdy dostanie kolejną szansę, a pewnie dostanie, bo pokazał lojalność i oddanie (zauważyliście, koledzy, że wódz nie miał konkretnych zarzutów, tylko te plotki, o których sam mówił, że są bez znaczenia, a jednak ciągle do nich wracał?!).

Przechera, myśleliśmy z podziwem, dopiero wrócił z Cleve-landu, jeszcze nie minęły trzy tygodnie, tym razem miał operację przepukliny, za miesiąc kończy osiemdziesiątkę, a przemawia jak za dawnych lat, pamięta wszystkie szczegóły, nazwiska, daty i liczby i jak zawsze rozdaje karty. Przypominał nam szefa kuchni, który gotuje w popularnym programie telewizyjnym i zawsze mu wszystko wychodzi, a kiedy nasze żony, które skwapliwie notują przepisy, próbują to powtórzyć, dostajemy na stół ni to, ni sio. Dziś prezydent pokazał nam swoją kuchnię, kuchnię władzy, poprowadził kurs mistrzowski i nie ma obaw, tego też nikomu nie uda się skopiować. Taką hecę trzeba było puścić w telewizji na cały kraj.

Nie wiedzieliśmy jeszcze, dlaczego Alijew wybrał nasze miasto, ale i na to była odpowiedź. Sumgait, rzekł na zakończenie, to taki mały Azerbejdżan, tu mieszkają ludzie ze wszystkich rejonów kraju. A więc mówił do całego Azerbejdżanu, do wszystkich! Tak, nasz kochany, brzydki jak noc Sumgait, założony pięćdziesiąt pięć lat temu w szczerym polu jako niezbędny aneks do zakładów chemicznych, a teraz trzecie, a może już drugie pod względem wielkości miasto Azerbejdżanu, nie da się ukryć, był zbieraniną, może dlatego nikt

o niego nie dbał. Dobrze, że teraz tamci będą na wyścigi remontować i upiększać - dzięki temu ogrzeje się parę osób. A w wyborach poprzemy Hejdara Alijewa, nie ma dla niego alternatywy.

* * *

Mówi się, że ludziom, którzy mają talent do pieniędzy, można wszystko zabrać, a oni za rok znów będą milionerami. Alijew miał podobny talent do władzy. Gdy w 1990 roku lądował jako emeryt w Nachiczewanie, nikt nie postawiłby na niego pięciu groszy. W Baku siedział wtedy Ajaz Mutalibow, ostatni pierwszy sekretarz i pierwszy prezydent Azerbejdżanu. Był to człowiek oddany Moskwie - pierestrojkowej ekipie, z którą Alijew miał na pieńku. Głowy Mutalibowa żądał Ludowy Front Azerbejdżanu, masowy ruch opozycji, który przypominał polską Solidarność i litewski Sajudis. Twórcami Frontu byli dawni dysydenci, zbierający się od dwudziestu lat w tych samych zadymionych czajchanach, herbaciarniach i rojący o wolnym Azerbejdżanie: teraz mieli swoje pięć minut. Alijewowi było do nich jeszcze dalej niż do Mutalibowa.

Nabierał siły konflikt o Górski Karabach. Ormianie, którzy byli tam w większości, próbowali oddzielić się od Azerbejdżanu i przyłączyć do Armenii. Pisali w tym celu petycje do władz, strajkowali, wicowali i blokowali drogi. Azerbejdżanie odpowiadali represjami. Ruszyła lawina: jeden zabity Ormianin - dwóch zabitych Azerbejdżan - czterech Ormian - ośmiu - szesnastu - trzydziestu dwóch - spalona wioska - dwie wioski - cztery - osiem - szesnaście. Był jeszcze pogrom Ormian w Sumgaicie i rozruchy w stolicy, po których Moskwa (cały czas istniał Związek Radziecki) wysłała wojsko, aby zaprowadziło porządek, wojsko weszło więc do Baku i strzelało do wszystkiego, co się rusza. Wkrótce w Azerbejdżanie nie było już Ormian (z wyjątkiem Karabachu, nazywanego po ormiańsku Arcachem), a w Armenii - Azerbejdżan.

Pełnokrwista wojna wybuchła wraz z niepodległością. W jej pierwszym akordzie Ormianie wyróżnili mieszkańców wioski Chodżały, a Mutalibow podał się do dymisji i wyjechał do Moskwy. W Azerbejdżanie każdy teraz miał broń i oddziały ni to żołnierzy, ni fedainów, ni milicji ludowych przemierzały kraj, sięjąc zgrozę. Bandyci grabili w biały dzień domy, sklepy i fabryki, rzekomo szukając Ormian. Samochodów już się nie kradło, tylko „rekwirowało dla frontu”. Przestała istnieć gospodarka. Baku paraliżowały milionowe demonstracje.

Władza leżała na ulicy. Hejdar jeszcze po nią nie sięgał, czekał. Okopał się w Nachiczewanie, który był teraz odcięty od reszty kraju, ale zyskał połączenie z Turcją. Na parokilo-metrowym odcinku wspólnej granicy, zaryglowanej dotąd na głucho, przegrodzonej drutem kolczastym i wyłożonej minami, pojawił się prześwit - most nad granicznym Araksem. Ruszyła tedy pomoc humanitarna: mąka, cukier, olej, chleb. Życie. Hejdar, który otwierał przeprawę razem z Suleymanem Demirelem, wtedy premierem, a wkrótce prezydentem Turcji, nazwał ją „mostem nadziei”. Po tym moście miał nadzieję wrócić do Baku.

Ormianie wzięli tymczasem Szuszę. Miasto było azerbejdżańską enklawą w Karabachu (gdy sam Karabach - ormiańską enklawą w Azerbejdżanie), leżało na wzgórzach powyżej stolicy obwodu. Tylko strata Baku mogła być gorsza! Z Szuszy pochodziło wyjątkowo wielu azerbejdżańskich poetów, śpiewaków, kompozytorów, malarzy, reżyserów, uczonych, a także książąt, generałów i sekretarzy. Ta okoliczność pomagała Azerbejdżanom dowodzić praw do całego Karabachu. Szu-sza weszła do narodowej mitologii i stała się tym, czym dla Polaków Kresy (krótsza, ale też imponująca lista wybitnych szuszyńskich Ormian była, rzecz jasna, pomijana). Chaos panujący w Azerbejdżanie spotęgowały kłótnie, kto oddał Ormianom legendarne miasto. W ogólnym rozgardiaszu władzę próbował odzyskać Ajaz Mutalibow, wystraszony parlament

zdążył nawet potwierdzić jego mandat, ale Ludowy Front zmobilizował siły i opanował siedzibę telewizji, przejmując w ten sposób kontrolę nad państwem. Przedterminowe wybory wygrał lider Frontu, orientalista Abulfaz Elczibej.

Nowy prezydent, tak samo jak Zwiad Gamsachurdia w Gruzji i Lewon Ter-Petrosjan w Armenii, nie miał pojęcia o polityce. Był naiwnym nacjonalistą, wierzył w sojusz z Turcją i nienawidził Rosji. Mówił, co myślał - jak dawniej w czajcha-nach i na wiecach. Nie miał szans utrzymać się.

Zgubiła go idea, która w przyszłości stanie się atutem Ali-jewa: dzierżawy azerbejdżańskich złóż ropy i gazu zachodnim nafciarzom. Rząd Elczibeja przygotował „kontrakt stulecia” pomiędzy Baku a największymi koncernami naftowymi świata, dokument miał być podpisany w Londynie. Rurociągi miały biec przez Armenię - w zamian za wysokie opłaty tranzytowe, częściowo przekazywane w naturze, Ormianie zgodzili się oddać większą część zajętych ziem. W przeddzień wyjazdu do Anglii Elczibej stracił stanowisko. Pucz firmował pułkownik Suret Husejnow. Wcześniej walczył dzielnie w Karabachu, ale w pewnym momencie pokłócił się z ministrem obrony, zabrał z frontu wierne sobie oddziały i zaszył się w rodzinnej Gandży. Po kilku miesiącach Elczibej wydał rozkaz, aby go aresztować i osądzić, ale Husejnow rozgromił przyslaną po niego czterotysięczną ekspedycję, a następnie zajął Gandżę i rozpoczął marsz na Baku, nie napotykając po drodze większego oporu. Przejście trzystu pięćdziesięciu kilometrów zajęło mu tydzień.

Nie wiadomo, jakie miał plany: może sam chciał się ogłosić prezydentem, a może oddać władzę Mutalibowowi, który śledził z Moskwy rozwój wypadków i szykował się do powrotu. Nie wiadomo, czy działał w pojedynkę, czy też z pomocą Rosjan, dążących za wszelką cenę do zerwania „kontraktu stulecia”, bo pozbawiał ich kontroli nad bakijską ropą. Rosjanie mogli podejść Husejnowa jeszcze w Karabachu, gdy ten dezertował z frontu, albo dopiero w Gandży. Ale mogli również nie ujawniać się, czekać, aż pułkownik zrobi swoje, aby potem przywieźć Mutalibowa na gotowe. Do maja 1993 roku w Gandży stacjonowała rosyjska 104. Dywizja Powietrzno--Desantowa - czy to w jej koszarach Husejnow zdobywał broń i know-how?

Gdy zbuntowane oddziały podeszły pod stolicę, przerażony Elczibej zadzwonił do Alijewa, który wciąż siedział w Nachi-czewanie:

- Przyjeżdżaj, wysyłam po ciebie samolot! Elczibej też był z Nachiczewanu, z wioski Kalaki w powiecie ordubadzkim. Bał się Alijewa. Żeby uniemożliwić mu powrót, kazał zapisać w ordynacji, że kandydat na prezydenta musi mieć mniej niż sześćdziesiąt pięć lat. Dzielilo ich wszystko: doświadczenie życiowe, usposobienie, wiek. Ale gdy palił się kraj i wszyscy współpracownicy zawiedli, Elczibej wezwał na ratunek ziomka. Później wyrzucał sobie, że sam wypuścił dzinna z butelki.

Chciał, żeby Alijew został premierem, ale ten odmówił: wolał wziąć parlament. Nie było czasu na targi. Został zaprzysiężony na przewodniczącego izby 15 czerwca 1993 roku.

Teraz tego dnia świętuje się w Azerbejdżanie Dzień Ocalenia Narodowego.

Kilka dni później Elczibej opuścił Baku - najpewniej za namową Alijewa, który przekonał go, że lepiej zniknąć na jakiś czas. Nikt nie wyczuł podstępów. Nazajutrz Alijew ogłosił, że prezydent uciekł, w związku z czym jego obowiązki przejmuje druga osoba w państwie, czyli przewodniczący parlamentu. Protesty Elczibeja na nic się zdały. Przez cztery lata, aż do formalnego końca swojej kadencji, nie będzie mógł wyjechać z rodzinnej wioski.

To była bułka z masłem, rozgrzewka przed prawdziwą walką. Elczibej nie był dla Alijewa żadnym rywalem. Szyki mogła pomieszać tylko ulica, ale ta była teraz po stronie Hejdara.

Wyczuł to, schodząc z trapu samolotu: w Baku witały go tłumy. Grunt przygotowali życzliwi Alijewowi redaktorzy, wychwalający w gazetach nachiczewański cud: wszędzie wojna, a tam spokój i porządek, nic to, że zaprowadzony policyjną pałką. W dniu przyjazdu Alijew sam zamieścił artykuł w „Bakińskim Raboczim”. Wzywał w nim do jedności narodowej.

Pozostawał Husejnow. Alijew nie mógł pokonać pułkownika, postanowił więc przyłączyć się do niego. Poleciał do Gandży, gdzie tamten czuł się najpewniej. On, patriarcha, składał wizytę młokosowi! Ich rozmowa zmieniła historię Azerbejdżanu.

- Osiągnąłem wszystko, rządziłem supermocarstwem, niczego więcej nie potrzebuję - zaczął Alijew. Świadkowie mówią, że był błądy, ciężko dyszał i łamał mu się głos. - Przerzucam ostatnie karty książki mojego życia. Czas, jaki mi został, chcę poświęcić mojemu narodowi. Chcę cię wesprzeć, bo tylko ty możesz uratować Azerbejdżan. Proszę, weź mnie do siebie. Póki starczy mi sił, będę ci służył moim

doświadczeniem.

Po tych słowach miał zemdleć.

Stary Hadzi Wagif, doradca Husejnowa, nie uwierzył w ani jedno słowo.

- On nas wszystkich przeżyje, a wcześniej wykończy - przestrzegał (podobnie jak kilku innych uczestników tamtej rozmowy, zginie wkrótce w niewyjaśnionych okolicznościach).

Ale Husejnow już czuł władzę, już zaufał szczęśliwej gwiazdzie - taki człowiek zabiega o jego względy! Jeżeli pułkownik miał mocodawców, to teraz przestał się nimi przejmować. Alijew nakarmił go złudzeniami.

Po kilku dniach Husejnow był już premierem, Alijew pozostał szefem parlamentu.

Tymczasem w Azerbejdżanie wybuchł nowy pożar: zbuntowali się Tałysze, irańskojęzyczna mniejszość mieszkająca na południu kraju. Żądali szerokiej autonomii. Przywódca rewolty, Alikram Hummatow, proklamował nawet Republikę

Tałyso-Mugańską i ogłosił się jej prezydentem. Alijew oskarżył o prowokację Elczibeja i Front, ale bunt Tałyszy i pucz Husejnowa mogły być elementami tej samej intrygi, uknutej przez ludzi Mutalibowa, albo wręcz przez Rosjan. Humma-tow znał Husejnowa - tyle że ostatni był już związany z Ali-jewem i teraz nie zamierzał mu pomagać. Tałycka republika upadła po dwóch miesiącach. Hummatow został aresztowany, ale na razie pozwolono mu uciec. Wróci za kratki w swoim czasie, gdy Tałysze się uspokoją.

Zafatwiwszy najpilniejsze sprawy, Alijew przeprowadził przez parlament odwołanie Elczibeja i rozpisanie nowych wyborów. Przekonał Husejnowa, że sam będzie kandydował (zmieniona ordynacja już mu na to pozwalała):

- Jesteś młody, masz czas. Ja stoję nad grobem. Naród nie zrozumie, czemu młokos wpycha się przed starszego, znasz naszą mentalność. Nauczę cię wszystkiego, a potem zajmiesz moje miejsce.

Żeby uspokoić Moskwę, zarządził pilną ratyfikację dokumentów Wspólnoty Niepodległych Państw i zaprosił rosyjski Łukoil do rozmów o bakijskiej nafcie.

Wybory wygrał bez problemu. Prezydentem był pełne dwie kadencje: dziesięć lat. Do końca życia.

Najpierw rozgromił przestępczość. Działał bezwzględnie. Złodzieje samochodów dostawali dożywocie, bandytów skazywano na śmierć. Nikt nie protestował - nareszcie można było bez strachu wyjść na ulicę. Wkrótce Azerbejdżan był najspokojniejszym państwem Kaukazu (po wstąpieniu do Rady Europy kara śmierci została zlikwidowana).

Potem pozbył się Husejnowa. Przez rok bawił się nim, zwodził, czarował. W tym czasie tkął sieć powiązań i układów, odtwarzał struktury, na których opierał się jako szef KGB i pierwszy sekretarz, i budował nowe. Wzmacniał klan. W ministerstwach, w administracji centralnej i lokalnej miał cały czas armię swoich ludzi: gdy pracował w Moskwie, mógł przez nich kontrolować Azerbejdżan. W czasach

Mutalibowa i Elczibeja część z tych ludzi przeszła na ich stronę, część wyjechała, ale duża część została i świętowała teraz powrót patriarchy. Premier czuł, jak z dnia na dzień władza wymyka mu się z rąk, i nie mógł nic poradzić. Nie było już mowy o przekazywaniu doświadczeń, przeciwnie, Hejdar jawnie kpił z jego nieobycia i szorstkich manier. Miarka przebrała się, gdy prezydent wbrew premierowi i Moskwie wpuścił nad Morze Kaspijskie zachodnich nafciarzy i zawarł „kontrakt stulecia” - ten, który kosztował Elczibeja utratę władzy. Husej-now miał wtedy podjąć próbę zamachu stanu, która spaliła na panewce (niewykluczone, że zainscenizował ją sam Alijew). Premier uciekł do Rosji, przechowałni obalonych post-sowieckich dygnitarzy.

Budowa ropociągu BTC, biegnącego z podbakijskiego Sanga-czału przez Gruzję do tureckiego Ceyhanu nad Morzem Śródziemnym, rozpoczęła się osiem lat po podpisaniu „kontraktu stulecia”. Tyle czasu trwało przełamywanie oporów Moskwy, która traciła monopol na tranzyt kaspijskich węglowodorów. Alijew nie doczekał momentu, kiedy popłynęła tamtędy ropa, ale to była jego zasługa, podobnie jak gazociąg BTE, poprowadzony podobną trasą. Manewrując między Rosją a Zachodem oraz Turcją a Iranem, zbudował stabilne, niezależne gospodarczo i politycznie państwo, atrakcyjne dla inwestorów. Wielkim projektem energetycznym nie przeszkodził konflikt w Karabachu - Ormianie zajęli ostatecznie niemal cały obwód i szereg ziem wokół enklawy, w sumie kilkanaście procent terytorium Azerbejdżanu. W końcowej fazie wojny Moskwa, która wcześniej wspierała raz jednych, raz drugich, stanęła po stronie ormiańskiej. W maju 1994 roku podpisano zawieszenie broni. O rurociągach przez Armenię nie było już mowy.

Rządom Alijewa towarzyszyła korupcja na skalę trudną do wyobrażenia. Klan nachiczewański zamienił państwo we własny folwark. Działaczka opozycji, profesor Lala Szowket--Hadżijewa, oszacowała majątek klanu na trzydzieści miliardów dolarów (kilkakrotnie więcej niż budżet państwa). Według niej prawie wszyscy azerbejdżańscy milionerzy to ministrowie i inni dostojnicy. Doktor Gubad Ibadoglu, ekspert ekonomiczny partii Musawat, oceniał roczne dochody klanu na półtora, dwa miliardy dolarów. Jego zdaniem na szarą strefę przypadało sześćdziesiąt procent azerbejdżańskiej gospodarki.

Partia Nowego Azerbejdżanu zmonopolizowała parlament, wybory były regularnie fałszowane. Opozycja nie miała dostępu nie tylko do telewizji państwowej, lecz także do żadnej z prywatnych stacji. Przetrwiała jednak niezależna prasa, która opisywała, kto ile nakradł, i zamieszczała listy nieruchomości należących do poszczególnych ministrów (tabu były osoba prezydenta i jego najbliższa rodzina). Inna sprawa, że nikt się tym nie przejmował i mało kto to czytał. Za życia Hejdara partie opozycyjne miały biura w centrum Baku i mogły organizować uliczne demonstracje. Rzecz nie do pomyślenia po drugiej stronie Morza Kaspijskiego, w Azji Centralnej.

Azerbejdżan Hejdara Alijewa stanął w pół drogi między dyktaturą a demokracją.

Alijew dobrze się czuł w roli mentora, mistrza. Na Zachodzie pouczał, jak powinien wyglądać parlamentaryzm, w Mekce - jak ma żyć pobożny muzułmanin. Umiał genialnie słuchać. Jego rozmówcy zawsze byli przekonani, że podziela ich punkt widzenia.

Publicystka i pisarka Elmira Achundowa opowiada, że po powrocie z podróży zagranicznych zapraszał dziennikarzy, którzy mu towarzyszyli, i wypytywał o wrażenia: „Mnie mydlą oczy, pokazują to, co chcą pokazać. Zresztą, ja robię tak samo w Baku. Wy macie własne ścieżki, spotykacie się z różnymi ludźmi, zachodzicie do sklepów, jeździcie autobusami”.

(Będąc pierwszym sekretarzem, zatrudniał socjologów, którzy przygotowywali raporty o rzeczywistej sytuacji i nastrojach w republice - był ich jedynym czytelnikiem).

Profesor Tadeusz Świętochowski, badacz nowożytnej historii Azerbejdżanu, wspomina, że nie patrzył prosto w oczy, tylko trochę poniżej - w nos i w kości policzkowe. Miał świdrujące spojrzenie oficera śledczego.

Baku, Pałac Republika, 21 kwietnia 2003

Ci, którzy tego dnia widzieli go z daleka, przysięgają, że wyglądał świetnie, ale inni, którzy dali radę przepchnąć się bliżej, mówią, że przeciwnie, miał wyjątkowo blade policzki. Jeszcze inni zauważyli, że wchodził na scenę z wyraźnym trudem, a potem, gdy już przemawiał, jego lewa ręka zaczęła drżeć i musiał ją poskramiać mocnym uściskiem prawej.

W szesnastej minucie wystąpienia zrobił nagle krok do tyłu i odwrócił głowę w stronę kulisy, jakby oczekiwał stamtąd pomocy. Wszystkie kamery, jakie były w hali, skierowano w tym momencie do góry i widzowie w całym Azerbejdżanie zobaczyli na ekranach sufitu Pałacu. Wkrótce potem transmisja została przerwana. Od osób, które były w środku, wiemy, że prezydent zaczął osuwać się, ale przytrzymali go oficerowie ochrony, którzy wbiegli na scenę. Następnie oficerowie wyprowadzili prezydenta za kulisy. O tym, co działo się przez kolejne dwadzieścia minut, wie kilka, może kilkanaście osób.

Na ekrany telewizorów wrócił nagle, *deus ex machina*, jak zawsze władczy, gotowy ciągnąć przerwana myśl od tego samego zdania, słowa i przecinka, na którym urwał ją przed wymuszoną przerwą. W hali zobaczono sekundę wcześniej, jak idzie, i przywitano aplauzem.

- Wzruszyłem się - zaczął po prostu. - Jak wiecie, Szkoła Wojskowa imienia Dżamszyda Nachiczewańskiego, której trzydziestolecie dzisiaj tu obchodzimy, to moje oczko w głowie.

Kiedy przemawiałem, patrzyli na mnie nie tylko przyjaciele, lecz także ci, którzy niezbyt mnie lubią. Ci ludzie zauroczyli mnie. Ale, jak widać, nawet urok na mnie nie działa.

Po następnym kwadransie wszystko powtórzyło się, ale w przyspieszonym tempie, jakby ktoś przewijał nagranie na podglądzie: prezydent krzyknął, chwycił się za serce i upadł, zanim ktokolwiek zdołał do niego dobiec. W telewizji było jak poprzednio: sufit, pasy („telewizja przeprasza za zakłócenia”), muzyka ludowa.

Przerwa też trwała tym razem krócej i oto Hejdar wyszedł po raz trzeci, ale już nie próbował przemawiać, życzył tylko zebranych zdrowia, szczęścia i sukcesów i oddalił się wśród burzy oklasków. Nie

dokończył mowy. Musiał czuć się naprawdę źle.

Wieczorem służba prasowa poinformowała, że prezydent: „na chwilę stracił równowagę w wyniku gwałtownego spadku ciśnienia tętniczego. Po kilku minutach ciśnienie wróciło do normy. W chwili obecnej samopoczucie prezydenta Hejdara Alijewa jest normalne”.

...stary lekarz schronił się więc w skorupę wypróbowanej, przyjacielskiej zażyłości, by powiedzieć mu, że już nadszedł czas, żeby spasować, panie generale, proszę przynajmniej rozstrzygnąć, w czyich rękach nas pan zostawi, powiedział mu, a oszczędzi nam późniejszego bajzlu, ale on zapytał ze zdziwieniem, kto to powiedział, że mam zamiar umrzeć, mój kochany doktorze, niech umierają inni... (Gabriel García Márquez, Jesień patriarchy).

• * •

Przewidział wszystko - nawet własną śmierć, w którą nie wierzył. Przed śmiercią zdążył przekazać władzę synowi.

Wiosną 2003 roku potwierdził, że wystartuje w wyborach zaplanowanych na październik. Wszyscy wiedzieli, że będą to jego trzecie wybory i trzecia kadencja, podczas gdy konstytucja

przewiduje dwie, ale miał na to odpowiedź: konstytucję uchwalono w trakcie mojej pierwszej kadencji, a prawo nie działa wstecz, druga kadencja była zatem pierwszą, a dopiero trzecia będzie drugą.

Latem Centralna Komisja Wyborcza zarejestrowała kandydatury dwóch Alijewów: Hejdara i Ilhama - wówczas parlamentarzysty, pierwszego wiceprezesa państwowej kompanii naftowej SOCAR i przewodniczącego Narodowego Komitetu Olimpijskiego. Ilham Alijew oświadczył, że zgodził się kandydować tylko po to, aby wesprzeć kampanię swojego ojca. Oprócz nich do wyborów zgłosiło się kilkanaście osób, spośród których szansę nawiązania walki z Alijewami miały trzy: Isa Gambar, Etibar Mamedow i Lala Szowket-Hadžijewa.

W sierpniu Hejdar na wszelki wypadek mianował Ilhama premierem - w myśl ostatnich poprawek do konstytucji, drugą osobą w państwie był teraz premier i to on przejmował obowiązki głowy państwa w razie niedyspozycji prezydenta.

Jesienią, na krótko przed głosowaniem, Hejdar wycofał swoją kandydaturę.

Wybory wygrał Ilham, z dużą przewagą. Międzynarodowi obserwatorzy odnotowali wielką ilość fałszerstw i nadużyć, wszystkie na korzyść Ilhama. Opozycja wyprowadziła ludzi na ulicę.

(Gdyby wybory były całkowicie uczciwe, Ilham też by najpewniej wygrał, ale nie tak wysoko i może potrzebna byłaby druga tura, a to oznaczałoby, że władza nie jest wszechmogąca. Opozycja na pewno krzyczałaby jeszcze głośniejsze, że te -prawdziwe przecież! - wyniki także są sfałszowane, i mogłoby zrobić się całkiem źle. Zresztą, co to znaczy: uczciwe? Niech europejskie rady i komisje mówią sobie, co chcą, ale urzędnicy państwowi i członkowie komisji wyborczych muszą przecież wspierać kandydata władzy, bo to władza daje im jeść. Gdyby wspierali opozycję, okazałoby nielojalność i niewdzięczność!).

W powyborczą noc i przez cały następny dzień trwały demonstracje, aż w końcu zostały rozbite przez policję i oddziały wojsk wewnętrznych. Zginęło kilka osób, na uczestników zamieszek spadły drakońskie kary.

Zachód potępił użycie siły, ale uznał wyniki wyborów i zwycięstwo Ilhama. Sukcesja dokonana się.

Hej dar był w tym czasie w klinice w Clevelandzie.

Nie wiemy, gdzie i kiedy zmarł.

Oficjalnie zgon nastąpił 12 grudnia 2003 roku, ale wielu podaje to w wątpliwość - chociaż mówimy o współczesnym polityku, którego każdy krok śledziły media!

Po feralnym wystąpieniu w Pałacu Republika gazety rządowe napisały, że prezydent doznał stłuczenia żebra i dochodzi do siebie w domu, cały czas pracując (wiemy, że 22 kwietnia przyjął ambasadora USA Rossa Wilsona). Według gazet opozycyjnych, przeszedł atak serca i miał trudności z mówieniem.

W dniach 3-11 maja leżał w wojskowej klinice Giilhane w Ankarze, leczony, jak informowały komunikaty, na nerki i „inne dolegliwości”. Resztę maja, cały czerwiec i początek lipca spędził w Azerbejdżanie.

8 lipca ponownie wyjechał do kliniki w Ankarze. Pobyt miał trwać kilka dni, ale przeciągnął się do miesiąca. Od tamtej pory nie widział go nikt poza lekarzami, rodziną, najbliższymi współpracownikami i ochroną. 4 sierpnia wydał w Giilhane dekret, mianujący Ilhama Alijewa na stanowisko premiera.

Do kraju już nie wrócił. 6 sierpnia został przewieziony z Giilhane do kliniki w Clevelandzie na „badania kontrolne”. Pod koniec września odwiedził go Ilham. Na początku października opozycyjna prasa napisała, że umarł, ale potwierdzenie przyszło dopiero dwa miesiące po wyborach.

Odszedł, gdy Ilham już okrzepł.

Pogrzeb odbył się 15 grudnia i zgromadził półtora miliona żałobników (Azerbejdżan liczy niewiele ponad osiem milionów, ale dwa miliony emigrantów zarobkowych przebywają stale za granicą).

W noc poprzedzającą ceremonię ludzie składali kwiaty pod pałacem prezydenckim. Gdy tam podszedłem, służby porządkowe właśnie je wywoziły, ale za chwilę wiązanki znowu sięgnęły okien na wysokim parterze. Wiele osób płakało, jak ta starsza pani, najpewniej Rosjanka, która niczym w obłędzie krążyła po chodniku i zaczepiała ludzi. Mnie też.

- Co z nami będzie, jak teraz żyć? Może ty, synku, poradzisz?

Wieczność się skończyła.

Dzienniki bakijskie (4)

23 sierpnia 1997

Bakijski dziennikarz mówi mi, że od pewnego czasu w żadnych sondażach ani badaniach opinii publicznej nie wolno uwzględniać prezydenta Hejdara Alijewa - mimo że w większości wypadków z pewnością zajęłby pierwsze miejsce.

20 maja 2007

Obiad u profesora Nasimana Jagublu, historyka najnowszych dziejów Azerbejdżanu. Gospodarz zaprosił malarza Raisa Rasułowa, rodzzonego wnuka Mammada Amina Rasulzadego, jednego z twórców Azerbejdżańskiej Republiki Demokratycznej (1918-1920).

Po zajęciu republiki przez bolszewików Rasulzademu udało się wyjechać (mieszkał między innymi w Polsce), ale jego rodzina została w Azerbejdżanie. Była represjonowana. Syna Rasulzadego, Azera (ojca Raisa) zesłano do Kazachstanu, pod Karagandę. Tam urodził się Rais.

Opowiada nam, że ojciec ucieszył się, gdy dotarła do nich wieść o śmierci Mammada Amina (zmarł w Ankarze w 1955 roku): może teraz, kalkulował, wreszcie się od nas odczepią. Nie odczepili się, Azer Rasulzade wrócił do Baku dopiero pod koniec Związku Sowieckiego, zmarł już w niepodległym

Azerbejdżanie. Rais zamienił perską końcówkę nazwiska -zade na rosyjskie -ow i mógł zamieszkać w Baku nieco wcześniej.

Za rządów Elczibeja i Ludowego Frontu Mammad Amin Ra-sulzade, do niedawna opluwany, oskarżany o wszystkie możliwe grzechy (od burżuazyjnego nacjonalizmu, przez szpiegostwo, do wspierania faszyzmu), a najczęściej przemilczany, stał się symbolem niepodległości, azerbejdżańskim Ataturkiem, czy raczej - w tych okolicznościach - Piłsudskim. Pojawił się na tysiącmanatowych banknotach (był to wtedy najpowszechniejszy nominał), został patronem uniwersytetu, na skwerze niedaleko bulwaru miał stanąć jego pomnik, o czym informowała wmurowana w tym miejscu tablica.

Hejdar Alijew nie zabronił tego kultu, ale stopniowo go wyciszał. Do obiegu weszły nowe banknoty, z wieżami wiertniczymi (stare wycofywano w miarę zużycia). Potem pod jakimś pretekstem odebrano patronów kilku uczelniom, w tym uniwersytetowi.

Po kilkunastu latach, przy okazji prac porządkowych, gdzieś zawieruszyła się tablica zapowiadająca pomnik, który nigdy nie powstał.

W jednym państwie nie może być dwóch ojców-założycieli, dwóch Atatiirków!

7 września 2008

Cmentarz Zasłużonych. Groby dwóch kolejnych prezydentów Azerbejdżanu, Abulfaza Elczibeja i Hejdara Alijewa, dzieli sto, najwyżej dwieście metrów.

Byli skrajnie różni, ale sporo ich łączyło:

- obaj pochodzili z Nachiczewanu,
- obaj zmarli na obczyźnie,
- obaj doszli do władzy po zamachach stanu,
 - obaj chcieli integracji Azerbejdżanu z Zachodem i ograniczenia wpływów Moskwy,
 - obaj gorączkowo szukali idei, wokół której można zjednoczyć naród.

Alijew zwalczał Elczibeja, ale gdy ten zmarł, wyprawił mu uroczysty pogrzeb. Elczibej, który za życia był wrogiem, po śmierci stał się cennym sojusznikiem dynastii.

Pierwszy raz oglądam pomnik nagrobny Elczibeja - postawiony przez władze rok wcześniej, wbrew

woli rodziny. Przypomina, toutes proportions gardées, pomnik Alijewa: obaj zostali sportretowani na stojąco (Alijew ma ręce opuszczone, Elczibej splecione), obu towarzyszą symbole państwa. Oczywiście, grób Alijewa jest nieporównanie bardziej okazały - zajmuje oddzielną polankę, a za pomnikiem wznosi się kamienna mapa Azerbejdżanu.

Solidny

Ogłoszenie było długie i szczegółowe. Dotyczyło mieszkania, które właściciel chciał sprzedać albo wynająć. Lokal znajdował się w „prestizowej okolicy”, na trzecim piętrze „elitarnego apartamentowca” z szybkobieżną windą Otis i całodobową ochroną. Informowało o tym pierwsze zdanie. W drugim zdaniu anons zapewniał, że „wszystkie dokumenty są w porządku”.

Kilkanaście następnych wierszy zajmował opis wyposażenia. Mieszkanie miało po dwie linie gazu, wody i energii elektrycznej (gdy na osiedlu wyłączą prąd, u nas dalej będzie się świecić, bo przejdziemy na linię zaopatrującą inną część miasta) oraz dwa numery telefonu (ważne dla posiadaczy modemu). W pokojach była klimatyzacja i „drogie meble”. Kuchnię urządzono „w stylu nowoczesnym” (tu następowało wyliczenie poszczególnych sprzętów i ich marek), w łazience zainstalowano wannę i kabinę jacuzzi.

Oferta, uprzedzał anons, skierowana jest do ludzi zasobnych i poważnych, a niepoważni proszeni są o niezawracanie głowy (Pros'ba niesierjożnych nie biespokoit1).

Zadzwoiłem pod podany numer i umówiłem się.

Otworzył mi wąsaty człowieczek o ogorzałej twarzy i żyłastych dłoniach. Ciec? Nie, cieć nie nosiłby ani białej koszuli, ani złotego łańcucha, ani drogiego, ciemnego garnituru w prążki - który był o dwa numery za duży i wisiał na chudzinie jak kaftan bezpieczeństwa. Właściciel? Taki niedogolony? Z dziurawymi skarpetami, które pospiesznie skrył w domowych papuciach (widać, że zdjął buty przed chwilą)?

- Szamistan - wyciągnął rękę. - Jestem administratorem. Okazało się, że właściciel w ogóle nie przyjdzie, nie ma

czasu na drobiazgi.

- To solidny człowiek. Bardzo solidny. Takich mieszkań ma kilkanaście. Nawet nie wypada, żeby się z każdym spotykał. Ja się wszystkim zajmuję.

Zdjąłem buty i wszedłem na salony.

Mieszkanie miało dwieście metrów i pięć pokoi. Bakijska norma. W apartamentowcach byle kawalerka ma pięćdziesiąt metrów, a dwa pokoje - najmniej osiemdziesiąt. Przytulniej-szego kąta lepiej szukać w starym budownictwie, w kamienicach sprzed pierwszej wojny, z czasu pierwszego boomu naftowego albo w klasycystycznych sowieckich blokach, nazywanych stalinkami.

W każdym z pięciu pokoi był telewizor, potem zobaczyłem, że odbiornik stoi także w kuchni. Szamistan, który dreptał za mną niczym strażnik w muzeum, po kolei je włączał.

- Telewizja satelitarna, pięćset pięćdziesiąt kanałów - recytował. - Talerz jest na dachu. Sąsiad szwagra odkoduje co potrzeba, zostawię telefon.

Największy telewizor - sześćdziesięciopięciocalowa plazma - wisiał na ścianie w salonie. Towarzyszył mu zestaw kina domowego, wieża i „skórzany wypoczynek" Obok kanapy stała lampa w kształcie... nie, to była raczej kompozycja pełniąca funkcję lampy. Przedstawiała staw (pośrodku pływały kacuszki) otoczony zaroślami. Z tych zarośli wyrastała huśtawka, na której przysiadła pastuszka, przed nią klęczał pastuszek grający na fujarce. Za huśtawką stało samotne drzewo - jego korona pełniła funkcję abażuru, pod którym kryła się żarówka.

Lampa musiała kosztować majątek - była cała z porcelany, łącznie ze stawem i kacuzkami, z pewnością ręcznie malowana, a może nawet w całości ręcznie robiona. Ławeczka z pastuszką bujała się na linkach ze szczerego złota, a tafla stawu kryła maciupkie brylanciki, które błyszcząły przy zapalonym świetle.

W tym domu wszystko było najwyższej jakości: marmurowa atrapa kominka, wzorzysty parkiet z kilku

gatunków drewna, małżeńskie łoża z baldachimem w obu sypialniach (jedna w różach, druga w błękicie), kryształowe żyrandole, lustra, kandelabry. Takich rzeczy nie było w sklepach, „Solidny” musiał sprowadzać je z Europy albo ze Stanów.

- Zachodni standard - podsumował Szamistan, gdy wszystko obejrzałem. "

Nie chciał zdradzić, kim jest Solidny.

- Nie mogę - tłumaczył - obiecałem. Papiery i tak są na kogoś innego.

Po co mi to mówić? Żeby pochwalić się, ile wie? Żeby pokazać, że tożsamość Solidnego nie ma nic do rzeczy, bo umowę podpisałbym z kimś innym? Przecież mógł od razu powiedzieć, że reprezentuje taką a taką osobę - tę wymienioną w papierach. Mógł w ogóle nie wspominać o Solidnym. Ale - od łyeczka do rzemyczka.

(Azerbejdżanie potrafią być jednocześnie przebiegli i prostoduszni. Kiedyś przez pół drogi kłóciłem się z taksówkarzem, który rzucił stawkę z księżycą i wmawiał, że tyle się płaci za przejazd. W końcu dogadaliśmy się, ale przed domem zobaczyłem, że nie mam pieniędzy. Poprosiłem, żeby zaczekał. Zgodził się bez wahania! Do głowy mu nie przyszło, że mogę zniknąć i w ogóle nie zapłacić).

Miałem już iść, ale Szamistan zaproponował herbatę. Pewnie całe dni biegał po Baku, załatwiając sprawy Solidnemu, i chciał chwilę odsapnąć, pobyc w towarzystwie, zamienić parę słów. Po to wymyślono czajchany, ale na czajchanę nie było czasu, zresztą Szamistan nie śmiałyby pójść tam z kimś, kogo interesuje dwustumetrowe mieszkanie. Tutaj czuł się gospodarzem. Usiedliśmy w kuchni.

Spytałem, czy tylko administruje. Nie, nie tylko. Właściwie mieszkania to margines. Przede wszystkim jest kierowcą, wozi Solidnego do biura i na spotkania. Żonę też? Nie, do żony i dzieci jest inny chłopak, mają terenowe bmw. My - wyraźnie podkreślił to „my”, dając do zrozumienia, że jest kimś więcej niż szoferem - my jeździmy lexusem.

(Kierowcy różnych ważniaków budzą tu respekt i szacunek. Można ich spotkać przed rządowymi gmachami, siedzibami firm, na luksusowych osiedlach: palą papierosy i przecierają lusterka swoich wymuskanych limuzyn - bardziej dla fasonu niż z potrzeby, bo każdy dzień zaczynają i kończą w myjni. Patrzą z wyższością na sprzątaczkę, dozorców, sklepowe, ekipy budowlane, pracowników elektrowni i gazowni. Spływa na nich nimb władzy i wszechmocy, który otacza ich szefów).

Spytałem Szamistana, jak długo zna Solidnego. Okazało się, że od dziecka. Mieszkali w tej samej wiosce w powiecie N., ich ojcowie przyjaźnili się. Potem tamten wyjechał na studia; kiedy został Solidnym i potrzebował zaufanego człowieka, ściągnął do Baku towarzysza dzieciństwa, który po szkole najpierw pasał barany, a później zajął się drobnym handlem.

Mogłem już ustalić, kim jest Solidny - znałem jego miejsce urodzenia! Wiedza o tym, kto skąd pochodzi,

ma dla Azerbejdżanina podstawowe znaczenie. Najważniejsze pytanie, jakie zadaje się tu nieznanemu, to: Haratysan?, co znaczy dosłownie „Skąd jesteś?” a właściwie „Skąd wywodzi się twój ród?” Odpowiedź decyduje, czy uznamy go za swojaka, czy za obcego, za ewentualnego sprzymierzeńca czy potencjalnego wroga.

Władze zaprzeczają, by ziomkostwa odgrywały rolę w polityce, ale nawet dziecko wie, że krajem rządzi klan nachicze-wański, którego potęgę zbudował Hejdar Alijew, że klan ba-kijski nie może stanąć na nogi od upadku Ajaza Mutalibowa (w 1992 roku), że klan erywański, skupiający osoby wywodzące się z Armenii, zlał się ostatnio z nachiczewańskim. Czasem na wysokie stanowiska trafiają ludzie z innych stron - obecny premier jest z Gandży, a jeden z wicepremierów z Sze-ki - ale nie mają wpływu na najważniejsze decyzje, ich klany nie liczą się w rozgrywce. Klanowość wzięła się z historii: w przeszłości Azerbejdżan składał się z wielu księstw, chanatów i sułtanatów, naród azerbejdżański zaczął się na dobre kształtować dopiero w dziewiętnastym wieku. Powiat, mała ojczyzna - to najpewniejszy punkt odniesienia. Do tego dochodzą więzy rodzinne i sąsiedzkie - bardzo silne, jak wszędzie na Wschodzie.

Z powiatu N. pochodziło niewielu ważnych ludzi i bez trudu sprawdziłem, że Solidny jest wiceministrem w jednym z resortów gospodarczych. Szamistan podał mi na talerzu klucz do rozwiązania zagadki.

Od rzemyczka - do koniczka.

Kto to jest człowiek solidny? To szycha, gruba ryba: taki, co wiele może i przede wszystkim - ma pieniądze. Duże pieniądze. Pieniądze wiążą się ze stanowiskiem. Stanowisko nie daje samo z siebie kokosów, ale daje możliwości. Aby dostać stanowisko, trzeba pochodzić z odpowiedniego klanu i mieć protektorów.

W Baku opowiadają dowcip: przyleciał samolot z Nachicze-wanu, zażywny jegomość pakuje się do taksówki. - Dokąd jedziemy? - pyta szofer.

- Na stanowisko!

Ambitny i utalentowany, lecz pozbawiony protekcji młody człowiek może sporo osiągnąć, ale w pewnym momencie dojdzie do ściany. Prawdziwej władzy i prawdziwych pieniędzy raczej nie powącha. Uciła na używanego mercedesa, a jego rówieśnik, leser i obibok, ale syn czy siostrzeniec kogoś naprawdę ważnego, będzie śmigał jaguarem. Kupi na kredyt apartament - a tamten będzie miał już willę nad samym morzem. Chyba że dopisze mu szczęście: ktoś dokooptuje go do swojej ekipy. Zdarza się tak, choć rzadko. Każdy woli zaufać krewniakowi albo przyjacielowi, którego zna od kotyski.

Nasz Solidny był solidnym, nawet bardzo solidnym - dla Szamistana, bakijskich sąsiadów i swych ziomków z wioski w powiecie N. Należał do elity, ale wewnątrz elity był par-weniuszem, człowiekiem wyciągniętym z kapelusza. Pewnie dlatego wołał nie ujawniać mieszkaniowych kombinacji. Jeszcze ktoś przyuważyłby go i powiedział: „Chłopak za mocno rozwija skrzydła. Trzeba pokazać mu jego miejsce”.

Prawdziwe rekiny nie kryją się ze swym biznesem, przeciwnie, traktują własne nazwisko jak markę handlową. Gdy na Zachodzie brat polityka (ewentualnie jego syn, siostrzeniec, ojciec, wujek albo ciocia) zajmuje się biznesem, polityk zrobi wszystko, żeby go z tym biznesem nie skojarzono. Również biznesmen będzie odcinał się od polityka. W Azerbejdżanie wysoko postawiony kuzyn to kapitał, najlepsza gwarancja, że firma jest pewna, a interesy z nią - bezpieczne. Dlatego trzeba się chwalić swoimi powiązaniem na prawo i lewo.

Tutaj bogactwo musi kłuć w oczy, błyszczeć, oszałamiać. Zawsze tak było, za Sowietów też. U schyłku lat osiemdziesiątych generał Aleksander Lebiedz poznał sekretarza partii w jednej z bakijskich dzielnic. Współpracownicy okazywali mu honory godne sułtana: całowali w rękę, wstawali, gdy zabierał głos, wychodzili z gabinetu tyłem, bijąc pokłony. Generał zapytał, skąd taki nabożny szacunek. „Tak się historycznie złożyło” -odparł sekretarz.

Ów sekretarz, jak wszyscy inni sekretarze, dyrektorzy i naczelnicy, musiał kraść na potęgę. Tamte elity opisał Ilja Ziem-cow, urzędnik azerbejdżańskiego Komitetu Centralnego, któremu udało się wyjechać na Zachód. W wydanej w Paryżu książce Partija iii mafija?Razworowannaja riespublika (Partia czy mafia? Rozkradziona republika) czytamy: Żądza zysku stworzyła w Azerbejdżanie atmosferę, w której życie stawało się nieznośne - wszędzie klany, protekcje... Republikę dawno rozdzielono na strefy wpływów. Kwitło przekupstwo i łapówkarstwo. W tamtych czasach (przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych) wszystko miało swoją cenę, nie tylko towary i usługi, lecz także stanowiska. Dyrektorem teatru zostawało się, pisze Ziemcow, za 20 tysięcy rubli, szefem kołchozu - za 50 tysięcy, rektorem wyższej uczelni - nawet za 200 tysięcy (opłacało się, egzamin wstępny na medycynę chodził po kilkanaście tysięcy, rzecz jasna, rektorowi przypadała tylko część tej sumy). Prokurator powiatowy kosztował 30 tysięcy, pierwszy sekretarz powiatowego komitetu partii - 200 tysięcy, jego zastępca -100 tysięcy, minister -od 150 do 250 tysięcy. Średnia pensja wynosiła wtedy 120 rubli, co trzeci mieszkaniec Baku gnieździł się w komunałce, gdzie na osobę przypadało mniej niż dziesięć metrów kwadratowych.

Pod wpływem wschodniej tradycji bakszyszu i okazywania szacunku pieniędzmi i drogimi prezentami, banalna sowiecka korupcja przerodziła się w Azerbejdżanie w system, który objął wszystkie dziedziny życia.

Mój Solidny musiał ubierać się za granicą. Albo w tych kilku obrzydliwie drogich sklepach przy Niżami, gdzie nie musiałby się wstydić, gdyby spotkali go znajomi. Gust miał pewnie konserwatywny: kupował ciemnogranatowe garnitury, białe koszule na spinki, nijakie krawaty i klasyczne obuwie, może nieco wydłużone.

Jak wyglądało życie Solidnego?

Po pracy jeździł zapewne z kolegami do restauracji, zamykali się w oddzielnym pokoju i zamawiali szaszłyki i płow. Pili czystą wódkę i przy tej wódce kombinowali, jak się najlepiej ustawić: kogo wygrać i czym zaskarbić sobie łaski „góry” („góra” wołała pić whisky).

W niedziele Solidny zabierał żonę i dzieci „na przyrodę” -do knajpy pod wodospadem albo w lesie (tam gdzie można dojechać autem pod sam stolik, żeby żona nie straciła obcasa). Siedzieli przy jedzeniu kilka godzin, póki dzieci nie zaczynały marudzić. Latem żona z dziećmi przenosiła się za miasto, nad morze. Dojeżdżał do nich na weekendy. Tydzień lub dwa spędzali razem w którymś z pięciogwiazdkowych hoteli Antalyi albo Szarm el-Szejk - tam można zawsze spotkać kogoś znajomego.

Raz w roku brał żonę do Dubaju - na shopping festival (bogatsi mieli w Dubaju własne apartamenty i wpadali tam co kilka tygodni, Solidny też pewnie o tym myślał).

Może miał kogoś na boku? Jeśli kupiło się już parę luksusowych wozów i wybudowało dom, można pomyśleć o drugiej rodzinie. Właśnie - nie chodzi o przyjaciółkę, kochankę, me-tresę, ale o regularną rodzinę z żoną i dziećmi. Wielożeństwa, tolerowanego przez islam, od dawna zakazuje prawo, ale kto mówi o ślubie? Druga rodzina jest luksusem, świadectwem statusu społecznego, oznaką zamożności. Trzeba przecież utrzymywać ją na poziomie, opłacać, tak jak w przypadku pierwszej, wszelkie wizażystki i kosmetyczki, guwernantki i korepetytorki, pokojówki i kierowcę, wysyłać na wakacje. Z drugą rodziną nie wolno się obnosić, ale kilku znajomych musi wiedzieć - inaczej zabawa traci sens.

Solidnego nie stać było najpewniej na większe szaleństwa, a może byłoby stać, ale jeszcze nie pozwalała mu pozycja. Sztuka polegała na tym, żeby nie przeszarżować. Baku bez przerwy plotkowało o wyczynach tego czy innego bonzy albo jego krewniaka. Bywało, że bohater takiego wyczynu popadał w niełaskę, tracił grunt pod nogami i musiał zniknąć na jakiś czas.

Najłatwiej błysnąć spektakularną imprezą. Biznesmen Iskan-der Chaliłow, który ożenił syna z dziedziczką fortuny tureckiej dynastii Koców, wynajął na wesele bakijski hotel Hyatt Park. Gościom umilały czas gwiazdy: Eros Ramazzotti, Toto Cu-tugno, grupa Gipsy Kings, turecka piosenkarka Ajda Pekkan, a także Filip Kirkorow i Andżelika Warum z Rosji. Inny biznesmen, Telman Ismailow, witał kiedyś Nowy Rok na zamkniętym przyjęciu w moskiewskiej restauracji Praga. Do kotleta śpiewali mu: Mariah Carey, Ricky Martin i Robbie Williams, których przywozły prywatne odrzutowce. Potem Ismailow przebił wszystkich: otworzył w Antalyi Mardan Pałac, najbardziej luksusowy hotel nad Morzem Śródziemnym. Zbudował go za półtora miliarda euro w stylu eklektyczno-orientalnym (prasa pisała, że to połączenie paryskiej Opera Garnier, Ermitażu, pałacu Dolmabahçe w Stambule i rezydencji arabskich szejków). Na uroczystość przybyło kilkaset celebrytek i celebrytów, w tym Sharon Stone, Monica Bellucci, Paris Hilton i Richard Gere. Wstęgę przecinał mer Moskwy, Jurij Łużkow. Same fajerwerki kosztowały miliony, w pewnej chwili na bawiące się towarzystwo spadł deszcz studolarówek.

Ostentacyjny przepych rozwścieczył Władimira Putina. Wycedził w telewizji, że mamy kryzys i

nieładnie tak szastać groszem, i że przedsiębiorcy powinni inwestować w kraju, a nie wywozić pieniądze za granicę (Ismailow urodził się w Baku, ale od dawna mieszka w Moskwie i tam robi interesy). Zaraz potem władze zamknęły moskiewski Rynek Czerkizowski, należący do Ismailowa.

Ludzie nienawidzą solidnych. W dzień Aszury, gdy przed meczetami gromadzą się żałobnicy opłakujący śmierć imama Husajna, widziałem, jak jeden ważniak przebijał się zabitą na

amen ulicą wielgachnym mercedesem. Szofer trąbił i wygrażał pięścią, tłum rozstępował się, ale ważniakowi, który siedział z tyłu - opuścił przyciemnianą szybę, niech go zobaczą! - było za wolno, przynaglał szofera, ten najeżdżał na stojących najbliżej, roztrącał ich, znowu trąbił. W pewnej chwili zrobiło się trochę miejsca i mercedes nagle przyspieszył, przejeżdżając komuś po nogach. Usłyszałem wrzask i pomruk tłumu, ktoś zaklął, a ktoś krzychał, że zapamiętał numery - no i co z tego, że zapamiętał, i tak nic tamtemu nie zrobią. Ważniak przytknął okno, mercedes skręcił w przecznicę i zniknął.

Solidni, tłumaczył mi Elczin, wszystko zmonopolizowali, każdy biznes ma swojego gospodarza, który nie dopuszcza konkurencji. Póki prowadzisz rodzinną firmę, nikt się nie czepia, ale jeśli trochę urośniesz, zaraz dobiorą ci się do skóry: musisz podporządkować się albo zmienić branżę, inaczej zginiesz. Elczin skończył geografię, ale pracował jako elektryk, miał jednoosobową firmę. Kiedyś rozkręcił z kolegą interes: wynajem namiotów pogrzebowych. W namiotach wspomina się zmarłych, można wypić herbatę i zjeść coś słodkiego. Namierzili go po miesiącu. „Wchodzisz nam w paradę” - usłyszał w komórce. Potem ktoś, kto miał wyłączność na namioty, zaproponował układ: możesz zostać, ale pięćdziesiąt procent zysku będzie dla mnie. Elczin obliczył, że rodziny za to nie utrzyma, i wrócił do elektryki.

Tutaj rządzą dwa prawa, mówił mi jeszcze Elczin: prawo siły i prawo pieniądza. Konstytucja jest na eksport, dla Zachodu.

Powiedziałem Szamistanowi, że nie wezmę mieszkania, bo nie ma garażu, a przed blokiem nie ma gdzie postawić samochodu. Nie zrozumiał: przecież jest podjazd, kierowca może tam przystanąć. Powiedziałem, że nie mam kierowcy. Popatrzył z niedowierzaniem: Prowadzę sam? Jak to?

Pewnie pomyślał, że stracił czas - okazałem się niesolidny.

Dzienniki bakijskie (5)

16 marca 2005

Na targach motoryzacyjnych w Baku wystawione są z jednej strony luksusowe hummery, cadillaki, lexusy i bmw, z drugiej - rosyjskie łady i wołgi. Nie ma nic średniej klasy. Pewnie dlatego, że w Azerbejdżanie jeszcze nie ma klasy średniej.

28 marca 2005

Lekcja azerbejdżańskiego. Przerabiamy czytankę Mmim giinum (Mój dzień). Bohater, niejaki Kamal, ma żonę i dwójkę dzieci. Pracuje w biurze. Wstaje codziennie o 7.30, zjada śniadanie i jedzie do pracy (najpierw autobusem, a potem metrem). O 9.00 jest na miejscu i siada do komputera. O 13.00 ma przerwę obiadową. Następnie rozmawia z kolegami, ogląda telewizję, czyta gazetę, pije herbatę albo kawę (man is yoldaslarim ite danqiram, televizora baxiram, qazet oxuyuram, cay, ya da qdhvd iclrdm). O 18.00 kończy i za godzinę (metro, autobus) jest w domu.

Zwykły dzień zwykłego urzędnika, tak go widzi azerbejdżański podręcznik*.

*Telman Khudazarov, Teach Yourself Azeri, Baku 2004. s.88.

3 czerwca 2004

Zeszliśirry trzepać dywany, budząc na podwórku nie małą sensację.

To nasze trzecie bakijskie mieszkanie i za każdym razem gOSpOdarze proponują nam panią do sprzątnięcia, mycia okien i prania dywanów, a my za każdym razem odmawiamy. Najpierw myślałem, że chodzi o prestiż, że po prostu wypada mieć kogoś do pomocy lub nie wypada sprzątać samemu, ale teraz widzę, że to coś innego. Dla nas samodzielne porządki to kaprys, a dla ty00 k°D'et ~ może jedyna szansa na jakieś pieniądze.

Uderzające, jak bardzo takie myślenie zakorzenione jest w islamie, mimo całej ateizacji i zeświecczenia azerbejdżań-skiego społeczeństwa. Zarabiasz? Masz na życie? To daj zarobić i pozyc innym! Jałmużna, czyli zakat, jest jednym z pięciu filarów islamu, przekazywanie części dochodów ubogim to OljOWiązek każdego muzułmanina.

Znajomi, którzy wzięli panią do mycia okien, opowiadali, że szyby zamiast umyć pomazała. Nie umiała sprzątać, ale widocznie potrzebowała gotówki i jakaś dobra dusza wskazała właśnie ja. To jałmużna w czystej postaci.

Wschodni świat wydaje się nam często okrutny i bezwzględny nie ma Państwa socjalnego. Zasiłki, zapomogi i stypendia, a często iakże renty i emerytury dostają nieliczni albo są to zupCłne grosze. Z drugiej strony, człowiek nie jest zostawiony samemu sobie. Ma o niebo większe niż u nas oparcie w rodzinie - także tej dalszej - w gronie sąsiedzkim, wśród wiernych z te8° samego meczetu. Jego problem to problem całej wSPONoty. Pęknięcia pojawiają się na styku tamtego świata z naszym, gdy na przykład ktoś nie chodzi już regularnie do meczetu, ale jeszcze nie potrafi wziąć odpowiedzialności za swoje życie. Tacy ludzie są najbardziej nieszczęśliwi.

Mamed

- ...no więc mnie o sprawiedliwość idzie, ja te ziemniaki mam zawsze zdrowe, bo jestem muzułmaninem i nie mógłbym nikogo oszukać, wszyscy to wiedzą, możecie spytać starego Fahreddina, tego, co sprzedaje gazety, on powie, matka mnie tak wychowała, a dziadek Sulejman zawsze powtarzał, że...

- Nazwisko! - przerwał mu Ilgar, może trochę za brutalnie, bo tamten aż podskoczył na krzeselku.

- Że, że co? - wybąkał zestrachany.

- Jak się nazywacie? - powtórzył Ilgar już łagodniej. - Imię, imię ojca i tak dalej.

Nazwisko nie było mu do niczego potrzebne, przynajmniej nie teraz, ale musiał przerwać tę opowieść, narzucić jakieś reguły, wprowadzić porządek. Za kwadrans powinien kończyć, a w poczekalni kłębiło się jeszcze kilkanaście osób.

Znał swoich interesantów, oni wszyscy tak mieli. Dać im palec, to wezmą rękę. Gdy poczują życzliwość, odrobinę zrozumienia i współczucia, już się nie odczepią, opowiedzą całe życie, a potem usidlą swoim nieszczęściem, będą nękać w pracy, czatować przed domem, dopadną na spacerze z rodziną. Parę razy tak wpadł i teraz miał się na baczości. Bardzo uważał, by nie zamienić się w kumpla, druha albo, nie daj Boże, wujka z Ameryki.

Rozumiał ich: nie mieli dokąd pójść. Dla policjanta taki prosty człowiek jest śmieciem, dla urzędnika natrętem, dla szefa popychadłem, liczy się o tyle, o ile można wycisnąć z niego jakiś grosz. Rozumiał ich, ale już wiedział, że świata nie zbawi. Miał młodą żonę i malutką córeczkę i nie zamierzał poświęcać ich dla babci, którą wyrzucają z mieszkania, albo dla kaleki, którego potrafił po pijaku syn kogoś ważnego, a policja odwróciła kota ogonem.

Był wziętym prawnikiem, miał własną kancelarię i nieźle zarabiał, do wszystkiego doszedł ciężką pracą. Dorobił się domu i dobrego auta. Pewnego razu pomyślał, że czas coś zrobić dla innych; może zaczął się starzeć, a może zaświtało mu, że na ścianie warto by powiesić parę oprawionych dziękczynnych listów, widział takie na stażu w Stanach. Zaczęło się od wdowy po taksówkarzu, jeździł z nim do miasta, kiedy czekała na własny samochód, naraz widzi: zbiegowisko. Kierowca powiesił się, zepsuła mu się łada żywicielka i nie miał na naprawę, a w domu pięcioro drobiazgu. Tutaj rodzinę musi utrzymać mężczyzna, jak nie daje rady, to nie jest facetem. Następnego dnia zaczepiła go wdowa: „Pomóżcie, wy człowiek uczony”. Okazało się, że lekarz nie chce podpisać aktu zgonu, woła pieniędzy, a ona skąd niby ma wziąć. Pojechał na pogotowie, tego lekarza znał ze szkoły. Spytał, co jest grane. Usłyszał: „Wiesz, jak jest”. Wkurzył się i napisał zażalenie. Lekarz niebawem zadzwonił: „Po co robisz z igły widły?”. Potem zażartował, że Ilgar pewnie z tą kobietą bara-bara, mąż ich zobaczył i powiesił się ze wstydu, więc Ilgar rzucił, że to kuzynka jego żony.

Pomyślał, że będzie udzielać bezpłatnych porad prawnych, miała być godzina w tygodniu, ale wkrótce zrobiły się dwie, potem trzy, wreszcie cztery. Spraw było tyle, że zdarzało mu się brać papiery do domu i zawsze obiecywał sobie, że to ostatni raz. Założył organizację pozarządową i ściągnął studentów prawa, którzy pomagali jako wolontariusze.

Tego dnia petentów było wyjątkowo dużo i kiedy Ilgar usłyszał o ziemniakach, Fahreddinie od gazet i dziadku Sulejmanie, prawie wyszedł z siebie.

- Mamedow, Mamed Ali oglu - wyrecytował tamten. Chciał coś dodać, ale poczuł wbity w siebie wzrok Ilgara i zrezygnował.

Wyglądał na pięćdziesiątkę, ale Ilgar mógłby się założyć, że ledwie skończył trzydzieści. Oni wszyscy wyglądali staro, już dzieci miały starcze twarze. (Dzieci też przychodziły, jeden wyrostek skarżył się, że go wyrzucili ze szkoły. Musiał pracować, bo w domu nie było nic do jedzenia, zatrudnił się jako konduktor w marszrutce i opuścił dwa miesiące zajęć. Ilgarowi od razu przypomniał się sąsiad, syn prokuratora, który studiował medycynę. Na zajęciach też pewnie bywał rzadko, bo przesiadywał całymi dniami na ławce przed domem albo objeżdżał miasto czarnym bmw, w którym zainstalował całą gamę naj-przedziwniejszych klaksonów. Raz Ilgar spytał go: „Jak sesja?”, ale tamten tylko się roześmiał: „Tata już zapłacił”).

Mamed Ali oglu Mamedow był ubrany w wymiętą kraciatą marynarkę. Na pewno miał tę samą od lat, tutejszym zwyczajem traktował ją jako kurtkę i roboczy fartuch, w tych stronach już mali chłopcy biegają za piłką w marynarkach. Na nogach miał półbuty z długimi czubami, też stareńkie, ale na okoliczność wizyty u adwokata solidnie wyglansowane.

- Co was sprowadza? - Ilgar starał się być oschły i rzeczowy, chciał, aby interesant przeszedł od razu do sedna, bez rodzinnej genealogii i zaklinania się na wszystkie świętości, ten jednak zrozumiał go po swojemu i sięgnął po wór, który trzymał pod nogami. Ilgarowi przemknęło przez myśl, że wcześniej nie zauważył pakunku, musiał być naprawdę zmęczony.

- To dla żony szanownego pana mecenasa, świeże kartofelki, na pewno będą smakować!

Mamed przyszedł załatwić sprawę i zabrał się do tego tak, jak potrafił. Jeśli na tym świecie nic nie jest za darmo, to bezpłatna

porada też widocznie musi kosztować. Interesanci - ludzie biedni i skrzywdzeni, ale zawsze dziwnie pokrętni - nie przestawali zadziwiać Ilgara. Wszędzie doszukiwali się drugiego dna, kluczyli i gmatwali najprostsze sprawy. Starali się mówić tak, żeby zadowolić Ilgara, wróżąc z jego gestów, w jakim jest nastroju i co chciałby usłyszeć. Adwokatowi często zdawało się, że pochodzą z jakiegoś innego narodu czy kraju.

Przypomniała mu się praktyka, jaką odbywał po studiach w sądzie rejonowym. Panował tam zwyczaj, że ludzi wzywało się, powiedzmy, na dziesiątą, a przyjmowało o pierwszej. Il-gar zapytał, po co trzymać ich tyle czasu na korytarzu, skoro i tak nie ma zwykle nic pilnego do roboty. Przewodniczący, doświadczony prawnik pamiętający czasy stalinowskie, odpowiedział mu krótko: „Żeby skruszeli!”.

- Słuchaj, Mamed - Ilgar przeszedł na ty, bo chciał wreszcie poznać sprawę, a interesant najwyraźniej węszył w grzecznej formie jakiś podstęp. - Nie chcę twoich kartofli. Nie musisz mi robić prezentów. Nie jesteś mi nic winien. A teraz mów, z czym przyszedłeś.

Mamed zmieszał się, ale zaczął:

- Od dziesięciu lat sprzedaję ziemniaki na rynku. Miałem miejsce naprzeciw wejścia i wszyscy kupowali u mnie. Tydzień temu policjant kazał mi się wynieść do ostatniego rzędu. Teraz nawet pies z kulawą nogą nie zajrzy. Wczoraj sprzedałem dwadzieścia kilo, a mam dla siebie tylko ćwierć mamieda od kilograma. Jak za to utrzymać rodzinę? Pomóżcie!

- Placowe płacisz?

- Pięć mamiedów dziennie jak wszyscy i jeszcze pięć dyrektorowi rynku do kieszeni.

- A ten policjant co mówił?

- Nic nie mówił. Powiadają, że upatrzył moje miejsce dla siostrzeńca. To najlepsze miejsce na rynku, tam zarobek pewny. Mnie się rozchodzi o sprawiedliwość.

Ilgar pomyślał, że policjant mógł to miejsce po prostu sprzedać. Prawnika niewiele dziwiło. Wiedział, że w Azerbejdżanie można kupić wszystko: egzaminy, łaskawość urzędnika, nawet stanowisko. Raz przeczytał w gazecie o naczelniku więzienia, który wypuścił za łapówkę kilkunastu bandytów, a potem brał sobie jeszcze ich racje żywnościowe. Wpadł, bo któryś z bandytów został zatrzymany na gorącym uczynku, gdy włamywał się do sklepu.

Azerbejdżan od lat zajmował czołowe miejsca na listach najbardziej skorumpowanych państw świata, ale sprawa była bardziej złożona: otóż na Zachodzie korupcję porównuje się często do raka, toczącego zdrowy organizm - wystarczy wyciąć nowotwór, by się od niej uwolnić (inna rzecz, że operacja nie należy do łatwych, zwykle pojawiają się przerzuty i powikłania). Tutejsza korupcja stanowiła system, obejmujący wszystkie dziedziny życia i towarzyszący każdemu od narodzin (łapówka za wypuszczenie matki i noworodka do domu) aż do śmierci (łapówka za akt zgonu i miejsce na cmentarzu).

W Azerbejdżanie łapówkobiorca był też najczęściej łapówko-dawcą: policjant brał pieniądze od kierowcy, ale dawał je nauczycielowi, który uczył jego dzieci. Nauczyciel zbierał pieniądze od uczniów, ale musiał płacić lekarzowi czy kasjerce na dworcu kolejowym (przejazd kosztował zazwyczaj więcej niż cena podana na bilecie). Im wyżej ktoś stał w hierarchii, tym częściej brał, a rzadziej dawał.

Szeregowy łapówkobiorca zostawiał dla siebie mały procent. Resztę oddawał kierownikowi, dyrektorowi, dowódcy. Ten robił tak samo. W ten sposób pieniądze wędrowały na samą górę i część wracała potem na niższe szczeble. W ministerstwach urzędnicy dostawali dwie pensje: oficjalną, od której płacili podatek, i drugie tyle w kopercie. W ten sposób kupowano ich lojalność, a w razie czego, na każdego była gruba teczka: skąd miałeś na samochód? Przecież zarabiasz tyle i tyle! (Ustawodawstwo nie ustępowało zachodniemu, uwzględniono w nim wszelkie znane Unii Europejskiej instytucje, procedury i zasady. Unijni eksperci, którzy pomagali je wdrażać, dziwili się, dlaczego mimo to nic nie działa tak, jak w ich krajach).

Pieniądze z korupcji były inwestowane w kraju. Często w budownictwo mieszkaniowe, które uchodziło za szczególnie opłacalne. Przy okazji zarabiała masa osób: kierowcy, importerzy materiałów budowlanych, właściciele okolicznych sklepów, a przede wszystkim betoniarze, murarze, dekarze, tynkarze, posadzkarze, kominiarze, różni instalatorzy i hydraulicy, którzy zwykle pracowali na czarno lub półczarno. Zarabiał również nadzór budowlany, architektki, władze powiatu.

Zdarzało się, że prezydent dokądś jechał i samochód wpadał w dziurę. Prezydent denerwował się: jakie drogi tu macie?! Za tydzień ma być równo! I naczelnik powiatu, chcąc nie chcąc, musiał za własne pieniądze - oficjalny budżet miał mizerny - załatwiać na gwałt drogowców, maszyny, asfalt. Nie dajesz rady? Kiepski z ciebie gospodarz! Prezydenta interesował efekt końcowy: droga musiała być nowa, żadna łatanina. Jeśli coś nie grało, prezydentowi od razu donosili, następnego dnia przed jego gabinetem stała kolejka usłużnych informatorów, gotowych zająć od zaraz miejsce pechowego naczelnika.

Ilgar czasem zastanawiał się, jak z tym walczyć. I nic nie przychodziło mu do głowy. Bo można zwolnić z pracy jeden procent policjantów, można nawet dziesięć procent, ale jak tu wyrzucić i postawić przed sądem siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt procent? A do tego siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt procent celników, sędziów, inspektorów podatkowych, nauczycieli, lekarzy, a nawet dziennikarzy, którzy brali pieniądze, żeby kogoś pokazać w telewizji (albo żeby kogoś nie pokazać). Adwokat był kiedyś świadkiem, jak celnik na granicy z Gruzją domagał się od obcokrajowca stu dolarów jakiejś wymyślonej opłaty. Po krótkim targu - obcokrajowiec znał tutejsze obyczaje - stawka zeszła do pięciu dolarów. Podróżny zapłacił, ale skomentował: „No co, łapówka?”. Celnik obruszył się: „Jaka łapówka? To tylko szacunek dla naszej pracy!”.

Ilgar skończył studia, a potem zrobił doktorat, nie płacąc kopiejki. Zawziął się. Świetnie się uczył, ale kto wie, czyby się udało, gdyby nie wpływowy ojciec, z którym wykładowcy musieli się liczyć. Teraz było mu łatwiej - każdy chce dobrze żyć z adwokatem.

Miał sukcesy: udało mu się wywalczyć odszkodowania dla dwóch pracowników elektrowni, zwolnionych z pracy bez żadnych podstaw. To nie było co, bo dyrektorem elektrowni był kuzyn jednego ministra. Proces ciągnął się trzy lata, przeszedł przez wszystkie instancje, ale w końcu elektrownia przegrała. Wtedy pozwą złożyli inni zwolnieni, razem ponad sto osób, i elektrownia musiała pójść z nimi na ugodę. Tamtych pracowników też bronił bezpłatnie.

Sprawa Mameda była beznadziejna - chłop nie miał w ręku żadnej umowy, niczego. Dyrektor rynku powie, że nie ma znaczenia, kto gdzie stoi, policjant zaprzeczy, że kogoś przesuwają, świadkowie wystraszą się i nie złożą zeznań: w ostatniej chwili zachorują albo będą musieli pilnie wyjechać. Mamed pewnie zapomni w sądzie języka w gębie - jeśli w ogóle dojdzie do sądu. Tacy jak on zawsze dostają w tyłek.

- Mnie o sprawiedliwość idzie - Mamed powtarzał tymczasem swoje. - Dlaczego wyrzucają, skoro płacę i nie spóźniam się? Taki Fahreddin, gazeciarz, czasem dwa dni zalega z opłatą, a ja nigdy. Chociaż Fahreddin nie ma swojego miejsca: bierze kramik na plecy i przycupnie tu albo tam. Placowego z niego nie biorą, tylko tyle, co wsunie do kieszeni dyrektorowi i policjantowi.

- Ty też płacisz policjantowi? - spytał machinalnie Ilgar.

- Szyrwana tygodniowo. Przychodzi zawsze w niedzielę rano, bije mnie po mordzie, ja mu płacę i mam spokój. Znaczą, miałem spokój.

- Bije?! - adwokat ożywił się.

- No, bije, bije. Niech sobie bije, byle nie wyrzucał. Przecież mu płacę. To jak, pomożecie?

- Zaczekaj. - Ilgar uczeplił się tego bicia jak rzep psiego ogona. - Przecież policjant nie ma prawa cię uderzyć!

- Jak to nie ma prawa!? - obruszył się Mamed. - To po co państwo dało mu pistolet i pałkę? Porządek musi być, nic nie mówię.

Ilgar próbował jeszcze coś klarować, ale Mamed już go nie słuchał: bezpłatny adwokat to podejrzana sprawa, stary Fahreddin miał rację. Nawet ziemniaków nie chciał. Trzeba będzie pożyczyc od szwagra z dziesięć szyrwanów i dogadać się z dyrektorem rynku.

A kartofelki weźmie żona policjanta.

Dzienniki bakijskie (6)

23 grudnia 2002

Ktoś mi opowiedział historię: w jednej z wiosek w środkowym Azerbejdżanie panowała straszna nędza. Starszyzna uradziła, że trzeba mieć własnego policjanta. Znalaziono odpowiedniego kandydata, wioska zrzuciła się i wyprawiła chłopaka do szkoły policyjnej w Baku. Kiedy wrócił, ustawił się przy szosie i zaczął zarabiać. Szybko oddał długi, ale potem potracił go samochód - i cała wioska musiała składać się na pogrzeb.

20 maja 2003

Spotkanie w MSZ poświęcone prawom człowieka. Występuje doktor Rowszan Mustafajew, dyrektor Instytutu Praw Człowieka Azerbejdżańskiej Narodowej Akademii Nauk. Mówi, że ludzie nie znają swoich praw, zwłaszcza na prowincji. Na przykład: policjant zatrzymuje samochód i żąda łapówki (łapówka jest alternatywą mandatu, który należy się za wymagowane - albo rzeczywiste - wykroczenie). Otóż kierowca powinien wiedzieć, że nie musi płacić od ręki, że może poprosić o podstawę prawną albo odwołać się do przełożonych tego policjanta. On tego nie wie - i płaci, przyczyniając się do rozkwitu korupcji.

14 marca 2005

Konferencja poświęcona wiceministrowi spraw wewnętrznych Azerbejdżańskiej Republiki Demokratycznej i orientaliście (po upadku ARD pracował na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie), Sadygbejowi Agabejzademu (1865-1944)- Jeden z prelegentów mówi, że będąc w rządzie, Agabejzade rozliczał się z każdej kopiejki, na przykład za przejazd dorożką. Zachowały się rachunki!

Opowiada o tych rachunkach z dziesięć minut.

15 kwietnia 2007

Samir, brat Sabiny, która działa w organizacji polonijnej (ich babcia jest Polką, urodziła się tuż po

pierwszej wojnie w rumuńskich wtedy Czerniowcach, do dziś świetnie mówi po polsku i rumuńsku), dopiero co się ożenił. Mówi, że nie mają jeszcze z żoną żadnych przyjaciół, bo są na dorobku - przyjaciół trzeba co jakiś czas zapraszać, a to kosztuje. Nie wykpisz się byle czym, mówi, nie możesz trzymać ludzi o kanapkach, nie wystarczy czaj i domowa szarlotka. Goście nie rozumieją, odbiorą to jako afront, poczują się zlekceważeni i urażeni. Potem odpowiedzą, że potraktowaliśmy ich per noga.

Pir

Powiadają, że kiedy milicja przyjechała po Agę, ciężarówka odmówiła posłuszeństwa. To był stary zis 5, zwany w narodzie zacharem, milicjanci załadowali na niego ubogi dobytek Agi i chcieli ruszać? ale nie byli w stanie uruchomić silnika. Według innej wersji, zbuntowali się milicyjni kierowcy: jeden, drugi, trzeci, czwarty, wreszcie piąty, nie bacząc, że będą kłopoty, odmówili wykonania rozkazu. Tak czy inaczej, do eksmisji nie doszło i Aga do końca życia mieszkał w rodzinnym domu przy Ferdousiego 3 na bakijskiej starówce.

Tłumy ciągnęły do Agi, a władze były bezsilne. Kilka razy milicja zamykała cały kwartał, ale ludzi to nie odstraszało, przedzierali się opłotkami, piwnicami i po dachach. Funkcjonariusze też bywali różni: jeden ludzi gonił, inny przymykał oko, aby nie brać na siebie grzechu, a jeszcze inny za kilka rubli sam pokazywał, jak się przecisnąć, i po paru dniach zwijano posterunki, i odwoływano blokadę, aby się do reszty nie skompromitować.

Gdy Aga zmarł, nieprzebrane rzesze wypełniły ciasne uliczki starówki. Samochód z trumną torował sobie drogę z największym trudem. Co chwila ktoś próbował rzucić się pod koła, ale w zbitej ciżbie trudno było zrobić gwałtowny ruch 1 najbliżsi sąsiedzi bez trudu przytrzymywali szaleńca, póki

kondukt nie oddalił się na bezpieczną odległość. Matki podnosiły ponad głowy tłumy swoje małe dzieci, żeby te chociaż nóżką dotknęły karoserii auta, wiozącego świątobliwe zwłoki. Wcześniej rozegrała się bitwa o wodę, którą posługacze myli ciało Agi: dziesiątki mężczyzn, zagrzewanych przez swoje kobiety, walczyły o każdą kroplę, zbieraną do kubków, szklanek, menażek i butelek. Będą chronić tę wodę jak największą relikwię, podawać ciężko chorym, przemywać rany, zraszać wargi noworodkom.

Mówili na niego Aga, Ataga, Bejuk Aga, Mirmowsum Aga albo Sejid Ali. W dokumentach był zapisany jako Aga Sejid Ali Mir Abutalib oglu Mirmowsumzade. Urodził się w Baku w 1883 roku.

Ród miał się wywodzić od imama Husajna, wnuka Mahometa. Starszy brat Agi kształcił się w słynnych medresach w Nadżafie, ale studiował też nauki świeckie: matematykę, fizykę i astronomię. Wiemy, że zgromadził potężną bibliotekę. Młodszy brat, który spędził pół życia w Turcji i Francji i wrócił do Azerbejdżanu dopiero w latach trzydziestych, gdy rodzina postanowiła wreszcie go ożenić, był znanym oryginałem: nosił trencz, garnitur z gabardyny, szyte na miarę pantofle i wysokie kepi i nie rozstawał się z trzcinką. Jeździł na zmianę buickiem i tatrą, potem dokupił jeszcze sowieckiego GAZ-a M-I. Żył tak, jakby Związek Sowiecki w ogóle nie istniał. Wśród dalszej rodziny przewijają się nazwiska znanych w Azerbejdżanie uczonych, lekarzy, literatów, reżyserów.

Przed bolszewicką rewoltą dom przy Ferdousiego 3 odwiedzali bakijscy bogacze: Zejnałabdin Tagijew i Musa Nagi-jew. Na jednym ze spotkań zdecydowano o zwołaniu wiosną 1917 roku pierwszego zjazdu duchowieństwa szyickiego. Przywódcą muzułmanów, czyli szejk-ul-islamem Azerbejdżańskiej Republiki Demokratycznej został szwagier Agi, Achund Moł-ła Alizade.

Ale ludzie kochali Agę - prostego i nieuczonego, przykutego do krzesła, na którym spędził większość życia, zdeformowanego kalectwem.

Ludzie wierzyli, że Aga uzdrawia, a raczej że uzdrawia Bóg, ale za pośrednictwem Agi, którego Najwyższy wybrał, nazaczył. Nikt, nawet najbliżsi krewni nie umieli powiedzieć, na czym polegał ten dar i czy był w Adze od zawsze, czy też przyszedł dopiero później, gdy Aga sam był już ciężko chory (od urodzenia miał trudności z poruszaniem się i mówieniem, z latami paraliż pogłębił się i doszła silna osteoporoza).

Pielgrzymowanie do Agi zaczęło się w latach trzydziestych. Gości wprowadzała jego siostra Sakina-chanum, zwana Gończą, która poświęciła życie osobiste, aby się nim opiekować. Aga wysłuchiwał próśb i kładł dłonie na głowie przybysza (kiedy nie miał siły, fęce podnosiła mu siostra). Czasem chciał jeszcze coś powiedzieć, wtedy Sakina, która jako jedyna rozumiała mowę brata, tłumaczyła jego słowa. Aga obdarzał wszystkich pięknym, szczerym uśmiechem, ale najradośniej reagował na dzieci.

Gdy gości akurat nie było, Aga siedział przy oknie albo na podwórku (któryś z domowników wynosił go razem z krzesłem). Uśmiechał się do przechodniów i przelatujących ptaków, ruchem głowy odpowiadał

na pozdrowienia. Cieszył się, gdy go pytano, która jest godzina - unosił wtedy lekko lewą rękę, a ktoś, kto stał najbliżej, wyjmował mu z kieszonki wielką srebrną cebulę. „Dziękuję, Ago!” - mówił ten, który pytał, a Aga rozpromieniał się. Namiętnie palił kazbeki i ludzie nieraz wkładali mu do ust zapalonego papierosa, traktując to jako dobry uczynek albo drobną ofiarę.

Sławę Agi zwielokrotniła wojna. Żołnierze, którzy mieli jechać na front, szli do niego po błogostawieństwo. Przychodzili muzułmanie, prawosławni, żydzi, a nawet zdeklarowani ateści. Niektórzy zostawiali koszule. Ślubowali, że gdy szczęśliwie

1

wrócą, odbiorą je i złożą ofiarę, nazir (pieniądze zabierała Sakina-chanum: wydzielała drobną sumę na prowadzenie domu, resztę rozdawała potrzebującym). Wielu z tych, którzy wrócili, wierzyło, że uratował ich Aga. Opowiadali, że w krytycznej chwili wzywali go na ratunek, a potem czuli jego obecność. Ich historie zebrano w książce Ja Ataga Dżaddi!.., (Hej, Ojczulku Atago!...), wydanej już w niepodległym Azerbejdżanie.

Po wojnie potok pielgrzymów nie zmniejszył się, Aga przyjmował ich teraz każdego dnia, od rana do wieczora, i nie miał już chwili dla siebie. I tak do śmierci, do 17 listopada 1950 roku.

Grób Agi w Szuwalanach na Apszeronie szybko stał się pirem, świętym miejscem. Ciężko się było tam dostać - od Baku to szmat drogi, parędziesiąt kilometrów. Przybyszów spisywała milicja, co jakiś czas, pod pretekstem prac remontowych, w ogóle zamykano cmentarz. Ci, którym się udało, mówili, że promieniuje stamtąd niezwykła energia.

Azerbejdżan obiegały wciąż nowe historie o cudownych uzdrowieniach, jak ta o nauczycielce Asmar Hamidowej, która w 1973 roku trafiła z ciężką astmą do szpitala powiatowego w Kiurdamirze i lekarze nie dawali jej nadziei: Rankiem podeszła do mnie chora z sąsiedniej sali, mówiąc, że widziała we śnie Agę. Powiedział, że zabrał moją chorobę i że wkrótce będzie mi lepiej. Nie wiedziałam, co o tym myśleć, ale od tamtego dnia mój stan zaczął się poprawiać. I żyję w zdrowiu do dzisiaj. (Gadzi Nizam Gabib oglu, Georgij Zapletin,/a Ataga Dżaddi!..).

Natychmiast po upadku Związku Radzieckiego, bez względu na wojnę w Karabachu i panującą nędzę, ruszyła budowa mauzoleum. Budowali mieszkańcy Szuwalanów, bakijczycy i rodzina Agi, pieniądze dawał każdy, kto mógł. W ciągu kilku lat stanął okazały, marmurowy grobowiec. Po dekadzie imponujący meczet, jeden z największych w Azerbejdżanie, obłożony błękitną ceramiką w stylu perskim i połączony tarasem z kompleksem pielgrzymkowym: pomieszczeniami dla modlitwy, stołówkami, salą

konferencyjną i parkingiem. Kiedyś na Ferdousiego przychodzili mieszkańcy Baku i okolic, teraz do Szuwalanów zaczęli zjeżdżać całe Azerbejdżan.

Aga został świętym, bo za świętego uznali go ludzie, naród, nie ogłosiła tego żadna instancja i nie zatwierdziły żadne autorytety. To święty na ludzką miarę - z ułomnym ciałem, zdany na łaskę otoczenia, ze słabością do papierosów i lula-kebabu, z prostymi sprzętami, wśród których żył (dom Agi, w którym nadal mieszkają jego krewni, pozostał otwarty dla gości). Portrety Agi wiszą po domach, sklepach i warsztatach, a taksówkarze wożą ze sobą jego małe fotografie, z wersetami z Koranu na odwrocie, sprzedawane przy meczetach. "

Najczęściej spotykany wizerunek przedstawia wąsatego mężczyznę w ciemnym ubraniu i karakułowej czapce toczku. Mężczyzna siedzi na krześle, przywarły do oparcia całą powierzchnią pleców, ma konwulsyjnie skręconą prawą nogę i zaplecione ręce, głowa bezwładnie opada na piersi. Kiedy 22 maja 2002 roku do Baku przyleciał Jan Paweł II i po raz pierwszy w historii pontyfikatu nie zszedł z trapezu samolotu o własnych siłach, ale zjechał na podnośniku, a potem przemierzył odległość dzielącą go od trybuny, stojąc, z widocznym trudem, na ruchomej platformie, którą pchali ochroniarze, niejeden wspomniawszy Agę. Następnego dnia któraś z gazet zamieściła obok siebie ich fotografie - papieża i ludowego azerbejdżańskiego świętego - w podobnych, nienaturalnych pozach, z opuszczonymi głowami, cierpiących.

Stalinowska gazeta pisała: Ów „święty” jeszcze za życia stał się narzędziem najnikczemniejszego oszustwa, którego ofiarą padły tysiące prostych i niewykształconych ludzi.

Znany bakijski profesor, który jako dziecko został zaprowadzony do Agi, wspomina, że poczuł wstręt, obrzydzenie. Pamięta, że silnie rozboleła go głowa. Po takim doświadczeniu nie chciał mieć z Agą i z tamtą zatęchłą atmosferą nic wspólnego. Tych, którzy czczą Agę, profesor nazywa ciemnogrodem.

- On był takim wsiowym głuptasem, kaleką o umysłowości parolatka, bożym pomysłem, /Mrocznym - tłumaczy z zażenowaniem wybitny azerbejdżański ekspert (zażenowanie bierze się stąd, że ekspert wolałby mówić o rzeczach ważnych, nie o zabobonach). - Nie rozumiał, co się działo dookoła i czego wszyscy od niego chcieli, do każdego się uśmiechał, głąskał, chciał przytulić. Uzdrawienia? Nie było żadnych uzdrowień, ludzi uzdrawiała ich wiara w Agę, nie on sam. Statystyka mówi, że iluś tam chorych i tak zostałyby wyleczonych. Ale ludzie wolą wierzyć w cuda.

Po chwili ekspert jak gdyby nigdy nic opowiada, że gdy ich córka ciężko zachorowała, żona pojechała do Szuwalanów. (Wiedziałem, że kilka lat wcześniej rodzinną tragedię przeżywał tamten bakijski profesor - ale nie śmiałem zapytać, czy chadzał wtedy do piru).

Pirów jest w Azerbejdżanie kilkadziesiąt. Obok gigantów, jak mauzoleum Agi, są piry regionalne, otoczone kultem w jednej prowincji czy powiecie, i piry całkiem malutkie, odwiedzane przez mieszkańców najbliższych domostw. Niektóre piry leżą przy trasach przelotowych - w takich miejscach zawsze stoi

sznur samochodów. Najstarsze pochodzą z czasów przedislamskich, jak pieczara Aschab-i-kahf w Nachiczewanie, odnowiona staraniem prezydenta Alijewa, co dokumentuje tablica pamiątkowa.

Część pirów ma swoją specjalizację: pomagają na migreny albo na przewód pokarmowy, albo na problemy ze wzrokiem, albo na nerwice. Inne odwiedzają kobiety, które chcą mieć dziecko (bakijska klinika leczenia bezpłodności reklamowała się w prasie sloganem: „Nie musisz już chodzić do piru!"). piry najważniejsze, ogólnokrajowe, przyciągają wszystkich.

Nie ma sztywnych reguł, jak się zachować w pirze. W każdym jest trochę inaczej. Zazwyczaj zdejmuje się buty (jeśli pir jest w zamkniętym pomieszczeniu), trzy razy obchodzi się grób (jeśli jest grób), modli się. Potem spożywa się przyniesioną wałówkę albo zarzyna barana (obok powinien być hak do obdzierania tuszy ze skóry) i gotuje się na miejscu. Trzeba jeszcze pamiętać o datku, który zostawia się opiekunowi piru.

Pielgrzymowanie do pirów to sprawa osobista, intymna. Ludzie sami decydują, kiedy i dokąd pójść. Niektórzy latami przychodzą w jedno miejsce w tej samej intencji, inni objeżdżają kraj w poszukiwaniu piru, który do nich przemówi.

Azerbejdżkańscy uczeni niechętnie badają piry, mają je za coś wstydliviego, niegodnego dwudziestego pierwszego wieku i cywilizowanego społeczeństwa. Nauka zalicza piry do islamu zwanego „ciemnym", „ludowym", „niskim", „nieoficjalnym", w odróżnieniu od islamu „wysokiego" i „oficjalnego", reprezentowanego przez medresy, mułłów, muezinów i zarejestrowane meczety.

Ale czy pir w Buzownie, gdzie trzeba rozbić butelkę o kamień, albo pir Hasan w Mardakanie, w którym znachorka przypala ciała pątników zwitkiem karteluszek w kształcie papierosa, to jeszcze w ogóle islam?

Badacze, którzy mimo wszystko podjęli temat, wiążą rozkwit kultury pirów z odcięciem sowieckiego Azerbejdżanu od muzułmańskich centrów w Iranie, Iraku i Arabii Saudyjskiej. Ponadto władze, szykanując islam „oficjalny" - po siedemdziesięciu latach z półtora tysiąca meczetów zostało kilkanaście - przymykały na piry oko. Filozof Ali Abasow sięga głębiej w historię: Azerbejdżan, zauważa, był skolonizowany dłużej niż inne kraje muzułmańskie. Carska Rosja wykształciła kastę mułłów urzędników, mało biegłych w Koranie, ale lojalnych wobec władz. Miejskowa inteligencja gruntownie zeuropeizowała się i oderwała od ludu. Lud, zostawiony samemu sobie, zasklepił się w tradycji, wypaczając religijne dogmaty.

Badacze nie wiedzą, dlaczego po upadku Związku Radzieckiego piry nadal się rozwijają. Przecież można już pielgrzymować do Mekki, studiować w instytucjach islamskich (na miejscu lub za granicą), uczyć się arabskiego, czytać literaturę religijną. Może dlatego, że islam „oficjalny" kojarzy się z urzędową rutyną, władzą, „onymi", a piry są bardziej swojskie? Te dwa światy splótły się w rodzinie Agi, do której obok samego świętego i prostej Sakiny-chanum należał szereg gruntownie wykształconych teologów islamskich.

Przywódca muzułmanów, szejk-ul-islam Allahszukur Pa-szazade, wiele razy ganił niezgodne z islamem

azerbejdżańskie zwyczaje ślubne czy pogrzebowe. Ale pirów nie odważył się potępić.

W centrum Baku stoi pomnik przedstawiający kobietę, która zdiera z siebie czador. 8 marca 1927 roku dziesięć tysięcy azerbejdżańskich kobiet jednocześnie wyzwoliło się, odrzucając strój, zasłaniający twarz i figurę. Potem czadory widywało się sporadycznie - nawet po upadku ZSRR, gdy wróciła wolność religijna i istniała obawa, że szyicki Azerbejdżan podąży śladem Iranu.

Zasłony wróciły na przełomie wieków, najpierw nieśmiało, na prowincję i peryferie miast, potem na główne ulice Baku. Dziewczyny - bo najczęściej zasłaniają się bardzo młode kobiety - chcą zwykle pokazać, że są „inne”, że nie po drodze im z zepsutym światem. Niektóre zmusza konserwatywna rodzina. Ale pojawiły się już pierwsze wahhabitki.

Wahhabizm, czyli radykalny islam, to trzeci nurt po islamie „ludowym” i „oficjalnym”. Na razie, ze swoją sunnicką ideologią, nie stanowi większej siły. Na razie widzi się jeszcze spacerujące pod rękę przyjaciółki - jedna z głębokim dekoltem, a druga w czadorze. Na razie panuje równowaga. (Istnieje jeszcze nurt czwarty, skupia młodych, dobrze wykształconych muzułmanów, którzy gardzą pirami, ale też nie znajdują dla siebie miejsca w religii urzędowej, zbiurokratyzowanej. Przywódca nurtu İlgar İbrahimoglu uważa, że przesłanie islamu nie przeczy zachodnim koncepcjom praw człowieka).

Kiedy radykałowie, wzywający do oczyszczenia wiary z przesądów i zabobonów, podejmą walkę o rząd dusz, ich wrogiem, obok spasionego szejk-ul-islama, człowieka establishmentu, będzie Mirmowsum Aga, święty bez brody i kości, namiętny palacz, kaleka.

Dzienniki bakijskie (7)

20 lutego 2005

Aszura. Pojechaliśmy do Nardaranu na półwyspie Apszeron. To wieś ultrakonserwatywna, zasiedziała: kobiety noszą czadory, na murach (wysokie kamienne mury, ogradzające obejścia, łączą się ze sobą, zamieniając ulice w wąwozy) wymalowane są hasła religijne. Co jakiś czas dochodzi do starć z policją. Mężczyznę, zabitego w zamieszkach w czerwcu 2002 roku, Nardaran czci jako szahida, czyli męczennika, który poległ za wiarę w świętej wojnie. Policja twierdzi, że lęgną się tam spiski, wymierzone w świeckie instytucje państwa: podczas nalotów, w których bierze udział kilkuset policjantów (mniejsze oddziały zostałyby szybko wyparte), znajdowane są zwykle duże ilości broni.

Dwa centralne place Nardaranu noszą imiona imamów Alego i Husajna, sklepy we wsi nie prowadzą alkoholu. Mieszkańcy działają w Partii Islamskiej, organizują protesty w obronie ziomków, którzy akurat siedzą w więzieniu, walczą o tańszy gaz (ogrzewają nim szklarnie, które przynoszą podobno niezły dochód). Działa samopomoc sąsiedzka. Jeśli gdziekolwiek w Azerbejdżanie można mówić o społeczeństwie obywatelskim, to właśnie w Nardaranie.

To ważne centrum pielgrzymkowe. Według tradycji spoczywa tam Rahima, siostra siódmego szyickiego imama Musy

Kazima, ciotka imama Rezy. Jej grób jest znanym pirem i od dawna ściąga tłumy. W późnych latach dziewięćdziesiątych wokół mogiły zbudowano meczet, prawdopodobnie największy w kraju. Z zewnątrz wyłożony jest piaskowcem, od środka - zielonym marmurem. Powstał bez udziału władz, a nawet wbrew władzom.

Tego dnia pielgrzymów było kilkanaście, może kilkadziesiąt tysięcy. Droga do wsi była zamknięta: dla samochodów wydzielono parking. Stamtąd kursowały do piru prywatne auta, oznaczone przymocowaną do maski szarfą z arabskim napisem (nazwaliśmy je „dżihad taxi”, przejazd był za darmo). Ruchem kierowali porządkowi - miejscowe chłopaki z opaskami na ramionach. Żadna policja, żadna straż miejska, a jednak potrafili urządzić wszystko perfekcyjnie, bez korków i zgrzytów. Widać było, że są u siebie, że czują się gospodarzami. Przypominali służbę kościelną w czasach pierwszych pielgrzymek Ojca Świętego do Polski.

18 marca 2005

Architekt R. mówi, że w Azerbejdżanie wszyscy piją. Poza, zaznacza, silnie wierzącymi. Zaznacza to z przekąsem, z tonem wyższości, jaką rodowity bakijczyk, bakiniec, odczuwa wobec prowincjusza, który nie mówi nawet porządnie po rosyjsku. Wierzących nie ma dużo, ot, garstka fanatyków.

R. jest przekonany, że zna swój kraj i naród od podszewki. Pytam go, czy był w Nardaranie. Patrzy na mnie, jakbym się urwał z choinki: a po co tam jeździć?

10 maja 2006

Emilowi zebrało się na zwierzenia:

- Kiedy myślę o tym, co działo się w Azerbejdżanie i Baku piętnaście czy dwadzieścia lat temu, nie chce mi się wierzyć, że to wszystko przeżyliśmy. Czy to naprawdę było nasze życie?

Jakby się bał, że pomylił własne wspomnienia z oglądanym w dzieciństwie filmem.

Iczeri Szeher

Scenariusz Szamila Alijewa zaczyna się od papierowych jaskółek: para nastolatków składa je na dachu starego domu i puszcza jedną za drugą w powietrze. Jaskółki szybują nad Miastem Wewnętrznym, krążą w ciasnych uliczkach, wpadają na podwórka. Kamera śledzi ich lot.

Na rozwidleniu zaułków stoi starszy, niechlujnie ubrany mężczyzna, włosy targa mu wiatr. Mężczyzna donośnym głosem recytuje wiersz. Wariat? Prorok? Jedna z jaskółek pada mu wprost pod nogi.

Za stołem w staromodnym salonie siedzi kilka osób, o czymś gorączkowo rozprawiają. Jaskółka wślizguje się przez okno, ląduje na podłodze. Spostrzega ją chłopczyk, który wbiegł z drugiego pokoju, podnosi, podrzuca parę razy do góry, w końcu ta spada na stół; ktoś strąca ją z powrotem na podłogę. Chłopczyk znów bierze jaskółkę i tym razem wypuszcza przez okno. Długo patrzy w ślad za nią.

Uliczką idą dwaj Bracia: Starszy i Młodszy. Młodszy machinalnie łapie przelatującą jaskółkę i pakuje do

teczki z laptopem. Bracia wchodzą do domu. Kilka białych, papierowych ptaków ciągle krąży w powietrzu.

Na dachu starego domu chłopak i dziewczyna sięgają po nową ryzę białego papieru.

Po Mieście Wewnętrznym chodzi się gęsiego. Uliczki nie znają kątów prostych - wiją się esami-floresami, kluczą, flankują tysiącletnie meczety i karawanseraje, pną się pod górę i stromo opadają w dół. Kamienne domy, przyklejone jeden do drugiego, przypominają fortece. Tu i ówdzie wyrastają z fasad przeszklone werandy, zwane szuszebendami, które niemal dotykają domów naprzeciwko. Wystarczy kilka szuszebendów, by uliczka zamieniła się w tunel.

Specjalnie tak budowano. Baku to miasto wiatrów, tutaj wieje trzysta dni w roku. Latem ciągnie z południa gorący i suchy gilawar, zimą dmie północny chazri, który może obniżyć temperaturę o dziesięć stopni (meteorolodzy mówią: bakijski nord). Wiatry ze wschodu przynoszą zmianę pogody. Nadciągają znaną z morza, ale rodzą się w Azji, taszczą ze sobą tony pyłu i piachu, wdzierają się do gardła, zatykają uszy i nos, wyciskają łzy. Potrafią przestawiać auta i łamać drzewa. W labiryncie zaułków wiatr traci impet, łagodnieje; nie narobi szkód. Zawsze jest tu też dość cienia, by schronić się przed palącym słońcem.

W gorących miesiącach życie toczy się w ciągu dnia na podwórkach i w szuszebendach, a po zmroku na płaskich dachach, z których widać zatokę. Od ciekawskich spojrzeń odgradzają domowników mury i bramy, dachy obstawia się parawanami. Czasem przez uchyloną furtkę widać fragment podwórza -siedzących w kucki mężczyzn, którzy grają w tryktraka i popijają czaj, kobiety szykujące posiłek, bawiące się dzieci. Ale przybysz ma wrażenie, że to on jest obserwowany, że czujne oczy śledzą go zza węgła, z szuszebendów, z niewidocznych zakamarków.

Miasto Wewnętrzne leży w sercu Baku, ale nikomu nie przy-szłoby do głowy powiedzieć, że to centrum czy śródmieście. Mało tego: nikt nie powie, że to Baku. Tak jakby Baku zaczynało się dopiero za murami. Co prawda, nikt też nie zaprzeczy. „Jasne, że Baku” - potwierdzi przechodzień, zagadnięty przez turystę. Ale na co dzień mówi się właśnie: Miasto Wewnętrzne, Iczeri Szeher. Albo krócej: Kriepost' (twierdza, forteca).

Poza turystami nikt się tam nie zapuszcza. Nie ma potrzeby. Od spacerów jest bulwar nadmorski, od zakupów - ulica Niza-miego, zwana po starym Targową. Można wpaść do jednej ze stylowych knajpek w dawnym karawanseraju, ale te ulokowały się na obrzeżach Iczeri. Podobnie, jak muzeum Szyrwansza-chów, do którego spędza się szkolne wycieczki.

Dla bakijszczyków Miasto Wewnętrzne to peryferie, jak Mar-dakan, Nardaran, Gala, Zira i inne osiedla

Apszeronu, które administracyjnie należą do stolicy, ale w rzeczywistości tworzą odrębne mikroorganizmy. Ludzie są tam zasiedzali, gorliwie religijni, mówią własnym dialektem. Przyjezdnych prawie nie ma, chyba że ktoś wżeni się albo odziedziczy dom.

Na mieszkańców Krieposti mówi się w Baku kriepostnyje. Po rosyjsku to znaczy „forteczni”, „pochodzący z twierdzy”, ale także - „chłopi pańszczyźniani”.

Przez wieki nie było innego Baku, całe miasto ograniczało się do Iczeri Szeher. To były kresy Orientu, stolica odległej perskiej prowincji. Nie powstały tu sławne manufaktury, akademie ani skryptoria. Ale - sądząc z zachowanych karawan-serajów - kwitł ożywiony handel. Miasto leżało na szlaku, wiodącym z południa na północ i znad Morza Kaspijskiego na zachód; przez morze pływano do Persji i Turkiestanu. Ap-szeron był celem kupców sam w sobie: wywożono stąd sól, szafran i ropę naftową, która służyła w średniowieczu do leczenia chorób skórnych i wytwarzania „ognia greckiego”. Już wtedy przynosiła majątek.

Miasto rosło też na cudzym nieszczęściu. Gdy trzęsienie ziemi zrujnowało Gandzę, Szyrwanszachowie ustanowili tu stolicę. Upadek Bardy, złupionej przez Tamerlana, przyniósł

Baku rozkwit - z tamtych czasów pochodzi większość zabytków Miasta Wewnętrznego. W połowie dziewiętnastego wieku, po kolejnym trzęsieniu ziemi, legnie w gruzach gubernialna Szemacha - i Rosjanie przeniosą do Baku siedzibę guberni.

Miasto dzieliło się na kwartały, w każdym był meczet i łaźnia. W najwyższym punkcie - Baku to naturalny amfiteatr - Szyrwanszachowie zbudowali swą siedzibę, okazały kompleks pałaców, meczetów, mauzoleów i hamamów. Sprawami państwowymi szach zajmował się w Dywanhanie (Pałacu Rady); w największej z sal udzielał audiencji i sądził poddanych. Przewodnicy chętnie pokazują turystom otwór w podłodze, z którego w trakcie procesu sterczała głowa oskarżonego (bezpośrednio pod salą był zindan, więzienie). Po jego ścięciu (rzadko zapadał inny wyrok) trup spadał do lochów, a stamtąd spływał podobno kanałem do morza.

Ujście kanału mogło znajdować się w okolicy Baszty Dziewiczej, najbardziej niesamowitej budowli kraju. Trzydziesto-metrowy kolos ma kształt cylindra, od którego odchodzi niższa o dwa metry przypora. Karbowane ściany są grube na pięć metrów, wykuto w nich schody oraz szyb studni, z której czerpano słodką wodę. Jak wszystko w Mieście Wewnętrznym, Basztę wzniesiono z ociosanych bloków wapienia. W dzisiejszym kształcie istnieje od dwunastego wieku, ale niższe partie z pewnością powstały wcześniej, może w pierwszych wiekach naszej ery.

Baszta wyróżnia się z systemu fortyfikacji, wielokrotnie przewyższa pozostałe baszty, wieże i dożony, góruje nad miejskimi murami. Z jej okien trudno razić napastników, wszystkie skierowane są do góry, w niebo.

Nikt dokładnie nie wie, dlaczego powstała. Jedni uważają, że była zaratusztriańską świątynią, inni, że obserwatorium astronomicznym, jeszcze inni, że latarnią morską. Mogła być tym wszystkim, ale jest

także pomnikiem fantazji i pychy, odwiecznych marzeń o gwiazdach.

Naftowa gorączka z końca dziewiętnastego wieku nie dotknęła Miasta Wewnętrznego, wszystko działa się za murami. Przez parę dziesięcioleci wyrosło tam inne Baku, niepodobne w niczym do Iczeri Szeher, do starego Orientu. Do reszty Azerbejdżanu.

Pierwsze ulice nowego miasta wytyczono wokół murów, stanęły przy nich pałace bogaczy naftowych i ich kantory, a także hale targowe, urzędy i świątynie obcych, chrześcijańskich wyznań. Potem poszły kwartały kamienic czynszowych - solidna, mieszczańska architektura, przypominająca Wiedeń lub Paryż. Za nimi rozlały się dzielnice naprędce kleconych slumsów i lepianek. Gnieździły się w nich tysiące i tysiące biedaków, przybyłych ze wszystkich stron Rosji, z Persji i z Turcji w nadziei na odmianę losu. Dalej były pola naftowe - las wież wiertniczych zadymione rafinerie, połyskujące wszędzie kałuże ropy.

Liczba ludności w krótkim czasie zwiększyła się kilkanaście razy i przed pierwszą wojną osiągnęła dwieście tysięcy.

Zachowała się fotografia przedstawiająca karawanę wielbłądów, która stanęła na popas w centrum miasta. Zwierzaki są brudne i skołtunione, na pewno szły od wielu dni. Na grzbietach dźwigają misterne konstrukcje ze skrzyń, pakunków, worków, bel i węzłków. Poganiacz w baranej czapie i wyświechtanym kaftanie ma turkmeńskie rysy; obojętnie patrzy w obiektyw. Nie wiadomo, dlaczego zatrzymał karawanę w tym miejscu. Na drugim planie widać bogaty, dwupiętrowy dom o klasycystycznej fasadzie, przed nim stoi elektryczna latarnia. Prostopadłą ulicą nadjeżdża samochód. W oddali dymi komin fabryczny.

Zdjęcie zrobiono w dwudziestym wieku, na początku drugiej dekady. Azerbejdżan był ciągle na pół koczowniczy, niepiśmienny, feudalny, persko-turecki. Baku musiało jawić się

wędrowcom niczym fatamorgana, miraż, przywidzenie. Architekt Płoszko właśnie kończył budowę sześciokondygnacyjnego hotelu Nowa Europa przy ulicy Górczakowskiej. Secesyjno--konstruktywistyczna fasada kryła żelbetowy szkielet, wówczas cud techniki. W środku były cztery windy, pokoje miały łazienki i ogrzewanie parowe, instalacje elektryczne puszczone pod tynkiem. Zarządzeniem gubernatora każdy statek zawijający do bakijskiego portu musiał przywozić ze sobą, prócz własnego towaru, ziemię i sadzonki drzew. Wkrótce na nieużytkach zakwitły ogrody i parki. Tu nie było rzeczy niemożliwych.

Baku było Dubajem tamtych czasów, też powstało na surowym korzeniu, na piasku i skale, w środku niczego. Dubaj pozostał jednak arabski, natomiast Baku zignorowało Orient, odwróciło się do niego

plecami. Kraj był podbity, był kolonią, od początków dziewiętnastego wieku rządili nim namiestnicy z Petersburga, ochraniani przez rosyjskie garnizony, interesy życia robili obcy: Rothschildowie, Noblowie, Siemensowie. Azerbejdżanie, którzy dochodzili do majątków, też snobo-wali się na europejskość: wypoczywali u wód w Baden-Baden, dzieci powierzali angielskim guwernantkom, pałace zamawiali u polskich, niemieckich i włoskich architektów. Tylko ich żony cały czas zasłaniały twarze.

Baku kontrastowało z Azerbejdżanem swym oszałamiającym bogactwem, ale jeszcze bardziej - swoją europejskością. Było wyspą Zachodu w Azji, choć pośrodku tej wyspy tkwił skrawek Wschodu - Miasto Wewnętrzne.

Porzekadło głosiło: kto spędził rok wśród bakijskich królów nafty, nie ma szans na powrót do cywilizowanego świata. Baku przypominało inne miasta, które gwałtownie rozwinęły się w epoce nieokiełzanego, brutalnego kapitalizmu. Do zachodniej chciwości i żądzy zysku doszły tu wschodnia przebiegłość i wyrafinowane kaukaskie okrucieństwo. Nafciarze musieli zatrudniać prywatne armie: codziennością stały się zamachy, podpalenia, porwania dla okupu (bywało, że ochrona sama kazała się zatrudniać, składając wystraszonym przemysłowcom propozycje nie do odrzucenia). Tropy na zawsze znikwały w szybach naftowych.

W walce o zysk na dalszy plan schodziła narodowość: wspólne interesy łączyły mocniej niż religia i język, zresztą wszyscy mówili po rosyjsku. Wytworem wielokulturowego Baku stał się bakiniec, człowiek, który bardziej niż z czymkolwiek innym identyfikował się ze swoim miastem. Bakiniec był bratem lodzermenscha, kosmopolitycznego obywatela Łodzi, która w tym czasie na drugim krańcu Rosji zbijała kokosy na bawełnie. Tamten chętniej niż rosyjskim posługiwał się „lo-dzerdeutschem”, ale był równie cyniczny i pozbawiony skrupułów i tak samo kochał się w blichtrze i zbytku. Są to ludzie przeważnie bez zasad politycznych - pisał o lodzermenschach Stefan Górski. - Ojczyznę znaleźli na gruncie łódzkim. Przywiązali się do miasta i dzisiaj są bardzo patriotycznymi lodzer-menschami.

Symbolem tamtej Łodzi może być tableau wiszące w prawosławnej parafii Aleksandra Newskiego. Przedstawia fabrykantów, którzy finansowali budowę soboru: są tam katolicy, ewangelicy, żydzi i bodaj jeden prawosławny. Zrządzeniem losu w tych samych latach w Baku też powstał sobór Aleksandra Newskiego. Donatorami byli chrześcijanie różnych wyznań, żydzi i muzułmanie. Świątynię zaprojektowali Niemiec Marfeld i Polak Gosławski. Zburzono ją na rozkaz Stalina, razem z meczetem Bibi Ejbat i katolickim kościołem Niepokalanego Poczęcia NMP.

W książce Toma Reissa Orientalista znalazła się fotografia: pod choinką siedzi trzydziestka dzieci, obok nich stoi kilka kobiet, wyglądających na opiekunki. Dzieci są starannie ubrane, widać, że pochodzą z bogatych domów. Jeden chłopiec ma już mundurek gimnazjalny. Podpis głosi:

„Muzułmańsko-żydowskie przyjęcie bożonarodzeniowe w Baku, rok 1913”. Nie do wiary? No, ale czym jest Łódź, jeśli nie cudem - zastanawiał się pisarz Jechiel Jeszaja Trunk. Czym było Baku, jeśli nie cudem?

Umm el-Banu była wnuczką dwóch plutokratów, Szamsi Asa-dułłajewa ze strony ojca i Musy Nagijewa ze

strony matki. Urodziła się w Baku pod koniec niespokojnego 1905 roku. W dzieciństwie lubiła bawić się z kuzynami w pogromy Ormian. Ich ofiarą padała Tamara, córka dalekiego krewnego i jego ormiańskiej żony:

- Tamaro, ty podia, pieprzona Ormianko! - deklamował Ali, szczypiąc ją w rękę.

(Kulinarne określenie „pieprzony”, połączone ze słowem „Ormianin”, z niejasnych dla nas powodów składało się na wyzwisko).

Tamara syczała z bólu, ale potem z miną osoby pogodzonej z losem wzdychała i spuszczała swoją śliczną główkę.

- Tamaro, daj, poprawię ci twój garbaty ormiański nos! -krzyczał wtedy Asad i z całej siły ciągnął ją za maleńki i zupełnie prosty nos.

Dla rzesz robotników, rzemieślników, drobnych kramarzy, właścicieli czajchan, woziwodów, pucybutów i reszty miejskiego plebsu byłby to powód, aby sięgnąć po nóż. W odróżnieniu od bakińców, pozostali mieszkańcy Baku byli po prostu Azerbejdżanami, Ormianami, Persami, Żydami, Rosjanami. Każdy trzymał ze swoimi.

Umm el-Banu pisała: Znaczna część azerbejdżańskiego i ormiańskiego społeczeństwa Baku brała czynny udział w procesie wzajemnego wyrzynania się. Tegoż roku Ormianie - akurat lepiej zorganizowani - trzebili Azerbejdżan, mszcząc się za poprzednie krzywdy. Jeśli chodzi o ostatnich, to, z braku lepszego pomysłu, czerpali z zajęć pożywkę dla przyszłych pogromów. W ten sposób każdy tak czy owak miał co robić, oczywiście z wyjątkiem licznych nieszczęśliwców, którzy w trakcie wypadków położyli głowę.

Trzynastoletnia el-Banu mówiła płynnie po azerbejdżańsku, francusku, angielsku, niemiecku i rosyjsku, interesowała się literaturą i muzyką. W tym czasie, po zawirowaniach pierwszej wojny światowej i obu rosyjskich rewolucji, Baku zostało stolicą niepodległego państwa. Ojciec dziewczynki, Mirza Asadułajew, zasiadł w parlamencie, a potem objął tekę handlu i przemysłu. Spokój nie trwał długo:

Miesiąc później odszedł dziadek Musa. Zgodnie z wolą zmarłego my, jego cztery wnuczki, odziedziczyłyśmy niesłychany majątek, ogromny nawet jak na Baku, gdzie milionerów było na pęczki. Szyderczy los uczynił mnie multimilionerką w wieku trzynastu lat i dostownie na kilka dni, gdyż pewnego ranka zostałam obudzona dźwiękami Międzynarodówki, wyśpiewywanej ochoczo przez całą ulicę. Wstałam i zobaczyłam żołnierzy, którzy różnili się wyglądem i umundurowaniem od azerbejdżańskich. To byli Rosjanie. Nocą jeden jedyny pociąg pancerny przekroczył mniemaną granicę efemeryczno-niepodległej Republiki Azerbejdżańskiej i wysadził na dworcu śpiącego Baku oddział Armii Czerwonej. To wystarczyło. W mgnieniu oka, bez jednego wystrzału, przestało istnieć azerbejdżańskie wojsko. Umarła Republika, jej obywateli przejęła Rosja.

Na własne oczy widziałam koniec świata.

W wieku piętnastu lat Umm el-Banu wyszła za mąż. Cztery lata później, po ucieczce przez Konstantynopol i pospiesznym rozwodzie, osiadła w Paryżu. Pracowała jako ekspedientka i modelka,

była sekretarką, tłumaczyła literaturę rosyjską i niemiecką. Wreszcie zaczęła pisać. Pod pseudonimem Banine weszła na salony: zaprzyjaźniła się z Ernstem Jungerem i André Malraux, bywała u Wiery i Iwana Buninów, korespondowała z Nikosem Kazantzakisem. Wydała dużo książek, ale żadna nie dorównała popularnością cytowanym *Jours caucasiens* (Kaukaskim dniom), które ukazały się ze wstępem Jiingera.

Do Baku nigdy nie przyjechała. Najpierw nie mogła, pochodziła z klasy skazanej w Związku Sowieckim na niebyt. Potem nie chciała. Z miasta jej dzieciństwa zostały same mury.

Zmarła w 1992 roku. Azerbejdżan, który już zdążył ogłosić niepodległość - po raz drugi w dwudziestym wieku - znowu pogrążył się w chaosie i wojnie.

* * *

Komunistyczne Baku było ciągle wielonarodowe. Zniknęli kapitaliści, ale przetrwało sporo ormiańskiej, żydowskiej i rosyjskiej inteligencji, artystów, starej daty inżynierów. Dzięki nim miasto pozostało miastem, nie stało się dodatkiem do pól naftowych i rafinerii.

Siła, jaka tkwiła w etnicznym melanzu, w zderzeniu języków i kultur, w micie miasta, gdzie wszystko musi się udać, wypłynęła w nauce i sztuce. Tworzone od podstaw wyższe uczelnie - tylko Uniwersytet Bakijski pamiętał czasy Azerbejdżańskiej Republiki Demokratycznej - po kilku latach konkurowały z uczelniami z Moskwy, Kijowa i Leningradu. Rodzili się genialni muzycy.

Tutaj wyrosli: Lew Landau (fizyk, noblista), Mściśław Ro-stropowicz (wirtuoz wiolonczeli), Richard Sorge (as wywiadu ZSRR), Rustam Ibrahimbekow (scenarzysta Nikity Michaj-kowa, laureat Oscara), Wagif Mustafazade (pianista i kompozytor jazzowy), Muslim Magomajew (śpiewak). Później - Garri Kasparow (szachowy mistrz świata).

Z Baku pochodzi wielki matematyk Lotfi Asker Zadeh, od końca lat pięćdziesiątych profesor Uniwersytetu w Berkeley. Zadeh zerwał z klasyczną logiką dwuwartościową, która rozróżnia jedynie prawdę i fałsz, i dał światu „logikę rozmytą” {fuzzy logie). W jego logice, podobnie jak w życiu, pomiędzy prawdą a fałszem rozciąga się szereg wartości pośrednich.

Wkrótce w Baku znów pojawili się bakińcy. Była to inteligencja: lekarze, pisarze, uczeni. Z czasem pojęcie zdemokratyzowało się, objęło wszystkich, którzy uważali Baku za swoją ojczyznę, bakińcem mógł się teraz nazywać nawet zwykły szofer albo krawiec. (Choć trzeba pamiętać, że w Baku nie było zwyczajnych krawców, tylko sami artyści: arcymistrzowie nożyczek, czarodzieje igły, kaukascy Pierre Cardinowie i Christianowie Diorowie. Zwyczajnych szoferów też zresztą nie było).

Bakijski szansonista, Ormianin Borys „Boka” Dawidjan śpiewał: „Jest taki naród - bakińcy”. Tutaj ustępowało się miejsca kobietom, przepuszczało je w drzwiach, pomagało nieść zakupy. Nie wypadało nie chodzić do teatru, nie czytać książek. Bakińców, pisał polski podróżnik Marek Lech, wyróżniała „otwartość, dobroduszość i radosno-spontaniczne podejście do życia”. Baku wykreowało się na kaukaski eden, szczęśliwą syntezę Wschodu i Zachodu.

Jedynie Iczeri Szeher nie chciało się zbakinizować.

Apogeum dolce vita były lata siedemdziesiąte. „Jaki islam?” -wzruszali ramionami bakińcy, gdy przyjezdny dziwił się, że dziewczęta chodzą w krótkich spódniczkach, że w knajpach leje się wino, że na dyskotekach grają twista (dekadę wcześniej wyszedł z podziemia jazz). „Jaki komunizm?” - puszczało oko, gdy nabrali do gościa zaufania.

Hejdar Alijew, który wtedy rządził, pielęgnował bakiński mit, sprzedawał go Moskwie jako swój sukces: oto na styku Europy i Azji wyrosło internacjonalistyczne miasto, wolne od przesądów narodowych i religijnych. Na dodatek Baku samo się zrusyfikowało - Ormianie musieli dogadywać się jakoś z Azerbejdżanami, Rosjanie z Żydami, Lezgini z Tatyszami, Niemcy z Kurdami. Fason wymagał ruszczyzny bezbłędnej, literackiej, błędy albo zbyt silny akcent zdradzały prowincjusza, zaraz pojawiały się uśmiechy i żarciki, choćby dobroduszne, ale niewolne od poczucia wyższości.

Prawdziwą elitą, spadkobiercami Nfagijewów, Tagijewów i Asadułtajewów, nie byli jednak pisarze ani muzycy - choć tym powodziło się nieźle, Alijew dawał im mieszkania i wysokie stypendia - ale krewni pierwszego sekretarza, jego protegowani, krewni protegowanych, protegowani krewnych. Ludzie władzy. Leninowską ideologię pojmowali jako rytuał, swoistą etykietę, obowiązującą na dworze moskiewskiego padyszacha; obchodziła ich własna kiesa i p0 ciChu prywatyzowali Azerbejdżan.

Bakińcy, też dalecy od ideologii, mimowolnie wzmocniali system. Byli tubylczą elitą kolonii.

Prowincja nie cierpiała Baku i miejskiej, kosmopolitycznej kultury. Bo czy to do pomyślenia, żeby czuć się przybłądą we własnym kraju? A tak się czuł ktoś, kto przyjeżdżał do stolicy z Agdaszu, Sabirabadu czy Karabachu i stawał na placu przed dworcem, oszołomiony ulicznym ruchem, hałasem, spalinami (kontrast między Baku a resztą Azerbejdżanu, może z wyjątkiem dwóch, trzech miast, niewiele się przez sto lat zmniejszył). W tramwaju, sklepie, nawet w urzędzie kazali mu mówić po rosyjsku, milicjanci na każdym kroku wołali pieniądze. Tylko czasem jakaś dobra dusza pokazała, jak skorzystać z metra albo przejść przez ulicę.

W oczach prowincji Baku było pijawką, która wysysa soki z całego kraju - to dlatego w Agdaszu, Sabirabadzie i Karabachu trudno cokolwiek kupić, nie ma dróg i miesiącami czeka się na wypłatę. Wystarczyło jednak, że komuś się poszczęściło, że uśmiechnął się los, a bez namysłu przeskakiwał na drugą stronę barykady, porzucając dotychczasowe życie: teraz bieda nie ubodzie, nie zabraknie chleba, skończy się dziadowanie!

Baku było jak obca, lepsza planeta. Zamieszkać w Baku -1° znaczyło złapać Pana Boga za nogi_

Z nadejściem pierestrojki bakiński mit rozwiązał się jak fatamorgana. Setki podwórek, na których dorastali Azerbejdżanie i Ormianie, tysiące przyjaźni na śmierć i życie, mieszane małżeństwa - wszystko zmyła fala nacjonalizmu. Zamiatane pod dywan urazy i uprzedzenia przy pierwszej okazji wylazły na wierzch. Choć to był dywan wschodni, wielobarwny, kunsztownie tkany.

Zaczęło się od pogromu w Sumgaicie: w lutym 1988 roku w przemysłowym mieście, leżącym od Baku na wyciągnięcie ręki, zginęło dwudziestu sześciu Ormian. Zabili ich sąsiedzi: nie ci najbliżsi, nie z tego samego domu - ale z tej samej ulicy, dzielnicy, osiedla. W zamieszkach, które trwały trzy dni, zginęło również pięciu Azerbejdżan i jeden Lezgin.

Ija Iwanowna myślała, "że zna miasto na wylot. Była przedszkolanką, mieszkała w Sumgaicie od samego początku, od późnych lat czterdziestych. Wychowała tysiące dzieci wszystkich możliwych w tym kraju narodowości. Zszokowana opowiadała dziennikarzom, że przecież wcześniej żyło się zgodnie: chodziło się do siebie na wesela i pogrzeby, pożyczano pieniądze do pierwszego (mówiła ekspresyjnie i była Rosjanką, więc gazety chętnie ją cytowały). Nie rozumiała, dlaczego wybuchła nienawiść. W Sumgaicie chyba nikt nie rozumiał.

Bakińcy też nie rozumieli - tylko łudzili się, że znają Baku > Azerbejdżan. Krąg ludzi, dla których narodowość i religia naprawdę nie miała znaczenia, okazał się niewielki, nawet w stolicy. Poza miastami narody żyły oddzielnie, nie było azerbejdżańsko-ormiańskich wsi ani małżeństw mieszanych, ażdy w pojedynkę pielęgnował swą krzywdę, Azerbejdżanie, w czasach Banine, rozpamiętywali dawne pogromy i wierzyli ormiański spisek. Ormianie bali się „Turków” i chcieli Gaó^SZelk3 cenę przyłączyć do Armenii - na razie sowieckiej -r S 1 Karabach, gdzie byli w zdecydowanej większości. Pie-r^jka ośmieliła jednych i drugich.

Prawdziwą elitą, spadkobiercami Nagijewów, Tagijewów i Asadułajewów, nie byli jednak pisarze ani muzycy - choć tym powodziło się nieźle, Alijew dawał im mieszkania i wysokie stypendia - ale krewni pierwszego sekretarza, jego protegowani, krewni protegowanych, protegowani krewnych. Ludzie władzy. Leninowską ideologię pojmowali jako rytuał, swoistą etykietę, obowiązującą na dworze moskiewskiego padyszacha; obchodziła ich własna kiesza" i po cichu prywatyzowali Azerbejdżan.

Bakińcy, też dalecy od ideologii, mimowolnie wzmocniali system. Byli tubylczą elitą kolonii.

Prowincja nie cierpiała Baku i miejskiej, kosmopolitycznej kultury. Bo czy to do pomyslenia, żeby czuć się przybłądą we własnym kraju? A tak się czuł ktoś, kto przyjeżdżał do stolicy z Agdaszu, Sabirabadu czy Karabachu i stawał na placu przed dworcem, oszołomiony ulicznym ruchem, hałasem, spalinami (kontrast między Baku a resztą Azerbejdżanu, może z wyjątkiem dwóch, trzech miast, niewiele się przez sto lat zmniejszył). W tramwaju, sklepie, nawet w urzędzie kazali mu mówić po rosyjsku, milicjanci na każdym kroku wołali pieniądze. Tylko czasem jakaś dobra dusza pokazała, jak skorzystać z metra albo przejść przez ulicę.

W oczach prowincji Baku było pijawką, która wysysa soki z całego kraju - to dlatego w Agdaszu,

Sabirabadzie i Karabachu trudno cokolwiek kupić, nie ma dróg i miesiącami czeka się na wypłatę. Wystarczyło jednak, że komuś się poszczęściło, że uśmiechnął się los, a bez namysłu przeskakiwał na drugą stronę barykady, porzucając dotychczasowe życie: teraz bieda nie ubodzie, nie zabraknie chleba, skończy się dziadowanie!

Baku było jak obca, lepsza planeta. Zamieszkać w Baku - to znaczyło złapać Pana Boga za nogi.

Z nadejściem pierestrojki bakiński mit rozwiął się jak fatamorgana. Setki podwórek, na których dorastali Azerbejdżanie i Ormianie, tysiące przyjaźni na śmierć i życie, mieszane małżeństwa - wszystko zmyła fala nacjonalizmu. Zamiatane pod dywan urazy i uprzedzenia przy pierwszej okazji wylazły na wierzch. Choć to był dywan wschodni, wielobarwny, kunsztownie tkany.

Zaczęło się od pogromu w Sumgaicie: w lutym 1988 roku w przemysłowym mieście, leżącym od Baku na wyciągnięcie ręki, zginęło dwudziestu sześciu Ormian. Zabili ich sąsiedzi: nie ci najbliżsi, nie z tego samego domu - ale z tej samej ulicy, dzielnicy, osiedla. W zamieszkach, które trwały trzy dni, zginęło również pięciu Azerbejdżan i jeden Lezgin.

Ija Iwanowna myślała, że zna miasto na wylot. Była przedszkolanką, mieszkała w Sumgaicie od samego początku, od późnych lat czterdziestych. Wychowała tysiące dzieci wszystkich możliwych w tym kraju narodowości. Zszokowana opowiadała dziennikarzom, że przecież wcześniej żyło się zgodnie: chodziło się do siebie na wesela i pogrzeby, pożyczano pieniądze do pierwszego (mówiła ekspresyjnie i była Rosjanką, więc gazety chętnie ją cytowały). Nie rozumiała, dlaczego wybuchła nienawiść. W Sumgaicie chyba nikt nie rozumiał.

Bakińcy też nie rozumieli - tylko łudzili się, że znają Baku i Azerbejdżan. Krąg ludzi, dla których narodowość i religia naprawdę nie miała znaczenia, okazał się niewielki, nawet w stolicy. Poza miastami narody żyły oddzielnie, nie było azerbejdżańsko-ormiańskich wsi ani małżeństw mieszanych. Każdy w pojedynkę pielęgnował swą krzywdę. Azerbejdżanie, jak w czasach Banine, rozpamiętywali dawne pogromy i wietrzyli ormiański spiszek. Ormianie bali się „Turków” i chcieli za wszelką cenę przyłączyć do Armenii - na razie sowieckiej - Górski Karabach, gdzie byli w zdecydowanej większości. Pierestrojka ośmieliła jednych i drugich.

(Jak się okazało ci, którzy fizycznie mordowali Ormian, żyli w Sumgaicie od niedawna, nie zdążyli zapuścić korzeni, mieszkali jeszcze w internatach i hotelach robotniczych. Takich najłatwiej omotać i podpuścić).

Po pogromie Ormianie zaczęli wyjeżdżać: wpierw z samego Sumgaitu, potem z innych miast, wreszcie, z ociąganiem, z Baku. Ci, którzy szybko podjęli decyzję, mogli od ręki sprzedać dom albo zamienić się z wracającymi do kraju Azerbejdżanami. Potem było coraz trudniej - podaż wielokrotnie przewyższyła popyt. Spóźnialscy, których zaskoczyła wojna, porzucali dobytek szczęśliwi, że uchodzą z życiem. W końcu w Azerbejdżanie nie było już żadnych Ormian - poza Górkim Karabachem, który wraz z kilkoma przylegającymi powiatami ogłosił niepodległość, nieuznaną przez nikogo na świecie.

W ślad za Ormianami zaczęli wyjeżdżać, podobnie jak z innych republik, Rosjanie, Żydzi i Niemcy. Związek Sowiecki wchodził w fazę ostrego kryzysu, inflacji, pustych pótek, handlu w barterze. Jednocześnie panowała głośność, jawność: już nikt się nie bał, że za nieostrożne słowo trafi do więzienia, łatwiej było o paszport. Kto mógł, uciekał za granicę, ale przyciągały też Moskwa i Leningrad, gdzie dawało się przeżyć. Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych trwała wielka migracja, nowa wędrówka ludów: na dworcach, lotniskach i w portach imperium koczowały zdesperowane tłumy, sprzedaż biletów przejęły mafie.

Wyjeżdżali sami Azerbejdżanie, przede wszystkim z Baku. Z reguły ci najzdolniejsi, najlepiej wykształceni, najbardziej potrzebni.

Miejsce Ormian, Rosjan, Żydów i Azerbejdżan bakińców zajęli w Baku Azerbejdżanie z prowincji. Pierwsi byli uchodźcy z Armenii i Karabachu. Budzili litość i grozę. Włamywali się do opuszczonych mieszkań, zajmowali niedobudowane fabryki, wyrzucali na bruk ostatnie pozostałe w mieście ormiańskie rodziny (zdarzało się, że bronili ich azerbejdżańscy sąsiedzi). Burzyli cmentarze ormiańskie, mszcząc się na krzyżach i nagrobkach za swą poniewierkę, za domy, które zostawili w Szuszy i Agdamie, za klęski na froncie. Ormianie z Karabachu demolowali w tym czasie mużulmańskie cmentarze, mizary, i profanowali meczety.

Po uchodźcach napłynęli Azerbejdżanie z Nachiczewanu, ze Stepu Mugańskiego, z przedgórza Kaukazu. Prowincja zdychała, nigdy nie wiodło się tam dobrze, a teraz wróciła gospodarka naturalna, miesiącami nie oglądano żywej gotówki. Tu i ówdzie zaczynał się głód. Stolica była jedyną deską ratunku.

Liczba przybyszów rosła z tygodnia na tydzień. W pewnym momencie poczuli swoją siłę. Już nie wstydzi się akcentu -biada kelnerowi, który uśmiechnął się, gdy prosili o „caj” zamiast „czaj”. Już nie zazdrościli bakińcom, przeciwnie, słowo bakinieć stało się wyzwiskiem, oznaczało tego, który zadziera nosa, kuma się z Ormianami, naśmiewa z religii, prawie nie mówi po azerbejdżańsku. Traktowali Baku jak wojenną zdobycz, jak podbitą metropolię, która była obca, ale teraz będzie już nasza.

Siła prowincjuszy brała się z ich masy. Jeśli dawniej ktoś sprowadzał się do stolicy, starał się jak najszybciej wsiąknąć w miasto, roztopić się w tłumie, żyć tak jak otoczenie. Teraz, kiedy naraz osiedliło się ich pół miliona, a może milion, absorpcja była niemożliwa, zresztą przybysze nie myśleli zmieniać przyzwyczajzeń. Przyjeżdżali całymi wioskami, zajmowali podwórka, kwartały, pasaże i żyli tak jak dawniej - tyle że w Baku. Pędzili przez ulice stada baranów, wypasali krowy w parkach, na balkonach trzymali kury. Na przeciągniętych między blokami sznurach suszyli bieliznę. Nadmorską promenadę zamienili w bazar. Nie chcieli, nie umieli inaczej. Musiała minąć dekada, aby ten żywioł dał się okiełznać.

Przybysze wdarli się na stanowiska i szybko doszli do pieniędzy. Największe wpływy zdobyli Nachiczewańscy, krajanie prezydenta Hejdara Alijewa. Merem dwumilionowego Baku został człowiek z Ordubadu, mieściny z nachiczewańskich kresów, wciśniętej między Armenię a Iran. Auta z nachiczewańskimi numerami, zaczynającymi się od liczby 85, były odtąd nietykalne: policja nie zatrzymywała ich, choć szofer rzadko miał coś wspólnego z prezydentem.

Najnowsza historia Baku i całego Azerbejdżanu to dzieje zmagania miasta ze wsią, stolicy z prowincją, wielokulturowości z kulturą narodową. Symbolicznym zwycięstwem prowincji nad stolicą stał się upadek Ajaza Mutalibowa.

Pierwszy prezydent Azerbejdżanu pochodził z Baku. Obalił go Ludowy Front Azerbejdżanu. Front był organizacją ogólnonarodową, ale dużą rolę grali w nim ludzie z prowincji. Wśród bakińców miał w związku z tym niewielu zwolenników - ci woleli inteligentną partię Musawat, która wyłoniła się z Frontu i nawiązywała do tradycji Azerbejdżańskiej Republiki Demokratycznej. Przywódca Frontu i kolejny po Mutalibowie prezydent, Abulfaz Elczibej, urodził się w małej wiosce w Republice Nachiczewańskiej.

Hejdar Alijew, który po roku zastąpił Elczibeję, też pochodził z Nachiczewanu, chociaż od lat mieszkał w Baku. Inteligencja dobrze wspominała czas, gdy był sekretarzem partii, i niektórzy bakińcy dołączyli teraz do jego ekipy. Po roku, dwóch, trzech odchodzili zawiedzeni. Mierziła ich korupcja i rodzący się autorytaryzm, ale jeszcze bardziej - klanowość. Alijew nie miał już nad sobą Moskwy, Kremla, marksizmu-leninizmu. Opierając się na swoich nachiczewańskich ziomkach, budował państwo narodowe, azerbejdżańskojęzyczne. W takim państwie nie było miejsca dla kosmopolitów, którzy wciąż mówili między sobą po rosyjsku.

Od końca lat dziewięćdziesiątych rdzenni bakińcy już nie liczą się w polityce i wielkim biznesie. Dla dzieci nuworyszów

Baku jest już jednak ich ojczyzną, domem. Te dzieci - mówiące po rosyjsku słabo lub wcale, za to niezłe po angielsku - będą nową bakijską elitą. To będzie inne Baku.

Imar Husejnow, wydawca opozycyjnego tygodnika „Monitor”, z przerwy zadzierał z władzą. Kiedy 2 marca 2005 roku, tuż rzed dwudziestą pierwszą, został zastrzelony przez niezna-ego sprawcę na własnej klatce schodowej, rodzina była przegnana, że to władza postanowiła go uciszyć. Następnego dnia ojawia się dwie inne wersje: że za zamachem stała opozycja by skompromitować władzę) albo Ormianie (żeby zdestabilizować Azerbejdżan).

Publicystka Miła Faradżułajewa wysunęła czwartą teorię: usejnowa, który do końca życia czuł się bakińcem, miało wy-ńczyć panoszące się chamstwo, niezależnie, kto pociągnął spust. Patrzysz na takiego - pisała - i widzisz tępy wzrok, liczę nieskażone żadną myślą, dopiero co przywykły, że wy-hodek ma w domu, a nie pod płotem. Ale już kieruje i rządzi. Ta uczelniach pojawili się głupi wykładowcy, w szpitalach - ko-waly, w sądach - sędziowie analfabeci. Za to wszyscy bardzo ergiczni i przedsiębiorczy. Wiedzą, jak w feudalnej hierar-ii okazać lojalność, jak się podliznąć. Starają się odgadnąć uprzedzić życzenie suzerena.

W jednym z ostatnich tekstów Husejnow zauważył, że Azer- "jdżanie zaczęli się dzielić na pesymistów i masochistów: Pe-miści sądzą, że ten kraj nie ma przyszłości, pakują walizki i wykorzystują każdą sposobność, aby wyjechać. Masochiści też uważają, że niczego dobrego nie będzie, ale wolą zaczekać do końca spektaklu.

4 marca ruszyliśmy wielotysięcznym konduktem na cmentarz Wilcze Wrota. Mijaliśmy właśnie aleję Hasana bej Zar-dabiego i ktoś przypominał, że sto lat wcześniej na pogrzebie Zardabiego też były takie tłumy. Tamten pogrzeb przeszedł do historii. (Zardabi był ojcem azerbejdżańskiej prasy. Przed

śmiercią, rozgoryczony, notował: Wołam - nie idą, pokazuję ~ nie widzą, wyjaśniam - nie rozumieją. Był masochistą, jak Elmar Husejnow).

* * *

W połowie pierwszej dekady dwudziestego pierwszego wieku z Baku znów popłynęła w świat wielka ropa. Ze świata napłynęły wielkie pieniądze. Azerbejdżan złapał oddech.

Stolicę pokryły rusztowania: ruszyły budowy, odbudowy, przebudowy i remonty. Budowało państwo, inwestorzy zagraniczni i osoby prywatne, wznoszono biurowce, apartamentowce, hotele, centra handlowe. Obowiązywał nowobogacki sznyt - kamienne lwy przed wejściem, żywe kilkumetrowe palmy w westybulach, marmury. Gdy skończyły się wolne działki, firmy budowlane burzyły stare kamienice. Ochroniarze wyrzucali lokatorów, resztę załatwiała pieniądze. Ceny metra kwadratowego przekroczyły pięć tysięcy dolarów i rosły dalej.

W ciągu kilku lat Baku zatraciło secesyjno-eklektyczny urok.

Fuad Achundow był oficerem policji i reprezentował Azerbejdżan w Interpolu, ale jego pasją było stare Baku. Wolne chwile spędzał w archiwach i bibliotekach, odnajdywał potomków wielkich przemysłowców, zbierał dokumenty, ryciny i fotografie. Posługiwał się wytwornym, staroświeckim rosyjskim:

- Pański pokorny sługa prosi o wybaczenie, ale z powodu trudności komunikacyjnych nie będzie mógł przybyć na czas - usprawiedliwił się przez telefon, gdy korek zatrzymywał go w drodze na umówione spotkanie. Tak samo mówił po angielsku.

Gdy rozeszło się, że emigruje do Kanady, nikt nie chciał uwierzyć. Miał już własny program w telewizji, zatytułował go

Bakijskie tajemnice. Dorabiał tłumaczeniem symultanicznym na dużych konferencjach. Jeździł mercedesem. Zdaje się, że nikomu nie podpadł.

- Nie chcę, żeby w tym mieście dorastał mój syn - tłumaczył znajomym. - Pierwszy boom naftowy stworzył Baku, jakie znaliśmy i kochaliśmy. Obecny boom je zniszczył.

Achundow myślał o Baku dziewiętnastowiecznym, europejskim. Baku komunistyczne chciało być Europą i Azją jednocześnie - jak Stambuł. Ale jeśli odrzucić ostatnie sto parędziesiąt lat, jeśli wymazać rosyjską i sowiecką okupację okaże się, że miasto nie ruszało się z Bliskiego Wschodu.

Dziś Baku znowu jest Dubajem, ale teraz bardziej przypomina arabski oryginał: jest to Dubaj miejscowy, tutejszy. Azer-bejdżański.

Nowe Baku wróciło do Iczeri Szeher, miejskie mury przestały być granicą dwóch światów. Firmy budowlane znalazły trochę wolnego miejsca, pojawiło się, na razie nieśmiało, kilka pensjonatów i parę biur - z wapienia, kameralnych, bez zadęcia. Trzeba mocnych pleców, by tam budować, Miasto Wewnętrzne weszło na listę UNESCO i w zasadzie nie wolno nic ruszyć, najwyżej remontować, ale jak nie ruszać, skoro Iczeri robi się modne.

W scenariuszu Szamila Alijewa, który zaczyna się od papierowych ptaków, Starszy i Młodszy Brat dowiadują się o istnieniu planu, za którym stoi tajemniczy i majątny Człowiek w Białym Garniturze. Mężczyzna, nie licząc się z zabytkami ani z ludźmi, chce przekształcić Iczeri w wielkie centrum rozrywki: Baszta Dziewicza ma być przerobiona na hotel, tuż obok, gdzie kiedyś stała kaplica Świętego Bartłomieja, ma powstać kasyno, a nieco dalej - porno studio.

Bracia wiedzą, że nie zdołają przeszkodzić w realizacji planu: Biały Garnitur ma zbyt duże wpływy. Przenoszą się na

wieś, zajmują opuszczony dom. Zamierzają wybudować re- Dzienniki bakijskie (8)

plikę Baszty, aby w ten sposób zachować ją dla przyszłych pokoleń. Znajdują odpowiednie podłoże, robią pierwsze makiety. Będą potrzebowali dwudziestu czterech tysięcy kamiennych bloków.

Nieoczekiwanie na wsi pojawia się Biały Garnitur. Bracia wchodzą mu w drogę, chodzi o kobietę. Intruz na razie pasuje, ale już wiemy, że nie odpuści. Gdy znowu przyjeżdża, Bracia podejmują walkę. Nie mają szans: ginie najpierw Młodszy, a potem Starszy. Biały Garnitur wraca do Baku.

20 grudnia 2005

Historii nie da się zatrzymać.

Lala Szowket-Hadžijewa, profesor medycyny (chirurg) i doktor filozofii, opozycjonistka (po objęciu władzy przez Hejdara Alijewa została sekretarzem stanu, ale pół roku później podała się do dymisji, protestując przeciw korupcji wśród władz, a potem odrzuciła stanowisko ambasadora Azerbejdżanu przy ONZ), opowiada o swoim dzieciństwie i młodości:

- Mama znała francuski i czytała mi Dumasa w oryginale. Chodziłam do szkoły muzycznej, bo dziewczynka z moich sfer musiała grać na fortepianie. Wtedy, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Baku było miastem europejskim: słuchano jazzu, wszyscy uwielbiali Ellę Fitzgerald. Mieliśmy wybitnych artystów i naukowców.

20 czerwca 1994 (Machaczkała, Dagestan, Rosja)

Sajfedin Sajfedinow (malarz pejzażysta, z narodowości Lezgin) o zderzeniu z cywilizacją:

- W 1968 roku zdałem do akademii w Baku. Byłem wiejskim chłopakiem, nic nie wiedziałem o problemach narodowych, znałem tylko wieś zabita dechami. I nagle znalazłem się w Baku, gdzie dowiedziałem się, że jeden naród powinien nie lubić drugiego.

W pokoju mieszkaliśmy we czwórkę: ja, dwóch Azerbejdżan i Ormianin, Timur Muchranian. Azerbejdżanie korzystali z każdej okazji, by dokuczyć tamtemu słowem, gestem czy intonacją głosu. Żeby wychwytać takie rzeczy, trzeba znać kaukaską psychikę, mentalność, poczucie humoru.

To teraz ludzie mówią, że była jakaś wielka przyjaźń i internacjonalizm. Powtarzają tamtą propagandę.

i stycznia 2007

Wracamy autobusem do Baku i Dżahangir pomaga nam kupić bilety. (Oczywiście, dalibyśmy sobie radę bez niego, ale znamy swoje miejsce: witaliśmy u Dżahangira Nowy Rok, on jest tu gospodarzem. Gdyby ktoś zobaczył, że obsługujemy się sami, a Dżahangir stoi z boku, rozeszłoby się po Zakatałach, że nie dba jak należy o gości).

Słyszę, jak prosi o bilety DO MIASTA (Szehere). Pytam o to, gdy mamy już te bilety w garści, bo po drodze jest parę innych miast, w końcu to kilkaset kilometrów. Odpowiada, że tamte miasta mają swoje nazwy, a Miasto może być tylko jedno.

Podobnie, gdy ktoś mówił: ON, JEGO, JEMU - wszyscy wiedzieli, że chodzi o Hejdara Alijewa. Żadna pomyłka nie wchodziła w grę.

Hinalug. Koniec historii

1

Możemy obrócić w jeden dzień. Z Kuby (Guby) jedzie się teraz godzinę, na miejscu liczymy ze trzy - starczy na pobieżne zwiedzanie i parędziesiąt fotek - godzina na powrót. Razem pięć. Do tego cztery godziny na trasę Baku-Kuba-Baku i jeszcze godzina na obiad. Jeśli wyjechać o świcie, wieczorem możemy już zadawać szyku w bakijskim pubie, chwając się, że też byliśmy w Hinalugu. Czterdzieści lat temu to był zupełny koniec świata.

2

Na pozór nic się nie zmieniło.

Hinalug nadal rzuca na kolana, gdy wyłania się przy końcu szerokiej kotliny, pooranej siecią strumieni - spiczasty kopiec, szczelnie oblepiony kamiennymi domostwami, wieś-warownia, skansen pradziejów, osobna planeta, zagubiona w kosmosie Wielkiego Kaukazu.

Prawie nie ma ulic, są strome ścieżki, przesmyki. Pionowy labirynt.

Na płaskich dachach suszy się krowi nawóz, jedyny opał -na tych wysokościach nie ma drzew. Dach jest podwórkiem dla sąsiada, który mieszka wyżej. Dach w domu sąsiada służy jako podwórko kolejnemu sąsiadowi - i tak aż do szczytu, do Jusufa. Jusuf ma dom na samej górze, przy meczecie, i patrzy na wszystkich z góry, choć nie jest najważniejszy, przeciwnie, trochę nim pomiatają: pierwsi są ostatnimi.

Z otworów w dachach-podwórkach wciąż unosi się dym.

3

Góra, którą zajął Hinalug, stoi samotnie pośrodku naturalnego amfiteatru, przypominającego olbrzymi krater. Niczym nieod-cięta pępownina, łączy tę górę z otaczającym masywem wąska przetoka, niegdyś ufortyfikowana; do dziś z obu stron zachowały się ślady kamiennego muru. Tędy pędzi się owce na redyk.

Parę kilometrów za wioską, na wysokości 2700 metrów -Hinalug leży nieco niżej - pali się wieczne ognisko. Płomienie karmią się gazem, który uchodzi przez skalną szczelinę, cud natury - bo gaz występuje

w górach bardzo rzadko. To święte miejsce, nazywają je Cza juwr cziga albo z perska Ataszgiah, tak jak ołtarz czcicieli ognia w Surachanach pod Baku.

Może pamiętać czasy Zaratusztry.

Za Ataszgiahem nic już nie ma, tylko letnie pastwiska i urwiste ścieżki w stronę najwyższych gór: Gyzył Gai, Szach--dagu i Bazar Diuzi. Można je pokonać pieszo, czasem wierzchem. Tylko latem. Za górami jest rosyjski Dagestan.

4

Okoliczne stoki, zbocza wyobrazonego krateru, to cmentarze, mrowie mogił, smaganych bez litości przez wiatry i deszcz. Widać tylko nagrobki nowsze, kilku-, kilkudziesięcioletnie, starszych trzeba się domyślać. Najstarsze dawno obróciły się w kamienie, z których powstały. Gdzieniedzie wyzierają z ziemi kości nieznanymi pokoleń. Pomiędzy nimi płyną potoki białych owiec, skubiących trawę.

Z rozmiarów cmentarzy wiemy, że ludzie żyją tu od dwóch tysięcy lat. Hinalug już istniał, gdy kwitła Albania Kaukaska, Hinalugijczycy byli jednym z owych „dzikich plemion”, féoces gentes, które starożytni lokowali na kresach Eurazji, gdzie prawda miesza się z mitem, rzeczywistość z utudą, a terażniejszość z przeszłością, gdzie zamieszkują Amazonki i gdzie swój czyściec odbywa Prometeusz.

Starożytne opisy ukazują górali jako pocziwych dzikusów, którzy każdego lata spuszczały się na równiny po sól - górną część trasy pokonywali, leżąc na wyprawionych skórkach i ślizgając się po lodzie. Nie znali podobno liczby większej niż sto, więc zajmowali się tylko drobnym handlem. Nie oszukiwali. Ubierali się w czapki z wołłoku, kaftany z długimi rękawami i wełniane spodnie. Odzież ozdabiali wizerunkami zwierząt (tak jak dzisiejsi Hinalugijczycy). Gdy załatwili swoje sprawy, niezwłocznie wracali do siebie, przytracając do nóg płachty byczej skóry, utkane kolcami. Z nikim się nie wadzili i nikomu nie przeszkadzali.

Wczesne średniowiecze ulokowało na Kaukazie galerię fan-tasmagorycznych potworów, sług Ciemności, pół ludzi, pół bestii. Aleksander Wielki miał ten nieczysty kraj, ziemię Goga i Magoga, odgrodzić od cywilizowanego świata podwójnym murem (Hic inclusit Alexander duas gentes immundas Gog eMagog, quas comités habebit Antichristus).

Najdawniejsze są obrazki, przypominające piktogramy: patyczki, kółeczka i zawijasy, wryte na murze najstarszego meczetu. Meczet zbudowano ponad tysiąc lat temu, w 968 roku, ale kamienie pochodzą

najpewniej ze zburzonej świątyni Pogańskiej, więc inskrypcje są wcześniejsze. Nikt ich nie odczytał. Nikt nie wie, co chcieli przekazać swoim potomkom tamci ludzie.

Islam, przyjęty od Arabów może w dziesiątym, a może już w ósmym wieku, nie przeszkodził Hinalugijczykom czcić przyrody. Ataszgiah i święte źródło, które bije wśród skał po drodze na Galaj Chudat, oplatają wstążki, chusteczki, szmatki i gałganki, zostawione przez pielgrzymów w ich intencjach. Trzecim świętym miejscem jest pir Adżomardbaba. Meczety też są trzy.

Jakut al-Hamawi, arabski humanista z trzynastego wieku, wspominał pochodzącego z tych stron uczonego o imieniu Hakim, który studiował w Bagdadzie, a następnie osiadł w Bu-charze. Niejaki Mahmud z Hinalugu pozostawił po sobie kronikę wydarzeń w Dagestanie i Szyrwanie. Wiemy, że zakończył pracę w latach 1456-1457. Pisał po arabsku. Wcześniej Hinalug odwiedził rosyjski geograf Johann Gustaw Gerber. To wszystko.

6

Etnografowie i językoznawcy dotarli tu w połowie dziewiętnastego wieku, po podboju Kaukazu przez Rosję. Byli to Rosjanie albo cudzoziemcy na rosyjskiej służbie, najczęściej wojskowi. Odkryli, że Hinalugijczycy to osobne plemię, które mówi własnym językiem, niezrozumiałym nawet dla najbliższych sąsiadów. Nieco później okazało się, że hinalugijski, niepodobny do żadnego innego języka na Ziemi, jest strukturalnie spokrewniony z udińskim i do pewnego stopnia z językami południa Dagestanu.

Cóż to za język! Siedemnaście przypadków oraz siedemdziesiąt siedem głosek - osiemnaście samogłosek i pięćdziesiąt dziewięć w większości niewymawialnych spółgłosek. Najbogatszy alfabet świata. Wehikuł czasu, który przenosi nas do Albanii Kaukaskiej. Hinalug leżał na końcu wszystkich dróg, tu zachowały się najpierwotniejsze, najbardziej archaiczne formy gramatyczne.

- Dla was wszystko jest zawsze tak samo - tłumaczył mi Bagir. - „Ja widzę drogę”, „Ja idę drogą”. Nieważne, jak ta droga wygląda, nieważne, skąd i dokąd prowadzi. Dla nas to sprawa życia i śmierci. Powiem komuś, że „droga jest łatwa”, a on pójdzie i zabije się, bo miałem na myśli podejście do mojego domu, a nie zejście na pastwisko, które zawiąło śniegiem.

Przytakiwałem. Ale nie byłem w stanie tego pojąć.

We wsiach: Kryz, Kryzdahna, Alik, Dżek i Haput mówią po krysku, w Budugu - po budusku. Kryski, buduski i hinalugijski zaliczane są do tej samej szachdaskiej grupy językowej. Pierwsze dwa są do siebie na tyle podobne, że można się dogadać, hinalugijski to inny świat.

7

Hinalug, odcięty ocl świata kilka miesięcy w roku, musiał być samowystarczalny. Kobiety tkwały dywany i szyły odzież, a mężczyźni polowali, ale przede wszystkim zajmowali się owcami. Owce to podstawa. Dają

mleko, mięso, wełnę - całe życie. Nawet kalendarz. Przez setki lat Hinalug odmierzał czas pogłowiem stad, starsi do dziś tak liczą. Wszyscy wiedzą, że pod koniec dziewiętnastego wieku owiec było sto tysięcy, przed wojną - siedemdziesiąt tysięcy, a na przełomie tysiącleci - dwadzieścia tysięcy.

Bolszewicy założyli szkołę - dawniej była tylko muzułmańska medresa - a pasterzy zrzeszyli w kołchoz. To było zrozumiałe, stada od wieków wypasano wspólnie. Kołchoz płacił premie i dodatki za pracę w trudnych warunkach, podobne do dodatku polarnego na Dalekiej Północy. Pieniądze można było wydać na miejscu, w kołchozowym sklepiu. Najlepiej schodziły herbata i wódka.

Nieszczęście zaczęło się od drogi, którą wykuto w skałach w 1968 roku (wcześniej, aby dostać się do powiatowej Kuby, trzeba było zejść lub zjechać konno dwadzieścia kilometrów do wsi Kryzdahna, skąd czasem jeździł autobus). Trasa była karkołomna, nieludzko wyboista, ale wzmocnione łożyska i mniejsze ciężarówki dawały sobie radę.

Jednym z pierwszych aut w Hinalugu był terenowy GAZ--kinobus. Szofer przywiózł ze sobą trochę filmów i aktualnych kronik. Pokazał je pośrodku wsi, w miejscu, gdzie krzyżuje się pięć ścieżek i gdzie każdego wieczora zbierali się hinalugijscy starcy, aksakałowie, aby omówić mijający dzień i podjąć decyzję, co zrobić z następnym. Poprzez te filmy i kroniki, można powiedzieć bocznym wejściem, wślizgnął się do Hinalugu demon nowoczesności. (Architektka Giunara Mehmandarowa zauważyła, że od tamtej pory zmienił się nawet sposób budowania domów: pojawiły się oszklone werandy i okna. Dawniej okna nie były powszechne, światło padało zwykle przez otwory w suficie, a werand w ogóle nie znano).

Potem poszło błyskawicznie. W tym samym roku dociągnięto elektryczność i w kamiennych hinalugijskich domach zabłyśnięto światło. (Prąd znano już wcześniej - na potrzeby kołchozu, wioskowej rady, szkoły oraz izby felczerskiej wytwarzały go generatory diesla).

Kilka lat później podłączono telewizję. Filmy i kroniki były teraz na wyciągnięcie ręki, każdego dnia.

W roku 1991, tuż przed upadkiem ZSRR, Hinalug dołączył do globalnej wioski, fundując sobie zbiorczą antenę satelitarną.

8

Al-ed-Din Babajew, emerytowany nauczyciel rosyjskiego, dokładnie pamięta, kiedy umarła hinalugijska tradycja: to był początek lat siedemdziesiątych, wkrótce po otwarciu drogi-Najpierw, sam z siebie, zanikł dawny obyczaj weselny - rodzice nowożeńców nie stawiali już namiotu dla gości, nie występował pieśniarz, nazywany aszugiem. Starcy, aksakałowie, nie wygłaszali przypowieści. Nowe tańce wyparty weselne turnieje jazdy konnej i konkursy gry na zurmie. Strumieniami polała się wódka.

Potem młodzież straciła zainteresowanie dla popisów sprawności, które dawniej odbywały się co wiosnę i składały się z miejscowej odmiany zapasów oraz wyścigów do granic osady. Chłopcy uganiali się teraz za futbolówką, ale częściej gapili się po prostu w telewizor.

Pomierały ostatnie babcie, znające tradycyjne pieśni. Młode kobiety wolały nucić szlagiery estrady albo czastuszki.

Babajew mówi mi, że tradycję zabiła kultura masowa, która po raz pierwszy dotarła w 1968 roku, drogą z powiatowej Kuby.

Czy w ogóle możemy mówić o narodzie?

Podczas sowieckiego spisu powszechnego w 1979 roku Al--ed-Din Babajew i poeta Rahim Ałchas, autor jedynej książki, jakie kiedykolwiek wyszły drukiem po hinalugijsku (w latach sześćdziesiątych moskiewscy uczeni stworzyli alfabet na bazie cyrylicy), zadeklarowali narodowość hinalugijską, nieprzewidzianą w formularzach. W wiosce natychmiast pojawiła się speckomisja z Baku:

- Po co wam taka demonstracja? Chcecie mieć kłopoty? Skończcie z tym nacjonalizmem! Zapiszcie się jako Azerbejdżanie!

Poddali się. Z nacjonalizmem skończyli, zanim zdążyli rozpocząć. Zapisali się jak należało.

W niepodległym Azerbejdżanie Rahim Ałchas opracował nowy alfabet. Doszedł do wniosku, że łacińskie litery wierniej oddają gardłowe kaukaskie głoski. Ułożył program nauki języka hinalugijskiego i sam napisał podręczniki. Zajęcia rozpoczęły się w roku szkolnym 1993/1994. Pojawiła się nadzieja.

Po sześciu latach przedmiot wycofano. Ministerstwo powołało się na „prośby rodziców”, którzy woleli, aby ich dzieci lepiej opanowały język państwowy - azerbejdżański.

10

Kiedy pojechałem tam po raz pierwszy, to było wciąż duże przedsięwzięcie.

Do Hinalugu kursowało kilku szoferów. Mieli GAZ-y 66, przysadziste ciężarówki, które kapitalnie trzymały się drogi. Wozili towary, a przy okazji pasażerów. Umawiali się z nimi w różnych miejscach i trzeba się było dobrze nachodzić, aby odszukać właściwych ludzi.

Trasa - czterdzieści kilometrów - zabierała pięć godzin.

W Hinalugu już się ściemniało, była połowa listopada i wcześniej zapadał zmrok. Nad dolinę Kudijalczaju napłynęły ołowiane, śniegowe chmury i baliśmy się, czy nie utkniemy tu do wiosny.

Naszą ciężarówkę otoczył wianuszek mężczyzn. Dzieciaki musiały wypatrzeć mnie i Jacka, kiedy GAZ gramolił się jeszcze pod górę, i rozniosły, że do wioski jadą jacyś obcy. Wtedy, w 1995 roku, obcy budzili sensację, przyjazd obcokrajowców wspomniano latami. Mężczyźni, przekrzykując się i przepychając, witali się, pytali, jak mamy na imię i co nas sprowadza, zapraszali na herbatę i nocleg.

Zajął się nami Hussein Aga, czterdziestoparoletni naczelnik osady. Opowiedział o bankrutującym kołchozie: pensja nie starczała nawet na przejazd do Kuby. Ci, którzy od razu poszli na swoje, jakoś sobie radzili, pozostali myśleli, żeby wyjechać. Nie umieli, nie chcieli żyć jak dawniej, w czasach przedkołchozowych. (Hussein sam potem wyjechał, porzucając dom, w którym mieszkało kilka pokoleń jego przodków. Jak każdy Hinalugijczyk znał imiona ich wszystkich. - Póki nie było telewizji, nie wiedzieliśmy, jacy jesteście biedni - mówił nam).

Osobą zadowoloną z życia był Ajwaz, zwany Edikiem. Kulawy, ze zszarganym zdrowiem, odkładał grosz do grosza, nie przejmując się docinkami. Tydzień przed naszym przyjazdem otworzył pierwszy w historii wioski drink-bar. Chciał żyć i umrzeć w Hinalugu.

Drugiego wieczora dopadła mnie gorączka: w ciągu niecałej godziny temperatura skoczyła do 42 stopni, zacząłem majaczyć i byłem pewny, że odchodzę. Nad ranem wszystko ustąpiło. Opisałem to w książce Planeta Kaukaz. Opisałem też magię, która była wszędzie dookoła, i dziwne rzeczy, jakie działy się z naszą elektroniką.

Nie opisałem spotkania z myśliwym Babą Alim, który dziewięć lat wcześniej^{ia} przełęczą Bałtygaja między Gyzył Gają a Szach-dagiem widział „śnieżnego człowieka”, nazywanego w Hinalugu stałmierą. Gorączka, Ali Baba, yeti - tego byłoby za dużo.

11

W 1999 roku ukazał się przewodnik Marka Elliotta Azerbaijan with Excursions to Georgia. To był strzał w dziesiątkę. W Baku mieszkało już parę tysięcy cudzoziemców: nafcjarzy, stoczniowców, architektów, przedstawiciele firm. Mieli pieniądze i wolne weekendy. Część z nich chętnie ruszyłaby się za miasto, ale nie było map, a na trasach - drogowskazów. Elliott zaopatrzył książkę w szczegółowe plany i opisy w stylu: „Za dużym drzewem skręć w prawo i jedź pół kilometra wzdłuż żółtej rury” Nie sposób było się zgubić. Wśród innych atrakcji do przewodnika trafił Hinalug. W drugim wydaniu nawet na okładkę.

Wioskę, nazywaną teraz z azerbejdżańska Chynałgiem, zaczęli odwiedzać obcokrajowcy. Niektórzy zamieszczali potem relacje w internecie. Kilku opisało Jusufa - tego, który mieszka na samej górze, obok meczetu. Łatwo na niego trafić. Każdy, kto idzie obejrzeć meczet, wpada w jego objęcia. Jusuf zna przyzwoicie rosyjski i ma ciekawą historię: służył na Syberii, żył z Rosjanką, potem walczył o Górski Karabach. Z każdą rozmową Jusuf dodawał sobie oficerskich gwiazdek i pogłębiał rany, jakie odniósł na wojnie.

Podróżnicy udzielali sobie w internecie praktycznych rad, na przykład skąd wziąć w Kubie dobrego UAZ-a (GAZ-ami już nikt nie jeździł, były mniej wygodne i dwa razy wolniejsze). Albo co ze sobą zabrać (cukierki, żeby rozdawać dzieciarni). Ktoś ostrzegał, żeby uważać na gościa, który kręci się po placu i zaprasza na herbatę - będzie próbował wcisnąć nam kilim. Ktoś inny skarżył się, że wołali od niego dolarów za robienie zdjęć (turystów nie było wielu, może stu rocznie, ale wystarczyło paru nie liczących się z groszem, aby wywrócić do góry nogami pojęcie gościnności).

12

Byłem tam jeszcze trzy razy, każdy kolejny wyjazd był coraz krótszy.

Za pierwszym razem jeszcze zostałem na noc. Teraz do domów zapraszali najbiedniejsi - bogaci żądali fortuny za kawałek siennika i miednicę z wodą (jeden dorobi się wkrótce naganiacza, który będzie biegał po wiosce i zaczepiał napotkanych turystów: „Mister, mister, kam, kam, best hotel, gud prajs”).

W Hinalugu wciąż była magia, odnalazłem ją w domu Ba-gira, który przy lampie naftowej czytał niepełnosprawnemu synkowi wiersze Rahima Ałchasa. Chłopcu świeciły się oczy, a następnego ranka wgramolił się na krzesło pod oknem i długo patrzył na zamazane kontury świata (w oknie zamiast szkła było stare pleksi, obklejone dla izolacji kilkoma warstwami folii). Nigdzie indziej nie widziałem tylu kwiatów: żona Bagira sadziła je w blaszanych puszkach po oleju, w starych wiadrach, w jakichś garnkach, a one kwitły na różowo i amarantowo. Zastępowały im dywany.

Znowu był listopad i akurat zaczynał się ramadan. W starym meczecie modlili się sami starcy. Bagir przyrzekał sobie, że dołączy do nich za kilka lat, kiedy zacznie siwieć.

Za drugim razem odwiedziłem Rachmana. Akurat wziął sobie drugą żonę. Niby nie wolno, ale nikt nie protestuje - przynajmniej w Hinalugu. Tyle że papier jest od mułły, a nie urzędowy.

Pytam Rachmana, po co mu to na stare lata.

Śmieje się. Takiś mądry i nie wiesz, po co żona!

Mówię, że pójdzie z torbami: kogo dziś stać na dwie rodziny?

Znowu się śmieje. A ile ona tam zje? Ciut, ciut. Tyle, co

wróbelek. ^

Monika B. wychwalała mniejsze wioski: Kryz, Kryzdahnę, Ha-put, Dżek, Alik, Susaj. Wszystkie są bliżej Kubu, do niektórych można całkiem łatwo dojechać. Turystów nie ma i nie będzie, najwyżej przypadkiem, przejazdem, od wielkiego dzwonu. Bo Elliott nawet o tych wsiach nie wspomina.

Monika zwiedziła je wszystkie. Mówi, że gdy Hinalug komercjalizuje się i modernizuje, one wciąż żyją po swojemu. Postęp dotarł do nich wcześniej, mała dawka nowoczesności musiała zadziałać jak szczepionka. Troszeczkę się ucivilizowały i stanęły w miejscu.

Wszystkie są rzeczywiście bardzo ładne - w każdej nieco starych domów, tu i ówdzie meczet, gdzieś ubogi pir - choć sporo brakuje im do Hinalugu, nawet góry wokół wydają się niższe, spokojniejsze.

Wieś Dżek. Dom rodzinny Agalego. Wszyscy mają niebieskie oczy. Dużo niebieskookich w tych górach. Tak wyglądali pierwotni mieszkańcy Kaukazu, póki ich geny nie zmieszały się z genami różnych najeźdźców. Pokazują mi stary pas, nabity srebrnymi carskimi kopiejkami. Kilku monet brakuje. Mówią, że dawniej, podczas zaćmienia Księżyca, wyrywano jedną i przecinano na pół, aby ciemność rozstała się. Dże-garowie (tak nazywają się ludzie z Dżeku) na początku historii czcili Księżyca, zupełnie jak Udini, potem jedni i drudzy nawrócili się na wiarę ognia. Później pierwsi przyjęli islam, a drudzy - chrześcijaństwo.

Wieś Alik. Rozmowa z Medżlisem o yeti. Medżlis długo kręci i zwodzi, boi się, że będę się śmiał, że podpuszczam. W końcu macha ręką:

- On istnieje. W naszej wsi nazywamy go erdow.

Alik. Wesele. Pan młody na moment zanurza palec w rdzawo-czerwonej hennie i po chwili pokazuje go zgromadzonym gościom. Panna młoda jest smutna, dziś umiera dla rodziców i dla przyjaciółek, grzebie całe poprzednie życie. Odrodzi się po dwóch, trzech połogach jako matrona - wtedy, kiedy pierwszy raz nie poderwie się na równe nogi, gdy do izby wejdzie mężczyzna.

Monika mówi, że w Azerbejdżanie czuje się jak Mały Książę, który na planecie Latarnika oglądał dziesiątki zachodów słońca na godzinę. Tamtego roku Monika widziała cztery przedwiośnia: w subtropikach Lenkoranu, w Baku, na Nizinie Kurańskiej, wreszcie w wysokim Kaukazie.

Ja też czasem czuję się w Azerbejdżanie jak Mały Książę.

13

Za trzecim razem pojechałem własnym samochodem, zwykłą corsa z silnikiem 1,2. Był późny październik 2006 roku. Trzy tygodnie wcześniej prezydent İlham Alijew otworzył szosę asfaltową Kuba-Ispik-Hinalug, o czym informowała marmurowa tablica, umocowana do skały przy wjeździe do kanionu Kudijalczaju.

Przez płaskowyż, gdzie kiedyś z Jackiem B. widzieliśmy starca na białym koniu, jechałem setką.

U podnóża wioski, na wysokości pierwszych domów, mężczyźni kopali rów. Powiedziałem im „Salam” (Witajcie, Bądźcie zdrowi). Odpowiedzieli: „Salam” - i wrócili do swojego zajęcia. Nikt się nie dziwił, gdy parkowałem tam auto, nawet dzieciaki się nie zbiegły.

Zaszedłem do muzeum, działało od niedawna: w jedynej izbie zgromadzono paręset arabskich ksiąg, w

większości sta-reńkich egzemplarzy Koranu, które przekazali mieszkańcy, oprócz nich trochę dawnych przedmiotów, starą odzież, parę strzelb, dywan.

Chłopaka, który wielkim kluczem otwierał mi drzwi, spytałem, jak się żyje.

Ciężko, odpowiedział, bardzo ciężko. Nie ma pracy, pieniędzy i nie łapieTcomórka. Jak w średniowieczu. Jak w tym muzeum. Prawda, ostatnio prezydent obiecał stację przekąźnikową, wtedy wreszcie pojawiłby się zasięg.

Na pozór to świetny pomysł - zamienić cały Hinalug w muzeum. Każdy góral byłby kustoszem swojego domu i swoich owiec i jeszcze by mu płacili. W czasach walki z religią najlepszym losem, jaki mógł spotkać cerkiew, było przekształcenie jej w muzeum ateizmu: wszystkie przedmioty zostawały na swoich miejscach. Tylko że z ludźmi tak się nie da.

Wracając do Kuby, zobaczyłem w rowie pijanego górala. Może leżał już wcześniej, tylko nie zwróciłem uwagi, a może droga pokonała go minutę temu. Do Hinalugu został mu kilometr. Pomyślałem, że starcy z Gunibu w Dagestanie, którzy nie chcieli drogi, bo drogą idzie z miasta zepsucie, mieli rację.

Ciorto Sulejman nigdy by sobie na to nie pozwolił. Był pewnym siebie i swojej siły mężczyzną, wiedział, czego chce, i nie ulegał słabościom. Był Kaukazczykiem!

To działo się za cara. W Kubie sądzili szajkę złoczyńców, która przez lata dawała się wszystkim we znaki. Sędzia wezwał na ławników przedstawicieli okolicznych wiosek. Starszyzna z Hinalugu zdecydowała, że od nich pójdzie Ciorto, który oprócz innych zalet był człowiekiem roztropnym i nigdy nie dawał się zapędzić w kozi róg.

Do Kuby szło się wtedy dwa dni. Gdy Ciorto pojawił się w sali rozpraw, jego przepasane rzemieniem futro i barania papacha były brudne i skołtunione, a łapcie, w których forsował górskie strumienie i wspinał się na przełęcze, prawie się rozpadały. Sędzia - bubek, który oceniał ludzi po wyglądzie - zaczął zeń szydzić:

- Cóż to za oberwańca nam przysłali? Czyżby w Hinalugu nie znalazł się nikt godniejszy?

- W Hinalugu jest wielu godnych ludzi - odrzekł spokojnie Ciorto - ale nasza starszyzna uznała, że jak dla ciebie, to i ja wystarczę.

Nie doczekał asfaltu ani pijanych górali w rowach, ale jeszcze za jego życia umarło mnóstwo hinalugijskich słów, przysłów, przypowieści. Umierały, bo zmieniało się samo życie. Kiedy przestano grać na zurmie, zapominano również słowa zurma. Kiedy odeszli ostatni godni ludzie, razem z nimi odeszło słowo, oznaczające godność. Rahim próbował te słowa wskrzeszać, reanimować.

Prosił, żebym pomógł mu wydać Gramatykę języka hina-lugijskiego. Nie umiałem się tym zająć, brakowało mi czasu i nie przyłożyłem się jak powinienem. Nie wiem, co się stało z rękopisem. Może pękatą papierową teczkę zabrał jego syn, mieszkający ponoć w Kubie, a może ktoś wziął ją sobie na podpałkę.

Kiedy Rahim jest sam, Rahim jest niczym - skarżył się w jednym wierszu. Przed śmiercią powiedział:

- Moje książki były pierwszymi, jakie ukazały się po hina-lugijsku, i najpewniej będą również ostatnimi.

A przecież hinalugijski miał szczęście: masa języków w ogóle nie doczekała druku.

16

W 1859 roku Hinalug liczył 2315 mieszkańców i 338 domów.

Jeszcze w 1990 roku ludzi było 2090, a domów - 359.

A w roku 1996 - 1684 ludzi i 312 domów.

Przez następne czternaście lat ubyło kolejnych pięciuset mieszkańców. Domów zostało około trzystu, ale zamieszkanym jest co trzeci, w najlepszym razie - co drugi.

Hinalugijczycy wciąż wyjeżdżają. Najczęściej przenoszą się do Kubie albo do sąsiednich powiatów. Ich miejsce zajmą być może bogaci Azerbejdżanie, którzy wybudują hotele, restauracje, wyciągi, trasy zjazdowe.

Dzieci przesiedleńców z Hinalugu znają język, ale wolą mówić po azerbejdżańsku. Wnuki jeszcze piąte przez dziesiąte rozumieją. Praprawnuki będą wiedziały, skąd pochodzą. Ale na pewno nie wymienią imion swoich przodków do dziesiątego pokolenia.

17

Dzienniki bakijskie (9)

Dziewiętnastowieczni naukowcy tłumaczyli los Tasmańczyków teoriami Cuviera, które dziś wydają się

banalne. Spośród tysięcy wymarłych gatunków Tasmańczycy przetrwali dzięki swojej geograficznej izolacji. Byli „żyjącymi skamielinami”, pozostałością zamierzchłych czasów. Nie poradzili sobie w zderzeniu z epoką z drugiego końca skali czasu. To, że zostali wytępieni, oznacza tylko tyle, że wrócili do świata od dawna już martwego, do którego z punktu widzenia ewolucji należeli. (Sven Lindqvist, Wytępić całe to bydło).

9 października 2002

W gazecie „Zierkało” relacja z wyjazdu grupy dziennikarzy do Sabirabadu i Saatły (170 i 185 kilometrów na południowy zachód od Baku).

Wyjazd odbył się w ramach projektu Regiony, finansowanego przez miejscową Fundację Sorosa. Celem jest pokazanie azerbejdzańskim dziennikarzom ich własnego kraju. Bakij-czytacy rzadko ruszają się poza stolicę, bywa, że latami nie wyjeżdżają z miasta. Dziennikarze nie są wyjątkiem. Tu jeździ się najwyżej do rodziny, do knajpy w plenerze, ewentualnie nad morze albo do piru. Nie ma zwyczaju zwiedzania, krajoznawczej włóczęgi. Bogaci podróżują trochę więcej. Latają na wczasy do Antalyi, Hurghady, na Cypr.

Relacja przypomina sprawozdanie z wyprawy do dzikich krajów: zaraz za bakijskimi murami rozpościera się terra in-cognita, gdzie wszystko może się zdarzyć. Dziennikarze zagłębiają się w tę przestrzeń pełni obaw. Wracają z poczuciem triumfu - udało się, przeżyliśmy!

26 lutego 2005

Lecimy na Kamienie Naftowe. Szczęśliwy zbieg okoliczności. Ekipa telewizyjna z Warszawy była u Ilhama Alijewa i ktoś zapytał, jak się tam dostać. Prezydent od ręki polecił asystentowi zorganizowanie wyjazdu. Potem okazało się, że w śmigłowcu będą wolne miejsca i możemy się dołączyć. Zwykle taki wyjazd załatwia się tygodniami (bez gwarancji sukcesu).

Biorę ze sobą Kapuścińskiego: Ujrzałem miasto na pełnym morzu, na morzu sztormującym, rozkołysanym, ogromnym... (Kirgiz schodzi z konia).

Za początek miasta przyjmuje się rok 1949, gdy na sterczącej z morza skale stanął pierwszy domek. Potem dobudowano platformy (na nich: hotele robotnicze, stołówki, nawet skwerek) i trzysta kilometrów estakad, po których jeździły ciężarówki i autobusy, dowożące robotników do wież wiertniczych. W najlepszych latach Kamienie wydobywały dziennie ponad dwadzieścia tysięcy ton ropy, wysyłanej ropociągami do Baku. Obecnie produkują dziesięć razy mniej, ale za to przepompowują szesnaście tysięcy ton ze złoża Giuneszli, położonego jeszcze dalej od lądu (Natik Alijew, długoletni szef azerbejdżań-skiej kompanii naftowej SOCAR, powiedział mi kiedyś, że ropa jest jak woda - zawsze znajdzie dla siebie najkorzystniejszą drogę). Eksploatuje się też gaz, który dawniej szedł w powietrze.

Kamienie wiele zawdzięczają dwóm Polakom: Witoldowi Zglenickiemu, który jako pierwszy na świecie wpadł na pomysł wydobywania ropy spod dna morza (projekt zgłosił w 1896 roku) i Pawłowi Potockiemu, który w pierwszych dekadach XX wieku zasypał część Zatoki Bakijskiej, umożliwiając realizację idei Zglenickiego (technologia offshore nie była jeszcze znana). W trakcie prac Potocki stracił wzrok, dzieło życia dokończył jako ślepiec. Zmarł w 1932 roku. Kazał się pochować nad brzegiem Morza Kaspijskiego, na polu naftowym, które stworzył.

28 maja 2007

Zwiedzamy Muzeum Malakofauny „Rinay” - pierwsze prywatne muzeum w Azerbejdżanie. Mieści się na obrzeżach Baku, na parterze odrapanego wieżowca z epoki późnego Breżniewa, za okratowanymi drzwiami z szarej blachy. Niewtajemniczony nie ma szans tam trafić.

Początki kolekcji sięgają wczesnych lat trzydziestych i osoby Sadycha Karajewa, który reprezentował w USA sowiecki przemysł naftowy, a w wolnych chwilach zbierał muszle. Po powrocie do kraju był represjonowany. Jego syn Tońg, aby uniknąć losu dziecka „wroga ludu”, musiał zmienić nazwisko, otcze-stwo i narodowość (z azerbejdżańskiej na rosyjską). Po ojcu odziedziczył jego zbiory i pasję do morskich bezkręgowców.

Tofig Karajew - gdy niebezpieczeństwo oddaliło się, wrócił do swojego nazwiska - został wybitnym geologiem, profesorem Akademii Nauk. Z podróży po świecie przywoził kolejne okazy. W 1989 roku założył muzeum. Czas nie był dobry, nikt nie miał głowy do mięczaków i muszelek. Zabrakło mu pieniędzy. Wstawił do antykwariatu skrzynię z archiwaliami po ojcu. Chciał osiemset dolarów, ale nikt tyle nie dał. Uznał to za znak i postanowił przekazać materiały do Muzeum Historii Azerbejdżanu. Umówił się już z dyrektorką, ta jednak otrzymała akurat wysokie odznaczenie i poczuła się ważna. Zamiast przyjechać osobiście, przysłała swoich pracowników. Karajew obraził się, dokumenty zostały w rodzinie.

Dziś Karajew ma siedemdziesiąt pięć lat (zupełnie nie wygląda, zachował sportową sylwetkę, zdradza go tylko siwizna), „Rinay” liczy pięć tysięcy eksponatów. Znajduje się wśród nich muszla małża odkrytego i opisanego przez Karajewa w 2004 roku. Uczony nazwał go imieniem Hejdara Alijewa.

Ketman

- To na kogo jutro głosujesz? - pytam Rufata.

Pytam ot tak, żeby podtrzymać rozmowę. Ejub z naprzeciwka właśnie myje mi samochód. Mamy dziesięć minut, może kwadrans.

- A może nie pójdziesz na wybory?

Dobrze wiem, że pójdziesz, i wiem, na kogo zagłosuje, znamy się nie od wczoraj.

Rufat prowadził sklepik, w którym czasem robiłem spóźnione zakupy. Nie wiem, kiedy spał. O ósmej był już na nogach, po północy jeszcze miał otwarte. W największe święto można było u niego kupić chleb, ser, ajran, papierosy. Kiedy przechodziłem w pobliżu, zerkałem na wystawę i ściągałem go wzrokiem - odmachiwał mi przyjaźnie zza szyby, ze swojego okopu pomiędzy zastawioną towarem ladą a ścianą z rzędami półek.

Podziwiałem go. Przyjechał do Baku z małej wioski, latami koczował u dalekich krewnych, ciężko harował. W końcu dorobił się własnego kąta i tego sklepu. Teraz martwił się o córkę, drobną szatynkę o spokojnej urodzie, która nieraz Pomagała mu w pracy. Chciał ją wepchnąć na studia, potem załatwić jej dobrą pracę i wydać za mąż za chłopca z przyzwoitej rodziny.

Rufat popierał opozycję. Nie, żeby chodzić na wiece albo wysiadywać w czajchaniu na podwórku domu przy ulicy Chagani, gdzie wtedy mieścił się Front Ludowy i gdzie redagowano opozycyjną prasę, od tego byli inni, zresztą - kto by pilnował interesu? Czytał jednak pilnie „Azadłyg” i „Jeni Musawat” - gazety wypożyczał mu znajomy kioskarcz - i zdaje się, że należał do kanapowej partyjki, w której działał jego daleki kuzyn.

- To co z tym głosowaniem?

- Jak to co? - Rufat wzrusza ramionami. - To jest mój kandydat.

Machinalnie patrzę za ruchem jego ręki. Nad drzwiami wisi wycięty z gazety portret Ilhama Alijewa, syna dotychczasowego prezydenta i kandydata obozu władzy. Jeszcze tydzień temu spoglądał stamtąd Atatiirk. Tamto zdjęcie było większe, pozostało po nim passe-partout z wyblakłej ściany (domyślałem się, że sklepikarz chciał powiesić Elczibeja, ale zabrakło mu odwagi, Atatiirk pozwalał zachować dystans do władz bez narażania się nadgorliwcom).

- Jak to?! - wrywa mi się i od razu gryzę się w język. To nie mój kraj i nie moje wybory.

- Przepraszam cię - mówię. - Masz prawo głosować, na kogo chcesz, po to jest demokracja. Jestem tylko w szoku, że ty, opozycjonista... Przecież sam agitowałeś za Isą Gambarem.

- Przemyslałem sprawę - odpowiada i zasłania płachtą folii opozycyjną gazetę. Nie patrzy mi w oczy.

Kilka dni później znów u niego jestem. Rufat dziwnie się kręci, nerwowo uśmiecha. W końcu zdobywa się na odwagę: wyjaśni, dlaczego tak głosował. Mówię, że nie musi, że to jego sprawa - ale on nalega. Nie chce, żebym miał go za zdrajcę i źle o nim myślał. Uważa mnie za przyjaciela (biorę poprawkę na wschodnią emfazę). Jednym słowem, powinienem go wysłuchać.

- Widzisz - zaczyna - ja wiem, na czym stoję. Raz w miesiącu płacę podatek, teraz to jest trzynaście szyrwanów. Pierwszego zawsze przychodzi dzielnicowy, bierze dziesięć. Piątego mam inspekcję sanitarną, wołają pięć, sześć szyrwanów, zależy, kto się trafi. Koło dziesiątego zjawiają się strażacy, to kolejne cztery szyrwany. Potem jest jeszcze wydział handlu i ci od nieruchomości. Dają im po trzy szyrwany. Do tego osiem, czasem dziesięć szyrwanów za prąd. Razem, z grubsza, pięćdziesiąt szyrwanów, po waszemu: sto dolarów. Wychodzi, że każdego miesiąca do dziesiątego pracuję na nich, a potem już tylko na siebie. Za te pieniądze utrzymujemy się. To, co zarobi Sajka, moja żona, odkładamy na studia dla córki.

Nie jest lekko - zaciąga się papierosem - ale jakoś dajemy radę. Za Ilhama, insz'Allah, nic się nie zmieni i będzie tak, jak za jego ojca. A gdyby przyszła opozycja, to kto wie, co by było. Najpierw na pewno chcieliby się nachapać. Nie mówię, że Isa-bej, on by nie brał, jego towarzysze też nie, ale kto by powstrzymał tych wszystkich nowych ministrów, dyrektorów, naczelników, kierowników, inspektorów, referentów? Może podnieśliby podatki? A może policjant brałby dwadzieścia szyrwanów, strażacy

dziesięć, a ci od nieruchomości pięć? I co bym wtedy zrobił? Dlatego wybrałem Ilhama Alijewa. Teraz rozumiesz, przyjacielu.

Wiem, że Rufat nie kłamie, nieraz skarżył się na niezliczone służby, które obrastają w tłuszcz kosztem takich szaraczków jak on. Wierzę, że bał się zmiany - bo dla biednego człowieka każda zmiana jest zmianą na gorsze. Głosował na stabilność. Ale nie otworzył się do końca. To nie z obawy przed wyższym podatkiem ściągnął ze ściany Atatiirka. Ktoś go nastraszył albo sam doszedł do wniosku, że tak będzie lepiej dla córki. I na pewno nie przestał nagle lubić opozycji, kuzyn z kanapowej partii by mu nie darował.

Uśmiecham się i o nic nie pytam.

Kiedy ktoś myśli jedno, a mówi i robi drugie - to może to być zwykłe oszustwo, ale czasem mamy do czynienia z ketma-nem. Ketman wymyślili szyici. Ponieważ przez całe wieki byli w islamie prześladowaną mniejszością i istniała groźba, że ich wszystkich wybiją - przyznali sobie prawo do maskowania się, kamuflażu. Mogli ukrywać, że są szyitami, a nawet wyrzec się - na niby - islamu. Jeżeli ich życie było zagrożone, jeśli ulegli przemocy, ale zachowali wiarę w swoim sercu - zdrada nie liczyła się. Ta praktyka została nazwana takijją, a sam ketman - to zwolnienie z obowiązku demonstrowania swojej wiary na zewnątrz. Rzecz jasna, jeśli zaistnieją odpowiednie, poważne okoliczności.

Szyita zrozumie Piotra, który tamtej nocy po trzykroć zaparł się Pana, a potem, pojąwszy, co się stało, gorzko zapłakał: wie, co to znaczy odrzucić Alego i nie rozpaczać po Husajnie w rocznicę Karbali. Z kolei dla sunnity ketman to godne ubolewania tchórzostwo.

Ojczyzną ketmanu był północno-zachodni Iran, pogranicze persko-tureckie, gdzie przez wieki ścierały się wpływy szyickie i sunnickie. Miejscowi władcy - pisze Tadeusz Świętochowski w książce Azerbejdżan i Rosja - często zmieniali wyznanie, a ich poddani musieli osiąść umiejętność przystosowania się na drodze symulacji, doprowadzając ją z czasem do mistrzostwa. Pozwala to lepiej zrozumieć mentalność azerską, z jej pozorną zmiennością i zdolnością do nagłych zwrotów, i jednoczesnym przywiązaniem do wartości podstawowych. Ketman kształtuje też wiele trudno wytłumaczalnych zjawisk politycznych, pozornie niezwiązanych z faktami i realiami.

Joseph Arthur de Gobineau, dziewiętnastowieczny obserwator Persji, zauważył, że jest kilka stopni ketmanu, zależnych od rodzaju zagrożenia: milczenie, zaparcie się własnych poglądów, wreszcie na koniec: wyznanie obcej wiary. W wykonaniu najlepszych ketman staje się sztuką, wirtuozerską grą ze światem.

Czesław Miłosz powołał się na Gobineau w Zniewolonym umyśle. Pojęcie ketmanu przydało mu się do analizy postaw intelektualistów, którzy na różne sposoby przystosowywali się do życia w stalinowskiej Polsce.

W Azerbejdżanie komunizm to złote lata ketmanu. Profesor Świętochowski opisał fenomen azerbejdżańskiej sekcji Związku Wojujących Bezbożników: jeszcze w 1930 roku liczyła tylko trzy tysiące członków, ale już rok później - siedemdziesiąt tysięcy. Azerbejdżańscy członkowie Związku, kierując się naukowym światopoglądem i propagując zdrowy tryb życia, demonstracyjnie odmawiali alkoholu i

kiełbasy wieprzowej.

W Fundacji Hejdara Alijewa jest niewielkie muzeum. Przewodniczka zwraca naszą uwagę na stary egzemplarz Koranu. Na ten Koran - i na Konstytucję - Hejdar Alijew przysięgał, kiedy został prezydentem. To rodzinna relikwia, Alijewowie przechowywali ją u siebie od pokoleń. Do Baku przyjechała z Nachiczewanu.

U nas, dodaje przewodniczka, każdy trzymał w domu Koran, nawet sekretarze partii. Słyszę w jej głosie dumę.

Jak to ocenić, jałą miarę przyłożyć?

Ktoś mógłby powiedzieć, że Alijew był fałszywym komunistą. Partia, do której należał - i w której zrobił wielką karierę - propagowała przecież ateizm.

Ktoś inny mógłby zauważyć, że był kiepskim muzułmaninem. Co to za muzułmanin, który latami nie pokazuje się w meczecie?

Musi nam wystarczyć, że był wielkim mistrzem ketmanu.

Dzienniki bakijskie (10)

5 lutego 2005

roblemy pań z Małopolskiego Towarzystwa Oświatowego, óre realizują w Azerbejdżanie projekt

edukacyjny: zamie-ały przeprowadzić seminarium w Gandzy, ale okazało się, że " t nie chce wynająć im sali, ani nawet zameldować w hotelu, ie było wyjścia, musiały razem z miejscowymi uczestnikami rojektu przenieść się do Baku.

Za wszystkim stały bez wątpienia lokalne władze. Mer mia-mógł się obrazić, że Polki się do niego nie zgłosiły - ale jest rdziej prawdopodobne, że projekt zbiegł się ze wzrostem po-ularności opozycji przed wyborami do parlamentu. Władze są wykle przekonane, że gdy w społeczeństwie pojawiają się nastro-niezadowolenia, musi to być wynik podburzenia z zewnątrz o przecieź ludzie nie mogą być niezadowoleni sami z siebie!), tąd ograniczenia dla obcokrajowców, monitorowanie kontak-'w z zagranicą, zwiększona kontrola organizacji pozarząd-"ch i mediów. A prowincja jest zawsze bardziej gorliwa i czujna.

7 maja 2007

cemy przenocować w ośrodku Isti Su w Górach Tałyskich. ortier rzuca absurdalnie wysoką sumę (cennika, rzecz jasna, e ma). Po krótkich targach okazuje się, że możemy zapłacić

połowę. Wciąż jest drogo, ale machamy ręką. Przed snem idziemy na piwo, dosiada się miejscowy z pobliskiej wsi. Opowiadam mu o portierze. Kiwa głową:

- Tak, oszukiwać trzeba uczciwie. Obcokrajowcom dopisuje się szyrwana, dwa, ale nie dziesięć! Wszystkiemu winna nasza mentalność.

Mentalność - to w Azerbejdżanie słowo-klucz. Prawie wszystko tłumaczy się mentalnością: korupcję, nepotyzm, banalne naciągactwo. To uniwersalne alibi: tacy jesteśmy, nic się na to nie poradzi.

i czerwca 2005

Iskander Hamidow (minister spraw wewnętrznych w rządzie Elczibeja 1992-1993, w latach 1995-2003 odsiadywał wyrok za defraudację - Rada Europy uznała go za więźnia sumienia, lider Azerbejdżańskiej Partii Narodowo-Demokratycznej, zwanej Szarymi Wilkami):

- Azerbejdżan tkwi jedną nogą w demokracji, a drugą w dyktaturze, podobnie jak jedną nogą w Europie, drugą w Azji, jedną w islamie, drugą w sowieckiej przeszłości, jedną w świecie realnym, drugą w narodowych mitach.

II GRUZJA I ARMENIA

NTa granicy

?kir

Hi>i -

- Powiedz, w czym jesteście od nas lepsi? - dopytywał Ali. - Wy, Europejczycy, ludzie Zachodu? U nas na przykład nie ma domów dziecka ani domów starców. Dzieckiem i starcem zawsze zajmą się krewni, a gdy ich zabraknie, sąsiedzi. Prawie nie mamy rozwodów, bo małżeństwo aranżują rodzice. Oni wiedzą, kto będzie odpowiednią partią, i sprawdzili, jaką opinią cieszy się tamten dom. Wolność wyboru? A do czego ona prowadzi, jeśli u was połowa małżeństw rozpada się i dzieci rosną bez ojca, bez matki? Zresztą, co to za wolny wybór, miody człowiek nie myśli głową. Tak, jesteście bogatsi, ale czy szczęśliwsi?

Ali był Pasztunem, pochodził z okolic Peszawaru. Znał świat i języki. Kilka lat mieszkał w Anglii i Niemczech. Do Tbilisi ściągnęli go koledzy: zaczął od baru z orientalnym jedzeniem, potem otworzył restaurację. Dorobił się na dostawach żywności dla robotników układających ropociąg Baku-Tbilisi-Cey-han. Ożenił się z Gruzinką, został ojcem. Nauczył się gruzińskiego. Odkąd żona przyjęła islam („nie namawiałem jej, sama się zainteresowała”), teściowie patrzyli na niego wilkiem.

- Nie palę, nie piję, nie gram w karty i nie mam kochanki -wyliczał. - Wolne chwile spędzam z rodziną. Na wakacje jeździmy do Batumi. Czasami zapraszam kolegów: pijemy herbatę, śpiewamy. Kiedy ktoś potrzebuje pomocy, staram się pomagać.

(Było to prawdą. Poznaliśmy się na przejściu między Gruzją a Armenią. Wypatrzył mnie za mostem, akurat szukałem transportu do Erywanii. Zaprosił do samochodu: „Wsiadaj, jeśli nie boisz się muzułmanina”. Po drodze kupił jeszcze dla nas gotowaną kukurydzę). W Gruzji Ali czuł się lepiej niż na Zachodzie: - Tam wszędzie traktują cię jak terrorystę. Na lotnisku odprawiają pięć razy dłużej niż białego, wypytują, rewidują, międlą paszport, a w hotelu patrzą spode łba. Wszystko dlatego, że mam ciemniejszą skórę (u Gruzinów Alego drażniło pijaństwo i niesłowność, ale nie dawali mu odczuć, że jest obcy: rozmawialiśmy siedem lat po ataku na World Trade Center i prawie pięć po interwencji w Iraku).

Ostatnio wszedł w handel złotem. Metal kupował w Armenii i wysyłał ciężarówkami przez Iran do Pakistanu (właśnie mijaliśmy zestaw rdzewiejących na bocznicach wagonów i Ali aż się oblizał: „Muszę sprawdzić, kto tu jest gospodarzem!”). Nauczył się już trochę po ormiańsku. Restauracyjny biznes oddał kuzynowi, który potrzebował pieniędzy, bo ma w Pakistanie dużą rodzinę.

W Erywanii wysiadłem nieopodal katedry Świętego Grzegorza Oświeciciela, wzniesionej na jubileusz tysiącsiedemset-lecia chrztu Ormian. Armenia i Gruzja to najstarsze państwa chrześcijańskie na świecie. Tej samej wiary była także Albania Kaukaska, zajmująca obszar dzisiejszego Azerbejdżanu. Gdyby kryterium europejskości było chrześcijaństwo, Kaukaz Południowy zostałby niewątpliwie uznany za część Europy. Mimo że chrześcijaństwo narodziło się w Azji.

Przedmurze

Na lotnisku w Warszawie Aleksandr wypatrzył dużą mapę Europy. Kupił nie oglądając, spieszył się do odprawy, chciał wydać ostatnie złotówki. Dopiero w Tbilisi zobaczył, że kontynent kończył się na Morzu Czarnym. Gruzji nie było tam w ogóle - nawet wybrzeża, nie mówiąc o stolicy i reszcie kraju. Ukraina sięgała do Charkowa. Rosję ucięto zaraz za Moskwą. Mapa wylądowała w teczce z osobliwościami, obok rasistowskiej rosyjskiej gazetki i anglojęzycznej ulotki propagującej obłąkańczą sektę.

Rusiecki przypomniał sobie o niej, czytając raport pewnej organizacji międzynarodowej. Do raportu była dołączona mapka, na której Europa kończyła się na Rumunii i Bułgarii. Tym razem poza kontynentem znalazł się nawet Kijów! Potem odkrył jeszcze kilka podobnych map. Postanowił działać.

- Na znanej kompozycji Arkesilaosa widzimy dwóch braci, Atlasa i Prometeusza - powiedział, otwierając konferencję w Tbilisi. - Pierwszy podtrzymuje nieboskłon, drugi jest skępowany, a wielkie ptaszysko szarpie mu wnętrzności. Pierwszy zbuntował się przeciwko Zeusowi. Drugiego ukarano, bo dał ludziom ogień, który ukradł bogom. Atlas symbolizuje Zachód: uważa się, że katorgę odbywał w górach na terenie dzisiejszego Maroka. Z kolei Prometeusz symbolizuje Wschód,

Kaukaz. W naszym rozumieniu, Europa rozciąga się właśnie między Marokiem a Kaukazem.

Konferencja nazywała się Południowy wymiar bezpieczeństwa europejskiego.

(- Gruzini zawsze byli krok do przodu - wspominał Arif Ju-nusow, historyk z Azerbejdżanu. - Jeszcze za Związku Radzieckiego uparli się, że nasz region nie powinien się nazywać Zakaukaziem, tylko Kaukazem Południowym. Nam i Ormianom Zakaukazie nie przeszkadzało, ale była w tym logika: w Rosji jest Kaukaz Północny z Kabardą, Inguszetią, Czeczenią i Dagestanem, a my jesteśmy na południe od nich. Nazwa Zakaukazie wskazuje, że punktem odniesienia jest Moskwa. Z perspektywy Moskwy rzeczywiście znajdujemy się za Kaukazem, ale przecież z innej perspektywy możemy być przed nim albo obok.

Nowa nazwa przyjęła się, ale po paru latach przestała Gruzinom wystarczać. Nie odpowiadała ich aspiracjom, nie podkreślała związków z Europą. Gdzieś na przełomie wieków zaczęli sytuować się w „regionie czarnomorskim”. Morze Czarne to antyczne greckie kolonie, to wyprawa Jazona i Argonautów, to Krym, to ujście Dunaju.

My i Ormianie też staliśmy się z rozpędu czarnomorscy -kontynuował Junusow. - My nawet bardziej, bo właśnie zaczęliśmy budować w tamtą stronę rurociągi. Minęło parę następnych lat i Gruzini doszli do wniosku, że to wciąż za mało).

Na konferencji w Tbilisi Aleksandr dowodził, że jego kraj należy do Europy Południowej (a mówiąc precyzyjniej, do Południowo-Wschodniej, ale ma więcej wspólnego z Południem niż ze Wschodem). Gruzini, przekonywał, są południowcami, jak Hiszpanie, Włosi czy Grecy. Dzielą z nimi kulturę wina i zamiłowanie do ucztowania, słabość do dzieci

194

i uwielbienie futbolu, mocne więzi rodzinne i indywidualizm (w przypadku Gruzinów, westchnął, niestety anarchizujący), wreszcie rozmyte poczucie czasu: nasza konferencja, spojrzął na zegarek, też zaczęła się z poślizgiem.

Czuł się stuprocentowym Gruzinem, choć nosił polskie nazwisko: Rusiecki. To tak, jakby rosyjski patriota nazywał się John Smith! Jego przodkowie pochodzili z polskich Kresów, ale długo nie znał ani słowa po polsku. Był politologiem, specjalistą od konfliktów. Założył ośrodek badawczy i wydawał cotygodniowy biuletyn, rozsyłany w świat pocztą elektroniczną. Uważał się za Europejczyka bez żadnych dookreśleń.

Rozpoczęła się dyskusja. Nino Czikowani, profesor historii, zwróciła uwagę na związki Kaukazu z Bałkanami: według niej można mówić o bałkańsko-kaukaskim obszarze kultury śródziemnomorskiej. Ija Tikanadze, kierująca tbiliskim oddziałem Fundacji Friedricha Eberta, zauważyła, że dla Europejczyków Kaukaz jest peryferią Europy, natomiast dla Azjatów - peryferią Azji. Aleksandr Rondeli, profesor stosunków międzynarodowych, wyznał, że uważa się za człowieka pogranicza: jest raczej Europejczykiem, ale trochę też Azjatą. W gruzińskich restauracjach, dodał, gra muzyka rodem z Bliskiego Wschodu.

Z kolei głos zabrał Soso Ciskariszwili, dyrektor Forum Europejskiej Integracji. Oświadczył, że Gruzja nie ma alternatywy, musi iść do Europy. Dla Armenii alternatywą jest sojusz z Rosją, a dla Azerbejdżanu - udział w bloku państw islamskich.

Zgodził się z nim Stepan Grigorjan, politolog z Erywania:

~ Moi rodacy nie zastanawiają się, czy są na Wschodzie, czy Zachodzie, tylko jak bardzo są starożytni. Jest im to potrzebne, y dowodzić prawa do ziemi, na której mieszkają. Ja osobiście [^]o'e żyć w Europie. Dlaczego? Odpowiem na przykładzie.

Zeszłym tygodniu byłem na lotnisku w Erywaniu. Właśnie y adował samolot z Woroneża, do miasta wychodzili pasa-

Owvie z tego rejsu. Byli to w większości Ormianie, którzy

195

Kaukaz. W naszym rozumieniu, Europa rozciąga się właśnie między Marokiem a Kaukazem.

Konferencja nazywała się Południowy wymiar bezpieczeństwa europejskiego.

(- Gruzini zawsze byli krok do przodu - wspominał Arif Ju-nusow, historyk z Azerbejdżanu. - Jeszcze za Związku Radzieckiego uparli się, że nasz region nie powinien się nazywać Zakaukaziem, tylko Kaukazem Południowym. Nam i Ormianom Zakaukazie nie przeszkadzało, ale była w tym logika: w Rosji jest Kaukaz Północny z Kabardą, Inguszetią, Czeczenią i Dagestanem, a my jesteśmy na południe od nich. Nazwa Zakaukazie wskazuje, że punktem odniesienia jest Moskwa. Z perspektywy Moskwy rzeczywiście znajdujemy się za Kaukazem, ale przecież z innej perspektywy możemy być przed nim albo obok.

Nowa nazwa przyjęła się, ale po paru latach przestała Gruzinom wystarczać. Nie odpowiadała ich aspiracjom, nie podkreślała związków z Europą. Gdzieś na przełomie wieków zaczęli sytuować się w „regionie czarnomorskim”. Morze Czarne to antyczne greckie kolonie, to wyprawa Jazona i Argonautów, to Krym, to ujście Dunaju.

My i Ormianie też staliśmy się z rozpędu czarnomorscy -kontynuował Junusow. - My nawet bardziej, bo właśnie zaczęliśmy budować w tamtą stronę rurociągi. Minęło parę następnych lat i Gruzini doszli do wniosku, że to wciąż za mało).

Na konferencji w Tbilisi Aleksandr dowodził, że jego kraj należy do Europy Południowej (a mówiąc precyzyjniej, do Południowo-Wschodniej, ale ma więcej wspólnego z Południem niż ze Wschodem). Gruzini, przekonywał, są południowcami, jak Hiszpanie, Włosi czy Grecy. Dzielą z nimi kulturę wina i zamiłowanie do ucztowania, słabość do dzieci i uwielbienie futbolu, mocne więzi rodzinne i indywidualizm (w przypadku Gruzinów, westchnął, niestety anarchizujący), wreszcie rozmyte poczucie czasu: nasza konferencja, spojrzął na zegarek, też zaczęła się z poślizgiem.

Czuł się stuprocentowym Gruzinem, choć nosił polskie nazwisko: Rusiecki. To tak, jakby rosyjski patriota nazywał się John Smith! Jego przodkowie pochodzili z polskich Kresów, ale długo nie znał ani słowa po polsku. Był politologiem, specjalistą od konfliktów. Założył ośrodek badawczy i wydawał cotygodniowy biuletyn, rozsyłany w świat pocztą elektroniczną. Uważał się za Europejczyka bez żadnych dookreśleń.

Rozpoczęła się dyskusja. Nino Czikowani, profesor historii, zwróciła uwagę na związki Kaukazu z Bałkanami: według niej można mówić o bałkańsko-kaukaskim obszarze kultury śródziemnomorskiej. Ija Tikanadze, kierująca tbiliskim oddziałem Fundacji Friedrich* Eberta, zauważyła, że dla Europejczyków Kaukaz jest peryferią Europy, natomiast dla Azjatów - peryferią Azji. Aleksandr Rondeli, profesor stosunków międzynarodowych, wyznał, że uważa się za człowieka pogranicza: jest raczej Europejczykiem, ale trochę też Azjatą. W gruzińskich restauracjach, dodał, gra muzyka rodem z Bliskiego Wschodu.

Z kolei głos zabrał Soso Ciskariszwili, dyrektor Forum Europejskiej Integracji. Oświadczył, że Gruzja nie ma alternatywy, musi iść do Europy. Dla Armenii alternatywą jest sojusz z Rosją, a dla Azerbejdżanu - udział w bloku państw islamskich. Zgodził się z nim Stepan Grigorjan, politolog z Erywanii: - Moi rodacy nie zastanawiają się, czy są na Wschodzie, czy Zachodzie, tylko jak bardzo są starożytni. Jest im to potrzebne, by dowodzić prawa do ziemi, na której mieszkają. Ja osobiście wolę żyć w Europie. Dlaczego? Odpowiem na przykładzie. W zeszłym tygodniu byłem na lotnisku w Erywanii. Właśnie wylądował samolot z Woroneża, do miasta wychodzili pasażerowie z tego rejsu. Byli to w większości Ormianie, którzy żyją i pracują w Rosji: mieli ciemne ortaliony, ktoś był w dresie, ktoś w czapce uszance, taszczyli nieforemne pakuńki, jakieś pudła i tobołki, jakieś czemodany. Chwilę potem wylądował Wiedeń. Wśród pasażerów też przeważali Ormianie, ale całkowicie inni - Ormianie pachnący, wygoleni, dobrze ubrani, z eleganckimi walizkami. Ja nie mam wątpliwości, gdzie mi się podoba bardziej.

Elhana Poluchowa, dyplomatę z ambasady Azerbejdżanu w Tbilisi, zainteresowała tożsamość diaspor: gruzińskiej w Turcji, azerbejdżańskiej w Gruzji i Iranie, ormiańskiej na Kaukazie Północnym. Wychodzi na to, mówił, że Azerbejdżanie żyjący w Gruzji to Europejczycy, Azerbejdżanie z Azerbejdżanu są jakąś hybrydą, a miliony Azerbejdżan z Iranu to Azjaci, do tego o skłonnościach fundamentalistycznych. Tak samo Gruzini z Turcji.

- Nasze narody są w sytuacji człowieka, który ma w szafie kilka garniturów - podsumował Rusiecki. - Taki człowiek może wybierać. Jednym z garniturów, według mnie najbardziej wygodnym, jest południowa europejskość, ale są też inne: komuś mogą być bliższe wartości azjatyckie. I dobrze. Żyjemy na styku kultur, religii, cywilizacji i kontynentów, i to nas wzbogaca.

Kim są Gruzini?

W starożytności byli częścią Bliskiego Wschodu. Uczeni odkryli w pradawnych gruzińskich pieśniach imiona bogów Urartu i pojedyncze słowa hetycyckie.

Przyjmuje się, że istniały dwa starożytne państwa gruzińskie - Kolchida oraz Iberia. Pierwsze obejmowało dzisiejszą Gruzję zachodnią. W szóstym wieku przed naszą erą na czarnomorskim wybrzeżu Kolchidy wyrosły greckie faktorie, przełom tysiącleci przyniósł panowanie Rzymu, a następne wieki rządy Bizancjum. Iberia, zajmująca Gruzję wschodnią, podlegała wpływom perskim: gdy te słabły, iberyjscy władcy usamodzielniali się. Z czasem Iberię nazwano Kartlią, a cały kraj - Sakartwelo, ziemią Kartlijczyków.

Według tradycji gruzińscy Żydzi, pielgrzymujący ze swoim rabinem Eliozem do Jerozolimy, byli świadkami Męki Pańskiej. Od jednego z żołnierzy Elioz kupił chiton, który Zbawiciel miał na sobie w chwili kaźni, zabrał go do kraju, do stołecznej Mchety, i dał swojej siostrze Sydonii. Ta przycisnęła tkaninę do piersi i od silnego wzruszenia wyzionęła ducha. Pochowano ją razem z chitonem, gdyż żadna siła nie mogła go wyrwać z objęć nieboszczki. Wyrósł w tym miejscu potężny cedr, kilka wieków później stanęła świątynia Sweticchoweli, a Sydonia została pierwszą świętą Cerkwi Gruzjińskiej.

Wkrótce przybyli pierwsi misjonarze, mieli być wśród nich apostołowie Szymon i Andrzej oraz Mateusz i Bartłomiej.

Kartlia przyjęła chrześcijaństwo w 337 roku z rąk świętej Nino. Pochodziła z Kapadocji, młodość miała spędzić w Ziemi Świętej. Tam dowiedziała się o istnieniu Gruzji: Wówczas oddałam cześć Panu Bogu i podziękowałam królowej mojej za całe opowiadanie i ponownie zapytałam ją: „Gdzie jest ów kraj północny i gdzie znajdują się owe szaty Pana naszego?”. Ona rzekła mi: „Kraj ten północny graniczy z górami Armenii, to kraj pogański, podległy Grekom i Użykom”*. Według legendy wyruszyła tam i uczyniła wiele cudów.

Gruzjiński krzyż, krzyż świętej Nino, ma opuszczone ramiona, niczym ludzkie ręce, załamane pod ciężarem trosk. Oplata go jak sznur warkocz świętej.

W piątym wieku król Wachtang, zwany Gorgasalem, czyli wilkiem-lwem, przeniósł stolicę Iberii-Kartlii z Mchety do Tbilisi. Wkrótce potem kraj kolejny raz najechali Persowie, po nich przyszli Chazarowie i Grecy z Bizancjum, którzy w siódmym wieku spustoszyli miasto i wycięli w pień mieszkańców.

*Nawrócenie Kartlii (Mokcewaj Kartlisaj). Autor anonimowy. Najstarszy z zachowanych zabytków historiografii gruzjińskiej.

Po Grekach rządili Arabowie. Założony przez nich Emirat Tbiliski istniał trzysta lat.

Dawna Kolchida pozostawała pod władzą Bizancjum. Niezależność wywalczyła pod koniec dziesiątego wieku.

Gruzjińskie plemiona łączyła Cerkiew oraz język, zapisywany od piątego wieku własnym alfabetem.

Złoty wiek Gruzji nastął za rządów wielkich władców z dynastii Bagrationich: Dawida iv Agmaszenebeli (Budowniczego, 1089-1125), jego syna Dymitra 1, wnuka Jerzego III, a zwłaszcza prawnuczki, pięknej i

mądrej królowej Tamar (1184-1213). Granice zjednoczonego państwa sięgnęły daleko na południe i wschód. Na zachodzie powstało zależne od Gruzji cesarstwo Trapezuntu, w którym schronili się greccy wielmoże przepędzeni z Konstantynopola przez krzyżowców. Na północy Gruzja opierała się o Kaukaz.

Rozwój objął wszystkie sfery życia. Rozkwitło rzemiosło i rolnictwo, na nieużytkach zakładano sady i ogrody, budowano kanały nawadniające. Wznoszono świątynie i zamki, wytyczano drogi, nad rzekami przerzucano mosty. W kara-wanserajach stawali kupcy z czterech stron świata. Kronikarz zanotował, że chłopi stali się równi szlachcie, szlachta książętom, książęta królom. Przy klasztorach w Gelati, Szio-mgwime i Ikalto działały słynne akademie, które kształciły teologów, filozofów, matematyków i muzyków.

W1166 roku przyszedł na świat największy gruziński poeta Szota Rustaweli, twórca epepei Witeż w tygrysięj skórce [Wep-chis tkaosani], którą poświęcił królowej Tamar. Jest to dzieło nieokiełznane, cały odrębny świat. Śledząc skomplikowaną intrygę, wędrujemy na krańce ziemi, poznajemy gwarne miasto i ubogą pustelnię, wschodni dwór i kupiecki kantor, wojnę i polowanie, katalog ludzkich zachowań, pragnień, namiętności. Odbieramy lekcję patriotyzmu, wierności i odwagi, ale także żywiołowej radości życia. Co dla siebie schowasz, to stracisz, a co dasz innym, jest twoje na zawsze - uczy Rustaweli. Głosi, że trzeba dążyć do doskonałości, umieć walczyć o swoje szczęście i starać się żyć pięknie. Niektórzy badacze dowodzą, że dzieło zapowiadało europejski renesans.

Bez względu na to, czy Kościół prawosławny go aprobuje, czy też nie - pisał znawca dawnej Gruzji David Marshall Lang -kodeks etyczny Rustawelego dobrze odpowiada gruzińskiemu charakterowi narodowemu.

Grzegorz Peradze, dwudziestowieczny gruziński święty, notował: Przypomniałem sobie teraz pytanie pewnego chłopa w jednej wsi gruzińskiej, gdzie byłem nauczycielem: Jaki utwór jest piękniejszy, Ewangelia czy Wepchis tkaosani? - Ewangelia - odpowiedziałem. Chłop spojrzał na mnie nieufnie. Oczekiwał innej odpowiedzi.

Złoty wiek trwał niewiele ponad sto lat. Potem nastąpił upadek, z którego Gruzja już się nie podniosła. Opowieści o dawnej świetności kraju, o jego minionej chwale, odnoszą się więc do wydarzeń sprzed ośmiuset lat!

W roku 1221 Gruzję najechali Mongołowie, w roku 1225 -armia Chorezmu, a po roku 1231 - znów Mongołowie. Każdy najazd to spalone miasta, zrównane z ziemią wsie, zniszczone uprawy i systemy irygacyjne, wymordowani i wzięci do niewoli mieszkańcy. Po krótkim oddechu w połowie czternastego wieku, decydujący cios zadał Tamerlan. Kraj popadł w ruinę. Ludność skurczyła się z pięciu milionów do ośmiuset tysięcy. Zapanował głód. Dopiero w dwudziestym wieku plony osiągną poziom z czasów królowej Tamar.

Kolejni władcy nie byli w stanie utrzymać kraju w ryzach. Prowincje usamodzielniały się i zaczynały prowadzić własną politykę. Gruzja wchodziła w epokę rozbicia dzielnicowego.

Wyodrębniły się trzy królestwa: Kartlii ze stołecznym Tbilisi, Kachetii (na wschód od Kartlii) oraz Imeretii (na zachodzie, na ziemiach dawnej Kolchidy). Na wszystkich trzech tronach zasiedli książęta z dynastii Bagrationich. Powstał również szereg niezależnych księstw: Guria, Megrelia, Samcche-Saatabago (późniejszy paszałyk Achalcyche) oraz Swanetia. Własną drogą poszła Abchazja. Uniezależniły się od władzy zwierzchniej możnowładcze latyfundi, zwane satawado. Z tamtych czasów, z owego rozdrobnienia, z nienasyconych ambicji wielmożów: erystawów, mtawarów i tawadów, z przekonania, że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, wzięła się kuriozalna liczba szlachetnie urodzonych, często niewiele bogatszych niż włościanie. Wieś ta od Kody prawie się niczym nie różni, jest to rodzona jej siostra - opisywał Michał Andrzejkowicz-Butowt osadę, w której zatrzymał się na noc, gdy przemierzał Kaukaz w połowie dziewiętnastego wieku. - Także sam kościółek, także duchany i także jamy dla ludzi. Tylko dalej bieleją dwa piękne domy w ogrodach, jeden plebana, a drugi wsi dziedzica, a razem i księcia; bo w Gruzji komu los choć kilka chat wydzieli, zaraz mu i mitrę daje w dodatku.

Jeszcze dziś mówi się, że co drugi Gruzin to książę.

Przez następne kilkaset lat gruzińskie państewka to pojawiały się, to znikwały, to korczyły przed potęgą Persji bądź Turcji, to znów przychylnie wiatry pozwalały im nieco odetchnąć. A jednak Gruzja istniała: katolikos z Mcchety nadal namaszczał kolejnych rządców Kartlii na królów wszystkich Gruzinów - choć ich realna władza nie sięgała daleko poza rogatki Tbilisi, a czasem ograniczała się do okolic metech-skiego zamku.

W osiemnastym wieku Kaukazem zainteresowała się Rosja. Gruzini panowie spoglądali na nią z nadzieją, widzieli w Petersburgu sojusznika. Za ochronę przed muzułmańskimi wrogami z południa gotowi byli oddać kraj w protektorat, powierzyć Rosjanom politykę zagraniczną i sprawy wojskowe. Ale Rosja nie potrzebowała alianta, potrzebowała kolonii.

Zanim Rosjanie wchłoną Gruzję, ta po raz ostatni padnie łupem Persów, którzy w roku 1795 zajmą Tbilisi. Perski szach,

Aga Muhammad Chan, dał swoim żołnierzom osiem dni na gwałty i rabunki. Potem kazał usypać wznesienie. Stamtąd patrzył, jak płonie miasto.

Ostatnim gruzińskim królem był Jerzy XII Bagrationi. Panował dwa lata. W pierwszym roku dziewiętnastego wieku Rosja przyłączyła Kartlię i Kachetię, a kilka lat później Imeretię. To był koniec niezależnego państwa.

W dziewiętnastym wieku miejsce Gruzji zajęły dwie rosyjskie gubernie: tbiliska i kutaiska. Rosyjska okupacja okazała się bardziej zgubna od tureckiej czy perskiej. Okupanci byli tego samego wyznania - i rosyjskie prawosławie zrobiło wszystko, by podporządkować sobie gruzińską Cerkiew. Młodzi Gruzini mieli otwartą drogę na rosyjskie uczelnie, chętnie wybierali karierę w wojsku (historyk Mamuka Gogitidze obliczył, że do 1921 roku trzystu dosłużyło się stopni generalskich).

W ten sposób elity wynaradawiały się i rusyfikowały.

W gruzińskich rękach wciąż były znaczne majątki i władze zastanawiały się, jak je wydrzeć. Na szatański pomysł wpadł Michaił Woroncow, namiestnik Kaukazu w latach 1844-1854: regularnie wyprawiał bale. Jak dobrze musiał znać gruzińską duszę, jak bezbłędnie wyczuwać jej słabe strony - to zamiłowanie do fanfaronady i błyskotek, to kto-to-ja-nie-jestem, to zastaw się, a postaw się!

Trafił bez pudła. Tłumy ciągnęły do Woroncowa jak ćmy do świecy, na lep łapali się prawdziwi i flancowani książęta, krezu-si i ci, co za krezusów chcieli uchodzić. Nie można odmówić, sam gubernator zaprasza! Nie można też wepchnąć się chyłkiem, trzeba zajechać z fasonem, żeby całe miasto widziało, żeby cmokano z podziwem i zazdrością: ho ho, ten Orbelia-ni, ten Łomidze, ten Oniaszwili to jestktoś, złapał drań wiatr w żagle! A potem na sali trzeba olśnić, ogłuszyć, oszołomić, a przynajmniej mieć dobre entrée, przynajmniej na chwilę skierować na siebie wszystkie spojrzenia, zachwycić nakryciem głowy, biżuterią, niezwykłą kreacją. Trzeba też przynieść prezenty, dużo prezentów, Gruzin nie przychodzi z pustymi rękami! I trzeba koniecznie pomyśleć o rewanżu, trzeba zaprosić namiestnika na równie wspaniały, a jeszcze lepiej - wspanialszy bal.

A potem wracał do domu Orbeliani, wracali Łomidze i Onia-szwili, meldują im, że przychodziła krawcowa, ta od sukni jaśnie pani, pytała, kiedy może spodziewać się należności, i jeszcze zaglądała subiekt ze składu win, i właściciel powozu, co to go pan najął, i zaraz, chwileczkę, był też umyślny od pana namiestnika, zostawił zaproszenie na następną sobotę.

Tym sposobem - pisał w połowie dziewiętnastego wieku Mateusz Gralewski - balami, ubiorami i wystawnością wschodnią, zniszczył Woroncowa zasoby panów gruzińskich.

Majątki szły na licytację, a ci, którzy zdołali zachować ziemię, wegetowali. W kraju nie było dróg, nie istniały kanały nawadniające. Świat szedł naprzód, ale do Gruzji postęp nie docierał. Grupa plantatorów z Kachetii poprosiła cara o zgodę na wybudowanie - za własne pieniądze - bocznicę kolejowej, by wywozić winną latorośl. Odpowiedzi nie było przez kilkanaście lat. Chłopi nierzadko mieszkali w ziemiankach, jedli korzonki.

W tym czasie Gruzję odwiedzało wielu Polaków. Ci, którzy spisali wspomnienia, często zwracali uwagę na wspólnotę losów: oba potężne niegdyś kraje upadły, rozszarpane przez zaborczych sąsiadów. Kazimierz Łapczyński notował: Dzieje Georgii od przyjęcia przez nią chrześcijaństwa, zaraz w pierwszych wiekach po Chrystusie, są żywotem ludu, który po wielokroć palony, rabowany, rozpędzany i wyrzynany nie secina-mi, nie tysiącami, lecz całymi milionami, nie zmongolizował się, nie zbisurmanił, nie spersiał, ale wytrwał przy Chrystusie, zachował swoją mowę i narodowość. A może oba państwa upadły trochę z własnej winy? Mateuszowi Gralewskiemu gruzińska szlachta wydała się: szczerą, rubaszną, rozrzutną, samowolną, pobożną, gościnną, odważną, rozpróżniaczona.

Śledząc gruzińską historię, dostrzegamy wiele podobieństw z dziejami innych państw Europy. Gruzja nie była orientálną despotią, władzę króla ograniczała potęga możnowładców, szlachta cieszyła się wolnością. Podporą państwa była autonomiczna Cerkiew. Ważną rolę odgrywały kobiety. Dwie z nich, święta Nino i królowa Tamar, stały się symbolami państwa, jego duchowości i kultury. Gralewski, wnikliwy znawca Kaukazu, notował: Me licząc Ormian, wspartych więcej w Azję Mniejszą, jedni Gruzini z plemion kaukaskich potrafili tylko wytworzyć z siebie naród.

Pod koniec dziewiętnastego wieku w Gruzji działała plejada pisarzy pozytywistów. Rafael Eristawi, Ilia Czawczawadze, Akaki Cereteli, Waża Pszawela propagowali patriotyzm w duchu pracy u podstaw, walczyli o powszechną oświatę, głosili ideę spółdzielczości. Działali też marksiści: umiarkowani, jak Noe Żordania, oraz radykalni, wśród których coraz większą rolę odgrywał ospowaty młodzieniec z Gori, niedoszły ksiądz, Soso Dzugaszwili.

Upadek caratu najbardziej ucieszył Cerkiew, już w marcu

1917 roku synod duchowieństwa gruzińskiego ogłosił przywrócenie autokefalii i liturgii w języku narodowym. W lutym

1918 roku powstał Sejm Zakaukaski, skupiający przedstawicieli Gruzji, Armenii i Azerbejdżanu. W kwietniu Sejm powołał Zakaukaską Federacyjną Republikę Demokratyczną. Wspólne państwo istniało zaledwie trzydzieści pięć dni. W ostatniej uchwale Sejm oświadczył: Biorąc pod uwagę, że między narodami, które utworzyły Niepodległą Republikę Zakaukaską, zaznaczyła się zasadnicza różnica zdań w kwestii wojny i pokoju, co uczyniło niemożliwym istnienie jednej, uznanej władzy przemawiającej w imieniu całego Zakaukazia, Sejm konstataje fakt rozpadu Zakaukazia i składa pełnomocnictwa. W maju Rada Narodowa Gruzji jednogłośnie uchwała Akt Niepodległości, dwa dni później podobne deklaracje przyjmą Rady Narodowe Armenii i Azerbejdżanu.

Sytuacja była niestabilna. Kraj przemierzały oddziały tureckie, niemieckie i angielskie. W grudniu wybuchła bezsensowna, krótka wojna z Armenią; do ofensywy szykowała się Armia Ochotnicza generała Denikina. Bolszewicka Rosja zaproponowała pomoc. Gruzja odmówiła. Premier Noe Żordania oświadczył: Nasza droga wiedzie ku Europie, droga Rosji - ku Azji. Wiem, iż wrogowie powiedzą, że jesteśmy stronnikami imperializmu. Dlatego to winieniem zdecydowanie stwierdzić -przedkładam imperialistów Zachodu nad fanatyków Wschodu.

W lutym i marcu 1921 roku wojska bolszewickie zajęły Gruzję (Azerbejdżan i Armenia utraciły niepodległość jeszcze w roku 1920). Tysiące kaukaskich uciekinierów przedostało się na Zachód. Byli wśród nich bezrobotni już premierzy, ministrowie, generałowie. Na emigracji starali się kontynuować dotychczasowe życie: odtworzyli kancelarie, wydawali dekryty, prowadzili korespondencję dyplomatyczną. Premier Żordania urzędował w Paryżu.

W Europie zrodził się pomysł rozbicia Związku Radzieckiego od wewnątrz, we współdziałaniu ze zniewolonymi przez Sowiety narodami. Łącznikami mieli być emigranci. Wkrótce ruch miał już nazwę: prometeizm (pomnik Prometeusza, zwanego przez Gruzynów Amiranim, stanie w Tbilisi w listopadzie 2007 roku).

Oczekiwane powstanie wybuchło w Gruzji w sierpniu 1924 roku - i szybko skończyło się klęską. Bolszewicy wymordowali cztery tysiące ludzi. W Muzeum Okupacji Sowieckiej w Tbilisi można obejrzeć pamiątki po wodzu powstania, Ka-kucy Czolokaszwilim, który zbiegł za granicę i przez pewien czas

przebywał w Polsce.

Ksawery Pruszyński opisał w opowiadaniu Cień Gruzji kancelarię fikcyjnego emigracyjnego premiera. Polityk, którego pierwowzorem był zapewne Noe Żordania, przyjmuje w niej polskiego dziennikarza: Wydobywał oprawne w safian kolejne tomy, dawał je do przeglądania, rocznik za rocznikiem. Były to powklejane depesze wymieniane z okazji świąt narodowych, wstąpień na tron, objęcia urzędu i tym podobnych okazji. Lata 1918 i 1919 przedstawiały się bardzo pięknie. Rocznik 1920 był wprost imponujący. Głowy państw i premierzy ślali Gruzji najlepsze życzenia, zapewniali ją o swej głębokiej przyjaźni, byli nad wyraz wzruszeni, mile dotknięci, pełni żywych uczuć. Świat cieszył się w owym roku, że Gruzja odnalazła swe miejsce w wielkiej rodzinie narodów. Jeszcze dobry był rok 1921 i niezły 1922. Ale następne roczniki cierpiały na uwiad. Depesz było coraz mniej i były one coraz bardziej lakoniczne; coraz to częściej wystawiane w imieniu, z polecenia czy w zastępstwie kogoś.

Tymczasem Gruzja uczy się żyć w komunizmie. Podróżnik Mieczysław Lepecki odwiedził Tyflis - jak wciąż z rosyjska nazywano Tbilisi - na początku lat trzydziestych. Gdy porównywałem ulicę tyfliską z ulicą Moskwy i Kijowa, zdumiałem się wielką różnicą - pisał. - Tutaj, na Kaukazie, pomimo ucisku gospodarczego, niedostatku i skrępowania politycznego, ludzie są o całe niebo weselsi, ruchliwsi, pewniejsi siebie. Na ulicach Moskwy widzi się tylko twarze ponure, śmiech brzmi tam nieswojo, trochę nawet upiornie. Zupełnie inaczej jest w Tyflisie. Wszyscy tutaj jacyś pogodniejsi, uprzejmiejsi i mniej przygnębieni. Kobiety chodzą strojnziej ubrane, mężczyźni częściej ogoleni. Na widok czystej koszuli nikt się nie ogląda. Rosjanie twierdzą, że Gruzja jest oczkiem w głowie Stalina, że zapchana jest kredytami związkowymi, że nigdy nie znała głodu i zawsze łatwo w niej było o manufakturę. Może to stanowi przyczynę tego stanu, a może odmienny, gorący temperament.

Lepecki zadawał sobie pytanie, czy Gruzini są zadowoleni z komunizmu. Część na pewno jest zadowolona - stwierdzał. - To są ci, którzy zajmują dobre stanowiska w administracji i w ogóle w urzędach, i przedsiębiorstwach. Ale ci stanowią mniejszość. Co natomiast myśli i czuje wieśniak, członek kolektywu, robotnik, zarabiający 3 rb. dziennie przy budowie drogi, tego nikt nie wie. - A za chwilę: - W porównaniu jednak do czasów sprzed wojny, Gruzini pod względem swobód narodowych są w znacznie lepszym położeniu. Język ich jest naprawdę panującym i urzędowym, ich literatura i kultura są skrępowane tylko ramami reżymu, ich szkolnictwo jest gruzińskie. W zestawieniu więc z czasami „namiestnictwa kaukaskiego" muszą czuć się lepiej.

Zaskakiwała go jednak sowiecka rzeczywistość:

Idziemy do restauracji.

- Poproszę lody - mówię do kelnera, ocierając pot. Towarzysz kelner patrzy na mnie zdziwiony.

- Że co? - pyta.

- Lody - powtarzam.

- Oh, lody! Nie, obywatelu, nie mamy.
- A co macie?
- Jest woda Borżom i kwas. -Ado jedzenia?
- Do jedzenia, obywatelu, nic nie mamy.

Bardziej swojsko czuł się wśród handlarzy walutą, proponujących nielegalne transakcje pod sklepami dla obcokrajowców:

Spekulanci byli to zazwyczaj niepozorni, źle ubrani mężczyźni o minach, jak gdyby nie umieli zliczyć do trzech. Kręcili się wciąż przed Torgsinem, wystawali grupkami, rozprawiali. Przypominali do złudzenia czarnogiełdziarzy warszawskich z okresu dewaluacji.

Przygnębiające wrażenie robiły na nim oglądane kościoły. W Mcchecie zwiedzał świątynię Sweticchoweli:

Zaraz na wstępie widać, że katedra nie jest w poszanowaniu. Gruz, rupiecie, obdrapane mury i wiejąca zewsząd pustka świadczą o tym wymownie. Przed wielkimi drzwiami, w głębokiej sieni, poszukały sobie schronienia krowy i cielęta, dzieci zanieczyściły progi, wiatr naniósł śmieci i kurzu.

Dziennikarz Jan Stanisław Berson, który odwiedził Gruzję w tym samym czasie, patrzył w przyszłość z ostrożną nadzieją: To, co ocalało z dawnej inteligencji, a nawet arystokracji, pracuje dziś bez ujmy dla swoich prawdziwych przekonań na odcinku naukowym lub artystycznym, przechowując dla młodzieży i „nowych ludzi” bezcenne skarby kulturalnej przeszłości. (Berson, piszący pod pseudonimem Otmar, wychował się w Tbilisi; jesienią 1918 roku wyjechał do odradzającej się Polski).

Bilans sowieckich rządów: osiemdziesiąt tysięcy Gruzinów zamordowano, czterysta tysięcy deportowano, setki tysięcy więziono. Aresztowany zaraz na początku lat dwudziestych i postawiony przed sądem katolikos Ambroży powiedział w ostatnich słowach: Moja dusza należy do Najwyższego, a serce - do ojczyzny. Ciało jest wasze. Zróbcie z nim, co chcecie.

Gruzini są przekonani, że ucierpieli od komunistów tyle samo, co inne narody ZSRR. Ale poza falami represji z lat dwudziestych, trzydziestych i początku pięćdziesiątych, żyło się im dużo znośniej. W latach sześćdziesiątych zaczęli się bogacić. Zawsze kochali szeroki gest, teraz powoli było ich stać na samochody, domy, wystawne przyjęcia. Obraz gruzińskiego bon vivanta, miłośnika złota i futer, nieliczącego się z groszem bywalca moskiewskich restauracji utrwaliło sowieckie kino. Szokowali, imponowali, budzili zawiść.

Helena Amiradżibi-Stawińska, autorka dwóch tomów wspomnień rodzinnych, opisała wizytę u znajomego, którego ojciec miał swój kołchoz odłowu ryb, swoją fabryczkę mączki rybnej i swoją maleńką, już zupełnie prywatną wędzarnię. Syn to wszystko odziedziczył.

Półprywatyzacja - tłumaczyła Amiradżibi-Stawińska - zaczęła się, gdy dobrze usadowieni w państwowych fabrykach dyrektorzy wpadli na pomysł, by tefabryki nieco zmodernizować i rozbudować, nie czekając na państwową dotację. Kupowali zagraniczne maszyny za swoje „prywatne”, czyli ukradzione państwu kapitały. Oficjalnie fabryka nadal produkowała tyle bubli albo półbubli, co dotąd, natomiast drugie tyle albo więcej już „prywatnego” towaru sprzedawano w państwowych sklepach, posługując się tą samą państwową fakturą. I wszystkim było to na rękę. Przewodniczący kołchozów stawali się absolutnymi panami, pod warunkiem, że nie próbowali wyrastać ponad to swoje poletko.

Był to dobry czas dla gruzińskiej kultury. Rozkwitło kino tworzone przez takich mistrzów, jak Eldar Szengelaja, Rewaz Czcheidze, Otar Joseliani czy Tengiz Abuladze. Sukces artystyczny też wiązał się z pieniędzmi - jeśli nie przekroczyło się cienkiej granicy między niezależnością a nielojalnością.

W domu Sofiko Cziaureli i Kote Macharadzego była wewnętrzna winda, sala teatralna z niewielką sceną i studio filmowe, a także małe muzeum oraz nastrojowy bar. Na ścianach wisiały obrazy Pirosmaniego. Gospodarze byli wybitnymi aktorami (on ponadto popularnym komentatorem piłkarskim). Dom postawił ojciec Sofiko, Michaił Cziaureli, jeden z twórców gruzińskiej kinematografii, w miejscu, gdzie po raz pierwszy pocałował przyszlą żonę, wielką aktorkę dramatyczną Weriko Andżaparidze. Byłem w tym domu w 1998 roku. Ma-charadze właśnie przygotowywał monodram poświęcony Stalinowi; zamierzał wcielić się w dyktatora i opowiedzieć o jego życiu. Dzielił się ciekawostkami, które wygrzebał w archiwach (- Stalin zaczytywał się w Nostradamusie, da pan wiarę? Pożyczał z kremłowskiej biblioteki takie książki, po które nikt inny nie sięgał). Sofiko Cziaureli pokazywała rodzinne pamiątki: zdjęcia z Johnem Steinbeckiem, Borysem Pasternakiem i Nazimem Hikmetem, którzy gościli u rodziców, listy Siergieja Paradżanowa.

Cziaureli i Macharadze - oboje już nie żyją - należeli do gruntownie wykształconej, odcytanej, znającej języki i nieuleczalnie europejskiej gruzińskiej inteligencji, która niewiadomym sposobem przetrwała bolszewików i cały wiek dwudziesty. Podobnie przetrwał ich dom: nie zmógł go ani rok 1937 i rządy Berii, ani rozruchy w roku 1956, ani niespokojne lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte.

Gruzińskie władze hołubiące artystów same grały w podobną grę z Moskwą. Za swą lojalność oczekiwały wynagrodzenia - pozostawienia zebranych w republice podatków, przymknięcia oka na korupcję. Mistrzem wiernopoddańczych hołdów był Eduard Szewardnadze. 14 kwietnia 1978 roku w Tbilisi spontanicznie zebrał się ielotyśięczny tłum, oburzony skreśleniem z konstytucji soleckiej Gruzji zapisu o państwowym statusie języka gruzińskiego. Sytuacja była dramatyczna, użycie siły groziło rozlewem krwi na wielką skalę. Szewardnadze, który wcześniej ani myślał przeciwstawiać się zmianom, zdołał przekonać Moskwę do ustępstw. Zyskał podwójnie: dla Moskwy będzie człowiekiem, który umie opanować kryzys, dla własnego narodu - obrońcą niezależności. To pomoże mu wrócić do władzy po upadku komunizmu (nikt nie będzie pamiętał, że gdy emocje opadły, na uczestników protestu posypały się represje). Dwa lata wcześniej w Gruzji powstały pierwsze podziemne organizacje polityczne, pojawiła się bibuła. Jednym z jej wydawców był Zwiad Gamsachurdia.

Ostatnim akordem komunistycznych rządów była pacyfikacja demonstrantów, którzy od jesieni 1988 roku gromadzili się przed siedzibą władz republiki i żądali wyjścia Gruzji z ZSRR. Oddział sowieckiego

specnazu zaatakował nad ranem 9 kwietnia 1989 roku. Pod osłoną gazów łzawiących żołnierze weszli w tłum, torując sobie drogę saperkami. Zginęło dwadzieścia osób. Tbilisi, tyle razy w historii najeżdżane, palone, równane z ziemią, zostało zdobyte po raz ostatni.

Związek Radziecki wciąż istniał, ale Gruzja żyła już własnym życiem. Jesienią 1990 roku wolne wybory parlamentarne wygrał opozycyjny blok Okrągły Stół - Wolna Gruzja Zwiada

Gamsachurdii. On sam został przewodniczącym parlamentu. 9 kwietnia 1991 proklamowano niepodległość. Półtora miesiąca później Gamsachurdię wybrano na prezydenta kraju.

Był postacią tragiczną, jak z szekspirowskich dramatów, które przekładał na gruziński. Do rządzenia przygotowywał się od dzieciństwa. Na przywódcę wychowywał go ojciec. Konstantin Gamsachurdia był najważniejszym pisarzem swoich czasów. Po zwycięstwie bolszewików zwykł paradować przed siedzibą władz bezpieczeństwa w ciemnym ubraniu na znak żałoby po utraconym państwie - i nawet Beria nie miał śmiałości go zaarrestować. Z rosyjskim sekretarzem partii mówił przez tłumacza.

Podobnie jak ojciec, Zwiad był starannie wyedukowany, ale zabrakło mu jego charakteru. Mówią, że gdy w latach siedemdziesiątych zamknięto go za działalność podziemną, załamał się w śledztwie i sypnął kolegów - dlatego miał dostać łagodną karę. Mówią, że tkwiło w nim to jak drzazga: nie sprawdził się, nie spełnił oczekiwań. Źle znosił krytykę, nienawidził kompromisów. Mało komu ufał. Nie liczył się z realiami. Miał do spełnienia misję - dać Gruzji wolność i potęgę. Wierzył w to dogmatycznie.

Rządził Gruzją, jakby już była mocarstwem. Zażądał wyprowadzenia wojsk sowieckich. Natychmiast, od ręki. Mówił z pozycji siły, której nie miał. Na złość Moskwie ogłosił strajk powszechny - i gospodarka Gruzji poniosła wielkie straty. Wydał Odezwę do narodu amerykańskiego, w której domagał się dymisji prezydenta Busha: uważał, że nie rozumie przemian demokratycznych na świecie i nie docenia Gruzji, która pierwsza obaliła komunizm. Obraził mniejszości narodowe, nazwał je gośćmi, którym zawsze można pokazać drzwi.

Nieźle przemawiał. Ciekawe, że trafiał głównie do kobiet -hipnotyzował je, a one wpadały w amok. Doprowadzał je do takiego stanu, że były gotowe oddać za niego życie. Jego wiece były wiecami kobiet. Wśród mężczyzn budził uczucia skrajne, miał fanatycznych zwolenników, ale też nieprzejednanych wrogów.

Zaprosił Anatolija Kaszpirowskiego, bioenergoterapeutę i telewizyjnego uzdrowiciela, idola upadającego ZSRR. GOŚĆ wystąpił w gruzińskiej telewizji w programie na żywo. „Jeden, dwa, trzy, cztery” - hipnotyzował z ekranu. Mówił Gruzinom, że są silni i pokonają wszystkie przeszkody. Następnego dnia występował ponownie. Już wprowadził widzów w trans, gdy do studia wkroczył ksiądz ze święconą wodą, który przekonał ochronę, że przez uzdrowiciela działa szatan. Kaszpirowski zerwał się i wybiegł, nie zakończywszy seansu.

Wiele osób skarżyło się później na uporczywe bóle głowy, kłopoty ze snem, huśtawkę nastrojów.

W sierpniu 1991 roku władzę w Związku Radzieckim przejął na dwa dni Państwowy Komitet Stanu Wyjątkowego. Moskiewski pucz, próba zatrzymania historii i powrotu do przeszłości stał się początkiem końca Gamsachurdii. Ten antykomunista i wróg Rosji popadł w pułapkę puczystów! Źle ocenił sytuację? Wystraszył się? Był szantażowany? A wystarczyło nic nie robić, wystarczyło chwilę poczekać. Stracił wtedy mnóstwo zwolenników.

Najpierw rozpadła się rządząca koalicja, potem podzieliło się społeczeństwo. Opozycja utworzyła formacje militarne. Broń dostarczyli Rosjanie z ulokowanych w Gruzji sowieckich baz wojskowych.

Zbuntowały się mniejszości, Osetyjczycy i Abchazowie, którzy mieli w sowieckiej Gruzji własne jednostki autonomiczne. Zaczął rozpadać się cały kraj.

Pod koniec 1991 roku wybuchła wojna domowa pomiędzy wierną Gamsachurdii Gwardią Narodową a siłami opozycji. Walki objęły centrum Tbilisi, w dalszych dzielnicach toczyło się normalne życie. Znany dziennikarz, który przyleciał z Wilna, aby relacjonować te wypadki, był zdziwiony, że działa lotnisko i jeżdżą samochody. Złapał taksówkę:

- Wojna u was? - zagadnął.

- Wojna - potwierdził kierowca.

- To co tu tak spokojnie?

- Jedźmy, pokażę.

Zatrzymali się gdzieś w śródmieściu:

- Na wojnę pójdzie pan prosto i na rondzie w prawo.

Ale była to prawdziwa wojna i ginęli na niej ludzie.

Opozycja, dysponująca kilkoma pożyczonymi od Rosjan czołgami, szturmowała dom za domem, zaciskając pierścień wokół parlamentu, gdzie ukrył się prezydent. 4 stycznia 1992 roku Gamsachurdia uciekł do Armenii, a stamtąd do Czeczenii. Dziewięć dni wcześniej przestał istnieć ZSRR. W jednej chwili upadło państwo sowieckie oraz obalono człowieka, który je zwalczał.

Zdziwiająca, jak w ciągu paru lat kwitnąca - przynajmniej na tle innych republik - Gruzja popadła w ruinę. Jak szybko upadł przemysł, jak bez walki poddało się rolnictwo. W miastach przestały działać kotłownie; aby się ogrzać, ludzie wstawiali sobie do mieszkań piecyki, w których palili drewnem. Odłączono gaz, zaczęły się problemy z prądem. Idąc reprezentacyjną aleją Rustawelego, gdzie mieszczą się prestiżowe sklepy, banki i kluby, słyszało się monotonny terkot dieslowych generatorów, w małych sklepikach sprzedawano przy świeczkach. Wiele osób nosiło broń i w lepszych lokalach umieszczono tabliczki, żeby zostawiać ją w szatni. Wsie wróciły do gospodarki naturalnej.

W marcu 1992 roku do Tbilisi przybył Eduard Szewardnadze, który w ostatnich latach ZSRR kierował sowiecką dyplomacją. Ściągnęły go tymczasowe władze, aby uwiarygodnić zamach stanu.

Uchodził za czołowego przedstawiciela reformatorskiej ekipy Gorbaczowa i cieszył się wielkim autorytetem. Wzmocnił go jeszcze, zapraszając do Gruzji swoich niedawnych partnerów: ministra spraw zagranicznych Niemiec Hansa-Dietricha

Genschera i sekretarza stanu USA Jamesa Bakera. W zrujnowanym Tbilisi wyglądali jak przybysze z kosmosu - w tamtych czasach ważni goście rzadko bywali poza Moskwą. Następnie przyjął chrzest z rąk patriarchy. Formalną władzę objął po kilku miesiącach, wygrywając nietypowe wybory powszechne: na przewodniczącego parlamentu. Prezydentem zostanie w 1995 roku.

Od Gamsachurdii różniło Szewardnadzego wszystko: pochodził z przeciętnej rodziny, nie był intelektualistą, robił karierę w partii komunistycznej. Odznaczał się elastycznością i sprytem - gdy wcześniej osiwiiał, rodacy nazwali go tetri melia, biały lis.

Tymczasem kraj dryfował ku przepaści. W Osetii Południowej i Abchazji wybuchły wojny secesyjne, zakończone zwycięstwem separatystów. Prowincje faktycznie oderwały się od Gruzji, napłynęły stamtąd tysiące gruzińskich uchodźców. Wrócił Zwiad Gamsachurdia: szybko opanował Megrelię i rozpoczął marsz na Tbilisi. Szalał bandytyzm, rachityczną gospodarkę pożerała inflacja. Po chleb ustawiały się długie kolejki.

Szewardnadze zdecydował się na krok, który mógł go kosztować utratę stanowiska - poprosił o pomoc Rosję. W zamian zgodził się, by w Gruzji stacjonowały rosyjskie wojska, oraz przyłączył kraj do budowanej pod patronatem Kremla Wspólnoty Niepodległych Państw. Wielu Gruzinów mu tego nie wybaczyło, ale zyskał czas, którego tak bardzo potrzebował. Mógł przystąpić do działania.

Najpierw przy pomocy Rosjan stłumił rebelię Gamsachurdii. Pierwszy prezydent niepodległej Gruzji zakończył życie 31 grudnia 1993 roku w Dzweli-Chibula pod Zugdidi (najpewniej było to samobójstwo, choć okoliczności nigdy nie zostały wyjaśnione). Następnie pozbył się grupy, która wyniosła go do władzy. Rozpuścił podporządkowane tej grupie formacje zbrojne, zamknął należące do niej firmy i banki. Członków grupy usuwał po kolei, eliminował ich intrygą, przekupstwem i szantażem. W pojedynkę nie byli groźni. W końcu wszyscy trafili do więzienia. Na najwyższe urzędy powołał dwudziesto-, trzydziestolatków, którzy zawdzięczali mu wszystko. Jednym z nich był Micheil Saakaszwili, poliglota, prawnik po amerykańskim uniwersytecie. Szewardnadze uczynił go ministrem sprawiedliwości.

Wciąż był podejmowany na salonach świata - jako legenda pierestrojki, ale również szef państwa, przez które mógł pójść tranzyt ropy i gazu z Morza Kaspijskiego. Toczyła się gra o kontrolę nad eksportem surowców, Rosja chciała, aby rury biegły do jej portów nad Morzem Czarnym, Zachód forsował trasę przez Turcję. Szewardnadze był zbyt mądry, by nie dostrzec korzyści, jakie stąd płynęły. W Gruzji zjawili się brytyjscy nafciarze, niemieccy biznesmeni, amerykańscy instruktorzy wojskowi. Wraz z nimi pojawiły się pieniądze.

Nie myślał, aby zrywać z Rosją, zapewne chciał tylko poszerzyć sobie pole manewru. Trudno powiedzieć, czy miał jakąś strategiczną wizję, choć w miarę upływu czasu coraz bardziej dystansował się od Moskwy. Z grubsza uporządkował kraj i nie miał pomysłu, co dalej. Nie potrafił albo nie mógł zapanować nad korupcją, nie mógł lub nie chciał uwolnić gospodarki. Na pewno się bał - przeżył kilka zamachów na swoje życie.

Okazał się prezydentem przejściowym.

W tamtym czasie, w latach dziewięćdziesiątych, bywałem w Gruzji przynajmniej raz w roku. Za każdym razem zachodziłem do parlamentu, spotykałem się z politologami, odwiedzałem znajomych dziennikarzy. Pytałem, co słychać. Odpowiedź brzmiała: nic nowego. Kraj stanął w miejscu i zdawało mi się, że zastaję ludzi w tych samych pozach, jakie przybrali kilka lat wcześniej. Nie mogłem pozbyć się uczucia zwielokrotnionego déj? vu.

- Znowu jesteśmy w punkcie wyjścia - mówił mi na przełomie wieków Dawid Berdzeniszwili, polityk Partii Republikańskiej. - Co prawda nie my jedni, to samo stało się również z Ukrainą, ale Gruzja miała lepszą sytuację wyjściową: tutaj nie było problemów z tożsamością, wszyscy wiedzieli, że byliśmy i będziemy państwem, panował ogólnonarodowy consensus w sprawie niepodległości. Zmarnowaliśmy dekadę.

Rewolucja róż wybuchła po tym, jak władze sfalszowały wybory parlamentarne. Na ulice Tbilisi, a potem także innych miast, wyszły tysiące ludzi. Wołali: „Kmaraf, „Dosyć!“ - tak nazywała się organizacja młodzieżowa, która koordynowała protesty. Gdy emocje zdawały się opadać i Szewardnadze zwołał pierwsze posiedzenie parlamentu, protestujący, uzbrojeni w czerwone róże, wdarli się na salę obrad i zablokowali mównicę. Inna grupa wtargnęła do kancelarii głowy państwa. Następnego dnia po krótkich negocjacjach prezydent machnął ręką:

- Rezygnuję i jadę do domu.

- Historia panu tego nie zapomni - odpowiedział przywódca protestujących Micheil Saakaszwili, który, jak wszyscy Gruzini, kocha efektowne gesty, pozy, teatr.

(W przeciwieństwie do Gamsachurdii, Szewardnadze nie rzucił na protestujących policji i wojska, a kiedy został obalony, nie musiał uciekać z kraju. Wówczas istotną rolę odegrali Rosjanie, a teraz Amerykanie: działacze „Kmary“ przeszli szkolenie w USA).

Saakaszwili wygrał kolejne wybory prezydenckie, a jego ugrupowanie - parlamentarne. Jedną z pierwszych decyzji nowego prezydenta była zmiana flagi państwowej. Dotychczasowa nawiązywała do demokratycznej republiki z lat 1918-1921. Nowa przypomina flagę z czasów królowej Tamar i największej potęgi Gruzji.

Celem Tbilisi stało się dołączenie do państw Zachodu, wstąpienie do NATO, a w przyszłości - do Unii Europejskiej. Punktem odniesienia stał się Waszyngton. Droga z tbiliskiego lotniska do centrum miasta

otrzymała imię George'a Busha juniora, który gościł w Gruzji w 2005 roku. Stosunki z Moskwą zaostrzyły się. Kreml demonstracyjnie zacieśnił kontakty z nieuznanymi republikami Abchazji i Osetii Południowej.

W sierpniu 2008 roku Saakaszwili podjął próbę odzyskania Osetii. W odpowiedzi Rosjanie wprowadzili do Gruzji swoje wojska. Zbombardowali Gori, Poti, Senaki.

- Rosjanie kochają Gruzję, ale jako część Rosji - tłumaczył mi gruziński wiceminister spraw zagranicznych Walerij Cze-czelaszwili. - Od zawsze przyjeżdżali na wakacje do Batumi, pili borżomi i kindzmarauli, śpiewali Suliko i nie mogą się pogodzić, że to jest teraz zagranica.

Gruzini dzielali wizję Saakaszwilego. Prosiłem kiedyś w kiosku o gazetę „Wolna Gruzja”.

- Tak, jesteście wolni, bo was nie ma - mruknął kioskarsz, który wziął mnie za Rosjanina. Ponad sześćdziesiąt procent Gruzinów, którzy wzięli udział w referendum 5 stycznia 2008, głosowało za członkostwem Gruzji w NATO.

W czasie gdy odbywała się konferencja, którą zorganizował Aleksandr Rusiecki, na alei Rustawelego manifestowali przeciwnicy prezydenta. Zarzucali mu dyktatorskie ciągoty, arogancję i brak troski o uboższe warstwy społeczeństwa (zwolennicy podkreślali, że udało mu się zmniejszyć korupcję, ożywić gospodarkę i wzmocnić siły zbrojne).

Po konferencji Rusiecki spytał, jak mi się podobała. Odpowiedziałem, że najważniejsze, że w ogóle się odbyła. Piętnaście lat wcześniej nikt się nie zastanawiał, czy Gruzja to Europa, czy może Bliski Wschód: ludzie walczyli o przeżycie. Musiały przewalić się cztery wojny (a licząc z krótkotrwałą wojną rosyjsko-gruzińską w sierpniu 2008 roku - pięć) i dwa zamachy stanu, by Gruzini zaczęli zadawać sobie pytanie, kim są i w którą stronę chcą iść. Teraz nadszedł czas odpowiedzi.

Bohater opowiadania Cień Gruzji Ksawerego Pruszyńskiego ponownie spotyka w Paryżu gruzińskiego premiera. Jest rok 1938, premier zrezygnował już z godności szefa rządu na uchodźstwie, dożywa swych dni przy rodzinie gruzińskich robotników, hoduje pszczoły.

- Wychowałem się na Chacie wuja Toma - odpowiada dziennikarzowi - dojrzałem pod wpływem Zoli: jakże piękny, szlachetny, wielki był ten Zachód! Jakże mnie mierzyły niskie stragany tyflskich przekupni, Ormian, Greków, Turków, Żydów: oni wszyscy - to był ten świat Wschodu, który kłamie. Zawsze kłamie. Nigdy nie dotrzymuje słowa. Jakże to było inne od tego pięknego Zachodu, który zawsze dotrzymywał raz danego słowa, który walczył o sprawiedliwość, ujmował się za jednostką nawet, miał tyle współczucia dla nieszczęsnych Ormian i wyrzynanych Kurdów, dla mordowanych w pogromach. I... rozumie pan teraz, gdy przyszła tamta chwila, my, znający tylko ten piękny, książkowy Zachód, zawierziliśmy Zachodowi...

Ikona

- Stalin jest postacią, która w historii ludzkości odegrała wyjątkową rolę - powiedział nam profesor Gegeszydze. - Historia zna wielu wielkich ludzi: Chrystus, Mahomet, Konfucjusz, Aleksander Macedoński, Napoleon. A wśród nich, na czołowym miejscu znajduje się Stalin.

Był rok 1998. Przyjechaliśmy do Gruzji, aby nakręcić film

o kulcie Stalina*. Prezydent Eduard Szewardnadze właśnie otworzył instytut, którego zadaniem były studia nad osobą dyktatora. Dawid Gegeszydze, filozof, został szefem rady naukowej instytutu.

Gegeszydze:

- Gromadzimy i upowszechniamy wiedzę na temat Stalina,

1 badamy źródła, które mogą rzucić nowe światło na jego osobowość. Staramy się powstrzymać emocje. Naszym celem nie jest zbijanie politycznych kapitałów, ale naukowa synteza fenomenu Stalina.

Profesor Iwane Szengelija, historyk:

*Boskość Józefa Stalina w świetle najnowszych badań. Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i Fabularnych w Warszawie na zlecenie 1 Programu TVP, reżyseria Krzysztof Nowak-Tyszowiecki, scenariusz Wojciech Górecki i Krzysztof Nowak-Tyszowiecki, zdjęcia Krzysztof Hejke, 1998.

- Chcemy zrozumieć, kim on był. W naszej pracy ważny jest udział psychologa i grafologa, bo nawet pojedynczy podpis Stalina ma wielkie znaczenie dla badań nad jego trybem życia, przyzwyczajeniami, stosunkiem do otoczenia.

Doktor Mzija Naoczaszwili, historyk:

- Naród gruziński ma wielu bohaterów, ale badania nad fenomenem Stalina pomijają aspekt narodowy. To nie jest bohater narodowy. Postać Stalina jest osiągnięciem całej ludzkości.

Pytaliśmy w instytucie o zbrodnie stalinowskie, o głód na Ukrainie, o Katyń.

Usłyszeliśmy, że łagry były uzasadnione ekonomiczne: bez armii łagierników Stalinowi nie udało się w krótkim czasie stworzyć od zera wielkiego przemysłu.

Ktoś zauważył, że na Ukrainie głodowano także przed rewolucją:

- Głód jest zjawiskiem spowodowanym przez brak urodzaju i nie towarzyszy wyłącznie ustrojowi komunistycznemu. Ofiary były, ale liczba podawana przez Ukraińców jest zawyżona.

Ktoś inny podał w wątpliwość odpowiedzialność Stalina za Katyń:

- On nigdy nie wydałby rozkazu: „Rozstrzelać ludzi!”. On kierował krajem i miał na głowie sprawy ważniejsze niż zabijanie. Od tego były odpowiednie organy.

(Usłyszeliśmy także, że w Katyniu wszystko odbyło się zgodnie z prawem: - Inna rzecz, czy o tej sprawie postanowiono prawidłowo, czy nie - zastrzegaj kolejny rozmówca).

Biznesmen Otar Czigładze, sponsor instytutu:

- W Gruzji wielu biznesmenów to stalinowcy, w ich firmach panuje porządek, a wszystkie problemy pięknie się rozwiązują. Dzieci i wnuki represjonowanych nie chcą, by świat poznał prawdę o Stalinie. A może oni byli słusznie represjonowani? Przecież kilkuletnie dziecko nie wie, dlaczego zabierają ojca.

Profesor Iwane Szengelija:

- Za życia Stalina mówiło się jedno, teraz mówi się drugie. A może jeszcze coś trzeciego się pojawi?

Prezydent Szewardnadze uważał powołanie instytutu (pełna nazwa placówki to: Centrum Naukowo-Badawcze Studiów nad Fenomenem Józefa Wissarionowicza Stalina) za jedno ze swych największych osiągnięć. W wywiadach tłumaczył, że Stalina przedstawiano „w zwulgaryzowanym świetle” i trzeba było to zmienić. Tych wywiadów udzielał po gruzińsku, dla gruzińskich mediów.

Dziennikarzom spoza Gruzji mó-,wił o Stalinie rzadko. W autobiografii Przyszłość należy do wolności, którą wydał po rosyjsku, napisał, że destalinizacja była ciosem dla gruzińskiej miłości własnej: Chruszczow ukazał Stalina nie tylko jako tyrana i zbrodniarza, lecz także jako ignoranta i nieuka, niemal półgłówka - a przecież ten człowiek porwał za sobą miliony, wygrał wojnę, zbudował mocarstwo! Czy półgłówek, pytał Szewardnadze, pokonałby Hitlera?

(W gruzińskim podręczniku historii dla dziewiątej klasy, wydanym w 2003 roku, napisano tłustym drukiem, że krytyka Stalina w okresie Chruszczowowskiej odwilży przerodziła się w znieważanie narodu gruzińskiego: Podkreślało się, że Stalin był Gruzinem, co w tym przypadku nie miało dnego znaczenia).

Pod koniec lat osiemdziesiątych, gdy narody zaludniające wiązki Radzieckie podnosiły głowy, Gruzini upomnieli się o sprawiedliwość dla Stalina. Założyli Towarzystwo Ideowych podkobierników Stalina oraz Międzynarodowe Towarzystwo talin", a inna organizacja zażądała sprowadzenia prochów talina z Moskwy. Do Stalina przyznawali się również Osetyj-ycy, zamieszkujący centralny Kaukaz (dyktator miał ponoć etyjskie korzenie). W połowie lat dziewięćdziesiątych czy-Inicy gazety „Młodzież Osetii" uznali, że Stalin i Chrystus to najbardziej wpływowe osobistości w dziejach świata. Z jednej strony - komentowała wyniki plebiscytu redakcja - zwycięstwo Stalina można tłumaczyć bezgraniczną miłością do rodaka, z drugiej, ta popularność może niektórych zaniepokoić, gdyż w ostatnim czasie różni historycy od siedmiu boleści bezwstydnie obrzucają Go biotem. Nie zapominajmy jednak, że głos narodu jest obiektywny, a zatem - prawdziwy.

W wyborach 1995 roku wzięła udział Komunistyczna Partia Stalinowska (lista numer 27). Reklamowała się za pomocą plakatów z dyktatorem oraz wielkiego portretu Stalina, objeżdżającego Tbilisi na dachu mikrobusu. Portret był oświetlony lampkami choinkowymi i w nocy cały ten migający konwój -za mikrobusem jechało jeszcze kilka aut, wszystkie na sygnale, koguty były chyba z karetki pogotowia, a może z wozów strażackich - przypominał opętańczą procesję, korowód wyznawców jakiegoś chrześcijańsko-pogańskiego świętego (w tamtych latach noce w Tbilisi były niemal czarne, nie działały latarnie, nie było neonów, z okien biła blada łuna od świeczek i lamp naftowych, a żar z papierosa spóźnionego przechodnia zostawiał po sobie smugę, jak samolot na niebie).

Włóczyłem się po mieście z Nikiem. Zaczepił mnie na dworcu, miał kilkanaście lat, trochę gimnazjalista, trochę ulicznik, gawrosz, w Tbilisi mówią o takich kinto. Kombinował, że dam mu parę groszy albo wezmę na obiad, albo przeżyjemy jakąś przygodę - trafimy na wiec opozycji i będziemy uciekać przed policją, a może wpadniemy w łapy bojówki Mchedroni. Nic się jednak nie działo i Niko z nudów tłumaczył mi na rosyjski plakaty wyborcze, dodając własną ocenę kandydatów: Ten jest chuj, ten też, ten tak samo, a ten to nasz Stalin!

Na Partię Stalinowską głosowało 3.5 procent wyborców. Większość stalinowców poparła Gruziański Związek Obywatelski prezydenta Szewardnadzego.

Trudno dyskutować z Gruzinami o Stalinie. Większość uważa, że był wielki. W tej grupie są tacy, którzy nie wierzą w stalinowskie zbrodnie. (- To wszystko wymyślił Chruszczow - zapewniają). Są tacy, którzy dostrzegają zło, ale Stalinowi wybaczyliby najgorsze. (- On zwyciężył faszyzm i przeszedł do historii -powiedział mi Josif Egnataszwili, urzędnik z Gori. - Jakie znaczenie ma dzisiaj partia komunistyczna i

Związek Radziecki?). Są też tacy, którzy tęsknią za twardą ręką i porządkiem, za epoką, kiedy łapówkarzy pakowano do więzienia, a na spekulantów czekał Sybir. (Stary Arczil, emerytowany księgowy, którego poznałem w Tbiliskim parku, opowiada wnukom, że Stalin szanował ludzi pracy: pochodził z ubogiej rodziny i znał życie robotnika z własnego doświadczenia. Wnuki Arczila mówią o Stalinie „wujek Soso”).

Coraz więcej jest Gruzinów, którzy mają Stalina za tyrana i despotę. Ale nie lubią o nim rozmawiać. Wstydzą się jego kultu. Ignorują stalinowców i liczą, że sprawę rozwiąże biologia - w ich oczach wielbiciel Stalina to tylko ludzie starsi, emeryci. Nie znają, a może nie chcą znać wnuków Arczila.

W ojczyźnie Stalina o Stalinie prawie się nie pisze naukowo. Nie ukazują się prace krytyczne, nie toczą się dyskusje w prasie. Profesor Nodar Lomouri, bizantynolog (- Stalin a tradycja bizantyjska, to mógłby być wielki temat!), ogłosił raz artykuł, w którym potępił gloryfikację dyktatora.

- Redakcję zasypały listy oburzonych czytelników - wspomina. - Jedni zarzucali mi oplwanie własnej historii, szarganie świętości. Inni przekonywali, że Stalin może być, jaki był, ale był nasz.

Iwlian Haindrawa, polityk Partii Republikańskiej, macha ręką:

- Stalin to był po pierwsze zbrodniarz, a po drugie nie--Gruzin. W jego zachowaniu, czynach nie było nic gruzińskiego, sam się uważał za Rosjanina. Szkoda na niego czasu.

Akcja filmu Pokuta toczy się gdzieś w Gruzji. Umiera wszechwładny burmistrz, odbywa się uroczysty pogrzeb. Następnego dnia mieszkańcy znajdują ciało zmarłego w parku: ktoś je w nocy wykopał. Grzebią je ponownie, ale sytuacja się powtarza. Widz nie ma wątpliwości, że pierwowzorem burmistrza był Józef Stalin, a niemożność pochowania zwłok symbolizuje nieuregulowane rachunki z przeszłością. Reżyser Tengiz Abu-ladze nakręcił ten film w latach osiemdziesiątych. Od tamtej pory nie powstało w Gruzji dzieło równie ważne. Gruzini nie potrafią sobie ze Stalinem poradzić, dyktator pozostaje zawieszony między światem żywych a światem umarłych, oczekuje na sąd ostateczny we własnej ojczyźnie.

Aktor Kote Macharadze, ten od domu z windą, poświęcił Stalinowi monodram.

- Interesuje mnie młody chłopak, który nawet w Tbilisi był prowincjuszem, co dopiero w Petersburgu czy w Londynie -mówił mi przed premierą. - Nie miał bogatych rodziców, wpływowych krewnych, możnych protektorów, ale wypowiedział wojnę całemu światu: przyjechał do Tbilisi, przyjechał do Petersburga i pokonał wszystkich, i został panem połowy planety! Nie wiem, jak to się stało. Mogę powiedzieć, co miało miejsce w którym roku, ale to, jak ten człowiek z Gori zdołał wyrzucić świat do góry nogami, pozostaje dla mnie zagadką.

Na głównym placu Gori stoi pomnik Stalina. W Gruzji Stalin ma dużo pomników, niektóre zachowały się z dawnych czasów, inne postawiono niedawno, ale ten jest najbardziej okazały, góruje nad miastem. Dolna część cokołu przechodzi w trybunę, z której gorijscy oficjele odbierali defilady. Za pomnikiem, w reprezentacyjnym gmachu zwieńczonym kopułą, urzędują lokalne władze. Mer Gori widzi ze swojego gabinetu na trzecim piętrze plecy dyktatora.

- W pięćdziesiątym szóstym chcieli nam pomnik rozebrać, ale nie pozwoliliśmy - wspomina

Lamara Bazandaraszwiliemerytowana przedszkolanka. - Całe Gori wyległo na plac, ludzie stali kilka dni i nocy, broniąc Stalina. Ekipa, którą przysłano z Tbilisi, wróciła z kwitkiem.

Matka Lamary była przodującą kołchoźnicą. W 1935 roku pojechała do Moskwy na 11 Wszechzwiązkowy Zjazd Kołchoźników-Przodowników. Przywiozła zdjęcie ze Stalinem i pamiątkowy album, przechowywany w domu Bazandaraszwilich jak relikwia, tuż pod ikonami. (W albumie na kilku fotografiach znaleźli się ludzie zdemaskowani jako trockiści, więc stara zamalowała ich twarze długopisem. Nazwisk trockistów nikt r rodzinie nie pamięta).

- Drugi raz chcieli rozebrać pomnik w osiemdziesiątym ósmym, za Gorbaczowa - ciągnie Lamara. - I znowu zebrali

ię ludzie i nikogo w pobliże nie dopuścili, jak wtedy. Tutaj ikt nie da Stalina skrzywdzić.

Wnuczka Lamary mówi biegle po angielsku. Mieszka w Tbi-si, ale kocha Gori:

- To stąd pochodził Stalin, Gruzin, który rządził Rosją. Po rewolucji róż gorijskie władze postanowiły nawiązać ntakty z miastami na Zachodzie. O pomoc zwróciły się do

achodnich ambasad. W liście dołączonym do pliku folderów płyt kompaktowych mer podkreślał, że to miasto rodzinne nialnego Józefa Stalina.

- Dlaczego go kocham? - powtórzyła pytanie Lejla Abua-li, zaskoczona, że interesują nas jej uczucia. (Siedzieliśmy Gori z ekipą filmową drugi tydzień, nakręciliśmy kilkadziesiąt viadów, ten był jednym z ostatnich. Próbowaliśmy odkryć, ym jest miłość do dyktatora teraz, pół wieku po jego śmierci, Jy nie towarzyszy jej strach). - Ja go zawsze kochałam - za-ęła. - Jestem Gruzinką, tak jak on. Urodziłam się w mieście, którym on przyszedł na świat. Skończyłam uniwersytet, 'ry nosił jego imię. Churchill powiedział o nim, że zastał °sję z sochą, a zostawił z arsenałem atomowym. (To zdanie słyszeliśmy wielokroć, rozmówcy bardzo lubili je cytować). -Wierzę - mówiła dalej - że Stalin marzył o świetlanej przyszłości ludzkości, o szczęściu dla wszystkich, niezależnie od wiary, narodowości, rasy i koloru skóry. Właśnie tak go sobie wyobrażam, tak widzę Józefa Stalina jako obywatelka, jako mieszkanka jego miasta i jako dyrektor jego muzeum.

Abuaszwili, drobna, energiczna starsza pani, przyjmowała nas w beżowej pelisie, narzuconej na gruby szetland. W muzeum było zimno, od dawna nie działało ogrzewanie, prąd w całym kraju włączali, jak chcieli. Wrażenie chłodu powiększała biel posadzek i kolumn: marmurowe schody wyglądały jak skute lodem, a gipsowy posąg Stalina zdawał się pokryty szronem.

Wynajęliśmy mieszkanie w starej kamienicy, kilkaset metrów od muzeum Stalina. Było ciepłe, w korytarzu stała żeliwna koza, na opał słyły drzewa z miejskiego parku, gospodarz rąbał je nocami. Mieliśmy prąd, bo gospodarz podłączył się do linii trolejbusowej. Codzienne wyjścia do muzeum najgorzej znosił operator: szybko marznął, nie pomagała polaro-wa kurtka, pracował w naciągniętej na uszy wełnianej czapie, kamerę obsługiwał w rękawiczkach. Nasi rozmówcy, których ustawiał na tle

portretów Stalina, intarsji ze Stalinem, ceramiki poświęconej Stalinowi, oskarżali o brak ogrzewania i prądu Nikitę Chruszczowa oraz moskiewskich demokratów.

Na Państwowe Muzeum J. W. Stalina składają się trzy obiekty. Pierwszym jest domek, zamknięty w ażurowej konstrukcji z marmuru i szkła - w tym domku dyktator miał się urodzić (pracownicy muzeum przyznają po cichu, że to rekonstrukcja). Właściwa ekspozycja mieści się paręnaście metrów dalej, w piętrowym gmazysku z wieżą, nawiązującym do pałaców włoskiego renesansu - tam w sześciu salach prezentowane są kolejne etapy życia Największego Gruzina. Ostatni obiekt to pancerna salonka, którą Stalin podróżował po kraju i na konferencje w Teheranie, Jałcie i Poczdamie (można usiąść w fotelu i sfotografować się na pamiątkę).

Zwiedzanie zaczyna się od okresu dzieciństwa i młodości. Przewodniczka pokazuje celujące świadectwa szkolne i recytuje:

Różany pąk, co się otworzył,

Na błękit fiołków cień położył.

Konwalia wiatrem przebudzona

Pochyla się do trawy łona.

Śpiewa skowronek na błękicie

Sławiąc z obłoków radość życia, A ckliwy słowik z gąszczu krzewów Dał dzieciom piękny koncert śpiewów. Gruzjo, Ojczyzno ma, rozkwitaj I na mej ziemi pokcj witaj! Wy, ucząc się i wciąż, i wiele, Rozsławcie kraj swój, przyjaciele!

Przełożył - z rosyjskiego przekładu Giennadija Sieriebriakowa - Henryk Urbanowski

Przewodniczka mówi, że ten wiersz szesnastoletniego Sosela (Józia) od 1912 roku znajduje się we wszystkich podręcznikach do języka gruzińskiego.

W następnych salach oglądamy zdjęcia i dokumenty z okresu działalności podziemnej, Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, budowy państwa radzieckiego (w tym walki z opozycją: Trockim, Bucharinem, Zinowjewem i Ka-mieniewem), pierwszych planów pięcioletnich, Wielkiej Wojny Ojczyźnianej.

Przewodniczka wyjaśnia, że Stalin nie pochwalał kultu własnej osoby. Już w 1926 roku pisał do robotników warsztatów kolejowych w Tbilisi, którzy przystali mu gratulacje: Uczciwie mówiąc, towarzysze, nie zasłużyłem nawet na połowę tych pochwał, które wypowiedziano pod moim adresem.

Okazuje się, że jestem bohaterem Października, że kieruję Kominter-nem i przewodzę Partii Komunistycznej. Cudowny bohater, co się zowie! W takim tonie przemawia się nad grobem zmarłego rewolucjonisty. Ale ja jeszcze nie zamierzam umierać.

Piętnaście lat później gruzińscy poborowi, którzy odchodzili na front, składali przysięgę przed domem Stalina (już wtedy było tu muzeum). A radzieccy żołnierze szli do ataku ze słowami: „Za Ojczyznę, za Stalina!”. Przewodniczka podkreśla, że nikt ich do tego nie zmuszał.

W sali numer pięć zgromadzono osobiste rzeczy Stalina: fajki, przybory do golenia, mundur. Przewodniczka opowiada, że Stalin był wzorowym mężem i ojcem. Pokazuje listy, jakie pisał do swojej córki, kiedy się rozstawali (- Lubił nazywać siebie sekretarczykiem Swietłany i dostawać od niej polecenia. A ją nazywał Swietłanką-Gospodynią). W oddzielnych gablotach oglądamy prezenty, jakie podarowano Stalinowi na siedemdziesiąte urodziny. Portret dyktatora wyrzeźbiony w cedrze libańskim z podpisem: „Niech Bóg ma w opiece wielkiego generalissimusa Józefa Stalina” przysłał prawosławny metropolita Bejrutu.

W najmniejszej sali jest tylko jeden eksponat: pośmiertna maska Stalina. Rzeźba spoczywa na postumencie, pośrodku okręgu wyznaczonego przez kilkadziesiąt marmurowych kolumn i wyłożonego czerwonym dywanem. Zwiedzający mogą obejrzeć brązową głowę dyktatora ze wszystkich stron.

Ekspozycja nie zmieniła się od 1979 roku, gdy Gori świętowało stulecie urodzin Stalina. Ale w 2008 roku nowy dyrektor, Robert Maglakelidze, urządził pod schodami, gdzie mieścił się podręczny skład, skromną wystawę poświęconą okresowi represji i czystek. Jest tam biurko śledczego z lampą skierowaną na przesłuchiwanym i zakratowane wejście do celi. Na sznurze wiszą ubrania, które symbolizują ofiary (ciała spoczywają w ziemi, a dusze poszły do nieba, objaśnia przewodniczka).

Parę fotografii przedstawia największych stalinowskich oprawców: Jagodę, Jeżowa, Berię.

- Stalin popełniał błędy, jak każdy - tłumaczy mi Maglakelidze. W gabinecie wisi portret dyktatora z lat młodości, w stojaczkę na biurku tkwią flagi Gruzji i Unii Europejskiej. -Ja też popełniałem błędy i ty popełniałeś - dyrektor wskazuje palcem najpierw na siebie, a potem na mnie i uśmiecha się rozbrajająco. - Przypomnij sobie, czy w dzieciństwie zawsze zachowywałeś się tak, jak powinieś? A w młodości? Niczego się nie wstydzisz, niczego nie żałujesz? Stalin był przywódcą locarstwa, jego błędy miały poważniejsze konsekwencje, ale nie powinny przesłaniać dokonania i osiągnięć. Chcemy poka-ywać prawdę i staramy się zachować właściwe proporcje. W muzeum nadal mieści się Centrum Naukowo-Badawcze tудиów nad Fenomenem Stalina, choć po śmierci profesora Gegeszydzego aktywność instytutu zmalała.

W muzealnym kiosku można kupić wiersze młodego Stalina wydanie gruzińsko-rosyjsko-angielskie), wino „Stalin” wraz kompletem glinianych kielichów z podobizną dyktatora oraz breloczki, długopisy i koszulki ze Stalinem. W sklepie za rogiem sprzedają wódkę „Ani kroku wstecz!” (Ni szagu nazad!). Poniżej na etykietce objaśnienie: Rozkaz talina nr 227.

Na stronie internetowej muzeum - dostępnej w wersji gru-'ńskiej, angielskiej i rosyjskiej - uwagę

przykuwa fajka, z której cały czas unosi się dym.

Na początku września 2008 roku znów pojechałem do Gori. Wojna przetoczyła się tu kilka tygodni wcześniej. Rosjanie bombardowali miasto dwa razy, potem okupowali je ponad tydzień. Mieszkańcy uciekli. Nie wiedzieli, czy jeszcze wrócą. Telewizje całego świata pokazywały apokalipsę.

Transport działał i dotarłem marszrutką do samego centrum. Na pierwszy rzut oka - żadnych zniszczeń! Jeździły samochody, czynne były sklepy i bary. Przed szkołą muzyczną kłębił się tłum dzieciaków. Po chwili zdałem sobie sprawę, że w budynku nie ma ani jednej szyby.

Odnalazłem klub szachowy, który zapamiętałem z telewizyjnej relacji. Tam też nie było szyb. W pustych oknach powiewały resztki zastół. Za nimi - zdemolowane pomieszczenia. Ale gdybym nie wiedział, że była tu wojna, nie domyśliłbym się.

Straty były znikome. Owszem, gruzińskie wsie w Osetii Południowej wypalono do cna, a w strefie buforowej, oddzielającej Osetię od Gruzji „właściwej”, po domach nie pozostał kamień na kamieniu. Owszem, ucierpiały gorijskie przedmieścia, ale samo miasto nie przypominało tego z telewizyjnych relacji. A jednak za każdym zakrętem oczekiwałem ruin, zgliszcz, pobojuwiska. Musiałem obejść całe miasto, by znów przekonać się, jak mało prawdziwy, a raczej jak fragmentaryczny jest świat, który znamy z telewizora. Bo kamera nie kłamie - dom, który płonie na ekranie, płonie naprawdę, a dziewczyna, która zwija się z bólu, naprawdę została ranna i potrzebuje pomocy. Ale za kadrem, nieraz już parę metrów dalej, toczy się zwyczajne życie.

(Potem, już w Warszawie, widziałem zdjęcie: trzech operatorów filmuje, jak rosyjski żołnierz zapala papierosa. Fotograf, który zrobił to zdjęcie, opowiadał, że wystarczyło wyjąć aparat, by wokół pojawiła się konkurencja: „Może dzieje się tam coś ciekawego?!”. Każdy płonący dom, każdy unieruchomiony czołg i ranny człowiek kręcony był dziesiątki i dziesiątki razy, pod dziesiątkami kątów i w dziesiątkach ujęć: z góry, z dołu, z boku, ze światłem i pod światło. Żaden z dziennikarzy, którzy byli w Gori w tamtych dniach, nie mógł być gorszy od kolegów. Każdy musiał dowieść, że redakcja nie myliła się, wysyłając go do Gruzji).

Fasada Uniwersytetu Gorijskiego wyglądała, jakby ktoś podziurawił ją olbrzymim cyrklem. Spytałem kogoś, czy to od ostrzału. Pokazał mi niewielką dziurę w asfalcie: tu spadła bomba, odłamki poleciały na budynek. Nie, dzięki Bogu nikt nie został ranny.

Stalin też miał szczęście: na centralnym placu, tuż obok jego pomnika spadły dwie bomby, ale nic mu się nie stało. Straty muzeum to dwie wybite szyby - po wybuchu w klubie szachowym.

- Nikt nie wiedział, że tak się to skończy - wspominała kustosz Mzija Naoczaszwili (dziesięć lat wcześniej wystąpiła w naszym filmie). - Spodziewaliśmy się najgorszego. Nie było szans na normalną ewakuację, mogliśmy tylko zabrać parę eksponatów do prywatnych aut. Wzięliśmy rzeczy osobiste Stalina, one są najcenniejsze.

Dyrektor Robert Maglakelidze przygotował już kolejną ekspozycję - poświęconą agresji rosyjskiej w sierpniu 2008 roku. Będzie nawiązywana do Muzeum Okupacji Sowieckiej, które istnieje w Tbilisi. Jeden z dygnitarzy zaproponował, by -rzenieć tam pomnik Stalina. „Stalin był katem milionów Izi - stwierdził ten dygnitarz. - To wstyd, by w kraju, który jest symbolem wolności, pomnik Stalina stał w centrum miasta”.

- Ciężko będzie go ruszyć - powiedziała mi młoda dziewczyna, z którą wracałem do Tbilisi. - Ludzie wyjdą na plac, jak w pięćdziesiątym szóstym i osiemdziesiątym ósmym. Ale trzeba to zrobić. On jest naszym przekleństwem.

W 1931 roku w Berlinie ukazała się książka Stalin. Kariera fanatyka. Była to pierwsza poważna biografia Stalina. Dyktator został tam przedstawiony jako kaukaski Czyngis-chan, wschodni despota, który rządzi ogromnym państwem niczym rodzinnym klanem. Autor napisał, że Stalin pozostaje Kau-kaczką, nawet będąc szefem partii bolszewickiej: mien-szewik jest dla niego nie tyle przeciwnikiem politycznym, ile wrogiem z sąsiedniej doliny.

Kodeks moralny kaukaskiego górala nie jest skomplikowany: dobrze jest zabić wroga, jeszcze lepiej - dziesięciu wrogów, a ten, kto umie się mścić i zabije setkę, powinien być zapamiętany jako wielki bohater swojego kraju... Lecz taki, który w walce z wrogami osiągnął mistrzostwo, nie zabija ich sam, nawet ich nie dotyka; on tylko plecie kunsztowną pajęczynę i sprawia, że wrogowie sami stają przeciwko sobie, i upaja się, jak sami się wyniszczają, zatraceni w swej nienawiści, i raduje się swoją mądrością [...].

Stalin po dziś dzień ściśle przestrzega praw i obowiązków starosty kaukaskiego klanu, jego klan - marksści-bolszewicy -jest bardzo liczny, mógłby zaludnić całą górską prowincję. Zewsząd grożą klanowi straszne niebezpieczeństwa, a i sam klan nie zawsze szanuje niepisane prawa Kaukazu: nie chce żyć w jedności pod nieograniczoną patriarchalną władzą swojego wodza. Z prawa i lewa wyrasta opozycja, eroduje rodowa dyscyplina [...].

Władcyka nie wie, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem. Ratunku szuka na Kaukazie. Otaczają go Kaukazczycy, tylko oni mają we krwi pradawny instynkt więzów rodowych. Tylko oni pamiętają, pod czym mieszkają dachem. Widzieli, z jaką pokorą zachowywał się ich wódz, kiedy jeszcze żył Lenin. Kaukazczycy są w stanie pojąć dyktatora, tyrana, satrapę, którego obowiązkiem jest myśleć i decydować za wszystkich pozostałych.

To było pisane w przededniu Wielkiego Terroru. Stalin uporał się z Trockim, ale jeszcze żył Kirów, jeszcze nie ruszyły procesy Zinowjewa i Kamieniewa, jeszcze nie głodowała Ukraina. W roku ukazania się książki dopiero formował się Gułag.

Autor przewidywał, co się wydarzy:

Stalin jest gotowy do planowych, obliczonych na długie lata okrucieństw, do planowego, stopniowego i bezlitosnego tępienia wroga.

Widział rodzący się kult:

On rządzi Azją po azjatycku i Azja to czuje, i zaczyna żywić do tego legendarnego władcy, który jest jej krwią z krwi, kością z kości, uczucie graniczące z miłością.

Muhammed Essad Bej (1905-1942) pochodził z Azerbejdżanu, dłuższy czas mieszkał w Niemczech, świetnie znał Zachód i Wschód*. Odkrył, że Stalin walczył o władzę już jako kinto, uliczny łobuziak, a następnie jako seminarzysta i początkujący bolszewik. Z kintowskiego okresu zachował ten cyniczny uśmieszek, tę przewrotną chytrość w spojrzeniu, którą zauważał każdy, kto się z nim spotykał.

Był wirtuozem konspiracji, pisał Essad Bej, instynktownie chował się w cień, nienawidził światła. Jego żywiołem były wilgotne, przepełnione dymem sutereny, gdzie planował, jak nazywali to bolszewicy, ekspropriacje i czasem drukował partyjną gazetkę (nie był intelektualistą, choć dużo nad sobą pracował i nałogowo pochłaniał książki). Wkrótce zasłynął jako rozbójnik, kaukaski Robin Hood, drugi Zelimchan. Złupione pieniądze oddawał partii.

Po zwycięstwie bolszewików potrzebował zaledwie kilku lat, by wspiąć się na szczyt. Do władzy doszedł w sposób niezauważalny, po cichu, drobnymi kroczkami. Niemożliwe jest ustalenie, w którym dokładnie momencie, dniu czy miesiącu zaczęła się jego dyktatura.

Punktem zwrotnym stało się wyeliminowanie Trockiego. W walce Stalina z Trockim Essad Bej widział starcie Wschodu i Zachodu, Azji i Europy. Stalin, posępny Gruzin, był typowym Azją, człowiekiem pozbawionym próżności i potrzeb osobistych, o zimnym, mrocznym umyśle wschodniego spiskowca. Lew Trocki, wyrafinowany Europejczyk, pyszałkowaty publicysta, kochał przemawiać, pokazywać się, błyszczeć. Nie mieli

'Essad Bej (Asad-bek) naprawdę nazywał się Lew Nussimbaum, pisał też pod pseudonimem Kurban Said (powieści: już cytowaną Ali i Nino oraz Dziewczynę ze Złotego Rogu). Został spopularyzowany dzięki książce Toma Reissa Orientalista, którą także już wspominałem.

ze sobą nic wspólnego, może poza brakiem skrupułów. Ich wizje - azjatycki bolszewizm Stalina i intelektualny komunizm Trockiego - były nie do pogodzenia.

Ten człowiek stał na Suchym Moście w Tbilisi i palił papierosa. Kiedy go mijałem, rozpiął koszulę. Widać zrobiło mu się gorąco. Zobaczyłem tatuaże: ze Stalinem, Leninem i z tygrysem. Całą galerię tatuażu.

Stalin i Lenin, jeden na prawej piersi (odwrotnie niż u Kaczmarek), drugi na lewej, patrzyli na siebie i może ze sobą gadali. Same główki, ale jakże realistycznie wydziergane, u Stalina było widać kołnierzyk bluzy, a u Lenina węzeł krawatu, tęgi musiał być artysta, na pewno lagrowy, w łagrach robili takie rzeczy (facet miał z sześćdziesiąt lat, na stalinowskie łagry już się nie załapał, siedział za Chruszczowa albo Breżniewa, a może za tego i tego). Tygrys zaczął się na brzuchu. Podkurczył tylne nogi. Szykował się do skoku.

Pani bagien, mokradel i śnieżnych pól,
Rozpal w łaźni kamienie na biel!
Z ciał rozgrzanych niech się wytopi ból,
Tatuaże weźmiemy na cel!
Bo na sercu, po lewej, tam Stalin drży,
Pot zalewa mu oczy i wąs.
Jego profil specjalnie tam kłuli my,
Żeby słyszał jak serca się rwą!
Jacek Kaczmarski, Epitafium dla Włodzimierza Wysockiego

To nie była udana ikona, raczej odpustowy bohomasz. Tyle że zamiast jednego obrazu były trzy: pierwszy było widać, gdy patrzyło się na wprost, a drugi i trzeci - gdy podchodziło się z boku, z prawej i z lewej strony, najlepiej pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Te dwa pozostałe były namalowane na oddzielnych paskach blachy, przytwierdzonych pionowo do głównego wizerunku; gdy spoglądało się całkiem z boku, widać było tylko jeden kawałek.

Ikona stała przed domem, miała ze dwa metry na półtora.

Nie mogłem powiedzieć pani Żuzunie, że mi się nie podoba. Tym bardziej że na obrazach był Stalin: na wprost w mundurze marszałka, po bokach - w młodości (z lewej strony jeszcze bez wąsów). Z daleka wyglądał jak święty.

Wieś Ateni leży parę kilometrów od Gori, Żuzuna Natadze była tam dyrektorką szkoły muzycznej. Kiedy Gruzja odzyskała niepodległość, założyła w swoim domu prywatne muzeum Stalina. Dowiedziałem się o nim w Gori.

- Przejeżdżaliśmy samochodem przez Grakani i tam zobaczyłam ten wizerunek - opowiada, pokazując ikonę. - Byłam zachwycona. To były jeszcze lata siedemdziesiąte. Stalina ciągle krytykowano, ale w Gruzji właśnie wtedy, mimo stawianych przeszkód, ludzie zaczęli przejawiać w stosunku do niego więcej miłości i ciepła. Wśród takich osób byłam i ja.

Zapytałam miejscowych, kto to malował. Powiedzieli, że jeden artysta z Tbilisi. Dotarłam do niego. Okazało się, że miał już dużo zamówień z innych wsi, ale nasze zamówienie też przyjął.

Chciał trzy tysiące rubli. Sama miałam tylko tysiąc, więc obeszłam całą wieś i każdy dał ile mógł na cześć Stalina. W końcu zebrałam całą sumę. Obraz przywiozłam samochodem dyrektora kołchozu Dżemala Oniaszwilego, który dał najwięcej.

W niedzielę postawiłam obraz w szkole, a w poniedziałek miałam wezwanie do komitetu w Gori. Zapytali, po co mi ta demonstracja i czy nie mogłam zamówić portretu Breżniewa. Powiedziałam, że portret Breżniewa zamawia każdy komitet, a Stalin ma tylko mnie. Wpisano mi naganę do książeczki partyjnej i musiałam zabrać obraz do domu.

Zużuna zaprasza do środka. W izbie jest dużo portretów, plakatów i zdjęć, poza tym makatki, trochę posążków i popiersi, medaliony i ryngrafy, szafka z drobiazgami, szafka na książki. Pośrodku stół i parę krzesel. Na stole karafka z białym domowym winem.

- Stalin miał w młodości dwóch przyjaciół: Misze Titwini-dzego i Piotra Kapanadzego - mówi Zużuna. - Piszą o nich we wszystkich książkach o Stalinie. Otóż mój mąż ma nazwisko Titwinidze i Misza był jego wujkiem, a Piotr Kapanadze był bratem jego babci!

Kiedyś Kapanadze poprosił Stalina o pomoc, bo był w wielkiej biedzie. Stalin przysłał mu z Kremla dwa tysiące rubli i list. Napisał: Wybacz, Pietia, nie mam więcej. To honorarium za książki. Wziąłem, żeby ci pomóc. W zasadzie nie biorę honorariów. Twoja bieda to moja bieda. Proszę sobie wyobrazić: człowiek, który nie ma nic, bo Stalin nie miał nic własnego, wysłał dwa tysiące rubli przyjacielowi! O, to jest ten list.

Tutaj widzimy, jak Stalin przyjmuje paradę zwycięstwa. A na tym zdjęciu jest spotkanie z chińskim przywódcą Mao Tse--tungiem, którego niezwykle szanował. Tu jest Misza Titwinidze i Piotr Kapanadze, a tutaj pani Tina Josebidze, o której powstała sztuka teatralna, wystawiana w Gori. Tina pojechała na front, aby odszukać brata. Spotkała się z nim, ale zostali otoczeni przez Niemców. Jego zastrzelili, ona zdołała rzucić się z mostu do rzeki. Nie chciała wpaść w ich ręce. Tonąc krzychała: „Za ojczyznę, za Stalina ginimy, ale nie poddajemy się!”.

Podeszła sąsiadka, pani Mzija, i gospodyni naląła nam wina.

Zużuna:

- Wypijmy za potomków Stalina. Niech żyją i niech się rozmnażają, żeby geny Dżugaszwilego przetrwały. W Tbilisi mieszka jego wnuk Jewgienij Jakowlewicz. Swojemu synowi dał na imię Wissarion i powiedział, że Wissarion będzie miał syna Józefa. I tak się stało, i mamy Józefa Wissarionowicza! Daj Boże, żeby potomkom Stalina zawsze tak się powodziło. Życzę im tego samego, co własnym dzieciom. To, że ci ludzie są, to nasze wielkie zwycięstwo.

Mzija:

- Niech Bóg rozmnoży takich ludzi, jak pani. Wtedy Gruzja naprawdę rozkwitnie.

Zużuna:

- W porównaniu do tego, co czuję w sercu, nie zrobiłam nic. Proszę Boga, żeby wszędzie w Gruzji były muzea Stalina.

Opowiem wam historię. Mój ojciec był skazany na rozstrzelanie za to, że spóźnił się dziesięć dni z

wpłaceniem siedemdziesięciu rubli. Potem wyrok zamieniono na długoletnie więzienie. Kiedy po śmierci Stalina zwolniono go i wrócił do domu, miał w ręku zawiniątko. Byliśmy dziećmi, myśleliśmy, że przyniósł coś dla nas. Co on nam mógł z więzienia przynieść? Było to zdjęcie Stalina wycięte z rosyjskiej gazety! Oto przykład miłości naszego narodu.

Mzija (do Soni, matki Żużuny):

- Teraz niech pani wzniesie toast. Sonia:

- Bardzo proszę. Chcę wypić za dzisiejszy dzień i za nas wszystkich. Czuję dumę, że z imieniem Stalina udało się urządzić w naszej wsi muzeum i że odwiedzają nas goście, ludzie z zagranicy.

Mzija:

- Amen. Sonia:

- To wino jest bardzo zimne. Mzija:

- I bardzo mocne. Ludzie, czuję, że się upijam! Żużuna (do Mzii):

- To normalne, bo jest z czystego soku z winogron. Mzija:

- Idzie pan Awtandyl. Awtandyl (mąż Żużuny):

- Dzień dobry. Witajcie w moim domu. Żużuna (do Awtandyla):

- Czekamy na ciebie. Musisz wznieść toast. Toast powinien wygłosić ten, kto jest głową rodziny.

Awtandyl:

- Dobrze. Wypijmy zatem za Stalina. Najpierw chcę jednak wypić za ludzi, którzy pamiętają Stalina, i za tych, którzy oddają mu cześć. Dzisiaj nawet w naszym kraju jest wielu takich, którzy zapomnieli, co dla nas zrobił, i nie szanują go jak należy.

Ten człowiek odwrócił cały porządek świata, a nas, Gruzinów, wyniósł na należny nam poziom. Modłę się, żeby jego dusza była w światłości i żeby ludzie zawsze go wspominali. Niech żyje Stalin i niech żyje nasz lud, który wydał Stalina!

Sonia:

- Amen.

tół

- Hamlet wrócił - oznajmił Gela. - Skończył studia. Siedzieliśmy na tarasie domu Geli na przedmieściach Telawi. Dalej zaczynała się Dolina Alazańska. Za nią był Kaukaz.

Gela był dziennikarzem. Pracował w Tbilisi, ale pochodził stąd, tu mieszkali jego dziadkowie. Nie wyobrażał sobie, że ógłby spędzać gdzie indziej urlopy i letnie weekendy. Jak wielu Gruzinów był fanatycznym patriotą swoich stron. Obrażał się, gdy ktoś twierdził, że Kachetia nie jest najpiękniejsza na świecie. Z całej Kachetii najpiękniejsze były oczywiście rzeka Alazani i miasto Telawi.

Zgadzałem się z Gelą. Jeżdżąc z Tbilisi do Baku, nadrabianiu drogi, aby popatrzeć na Kaukaz, wyrastający w tym miej~u z płaskiej jak stół równiny. Przy dobrej pogodzie było widać śnieżone szczyty, podczas gdy na dole kwitły rododendrony i magnolie. Kiedy jednak byłem w Adżarii, Imeretii czy Swa-etii, najpiękniejsza była Adżaria, Imeretia i Swanetia, a w Tbi-si - najpiękniejsze było Tbilisi.

Kiedyś usłyszałem toast: - Dwóch kaukaskich zuchów, dży-tów, o coś się posprzeczało. Ponieważ nie mogli dojść do zgo-y, a nie chcieli rozlewu krwi, poszli do znanego ze swej mą-rości i dobrych rad aksakała. Ten wysłuchał najpierw jednego powiedział: „Masz rację!”, a potem wysłuchał drugiego i też powiedział: „Masz rację!”. Dżygici odeszli w przyjaźni i więcej się nie kłócili. Wypijmy za to, co nas łączy. To, co dzieli, jest zwykle mało ważne.

Spytałem, co to za Hamlet. Okazało się, że chłopak z sąsiedztwa, młodszy od Geli o dziesięć lat. To Gela zachęcał go do nauki i teraz czuł się ojcem chrzestnym sukcesu. Mało komu po wiejskiej szkole udawało się skończyć z wyróżnieniem prawo.

Ojciec Hamleta, pan Zaza, już ponoć zarznął barana i szykował stół. Nikt tego nie ogłaszał, nikt nas nie zapraszał, ale było jasne, że przy takiej okazji bez stołu się nie obejdzie, a my musimy przyjść - Gela jako sąsiad rodziny, a ja, bo jestem gościem Geli.

Gruziński stół to więcej niż mebel, nawet mebel zastawiony wazami, paterami, półmiskami, salaterkami, sosjerkami, dzbanami, gąsiorami, karafkami, balonami i flaszkami. Więcej niż zebrani wokół

mebla goście: można zrobić stół w plenerze, a nawet w przedziale pociągu. Gruziński stół to biesiada, przebiegająca według ustalonego porządku, to teatr, w którym każdy ma do odegrania swoją rolę, to rytuał.

Duszą stołu, jego dyrygentem i wodzirejem jest tamada. To on wygłasza kolejne toasty, on udziela głosu biesiadnikom i nadaje ucztowaniu rytm. Jednoczy zgromadzonych i dba, żeby wszyscy dobrze się czuli. Można sobie wyobrazić stół bez tej czy innej potrawy, ale bez tamady stanie się zwyczajną kolacją, bankietem, towarzyskim spotkaniem.

Naszym tamadą został pan Zurab, emerytowany historyk, który kiedyś uczył Hamleta.

Stół nie był duży, dwadzieścia parę, najwyżej trzydzieści osób. Najbliższa rodzina, paru przyjaciół, kilku sąsiadów. Na honorowym miejscu usiadł tamada, obok pan Zaza oraz ojciec Zazy, stary Nodar Irakliwicz. Hamlet przycupnął w kącie - był najmłodszy, nie miał żony ani dzieci. Zdobył wykształcenie, ale w tutejszej hierarchii dopiero startował w dorosłość.

- To tradycyjny dom - uprzedził mnie Gela. - Coraz mniej takich w Kachetii. W Tbilisi wzięliby ich za dziwaków.

Posadzili nas wysoko - naprzeciwko tamady. Byłem gościem, do tego gościem z zagranicy i należały mi się szczególne względy. Nieważne, że zatrzymałem się akurat u Geli, każdy czuł się tutaj moim opiekunem. Dzięki mnie awansował też Gela.

Ledwie zajęliśmy miejsca, pan Zurab rozpoczął pierwszy toast. Podziękował gospodarzom za przyjęcie nas pod swój dach i powierzenie mu szaczonej roli tamady. Kokieteryjnie prosił o wyrozumiałość, gdyby coś było nie tak. Potem pogratulował Hamletowi dyplomu. Mówił jeszcze parę minut i Gela nie miał pomysłu, jak mi to wszystko tłumaczyć na rosyjski.

- Teraz jest o tym samym, tylko innymi słowami - poddał się. - Taka konwencja.

W końcu tamada przeszedł do sedna:

- Wypijmy za to, że się dziś spotkaliśmy, wypijmy za dzisiejszy wieczór i za naszą biesiadę. Na zdrowie! Gaumardzios!

Krzyknęliśmy: „Gaumardzios!” i wypiliśmy.

Trzeba wiedzieć, że w czasie stołu pije się wyłącznie na komendę, nie ma indywidualnego sączenia, nie ma łyżeczki na boku. Gdy tamada zaczyna mówić, należy lekko unieść kielich i trzymać go w górze aż do końca toastu. Nie wolno wtedy jeść ani rozmawiać.

Można wypić odrobinę, można tylko zamoczyć usta (chyba że będzie to bolomde, czyli toast do dna, albo będziemy pić z rogu - którego nie da się odstawić). Gospodarze uzupełnią każdy ubytek, aby

następny toast wznieść nowym winem. W ostateczności można tylko podnieść kielich do góry (musi być pełny). Niespełnienie toastu to wotum nieufności do tamady i towarzystwa, z którym biesiadujemy, to rzucenie rękawicy.

Gdy chcemy coś dopowiedzieć, musimy wstrzymać się z piciem i zabrać głos, kiedy wszyscy odstawią już kielichy. Trzeba mówić krócej niż tamada, koniecznie na ten sam temat i w tym samym duchu: nie wolno krytykować kogoś, kogo przed chwilą pochwalono (w ogóle nie wolno nikogo krytykować!). Czasem tamada sam kogoś prosi o kontynuację własnej myśli. Przekazanie toastu nazywa się alawerdi.

Obyczaje stołu w różnych częściach Gruzji różnią się niuansami. Wszędzie powiedzą wam, że ich stół jest kanoniczny, a gdzie indziej w rytuał wkradła się herezja.

To był naprawdę tradycyjny dom: żona Zazy, jego córki i inne kobiety przywitały się i od razu zniknęły. Potem pojawiały się, aby donieść jedzenie albo zabrać puste naczynia, a także, gdy pito za nie toasty.

Zaczęliśmy od przystawek i zakąsek. Na tym etapie gruzińska kuchnia nie różni się od ormiańskiej i azerbejdżańskiej, królują świeże i marynowane warzywa, faszerowana papryka, niepokrojona zieleń (koperek, szczypiorek, kolendra, bazylija i natka pietruszki), sery. Zaraz potem pojawia się fasola z orzechami, bakłażany z orzechami i kura saciwi (na zimno w sosie orzechowym). Teraz już nie ma wątpliwości - jesteśmy w Gruzji. Po tej rozgrzewce podaje się chaczapuri (placki z zapiekanyim słonym serem), chinkali (pierogi z mięsem i bulionem), czacho-chbili (kawałki kurczaka w pomidorach). Wreszcie przychodzi pora na szaszłyk, który po gruzińsku nazywa się mcwadi. Szaszłyk też jest wspólny dla wszystkich kuchni Kaukazu. Spór o to, gdzie pojawił się po raz pierwszy, jest stary jak sama potrawa.

Gotowanie jest domeną kobiet, ale szaszłyk przygotowują mężczyźni. Podobnie jest z winem: wino to zbyt poważna rzecz, by zostawiać ją kobietom. Wino to esencja życia, to ziemia i słońce, to miłość. Winem i chlebem wita się tutaj przybyszów. Gdy jest chleb, wino i drugi człowiek, Gruzin będzie szczęśliwy! Mówi o tym połowa gruzińskich przysłów.

Nazwy szczepów winorośli i gatunków win brzmią tutaj jak poezja: saperawi, mukuzani, achaszeni, cinandali, twiszi, ma-nawi, napareuli, aleksandrouli, kindzmarauli, chwanczkara (uwielbiał ją Stalin), rkaciteli. Najczęściej podaje się wina domowe, zrobione samemu. Gospodarze rozlewają je z czułością, a goście piją z szacunkiem, bez pośpiechu.

Z wódką nie trzeba ceregieli, wystarczy „no to cyk!” albo i bez tego, byle szybko zaszumiło. Może być fabryczna albo domowa: zwykle pędzi się ją z winogron, wtedy nazywa się cza-cza, tylko w Swanetii robią ją ze zboża, często zajmują się tym kobiety. Toast wódką - a zwłaszcza piwem - to nie faux pas, to świadomy afront, nawet przedszkolak wie, że tego się nie robi, to wiedza pierwotniejsza od „Ala ma Asa” i „dwa plus dwa równa się cztery” Dowcipni młodzieńcy stukają się browarkiem „za policję!” ale starsi ich gonią, policji też nie wolno obrażać.

Towarzystwo ożywiło się, wypiliśmy już za Gruzję (i z rozmachu za Polskę) i za przyjaźń i tamada zwolnił tempo, dał ludziom odetchnąć, można było pogwarzyć z sąsiadami, przyjrzeć się im, spokojnie przekąsić. Nasza trzeźwość jest w rękach tamady, to on powinien zadbać, byśmy mogli wstać o własnych siłach. Gdyby sam się upił, straciłby twarz.

O gruzińskim picu od dawna krążą legendy. Polski jezuita Jan Tadeusz Krusiński, który na początku siedemnastego wieku przebywał jako misjonarz w Persji i na Zakaukaziu, napisał w rozprawie *Tragica vertentis bellipersici historia*: Gdy tamada wzniesie w dłoni puchar z winem, rozpoczyna tak ożywioną gestykulację, jego twarz nabiera takiego wyrazu, że wydaje się okazywać winu jakąś formę czci. Gruzini, pisał Krusiński, pije od kotylski, niemowlętom daje się tutaj do ssania palec zanurzony w winie, aby nauczyły się smaku.

W połowie dziewiętnastego wieku Mateusz Gralewski notował, że sam Tyflis wypija rocznie osiem milionów butelek wina, co daje na jednego mieszkańca około ośmiuset butelek (pamiętnikarz nie policzył co prawda kobiet i dzieci, które też sięgały po kielicha). Wiemy, że na gruzińskiego mnicha przypadało półtora litra wina dziennie.

Bawiący w tym czasie w Gruzji Aleksander Dumas ojciec dał się jednak ponieść fantazji: Gruziniński obiad to taki poczęstunek, gdzie nawet niewyróżniający się amatorzy mocnych trunków osuszają pięć albo sześć butelek wina, a nieraz idzie i po dwanaście, i po piętnaście na każdego. Niektórzy piją nawet nie z butelek, a z burdziuka: tacy dochodzą do dwudziestu i dwudziestu pięciu butelek.

Puls wina bije w gruzińskiej architekturze, poezji, malarstwie. Kamienne grona oplatają mury tysiącletnich katedr, kachetyjskie beaujolais buzuje w heksametrach i hiperbolach, z obrazów Pirosmianego leje się saperawi i kindzmarauli.

Nikt lepiej nie pokazał gruzińskiego stołu niż Pirosmani, włóczęga z tbiliskiej Nachałowki, bosonogi geniusz, gruziński Nikifor i Celnik Rousseau. Malował za szklankę wina, za miskę zupy, malował na starych szyldach, spróchniałych deskach, ceracie. Malował jedzenie, dużo jedzenia, martwe natury z suszoną rybą, metrowym szaszłykiem, pieczonym prosiakiem, wiąchą cebuli. Malował pękate amfory z winem i uczujących Gruzinów, toasty, przemowy, wzniesione kielichy. Jest w tych scenach powaga, biesiadnicy prężą się, jakby pozowali do fotografii, żadnych zbędnych gestów, czasem tylko półuśmiech, choć oczy zdradzają niekiedy skłonność do figli. To nie są rzeczywiste biesiady, to alegoria gruzińskiej tradycji i hymn ku jej czci. Gruzja jest tam dostatnia i dostojna. Wszystko znajduje się na swoim miejscu. Horyzont przesłania niebieskawa mgła.

Reprodukcje Pirosmianego ilustrują większość reklam gruzińskiego wina. Jest nawet wino, które nazywa się „Pirosmani”. Włóczęga z Nachałowki - dzielnicy nędzarzy, lumpów i szemranych interesów - byłby dziś człowiekiem majątnym.

Stół jest jak życie: codzienność styka się tu z odświętnością, profanum z sacrum, powaga z żartem, strawa dla ciała z pokarmem dla duszy.

Najważniejsze jest wspólne spędzenie czasu. Oczywiście, dobrze, by było ciekawie, wesoło i smacznie,

ale już samo obcowanie, samo bycie ze sobą stanowi wartość. Po paru toastach nieznani sobie ludzie zaczynają się rozumieć i nadawać na tych samych falach. Pod koniec będą się obejmować i całować, i rozstaną się jak przyjaciele, choć może więcej się nie zobaczą. W jednej kompanii los może zetknąć Gruzina, Ormianina, Rosjanina i Żyda - i każdy będzie się dobrze czuł. Profesor może wypić wachtanguri (bruderszaft) z robotnikiem, policjant z notorycznym hultajem, ksiądz z grzesznikiem. Liczy się, jakim jesteś kompanem. Życie jest krótkie i trzeba cieszyć się każdą chwilą.

Mieszane towarzystwo ucztuje zwykle w miejscach publicznych. Bywa, że dwóch przyjaciół spotyka się na piwie. Nagle pojawia się trzeci, chodzi z jednym z tamtych do podstawówki albo znają się z podwórka. Oczywiście, zostaje zaproszony, siada. Potem przychodzi sąsiad trzeciego i też dołącza do kompanii. Wkrótce obok piwa pojawiają się ser, zielenina, cha-czapuri. Ktoś polewa wódkę. U barmana zamawia się dzban domowego wina - na zapleczu jest zapas na podobne okazje. Przysiada się sympatyczna para z sąsiedniego stolika. Pora wybrać tamadę. Oto z niczego zrodził się stół.

(Po zajęciu Gruzji przez bolszewików właściciel duchanu -gospody - w Mcchecie zwierzał się polskiemu podróżnikowi: Panie, póki będzie żyto choć kilku Gruzinów, żaden duchań-czyk nie zazna nędzy).

Po wstępnych toastach pije się za rodzinę: za rodziców, rodzeństwo i dzieci.

- Masz matkę? Niech żyje jak najdłużej w zdrowiu i miłości! Ojciec umarł? Wieczne odpoczywanie! Jak ma na imię twój syn? Niech wyrośnie na dzielnego człowieka! Urodziła ci się córka? Niech jej Bóg błogosławi!

Człowieka określa rodzina, dlatego ludzie, którzy chcą się poznać, pytają się nawzajem o swoje rodziny. Toasty układają się w listę najświętszych dla Gruzina wartości.

Dobry tamada potrafi zdobyć się na oryginalną myśl nawet przy toastach najoczywistszych: za ojczyznę i za najbliższych. Najlepsi porywają się na toasty-przypowieści i toasty-minitraktaty filozoficzne, zwieńczone brawurową puentą. Najlepsi z najlepszych przechodzą do historii - na równi z wielkimi poetami.

Wybitne toasty żyją własnym życiem, powielają się w nieskończonych wariantach, zapełniają internet. Jest w nich kaukaska bufonada, mądrość Orientu i humor szabasowych świec. Pozostają jednak anonimowe. Toast wyrwany z kontekstu czasu i miejsca, gdzie zabrzmiał (tamadowie mówią: dojrzał), jest tylko anegdotą, dykteryjką.

- Wypijmy za nasze trumny, zrobione ze stuletniego dębu, który posadzą nasze dzieci!

- Spytano mędrca, dlaczego nasi przyjaciele nieraz zmieniają się w nieprzyjaciół, ale nasi wrogowie pozostają wrogami. Odpowiedział, że łatwiej zburzyć dom, niż go zbudować i łatwiej rozbić dzban, niż go skleić, i łatwiej wydać pieniądze, niż je zarobić. Wypijmy za to, byśmy zawsze umieli pokonywać trudności!

- Pewnego razu orzeł porwał barana. Kiedy wzbijał się w przestworza, dostrzegł go myśliwy, który błyskawicznie złożył się do strzału. Ptak padł martwy na ziemię, natomiast baran poleciał dalej. Wypijmy za to, żeby nie zabijano u nas orłów i żeby barany zostały tam, gdzie ich miejsce!

Kolejność toastów jest ustalona, ale nie tak sztywna, jak na Kaukazie Północnym. Gruzini zostawili sobie margines swobody, pole dla improwizacji.

W pewnym momencie musi paść toast za przodków. Za tych gigantów, którzy tworzyli naszą wielkość i którym nie dorastamy do pięt.

Przodkowie zawsze są od nas lepsi, mądrzejsi, silniejsi. Oglą-amy się na nich, by dodać sobie otuchy. Musimy o nich pa-iętać, by wiedzieć, kim jesteśmy.

Oni są jak fundament naszego domu. Dom można rozebrać przebudować, sąsiedzi mogą odebrać nam strych i rozpano-yć się w salonie, ale fundament pozostanie. Oni nas zobowiązują.

Toast pije się za przodków w ogóle albo za przodków kon-retnych: za świętą Nino, za króla Dawida Budowniczego, za ólową Tamar, za Szotę Rustawelego, za Giorgija Saakadzego, trzystu Aragwiczyków. Często pije się wtedy za Stalina.

Mam z tym toastem kłopoty. Czasem mówię alawerdi: pili-iy już za tych, którzy odeszli, i teraz wypiję za Stalina jako za larłego, bo zmarłym, jak każde sumienie, należy się szacunek. Czasem odmawiam wypicia. Czasem zaciskam zęby - i piję, prosząc Boga o wybaczenie.

Mogłoby się wydawać, że gruziński stół trwa w niezmienionej postaci od początku świata, ale w obecnej formie ukształtował się dopiero w osiemnastym wieku (instytucja tamady była znana znacznie wcześniej).

- Wiąże się to z przyjściem Rosji - tłumaczy doktor Gaga Nidżaradze, psycholog kultury z Gruzjińskiej Akademii Nauk. - Wcześniej najeżdżali nas Turcy i Persowie, czyli muzułmanie. Przed nimi broniła nas, w sensie kulturowym, religia. Rosjanie są prawosławni, co utrudniało zachowanie odrębności: my też jesteśmy prawosławni. Dlatego pojawiły się toasty za antenatów, za rodziców, za tradycję. Stół już nie tylko jednoczył grupę, ale też ochraniał ją przed światem zewnętrznym.

Zdaniem Nidżaradzego, obecnie Gruzini nie mają poczucia, że coś im z zewnątrz zagraża - w sensie utraty niepodległości czy eksterminacji całego narodu - i ceremoniał będzie erodować.

Pan Zurab był przywoitym tamadą i pewnie prowadził biesiadę szlakiem kolejnych toastów, nie za szybko i nie za wolno. Przeplatał historie z własnego życia - prawdziwe i zmyślane, ale zmyślane ładnie, zgrabnie - z mądrościami ludu: znał dziesiątki przysłów, porzekadeł, zgadywanek i przypowieści.

Właśnie wypiliśmy za przodków i atmosfera zrobiła się podniosła. Oczekiwałem kulminacji, górnego c, toastu za Cerkiew Gruzjińską, czy wręcz za Pana Boga.

Wznoszenie kielicha to rytuał mistyczny. Biesiadnicy, będący przecież ludźmi rozsądnymi, w tym momencie szczerze wierzą, że słowo ma moc sprawczą, że dobre życzenie spełni się, że wykrzyknimy: „Gaumardzios!”, i odmieni się nasz los.

Niektórzy porównują biesiadę do nabożeństwa: stół jest ołtarzem, tamada - kapłanem, toasty - modlitwą, picie wina -komunią.

- Była jedna Rosjanka - rozpoczął Zurab. - Mieszkała z dorastającym synem w Mineralnych Wodach. Któregoś dnia chłopak miał lecieć do Moskwy, ale matka miała w nocy zły sen i nie obudziła go. Rano włączyła radio i usłyszała, że ten samolot rozbił się przy starcie i były ofiary śmiertelne. Pobiegła do syna, ale ten leżał martwy: zmarł na atak serca dokładnie w chwili, kiedy był wypadek. Nie oszukamy Pana Boga, nie uciekniemy przed tym, co nam pisane. Starajmy się żyć jak najlepiej, bo nie znamy dnia ani godziny.

Wypiliśmy.

I długo milczeliśmy.

Pan Zurab okazał się artystą.

Czekały nas jeszcze toasty za obecnych przy stole. One trwają najdłużej - nie można nikogo pominąć, wszystkim trzeba poświęcić trochę uwagi. Prawie każdy zgłasza wtedy alawerdi: wypada powiedzieć parę słów o krewniaku, sąsiedzie, przyjacielu.

Wbrew pozorom, takie toasty dają duże pole do popisu. Bywa, że panegiryczna przemowa, zmuszająca adresata do spuszczenia wzroku i zaczerwienienia się, okazuje się kamuflowanym zyderstwem, dyskretną kpina. W sukurs idzie mówcy sam ję-yk gruziński, lubujący się w półtonach i wyszukanej metaforę. Stół staje się towarzyskim barometrem, sondażem opinii ublicznej. Pozwala zorientować się, kto ma jakie notowania. Było to w latach siedemdziesiątych. W małym miasteczku bchodził urodziny Gogi, sekretarz miejscowego komitetu artii. Głos zabrał tamada:

- Wypijmy za naszego przyjaciela. Wszyscy go znamy, kochamy i szanujemy.'Szanujemy nie dlatego, że jest u nas sekre-irzem. My też pełniemy odpowiedzialne funkcje. Nie dlatego, że ma willę, daczę i dom letniskowy w Batumi. My też nie lieszkamy pod mostem. Nie dlatego, że ma mercedesa, któ-?go sprowadził na siostrzeńca. My też nie chodzimy piechotą. Nie dlatego wreszcie, że ma wspaniałą żonę - ukłony dla pani Manany, żyj nam, droga, sto lat! - i jeszcze kochankę na boku. My też nie spędzamy nocy samotnie. Naszego Gogiego szanujemy za to, że jest prawdziwym komunistą! Choć to bajka, ale wszystko prawda.

Doświadczony biesiadnik ma za sobą setki stołów, tysiące toastów i hektolitry wina. Toasty siłą rzeczy powtarzają się, liczba potraw, choć imponująca, nie jest nieskończona. Wino bywa trochę lepsze albo trochę gorsze. Czy to nie nudne?

A czy można znudzić się życiem i drugim człowiekiem? -odpowiedziałby pytaniem Gruzin.

Święty Grzegorz Peradze opisał, jak wiejski nauczyciel sprzedawał pasterzom papierosy:

- Będziecie mieli rozrywkę. Możecie palić i skracać sobie czas.

- Na halach wcale nie jest nudno - odrzekł pasterz. - My gramy, śpiewamy. Nieraz starzy opowiadają nam różne dzieje.

- Zawsze te same historie - niecierpliwie przerwał nauczyciel. - Czy nie macie już tego dość?

- Skądże. Bardzo chętnie słuchamy tych opowiadań na nowo. Mimo woli pomyślałem o słowach naszych nabożeństw. Toć

i one powtarzają się co niedziela, co dzień. I zawsze są zachwycające, świeże, pełne nowej, niezbadanej treści i świętej poezji dla pobożnej duszy.

- Niektórzy mówią, że gruziński stół, czyli supra, to cała akademia - powiedział mi Gela. Mój kolega trwał na posterunku. Gdy nie było czego tłumaczyć, opowiadał mi o miejscowych zwyczajach albo o kachetyjskich księżętach.

- Stół nauczy cię, jak zwracać się do ludzi, jak postąpić w takiej czy innej sytuacji i jak zdobyć popularność - ciągnął. - Tutaj dowiesz się, co jest w życiu ważne. Poznasz żywą historię Gruzji: zobaczysz, kto przetrwał w pamięci narodu i z kogo należy brać przykład. Zrozumiesz mechanizmy władzy.

Spójrz na Hamleta, jak wszystko chłonie. - Bohater uroczystości siedział cały czas na swoim miejscu, zachowując się, jakby go nie było. - Na studiach na pewno nie nabiesiadował się, a wcześniej był za młody. Teraz nadrabia zaległości. Starsi też się kształcą, ta akademia ma wiele poziomów. Nawet nasz tamada, choć siwy i na emeryturze, chce się jeszcze czegoś nauczyć. Bo dobry mistrz uczy się całe życie.

Wreszcie wypiliśmy za tamadę. Ten toast zawsze jest na końcu. Przyjęliśmy przez aklamację, że spełnimy go na stojąco i do dna.

Jak śpiewa Wachtang Kikabidze, bieda jest wtedy, gdy naszym stołem i naszym życiem pokieruje niewydarzony tamada.

Uczta trwała sześć godzin. Nie za krótko i nie za długo.

Złote runo

i

Zapał zmrok i baliśmy się ruszyć dalej. Zresztą, nie było jak. Przygodny kierowca wyrzucił nas na rogatkach Zugdidi, a gdy odjechał, okazało się, że nie widać nawet drogi. W mieście, które było o krok, ktoś by przygarnął nas na noc - jeśli w tych ciemnościach spotkalibyśmy żywego ducha, jeśli udałoby się kogoś zagadnąć. Najpierw trzeba się było jednak tam dostać, nie złamać nogi na dziurawym, rozjeżdżonym przez czołgi asfalcie, nie wleźć w przydrożne chaszczce, nie zbłądzić w kartofliska.

Był rok dziewięćdziesiąty piąty, późna jesień. Gruzja lizała rany po serii wojen: domowej w Tbilisi, secesyjnych w Osetii Południowej i Abchazji i znów domowej, toczącej się tutaj, w Megrelii, pomiędzy obalonym prezydentem Gamsachur-dią, który powrócił z półtorarocznego wygnania w Czeczenii, a jego następcą, Szewardnadzem.

Megrelia była zrujnowana. Spustoszyli ją podkomendni Ten-giza Kitowaniego, którzy szli tędy na Abchazję, potem gwardziści Eduarda Szewardnadzego, tropiący Zwiada Gamsachurdię, wreszcie jeźdźcy Dżaby Joselianiego, mchedrioni, amatorzy łatwych łupów i niewyszukanych żołnierskich przyjemności.

W Senaki, gdzie walki były najbardziej zaciekle, z bloków przy głównych ulicach pozostały zgliszcza. W jednym z ocalałych parterów ktoś urządził straganik. Handlował papierosami, gumą do żucia i piwem. Na skwerku zorganizowano rzeźnię: barany sprawiano na dawnych huśtawkach, zamiast siedzonek bujały się ich wątle tusze. W Samtredii w pawilonie dworca autobusowego nie było szyb ani połowy dachu. Okna pozabijano dyktą. Kasjerka, opatulona w koc, sprzedawała bilety przy świecy, nawet w dzień był tam półmrok. Zugdidi opanowali uchodźcy - zasiedlili szkoły, szpitale, internaty, biura, hotele. Kobiety, ubrane w czerni, nosiły znaczki na szpilkach z fotografiami poległych synów (kobiety w Abchazji nosiły takie same).

Gospodarka leżała. Źle było w całym kraju, ale w Megrelii nie działało chyba nic. Nie było nawet stacji benzynowych, paliwo tankowano z kanistrów od przydrożnych przekupniów. Co krok straszły szkielety fabryk - niedobudowanych? zbombardowanych? rozszabrowanych na złom i cegły? Niektóre potem usunięto, inne z czasem wtopiły się w krajobraz, betonowe słupy i żelazne pręty zarosły mchem i trawą.

Ten upadek kontrastował z megreelską wsią, wciąż zasobną, a przynajmniej tworzącą wrażenie dostatku i sytości. Domy są tu olbrzymie, chyba największe w Gruzji, z rozległymi tarasami, często z patio, na którym mieści się kilka samochodów. Obejścia mogą zajmować nawet pięć hektarów i składać

się z kilkunastu budynków: letniej kuchni, spiżarni, oddzielnego kurnika, chlewu, stajni, zagrody dla kóz. Podobnie nieokielznane są cmentarze, zdarza się, że jest ich we wsi kilka: rodzinne grobowce wyglądają jak mauzolea, wszystko w czarnym marmurze, łącznie z ławeczkami, na których można posiedzieć i wypić za zmarłego, nieboszczykom wznosi się nierzadko posągi, przedstawiające w skali jeden do jednego całą sylwetkę.

Bogactwem tej ziemi są owoce. Za czasów radzieckich, wspominają miejscowi, z jednego zbioru fig czy pomarańczy można było kupić wołęgę.

liśmy się, że wpadniemy w łapy mchedrionich, ich niedo-itki grasowały podobno gdzieś w okolicy. Nie brakowało ż zwyczajnych bandytów, gotowych zabić za aparat foto-aficzny, za kurtkę i buty, za parę zielonych. Mógł zastrzelić as jakiś wieśniak: byliśmy obcy, nikt nie znał naszych zamia-w. Broń miał tu każdy. Musieliśmy szybko coś postanowić. Światelko zobaczyliśmy prawie równocześnie. Poszliśmy tamtym kierunkiem. To był posterunek drogówki, nazywanej w krajach posowieckich rosyjskim skrótem GAI, mieścił się w blaszanej pakamerze. Drogówka uchodzi za siedlisko łapów -karzy i wydrwigroszy, ale nie mieliśmy wyjścia.

Za zatłuszczoną szybą zobaczyliśmy biurko, przy którym drzemał policjant, w głębi siedziało dwóch innych. Na biurku paliła się świeczka, która nas tu zwabiła. Zastukaliśmy. Policjanci zerwali się na równe nogi, złapali za pistolety.

- Dobry wieczór, jesteście z Polski, dziennikarze, szukamy noclegu.

Zabrzmiało to idiotycznie, ale nic innego nie przyszło nam do głowy.

- Że... że co? - zareagował po dłuższej chwili policjant, któremu przerwaliśmy drzemkę.

- Tu są paszporty. Przyjechaliśmy na wybory. Jedziemy do Tbilisi. Chcemy przenocować, bo już późno. Pomóżcie, jesteśmy gośćmi - tłumaczyłem.

- Wchodźcie. - Wzmianka o gościach odniosła pożądaną skutek. - Pogadamy.

W pokoiku było parę krzesel i koślawa szafka. Ledwo się obejrzeliśmy, policjant już wyciągał z niej pomidory, chleb i ser.

- Wy na pewno głodni. Ja mam na imię Rusłan, to jest Żili, a to nasz komendant Bezan.

Wyściskaliśmy ich jak starych znajomych.

- Polacy? - upewniał się jeszcze Rusłan. - A my Megrele. To znaczy Gruzini. To znaczy ja i Żili jesteśmy Megrelami, a Bezan to Gruzin, ale stąd, więc też jakby nasz.

Megrelowie - tak twierdzi większość badaczy - są częścią narodu gruzińskiego. Mają jednak silne poczucie odrębności i mówią własnym językiem (spokrewniony z nim gruziński znają biegle). W latach trzydziestych megrelska inteligencja wysłała do Stalina list z prośbą o autonomię. Pewnie liczyli na

protekcję swojego rodaka, Ławrientija Berii. Na autorów listu spadły represje, a wkrótce zamknięto megrelskie szkoły.

Megrel Konstantin Gamsachurdia został klasykiem literatury gruzińskiej, a jego syn Zwiad - prezydentem, a potem wygnańcem. Gdy próbował odzyskać władzę, Megrelia stanęła za nim murem. O oderwaniu się od Gruzji nikt jednak nie myślał.

Zaszumiało w głowach, ciepło rozlało się po kościach. Policjanci częstowali teraz czaczą, piliśmy ją z blaszanych kubków.

- Zostaniecie u nas - zdecydował komendant i pokazał ręką drugie pomieszczenie, gdzie stały dwa żelazne łóżka.

- A wy?

- My mamy służbę.

Czacza wchodziła gładko, była dobrze przedestylowana. Nasza, zachwalali gospodarze, megrelska. W Megrelii wszystko jest czyste, naturalne. To błogosławiona ziemia. Postawisz na polu kij - po tygodniu puści korzenie, po miesiącu zakwitnie, a po roku wyda plony.

Cieszyli się, że mają pracę i mogą utrzymać rodziny. Regularnie dostawali swoje pięćdziesiąt właśnie wprowadzonych do obiegu lari, czyli czterdzieści dolarów - pieniądze wówczas w Gruzji niebotyczne (nauczyciel zarabiał pięć lari, co starczało na kilkanaście bochenków chleba), na pewno bez skrupułów dorabiali łapówkami. Ale nie byli szczęśliwi.

, - Nie wiem, co będzie, może kolejna wojna? - zastanawiał się Rusłan, najbardziej rozmowny z policjantów. - Nie wiem, komu wierzyć, kto nas nie oszuka. Może ty wiesz? A może wasi starcy wiedzą? Właśnie, co polscy starcy sądzą o Gruzji?

Wiele miesięcy wcześniej podobne pytanie usłyszałem w Groźnym: co polscy starcy sądzą o Czeczenii? Starcy byli ostatnią deską ratunku - oni pamiętali, co było za cara, i pamiętali tych, którzy pamiętali, jak wybuchła wojna kaukaska, a tamci pamiętali... Kaukascy starcy muszą mieć na wszystko odpowiedź, ale czasy zmieniają się szybko, dużo szybciej niż kiedyś, trudno to wszystko ogarnąć. Co szkodzi spytać o zdanie polskich starców?

Rankiem pojechaliśmy z Jackiem do Tbilisi.

W tamtych wyborach brały udział pięćdziesiąt cztery ugrupowania i bloki. Były wśród nich partie polityczne, których nazwy mogły wskazywać na program: komuniści, socjaldemokraci, liberałowie czy chadecy (choć zdarzały się hybrydy, w rodzaju Partii Liberalno-Konserwatywnej). Były też organizacje reprezentujące interesy jednej grupy czy środowiska: kobiet, weteranów wojny afgańskiej, inteligencji,

związkowców.

Najwięcej ugrupowań odwoływało się do przeszłości i tradycji. Nazwy sugerowały, że ich kandydaci uważają się za strażników narodowych świętości: Ruch „Serce Gruzji”, Związek Odrodzenia Rodziny, Ogólnogruzińska Partia Dziedzictwa, Ruch Polityczny „Ojczyzna, Język, Wiara”, Związek Gruzińskich Tradycjonalistów, Towarzystwo liii Czawczawadzego, Związek Dzieci Bożych, Zbroja Ojczyzny. Te nazwy śmieszyły i wzruszały. Mówiły o Gruzinach więcej niż wyniki badań socjologicznych.

Startowały dwie partie konserwatywne i jedna monarchi-styczna.

Były wreszcie ugrupowania jednego regionu, jednej kramy - choć zwykle określały się jako „gruzińskie”, a nawet

„ogólnogruzińskie”. Organizacja „Abchazja Mój Dom” reprezentowała Gruzinów z Abchazji. Byli to uchodźcy, musieli wyjechać po wojnie. W Abchazji mieszkali zwykle od dwóch, trzech, najwyżej czterech pokoleń, ale żyli się w tamtą ziemię, zapuścili korzenie. Byli z reguły rosyjsko- lub megrelskojęzyczni, na nowych miejscach adaptowali się powoli. Gruzin najlepiej czuje się w swojej dolinie, źle znosi emigrację - w przeciwieństwie do Ormianina, którego domem może być cały świat.

Gruzińska Organizacja Polityczna Lemi broniła interesów wysokogórskiej Swanetii (jej nazwa po szańsku oznacza Iwa). Konkurował z nią Związek Górali Gruzji.

Duże wpływy zdobył Ogólnogruziński Związek Odrodzenia, znany później jako Związek Demokratycznego Odrodzenia. Była to partia przywódcy autonomicznej republiki Adżarii, Aśłana Abaszydze. Miała siedzibę w Batumi i tam odbywały się jej zjazdy (Abaszydze bał się jeździć do Tbilisi). W kilku kolejnych parlamentach Odrodzenie tworzyło silną frakcję.

Własną partię miała Megrelia - ale Megreńska Partia Nacjonalistyczna nie uczestniczyła w wyborach. Nieco później powstanie partia „Wirk” (po staroormiańsku: Gruzja) skupiająca gruzińskich Ormian oraz Związek Chrześcijańskich i Muzułmańskich Demokratów, założony z myślą o gruzińskich Azerbejdżanach.

Nadałem korespondencję do kraju i ruszyliśmy dalej na wschód.

Kachetia tchnęła spokojem. Wsie nie były tu monumentalne jak w Megrelii, ale za to bardziej swojskie: ludniejsze, weselsze, gęsto upakowane w pagórkowaty krajobraz. Droga wiła się w rytm meandrów niewidocznej zza zabudowań rzeki, piały koguty, po obejściach biegały gęsi i pstrokate prosięta. Przydrożne studnie przypominały kapliczki.

Od tamtej pory kiedy myślę o Gruzji, mam przed oczami Kachetię.

Zaczynało się młode wino, w każdej zagrodzie sprzedawali je za parę groszy w plastikowych butelkach po coca-coli. Gdzieniedzie można było kupić gliniane naczynia: dzbanki, czarki i spiczaste amfory, które zakopuje się w ziemi (największe widziałem na dziedzińcu katedry Alawerdi, musiały mieć kilkaset lat i mieścić kilkaset litrów wina).

Kachetyjskie wino ma swoją markę. Dobre gatunki wytwarza się w Kartlii, Imeretii, Megrelii, czy nawet

górzystej Raczy, ale najbardziej ceni się wina stąd, z dorzecza Alazani i Jori, ze stoków grzbietu gomborskiego, z okolic Telawi i Gurdzaani.

Już w dziewiętnastym wieku nieuczciwi kupcy sprzedawali różne cienkusze i sikacze pod kachetyjskim szyldem. W filmie Otara Joselianiego Cierpkie wino młody inżynier godzi się pod naciskiem kierownictwa przyspieszyć proces produkcji wina. Nowa partia ruewiele różni się od poprzednich, ale dla znawców to profanacja trunku. Inżynier organizuje stół i prosi zgromadzonych, aby przekazali swoim dzieciom, wnukom i prawnukom, a także wszystkim sąsiadom, kolegom i znajomym, że wina wyprodukowanego w tym i w tym okresie nie wolno pić pod żadnym pozorem.

Dojechaliśmy do miasteczka Lagodechi. Nie mieliśmy planów - poza zobaczeniem dwóch, trzech miejsc. Włóczyliśmy się po rynku i wreszcie ktoś nas zaczepił: Skąd jesteście? Tak się zwykle zaczyna - od życzliwego zainteresowania, kilku niewinnych pytań. Przygodny znajomy zaprowadził nas do przyjaciela, który pracował w merostwie. Tamten powiadomił kolegów. Towarzystwo uznało, że dziennikarzy z Polski trzeba ugościć.

Pojechaliśmy w plener. Na leśnej polanie były stoły, ławy 1 wydzielone miejsce, gdzie można postawić mangal - blaszaną rynienkę, w której przygotowuje się szaszłyki. Ktoś przywiózł mięso, chleb, ser i zieleninę. Ktoś wina w trzylitrowych stojach.

Mimo listopada było ciepło, można było siedzieć na dworze; w Megrelii chłód dopadał już nawet w zamkniętych pomieszczeniach. Tu, w Lagodechi, Megrelia wydawała się tak odległa, jakby leżała na innej planecie. Z perspektywy Ka-chetii wojna w Abchazji niewiele różniła się od wojny w Jugosławii: wiadomo, tragedia, ale to daleko i w gruncie rzeczy nie wiadomo, o co poszło. To nie był brak patriotyzmu, Ka-chetyjczycy są dobrymi Gruzinami i boleją, że Gruzja utraciła kontrolę nad Abchazją i Osetią Południową. Ale czy Rosjanin z Kaliningradu tak bardzo przeżywał wojnę w Czeczenii? Rosja jest nieskończenie większa od Gruzji, ale Gruzja - nie mniej zróżnicowana. Między Kachetią a Abchazją jest tuzin innych krain; prawie nie zdarza się, by Kachetyjczyk miał rodzinę w Megrelii czy Swanetii. Oczywiście, sytuacja ulega zmianie, gdy na wojnie ginie powołany do wojska syn czy brat. Ale dobry kachetyjski ojciec zrobi wszystko, żeby dziecko służyło w pobliżu domu.

Nasi gospodarze wypełnili nam cały czas i nie mieliśmy już chwili dla siebie: tym razem nie udało się znaleźć grobu Ludwika Młokosiewicza ani jego domu. (Polski przyrodnik, badacz kaukaskiej flory, spędził w Kachetii pół wieku. Zmarł w 1909 roku. Miejscowi nazywali go leśniczym - rozdawał im sadzonki, doradzał, walczył z chorobami roślin). Nie byliśmy nawet w cerkwi! Wszędzie wożono nas autem. Gruzini traktują gości jak dzieci.

Z Lagodechi jechaliśmy do Azerbejdżanu, gdzie też były wybory, które miałem relacjonować.

Na dworcu w Batumi nikt nie umiał mi pomóc. Pytałem o stare drewniane meczety. Były gdzieś w górach, w głębi Adżarii, ale nie wiedziałem, gdzie dokładnie ani jak się tam dostać.

Wcześniej pytałem w informacji turystycznej i w merostwie. Kręcili albo sami nie słyszeli: ktoś powiedział, że są bardzo wysoko i nie dojadę nawet terenówką, ktoś inny, że kiedyś były, ale już nie ma, jeszcze ktoś - że są zamknięte. Meczetów nie było na mapie zabytków gruzińskich, wyda-j w 2002 roku przez Uniwersytet Tbiliski. Niewiele dały poszukiwania w internecie. W Batumi jest dużo atrakcji: kamieniste wybrzeże Morza "zarnego, nadmorska promenada, przechodząca w park, ogród taniczny (Potęga roślinności przechodząca w rozpustę - zapisał w 1900 roku przyrodnik Edward Strumpf). Wokół ciągną się herbaciane plantacje, o których śpiewały Filipinki (mer zęstuje liptonem, miejscowe wytwórnice, tłumaczy, jeszcze ie wyszły z zapaści). W pobliskim Gonio są ruiny rzymskiej ierdy z pierwszego wieku naszej ery, a w samym mieście -iewiętnastowieczny turecki meczet z wysmukłym minare-m. Mnie jednak chodziło o meczety w górach. Uparłem się, e do nich dotrę.

Wiedziałem, że są. Widziałem fotografie. Nie pamiętałem lko nazw miejscowości.

przed dworca co parę minut odjeżdżały marszrutki. Czu-1, że któraś z nich może zabrać mnie do celu albo w jego bliże.

Merab, właściciel forda transita, zaproponował mi układ: jadę z nim do Chulo, tam też jest meczet, co prawda nowy, e z łebskim mułłą. Jak się czegoś dowiem, odwoła powrotny kurs i zawiezie mnie dokąd będzie trzeba, tylko zapłacę za wszystkie miejsca. W przypadku klapy wrócę z nim do Batumi. To była uczciwa propozycja.

Pojechaliśmy drogą przecinającą Adżarię z zachodu na wschód. Na mapie wiodła aż do Achalciche, ale nikt nie próbował jeździć tędy tak daleko: po paru kilometrach kończył się asfalt, dalej były same dziury. Odcinek za Chulo wymagał sprzętu z napędem na cztery koła. Kierowcy woleli nadrabiać dwieście kilometrów przez Kutaisi i Borżomi.

Nasza trasa wiodła wzdłuż rzeki Czoroch, a potem jej dopływu, Adżarisckali. W oczy rzucały się okazałe przydrożne krzyże i kaplice. Wyglądały jak demonstracja siły.

Adżaria miała zagwarantowany autonomiczny status dzięki traktatowi radziecko-tureckiemu,, zawartemu w 1921 roku w Karsie. Był to jeden z warunków odstąpienia tych ziem Sowietom (drugim było prawo do korzystania z portu w Batumi). W traktacie podkreślono, że autonomia ma chronić kulturalne i religijne prawa ludności. Chodziło o muzułmanów.

Adżaria była jedyną autonomiczną republiką ZSRR utworzoną ze względów religijnych, a nie narodowościowych - ad-żarscy muzułmanie byli w zdecydowanej większości Gruziniami.

Te tereny najpierw należały do Gruzji, a potem, przez trzysta lat, do Imperium Osmańskiego. W 1878 roku podbiła je Rosja. W latach 1918-1920 były okupowane przez Brytyjczyków i ponownie przez Turków. Pod panowaniem tureckim Gruzini z Adżarii zachowali język i świadomość narodową, ale utracili

wiarę. Zaczęli określać się z turecka - Gurdzi.

W okresie sowieckim Gurdzi-Adżarowie starali się dowieść, że są takimi samymi Gruzinami jak Kachetyjczycy czy Imeretyjczycy. Przeszkadzał im w tym autonomiczny status: ani Kachetia, ani Imeretia, ani nawet Megrelia nie były odrębnymi republikami. Tbilisi nie ufało muzułmanom - mimo że meczety szybko opustoszały i większość Gurdzi nawróciła się na ateizm. Sekretarzy partii przywożono jednak do Batumi w teczkach, mało komu z miejscowych udawało się zrobić karierę w stolicy.

W latach pierestrojki i zaraz po odzyskaniu przez Gruzję niepodległości Adżarów określano często mianem „tatarzy”. Była to nazwa historyczna, można tłumaczyć ją jako „pohańcy”. Prawdziwy Gruzin musiał być prawosławny!

- Adżar, który chce pozostać muzułmaninem, powinien zrezygnować z dziedzictwa Szoty Rustawelego, Dawida

Guramiszwilego i Saby Orbelianiego - tłumaczył mi w tamtym czasie profesor Wachtang Szamiladze, szef etnologii na Tbiliskim Uniwersytecie Państwowym. - Powinien odżegnać się od chrześcijańskich świątyń, od tych niepowtarzalnych w skali świata zabytków. Jako muzułmanin nie ma prawa być dziedzicem tego wszystkiego.

Znakiem dla niedowiarków miała być lawina błotna, która 19 kwietnia 1989 roku zniszczyła wioskę Cablana. Jedynym ocalałym budynkiem była prawosławna cerkiewka.

Trochę na fali przemian, trochę z przekory, a trochę pod wpływem muzułmanów z Turcji, w Adżarii zaczęli odradzać się islam. Ci, którzy uważali, że różnią się od reszty Gruzinów, utożsamiali zachowanie islamu z utrzymaniem autonomii. Ci, którzy sądzili, że żadnych różnic nie ma, chcieli likwidacji autonomii i chrystiaryzacji Adżarów.

Najbardziej światli - naukowcy, pisarze, artyści - wyjeżdżali teraz do Tbilisi. Reprezentowali z reguły drugą grupę, jak profesor Szamiladze, który pochodzi z wioski Achalszeni. W ich miejsce zaczęli napływać - szczególnie masowo po rewolucji róż - biznesmeni z centralnych dzielnic. Wielu z nich miało tatarów za dzikusów i powtarzało, że niosą tu cywilizację (co nieuchronnie wzmacniało grupę pierwszą).

Krzyże i kaplice były dziełem tych biznesmenów. Miejscowych muzułmanów kłuły w oczy.

W Chulo poszedłem najpierw do cerkwi. Zażywny batuszka z dumą oprowadził mnie po swoim gospodarstwie:

- Czy wiesz, że chrześcijaństwo w Gruzji zaczęło się tutaj?

- A nie w Mcchecie, od świętej Nino?

- To było trzysta lat później. A tutaj w 38 roku nauczał apostoł Andrzej. Dziś w tym miejscu jest wieś Didadżara.

Nie wiedziałem. Słyszałem, że apostoł działał trochę dalej, miał założyć biskupstwo w Ackuri blisko Borżomi. Ale czy to ważne, jak było? Na Kaukazie prawda jest pojęciem plastycznym, rozciągliwym. Od prawdy prawdziwsze bywają legendy. To my, Europejczycy, łudzimy się, że można tę jedną jedyną prawdę poznać, dotknąć jej jak przedmiotu. Tutaj prawda jest czymś zindywidualizowanym, osobistym, intymnym.

Cerkiew była jeszcze w budowie. Napęczniała od rusztowań bryła mogła pewnie pomieścić całe Chulo.

- Państwo pomaga?

- A jakże. Saakaszwili to dobry chrześcijanin. I prywatni pomagają. Nawracają się ludziska.

Meczet był trzy kroki od cerkwi. Budynek pochodził z początków dwudziestego wieku, ale od drugiej wojny był tam skład. W ostatnich latach miejscowi zrobili remont: wstawili okna, położyli dach. Ściany i sufit wykończyli po adżarsku, w drewnie. Nikt im nie pomagał.

Opodal są ruiny meczetu starszego, kilkusetletniego. Od siedemnastego wieku islam nie miał w Chulo konkurencji. Dzisiaj muzułmanów i prawosławnych jest pół na pół.

Mufla miał na imię Asłan, w medresie przyjął imię Ibra-him. Kształcił się w Stambule, potem służył u Gruzinów--muzułmanów w Azerbejdżanie, w końcu wrócił w rodzinne strony. On też ma swoją prawdę. - Adżaria nie została podbita przez Turków - stwierdził. -

Przyłączyła się dobrowolnie.

Według Asłana-Ibrahima, wszystkiemu była winna chciwość gruzińskich panów. Łupili ludzi tak niemilosiernie, że ci zaczęli uciekać. U Turka podatki były proste i sprawiedliwe: masz sto baranów, oddajesz jednego, masz tysiąc - oddajesz dziesięć. Więcej nikt nic od ciebie nie chciał.

Dziś gruzińscy panowie znów nas gnębią, mówił. W Telawi rządzą Kachetyjczycy, w Zugdidi - Megrelowie, w Poti - Gu-ryjczycy. A w Batumi rządzą ludzie z Tbilisi. My, Adżarowie, jesteśmy w mniejszości. Saakaszwili zabrał autonomię. z^o stała sama nazwa.

Jedynym, który o nas dbał, był Abaszydze, ciągnął mufla. Mieszkanie w mieście kosztowało trzy i pół tysiąca dolarów. Każdy mógł kupić, bo była praca. Teraz jest bezrobocie, a ceny mieszkań skoczyły do piętnastu tysięcy. A Abaszydze tuła się na wygnaniu.

Obalenie Asłana Abaszydze było ostatnim akordem rewolucji róż. Przez trzynaście lat po dyktatorsku rządził Adżarią. Nie znosił sprzeciwu, wrogów wtrącał do lochów, zmuszał do wyjazdu albo likwidował - na początku rządów zabił ponoć własnoręcznie swojego zastępcę. Otoczył republikę kordonem posterunków i nie wpuszczał gruzińskiej armii ani policji. Ale secesji nie ogłosił: żył z komory celnej na granicy z Turcją i w porcie w Batumi, pobierał myto przy wyjeździe z republiki do Gruzji nieautonomicznej.*'

W Adżarii żyło się lepiej niż gdzie indziej w kraju, a przede wszystkim bezpieczniej. Kilka różnych formacji zbrojnych śledziło obywateli i siebie nawzajem. Ale nie do pomyslenia były strzelaniny na ulicach, napady rabunkowe, zamachy.

Podporą Abaszyszkiego, rodowitego Adżara, były stacjonujące wówczas pod Batumi jednostki armii rosyjskiej. Po utracie władzy dyktator schronił się w Moskwie.

Muła wiedział o drewnianych meczetach. Zwiedziłem dwa, oba z osiemnastego wieku. Jeden był tuż za Chulo, w Paksa-dzeebi. Z zewnątrz przypominał dom mieszkalny z dobudowaną komórką. Minaret obity był falistą blachą i początkowo myślałem, że to silos. A w środku ten meczet wyglądał jak łowicka chata! Balustrady, drzwi, minbar (kazalnica), wszystko było pomalowane w wesołe szlaczki. W jednym miejscu wśród esow-floresów wypatrzyłem kiście winogron: w tym artyście Gruzin zwyciężył prawowiernego muzułmanina. Drugi

meczet był w Acho, parę kilometrów od głównej drogi-B'achą obito tu cały budynek - jak się okazało, dla ochrony

rozciągliwym. Od prawdy prawdziwsze bywają legendy. To my, Europejczycy, łudzimy się, że można tę jedną jedyną prawdę poznać, dotknąć jej jak przedmiotu. Tutaj prawda jest czymś zindywidualizowanym, osobistym, intymnym.

Cerkiew była jeszcze w budowie. Napęczniała od rusztowań bryła mogła pewnie pomieścić całe Chulo.

- Państwo pomaga?

- A jakże. Saakaszwili to dobry chrześcijanin. I prywatni pomagają. Nawracają się ludziska.

Meczet był trzy kroki od cerkwi. Budynek pochodził z początków dwudziestego wieku, ale od drugiej wojny był tam skład. W ostatnich latach miejscowi zrobili remont: wstawili okna, położyli dach. Ściany i sufit wykończyli po adżarsku, w drewnie. Nikt im nie pomagał.

Opodal są ruiny meczetu starszego, kilkusetletniego. Od siedemnastego wieku islam nie miał w Chulo konkurencji. Dzisiaj muzułmanów i prawosławnych jest pół na pół.

Muła miał na imię Astan, w medresie przyjął imię Ibra-him. Kształcił się w Stambule, potem służył u Gruzinów--muzułmanów w Azerbejdżanie, w końcu wrócił w rodzinne strony. On też ma swoją prawdę.

- Adżaria nie została podbita przez Turków - stwierdził. -Przyłączyła się dobrowolnie.

Według Astana-Ibrahima, wszystkiemu była winna chciwość gruzińskich panów. Łupili ludzi tak niemilosiernie, że ci zaczęli uciekać. U Turka podatki były proste i sprawiedliwe: masz sto baranów, oddajesz jednego, masz tysiąc - oddajesz dziesięć. Więcej nikt nic od ciebie nie chciał.

Dziś gruzińscy panowie znów nas gnębią, mówił. W Telawi rządzą Kachetyjczycy, w Zugdidi - Megrelowie, w Poti - Gu-ryjczycy. A w Batumi rządzą ludzie z Tbilisi. My, Adżarowie, jesteśmy w

mniejszości. Saakaszwili zabrał autonomię, została sama nazwa.

Jedynym, który o nas dbał, był Abaszydze, ciągnął mułła. Mieszkanie w mieście kosztowało trzy i pół tysiąca dolarów. Każdy mógł kupić, bo była praca. Teraz jest bezrobocie, a ceny mieszkań skoczyły do piętnastu tysięcy. A Abaszydze tuła się na wygnaniu.

Obalenie Ałana Abaszydzego było ostatnim akordem rewolucji róż. Przez trzynaście lat po dyktatorsku rządził Adżarią. Nie znosił sprzeciwu, wrogów wtrącał do lochów, zmuszał do wyjazdu albo likwidował - na początku rządów zabił ponoć własnoręcznie swojego zastępcę. Otoczył republikę kordonem posterunków i nie wpuszczał gruzińskiej armii ani policji. Ale secesji nie ogłosił: żył z komory celnej na granicy z Turcją i w porcie w Batumi, pobierał myto przy wyjeździe z republiki do Gruzji nieautonomicznej.

W Adżarii żyło się lepiej niż gdzie indziej w kraju, a przede wszystkim bezpieczniej. Kilka różnych formacji zbrojnych śledziło obywateli i siebie nawzajem. Ale nie do pomyslenia były strzelaniny na ulicach, napady rabunkowe, zamachy.

Podporą Abaszydzego, rodowitego Adżara, były stacjonujące wówczas pod Batumi jednostki armii rosyjskiej. Po utracie władzy dyktator schronił się w Moskwie.

Mułła wiedział o drewnianych meczetach. Zwiedziłem dwa, oba z osiemnastego wieku. Jeden był tuż za Chulo, w Paks-dzeebi. Z zewnątrz przypominał dom mieszkalny z dobudowaną komórką. Minaret obity był falistą blachą i początkowo myślałem, że to silos. A w środku ten meczet wyglądał jak łowicka chata! Balustrady, drzwi, minbar (kaszalnica), wszystko było pomalowane w wesołe szlaczki. W jednym miejscu wśród esów-floresów wypatrzyłem kiście winogron: w tym artyście Gruzin zwyciężył prawowiernego muzułmanina.

Drugi meczet był w Acho, parę kilometrów od głównej drogi. Blachą obito tu cały budynek - jak się okazało, dla ochrony przed deszczem i śniegiem. Wnętrze było arcydziełem ludowej snycerki. Gruzinijskim wkładem w architekturę islamu.

Oba meczety były ostatnio odnawiane przez mieszkańców. Władze nie pomagały. Może nie wiedzą o ich istnieniu.

3

Między Adżarią a Megrelią leży Guria. Pograniczem guryjsko--megrelijskim płynie rzeka Rioni, grecka Fasis. Tędy zdążali po złote runo Jazon i Argonauci. To starożytna Kolchida. Europa, jej dalekie krańce.

Edward Strumpf notował: Opróczdarów flory i fauny, kraj zawiera też bogactwa mineralne, a w tej liczbie złoto, którego ziarna drobniutkie unosi w swym pędzie mętny Rion do morza. W celu otrzymania złota krajowcy puszczają wodę Rionu na rozciągnięte skóry owcze: cząsteczki lżejszej materii uciekają razem z wodą, ciężkie zaś złoto zatrzymuje się w gęstej sierści, tworząc prawdziwe złote runo. Więc nie tylko w przenośni pojmować je można.

W 1876 roku w okolicach Wani (cały czas jesteśmy na Nizinie Kolchidzkiej, ale opuściliśmy już Gurię i wjechaliśmy do Imeretii) deszcz wypłukał złoto prosto z ziemi. Zaczął tam kopać Ekwtime Takaiszwili, jeden z pierwszych gruzińskich archeologów. Odnalazł ruiny, które uznano za pozostałości prawdopodobnej stolicy Kolchidy.

Kolejni archeolodzy, między innymi Nikoloz Berdzeniszwili i Otar Lordkipanidze, odkopali w ciągu następnych dziesięcioleci złoty skarb: biżuterię, naczynia, przedmioty codziennego użytku. Można je oglądać w Tbilisi na wystawie Kolchida -kraj złotego runa.

W miejscowym muzeum, mieszczącym się tuż obok wykopalisk - które też można zwiedzać - widziałem spiczasto zakończone pucharki do wina, datowane na ósmy-siódmy wiek przed Chrystusem. Taki sam kształt mają naczynia wytwarzane dziś. Nie można ich postawić, bo się przewrócą. Gdy są pełne - trzeba wypić całą zawartość.

Nizina Kolchidzka kończy się na przedmieściach Kutaisi - stolicy Imeretii i drugiego co do wielkości miasta w Gruzji (niziny zajmują tylko trzynastą część powierzchni kraju, reszta to góry i przedgórza). Parę kilometrów za miastem znajduje się kompleks klasztorny Gelati, jedno z arcydzieł gruzińskiej architektury. Poznałem tam brata Ambrożego, który leczy winem.

Na rozstrój żołądka najlepsze jest czerwone wytrawne.

Na arteriosklerozę działa białe wytrawne, rozcieńczone wodą mineralną.

Przy wymiotach należy pić silnie schłodzone wino musujące.

Na gripę pomaga grzaniec (do gorącego czerwonego wina dobrze jest dodać miód).

Za Zestaponi mam ulubioną knajpkę. Robią tam wyborne szaszłyki i niezłe chaczapuri. Kiedy wypada mi jechać przez Zestaponi, z góry cieszę się na jedzenie i na widok właściciela. Jest to potężne chłopisko, zwykle siedzi za kontuarkiem, przyjmuje zamówienia i wydaje potrawy (za plecami ma okienko do kuchni). Gości wita jak starych znajomych, a potem ich zagaduje, wykrzykując na całą salę ze swojego posterunku:

- Hej, przyjacielu, weź jeszcze wina, twój szaszłyk skarży się, że ma sucho!

- Zobacz, bracie, jak brzydko wygląda pusty talerz na twoim stole. Zaraz zamienimy na pełny, chcesz?

- Co, już wychodzicie? Przecież mieliście jeszcze zjeść prosiaka...

Nie wiem, jak ma na imię, jakoś nigdy nie spytałem. Gdy na niego patrzę, przypomina mi się karczmarz opisany przez Kazimierza Łapczyńskiego w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku: Ale największą ozdobą duchanu jest sam gospodarz, silny, dobrej tuszy Georgianin, który z powołania musi być jowialnym dowcipnisiem, bo inaczej zbankrutuje.

W Chaszuri odchodzi droga na Borżomi i Achalciche. Szosa biegnie wzdłuż rzeki Mtkwari (Kury), na wysokim prawym brzegu rysują się sylwetki średniowiecznych zamków. Jest ich kilka na krótkim odcinku.

Wszystkie miała wybudować królowa Tamar.

Już Michał Andrzejkowicz-Butowt zauważył, że gruziński lud przypisuje tej królowej każdą starą basztę i każdą twierdzę.

W Borżomi jest most imienia Stalina i ulica Stalina, o czym informują stare tabliczki po gruzińsku i rosyjsku. Ponieważ zaczynają przyjeżdżać turyści z Zachodu, w ostatnim czasie pojawiły się również tabliczki angielskie: Stalin street, Stalin bridge.

Siostra Sofia, która oprowadza mnie po bazylice Świętego Stefana w Urbnisi, ma problem: jej córka wyszła za mąż za Francuza, katolika (siostra najpierw miała córkę, a potem wstąpiła do klasztoru). Bardzo miły człowiek, pewnie dobry, ale Francuz. I katolik.

Mówię jej, że też jestem katolikiem. Macha ręką, uśmiecha się. Pokaże mi bazylikę, wszystko opowie. Nie ma nic przeciwko katolikom, ale żeby od razu wychodzić za nich za mąż?

Na pożegnanie daje mi obrazek i jabłko. Prosi, żebym pomodlił się za nią, za córkę i za tego Francuza.

To już Kartlia, serce Gruzji. Na wzgórzu - cerkiew. W dole chłopci pętają jarzmem dwa woły. Będą orać. Ziemia niedobra, gliniasta.

Mijamy Gori, miasto Stalina, i prawie dojeżdżamy do Tbilisi. Po drodze Mcheta. Najpierw widać monaster Dźwari z szóstego wieku, a potem, już w samym miasteczku, Swetic-choweli, najważniejszą świątynię kraju, wzniesioną w miejscu chrztu Gruzji.

Stalin musiał mijać Sweticchoweli wiele razy. Zastanawiałem się, czy tam wstępował, czy zatrzymywał się. Nie ma na ten temat informacji. Może wstępował. A może odwracał głowę. Jak Wiktor Suworow w powieści Akwarium:

Na terenie sowieckiej ambasady istnieje jeszcze jeden, trzeci styl. W zarośniętym ogrodzie wznoszą się surowe i majestatyczne dzwonnice cerkwi prawosławnej. Pięć kopuł zwieńczonych złotymi krzyżami, nad nimi jeszcze jedna kopuła, też z krzyżem. Dlaczego nie zburzyli tej świątyni? Nie wiem. Stoi dumna i niezawisła, jej złote krzyże górują nad czerwoną flagą. Mijam cerkiew i patrzę pod nogi. Czuję, że jeśli

podniosę wzrok, nie zdołam się powstrzymać, by nie paść na kolana przed tym tajemnym, kuszącym pięknem - i tak pozostać na zawsze.

Dmanisi, końcówka Kartlii. Właściwie już Kwemo (Dolnej) Kartlii. To ziemia pograniczna, przejściowa. Parę kilometrów na południe zaczyna się Armenia, parędziesiąt na wschód - Azerbejdżan. W okolicy są ormiańskie i azerbejdżańskie wsie. Ładnie tutaj, prawie jak w Kachetii: kolorowe pola, łagodne, porośnięte lasem wzgórza. Za jednym z takich wzgórz rozciąga się grodzisko, jedno z ważniejszych w Gruzji. Archeolodzy pracowali tu już przed wojną - drugą wojną światową - i jeszcze nie skończyli. Niedługo było tu potężne miasto, biło własną monetę.

W 1991 roku Dawid Lordkipanidze odkopał w pobliżu szkielet, datowany na 1,8 miliona lat (a później znalazł jeszcze trzy inne). Znaleździło zrewolucjonizowało naszą wiedzę o pitekan-tropie: dotychczas sądzono, że homo erectus wyruszył z Afryki o wiele później.

W październiku 2000 roku „człowiek z Dmanisi”, znany już nauce jako homo georgicus, został pokazany na wystawie w Tbilisi jako „pierwszy Europejczyk”.

Ale czy pierwszy Europejczyk mógł pochodzić z Gruzji?

4

Przyjechaliśmy tam na Giorgobę - uroczystości ku czci świętego Jerzego. To ważny dzień. Święty Jerzy, Giorgi, przedstawiany najczęściej konno, w zbroi, z włócznią, którą przeszywa smoka, jest patronem Gruzji. Od niego pochodzi nazwa kraju w językach europejskich: Georgia, Georgia, Georgie, Georgien (polski przejął rosyjską Gruzję).

W językach Orientu będzie Gurdżistan.

Po gruzińsku Gruzja to Sakartwelo - kraj Kartwelów, Kart-lijczyków.

Giorgobę obchodzi się dwa razy w roku. Ważniejsza jest 6 maja (w kalendarzu juliańskim 23 kwietnia). A 23 listopada (czyli 10 listopada) przypada „mała Giorgoba”.

Dzień zaczyna się od nabożeństwa. Potem jest festyn, odpust. Wyzerka i popijawa.

W tym dniu oddają szczególną cześć Bogu, uroczą się upijając - pisał z niesmakiem ojciec Jan Tadeusz Krusiński.

Posadzono nas pośrodku długiego stołu, ustawionego na podwórku plebanii (właściwie było to kilka stołów, połączonych obrusami). Po naszej lewej stronie siedział miejscowy chór, a po prawej - chór, który przyjechał z sąsiedniego powiatu. Śpiewały a cappella, na zmianę. Śpiewały z poświęceniem, żeby

dobrze wypaść przed biskupem, który siedział u szczytu stołu.

Śpiewały, a my nie mogliśmy się nasłuchać.

Między pieśniami chórzyci jedli, spełniali toasty, pili wino -jak wszyscy.

Piliśmy za naszych aniołów stróżów - żeby mieli na nas oko, i za świętego Jerzego - żeby zawsze ratował nas przed smokiem.

W cerkwi w Bodbe jest pochowana święta Nino, która chrystianizowała Gruzję. Do jej grobu pielgrzymują Gruzini z całego kraju: zapalają świeczkę, chwilę się modlą, a potem schodzą na dno wąwozu, gdzie mieszka pustelnik, który przeprowadza przez rzekę. Takie przejście - trzeba całkowicie zanurzyć się w wodzie - podobno uzdrowia. Pielgrzymi wiążą jeszcze dla pewności szmatki na drzewie przed chatą pustelnika. Jest ich tak dużo, że drzewo wygląda z daleka jak pokryte śniegiem.

W tej samej cerkwi znajduje się grób Ioanna (w świeckim życiu: Giorgiego) Makaszwilego, biskupa Bodbe, który zasnął w Panu 24 września 1837 roku, w wieku lat dziewięćdziesięciu czterech. Napis głosi (po rosyjsku): Tutaj spoczywają czcigodne szczątki przewielebnego metropolity bodbijskiego i kawalera rodem z kachetyjskich książąt Makajewsjus. Był to wielki duszpasterz i troskliwy gospodarz - odrestaurował świątynię, polecił odnowić freski i ustanowić nowy ikonostas.

Kiedy zobaczyłem zlatynizowane nazwisko i „kawalera z książąt”, poczułem, że jestem w Europie. Może dalej, prowincjonalnej, miejscami osobliwej, ale - Europie.

Gdyby porównać Gruzję do Włoch, Kachetia byłaby Toskanią, a Swanetia - Sycylią.

Temur Babluani urodził się w górach Swanetii, a wychowywał już w Tbilisi. Aniołem nie był. Raz tak oberwał, że chirurg musiał mu drutować szczękę. Od tamtej pory gdy mówił, słychać było zgrzyty i stuki.

Przed trzydziestką wymyślił, że będzie reżyserem, i zapisał się do szkoły teatralnej. Kiedyś zagrał w filmie. Czuł, że ma do tego smykałkę.

Dyplom robił u Tengiza Abuladzego. Swój film kręcił w pociągu. Zależało mu na realizmie. Były lata siedemdziesiąte, załatwianie zezwoleń trwałoby miesiące, ale on znał już kilku ważnych ludzi. Na czas zdjęć pospieszny Tbilisi-Moskwa zjeżdżał w umówionym miejscu na bocznice: wsiadali filmowcy, robili swoje i wysiadali, a pociąg z dwu czy trzygodzinnym opóźnieniem ruszał dalej. Za pieniądze albo dzięki koneksjom w Gruzji już wtedy można było wszystko.

Po kilku mniej głośniejszych obrazach nakręcił Udzinarta mze (Słońce niezasypiających). Dostał za ten film

w Berlinie Srebrnego Niedźwiedzia. Teraz był gwiazdą i każdy chciał się z nim przyjaźnić. Najbardziej cieszyło to Śwanów. Przyjeżdżali do Tbilisi, a on pomagał im znaleźć pracę, wepchnąć syna na uniwersytet, rozkręcić biznes.

Raz przyjechał góral, który mieszkał pod linią wysokiego napięcia. Mówił, że od prądu dostał raka, a krowy przestały dawać mleko. Urzędy ignorowały go, więc strzelał do przewodów, to jednak nie pomagało: szkody szybko naprawiano, a jego straszono sądami. Babluani załatwił mu rentę i teraz góral strzelał tylko wtedy, gdy spóźniano się z wypłatą.

Przodkowie reżysera służyli przy ostatnich królach Gruzji, tworzyli ich straż przyboczną. Mieli specjalne burki, miękkie w ramionach, by podczas uroczystości religijnych, które ciągnęły się godzinami, znużony monarcha mógł oprzeć tam głowę.

W studiu Babluaniego wisiała fotografia, na której był jego pradziadek, młodzieńcy dziadek i inni mężczyźni z rodu. Wszyscy ogromni, krzepcy jak tury. Babluani odziedziczył po nich zwalistą sylwetkę i pyzată twarz. Zdumiewało mnie, jak w tym potężnym ciele kryje się taka wrażliwość: sam pisał do swoich filmów scenariusze i komponował muzykę.

Od początku wieku Babluani więcej czasu niż w Tbilisi spędza w Paryżu, gdzie mieszka jego starszy syn, też reżyser.

Dawno chciałem pojechać do Swanetii, ale się nie składało i trochę się bałem. Po drogach grasowali zbójcy, nie było żadnej władzy, rządził kałasznikow. Sami Gruzini się bali. Ktoś, kto stamtąd wrócił, opowiadał, że gospodarz nie odstępował go na krok, nie pozwalał nawet pójść samemu do sklepiku po drugiej stronie drogi.

Prezydent Saakaszwili wysłał tam wreszcie siły specjalne. Aresztowano dwudziestu pięciu członków rodu Apraszidze, który trząsł Swanetią, i zapanował spokój.

Myślałem, że nikt tych bandytów nie żałował, ale potem poznałem kogoś, kto mi pokazał tę sprawę w innym świetle. Apraszidzowie, mówił ten ktoś, rabowali, ale nie mordowali. Nigdy też nie zabierali ostatniego grosza. Złupione pieniądze często rozdawali biedakom albo kupowali mąkę czy makaron dla całej wsi. Zatrudniali chłopaków, którzy śledzili obcych, i płacili im honoraria. Przepędzili złodziejasków i koniokradów. Słowem, zastępowali państwo, które wtedy nie wywiązywało się ze swoich obowiązków. Potem państwo wróciło i dla Apraszidzów nie było już miejsca.

Tutar popatrzył na ścieżynę wijącą się po skale: nie można się na niej minąć. Z dwu wrogów, którzy się tu spotkają, dalej pójdzie tylko jeden. Wstąpić na nią - znaczyło rozpocząć walkę. Drogi powrotnej nie było.

Tutar, swański nastolatek, bohater książki Otii Joselianiego *W niewoli u niewolnych*, której akcja rozgrywa się w latach drugiej wojny światowej, ruszył tą ścieżką bez wahania. Tak był wychowany, tak kazała tradycja (a trzeba pamiętać, że tradycje powstają nieprzypadkowo i nie należy ich pochopnie odrzucać, nawet jeśli cywilizacji nie przypadną do gustu). Gdyby stchórzył, okryłby hańbą cały ród. Prawo

gór nie zna przedawnienia.

To ostatnia reduta Gruzji.

Wioski są tu ufortyfikowane. Każdy ród ma swoją kamienną wieżę, która dawała schronienie w czasie najazdów. Przylega do niej kamienne domostwo. W Mestii, stolicy Swanetii, jest kilkadziesiąt wież. Najstarsze mają tysiąc lat.

Swan zawsze znajdował oparcie w swojej wieży i w swoim rodzie. Jego dom był naprawdę jego twierdzą.

Gdy Gruzję pustoszyły obce wojska, na przechowanie trafiały tutaj stare księgi, ikony, złoto. Swanetia była poza zasięgiem okupantów, nie zdołali jej podbić Arabowie ani Mongołowie. Rosjanom udało się to dopiero w ostatniej ćwiartce dziewiętnastego wieku. Wcześniej ich władza była tylko formalna.

Muzeum swańskiego obejścia mieści się na terenie posiadłości Margianich. Dom mieszkalny ma plan kwadratu, centralne miejsce zajmuje palenisko, obok stoi drewniany tron głowy rodu. Wieża ma dwadzieścia metrów, wieńczy ją galeryjka z machikułami, a drzwi są na wysokości pierwszego piętra: domownicy wchodzili po drabinie, którą następnie wciągali do środka. Obecnie wiele rodzin buduje nowe domy, stare służą jako składy.

Po muzeum oprowadza Larysa Margiani, Rosjanka. Rosjanki w Mestii to temat na oddzielny reportaż. Jest ich kilka, wszystkie przyjechały z daleka (pani Larysa z Syberii), wszystkie z miłości. Wrosły w Swanetię, są tutaj u siebie. Trudno wyobrazić sobie większy przeskok kulturowy - nawet inni Gruzini mówią, że Swanowie są dzikusami.

- Nieprawda! - oburza się pani Sasza Niguriani, rodem spod Petersburga. - To bardzo dobrzy, bardzo rodzinni ludzie. Może na zewnątrz są surowi, ale w środku serdeczni.

W muzeum Michaiła Chergianiego trwały pominki. Przyjaciele alpinisty, zwanego Skalnym Tygrysem, który zginął w 1969 roku we włoskich Dolomitach w wieku trzydziestu siedmiu lat, czcili kolejną rocznicę jego śmierci szklanką samogonu i skromną zakąską. Stół był bez stołu, na stojąco, bez toastów - bo wszystko jasne. Po góralsku, po swańsku.

Powiadają, że Misza - wówczas jeszcze Czchumlian, imię zmienili mu rosyjscy instruktorzy, którym nie chciało się strzepić języka - zaczął karierę od wspięcia się na rodową wieżę. Zamierzał przekonać ojca, że nadaje się do tego sportu.

Swanowie uznali go za mistrza, gdy wdrapał się na Uszbę, wytyczając po ścianie północno-wschodniej nową drogę. Usz-ba, zwana Wiedźmą, to najwyższa góra tych okolic, wspinacze nazywają ją Matterhornem Kaukazu.

Wieże Swanetii przypominają jej góry, są tak samo wysmukłe i strome. W Chewsuretii, innej górskiej prowincji Gruzji, też są wieże, ale niższe i bardziej przysadziste, a chewsurskie góry są odpowiednio mniejsze, bardziej zaokrąglone, spokojne. Chewsurowie mają w ornamencie znak krzyża i w dziewiętnastym wieku poważnie spekulowano, że mogą być potomkami krzyżowców, którzy jakoby osiedli tam, gdy wracali z Ziemi Świętej do Europy. Jeszcze w dwudziestym wieku chodzili w kolczugach. Widziałem takie zdjęcie: delegacja Che-wsurów w Tbilisi. W otoczeniu ubranych w kolczugi górali, którzy przypominali średniowiecznych rycerzy, stał mały fa-cecik w garniturze i okularach - sekretarz partii.

Poza Swanetią i Chewsuretią, w Gruzji jest szereg innych górskich krain: Raczą, Leczcumi, Chewi, Mtiuletia, Pszawe-tia, Tuszetia... O każdej można napisać książkę.

Kiedy w słoneczny dzień idzie się drogą z Mestii do Uszguli, słychać muzykę gór. To nagrzane warstwy pewnych skał wpadają w wibracje i ocierają się o warstwy sąsiednie, o innej budowie, wydając delikatne dźwięki. Uszguli znajduje się na wysokości ponad 2100 metrów, a więc należy do najwyższych osad w Europie. W Europie?

6 t> a może kilka tysięcy przełęcz. Przełęcz

W Gruzji jest kil³ . opodał Chaszuri, niemal w połowie drogi

Suramska, leżąca[^]. jisi, nie jest ani najwyższa, ani najpiękniej

między Kutaisi a * ogólne znaczenie. Dzieli Gruzję na dwie

położona, ale ma S* [^]schodnią.

części:

zachodni³ ^{^^}iej klimat jest morski, a miejscami sub-W części zasn^o bardziej smukli, mają jaśniejszą cerę, tropikalny. Lud^{^^}y.

nieraz niebieskie [^]jej panuje klimat kontynentalny, częściej

W części wsch^o cpe j smagłe. spotyka się osopy aważa, że przez Surami przebiega granica

Wielu Gruzino^{0^^} między Europ^{* 3} . gię o kilku innych przełęczach. John Bad-(To samo ^{^^f} z, dziennikarz, biznesmen, poliglota i po-deley, angielski PIS f zełomie dziewiętnastego i dwudziestego dróżnik, który na je czterdzieści lat w Rosji, napisał w książce wieku spędził Pra[^] Of the Caucasus - Urwiste zbocza Kauka-The Rugged fła* ubezpieczeniową ważną na Europę: gdyby zu - że miał

spadkobiercy nie dostaliby złamanego gro-zmarł w Azji! je^° jQ zależy od tego, na którą stronę spadłby, sza. Wszystko ^ przełęcz), gdyby potknął sif

^ każdą dolinę zamieszkuje trochę inny W kraju, w ^^i00 gruzińskich są jeszcze mniejszości na-lud (a oprócz P e ^ełęcz wyznacza jakąś granicę. Jak z tych rodowe), każ^3 \ two? Jak utrzymać jego jedność - nie tra-dolin ułożyć Pa . teg0 kłopotliwego nieraz bogactwa? To są cąc różnorod110 . musi zmierzyć się każdy gruziński polityk, pytania, z ktÓr^utyke Gruzji determinują historia, geografia Wewnętrzna P

i etnografia- . powiesz dowcip o Megrelach, w Megrelii _ W Sv/itietn fi, w Kachetii o Swanach i będziesz gość! -o Kachetyjc^3

tłumaczył mi mój przyjaciel Gela. - Megrel nigdy nie odda córki Kachetyczykowi, to byłaby tragedia, dla Kachetyczyka to nie problem. W Imeretii można postawić u władzy nie--Imeretyczyka, ale nie próbuj takiego numeru z góralami. I tak dalej.

Przełęcz Suramskiej strzeże zamczysko, dzisiaj w ruinie, ale wciąż robi wrażenie. Legenda mówi, że całe lata nie udawało się go wybudować - co wzniesiono w ciągu dnia, to przez noc niszczyła tajemna siła. Próbowano wszystkiego, ale nic nie pomagało. W końcu udano się po radę do wróżki. Ta oznajmiła, że twierdza wymaga ofiary: w fundamentach musi zostać zamurowany żywy człowiek! Zgłosił się młody chłopak.

Tamtej nocy po raz pierwszy nic nie zniszczyło budowli. Chłopak spoił mur Swoją ofiarą. I stanęła Suramska Twierdza.

Niko Lordkipanidze napisał, że nikt nie pokona narodu, który zrodził młodzieńca, gotowego żywcem zamurować się dla ojczyzny.

Tbilisoba

Na Starym Mieście w Tbilisi sąsiadują ze sobą: synagoga, meczet (gospodarzą w nim wspólnie szyici i sunnici), kościół katolicki, cerkiew gregoriańska (ormiańska) i kilka cerkwi prawosławnych, gruzińskich. Tuż obok są ruiny świątyni czcicieli ognia.

Tbilisi to Gruzja w miniaturze. Cała gruzińska pstrokaci-zna - Kachetia i Swanetia, chrześcijaństwo i islam, Zachód i Wschód, Europa i Azja - jest tu ściśnięta na paru kilometrach kwadratowych, ograniczonych zboczem Świętej Góry (Mta Cminda) i twierdzą Narikala na południu oraz wzgórzami dzielnic Kukia i Elia na północy (miasto ciągnie się jeszcze kilometrami, ale nowe osiedla - Wake czy Saburtalo, nie mówiąc o Warketili i Didi Digomi - nie mają wpływu na jego charakter). Stare Tbilisi można obejść w dwie, trzy godziny, od wzgórz na południu do wzgórz na północy (Mandelsztam pisał o „garbatym Tyflisie”), oraz wzdłuż rzeki Mtkwari (Kury), która płynie z zachodu na wschód.

Jeśli gdziekolwiek poza stolicą spytać przechodnia, kim jest, odpowie, że Kachetyjczykiem, Swanem, Chewsurem, Pszawem, Guryjczykiem czy Megrelem. Gdy to samo pytanie powtórzymy w Tbilisi, usłyszymy: „Jestem Gruzinem” lub po prostu: „Jestem tbiliseli, tbiliszczykiem!”. Przedstawiciel

mniejszości również określi się jako tbiliszczyk - albo powie, że jest Ormianinem, Azerbejdżaninem, Kurdem, Żydem, Rosjaninem, Polakiem.

Nazwę Tbilisi można przetłumaczyć jako Cieplice, tpili to po gruzińsku „ciepły”. Są dwie legendy o powstaniu miasta. Według pierwszej, król Wachtang Gorgasali, który polował w tych okolicach, zranił bażanta. Ptak wpadł do gorącego źródła i ugotował się. W innej wersji Wachtang postrzelił z łuku jelenia. Ten obmył ranę w leczniczej wodzie i uciekł. Monarcha wzniósł w tym miejscu stolicę i przeniósł do niej z Mcchety swój dwór. To było w piątym wieku.

Źródła biją do dziś. Okiełznano je już w średniowieczu, budując łaźnie, które stały się jedną z atrakcji miasta. Nie ma bodaj podróżnika, który opisałby Tbilisi, nie wspominając

o łaźniach.

W połowie dziewiętnastego wieku Mateusz Gralewski notował:

Czego kto pragnie, zechce, a stąpnie nogą, zaraz wszystko leci ku niemu, a nic bez etykiety wschodniej. Najprostsza rzecz, najprozaiczniejsza nabiera u łaźiebnikówgruzińskich wschodniego uroku, poezji, ubarwień i ułud. Myjący się i posługujący, według niezłamanego niczym zwyczaju, okryte mają biodra. Muzyka gra na korytarzach, wewnątrz zaś łaźiebnicy nucą w przystankach odbijające się echem o sklepienia piosenki

1 przyklaskują dłońmi.

Kąpać się w tbiliskich łaźniach - to jak modlić się w tysiącletniej katedrze albo zatrzymać na noc w wiekowym karawan-seraju.

Na kopulastych dachach łaźni siarkowych występował tego dnia dziewczęcy zespół. Tancerki nosiły długie białe koszule, z przodu gładkie, natomiast z tyłu ozdobione dwiema falistymi, niebiesko-biało-czerwonymi liniami, które układały się w znak x. W miejscu przecięcia się linii była czteroramienna gwiazda. Poznałem, że to flaga Asyryjczyków.

Trwała tbilisoba, doroczne święto Tbilisi. Zwykle zjeżdżają na nie Gruzini ze wszystkich stron kraju, można posłuchać ich muzyki i spróbować regionalnych potraw, ale tamtego roku przewidziano jedynie występy mniejszości narodowych.

Okazało się, że dziewczyny są z zespołu Ninewia. Liderka powiedziała mi, że nie tylko tańczą, lecz także śpiewają w kościelnym chórze. Następnego dnia była niedziela, więc wybrałem się do kościoła - na mszę w obrządku chaldejskim. W pieśniach czuło się Bliski Wschód. Niektóre powstały niedawno, ale na pradawnych motywach, sięgających czasów apostoła Tomasza, który według tradycji ewangelizował Mezopotamię, oraz jego ucznia, świętego Tadeusza, nazywanego przez Asyryjczyków Mar Addai.

Mszę odprawiał "ojciec Beniamin Beth-Jadegar, głowa katolickiego Kościoła chaldejskiego na Kaukazie Południowym. Pochodził z Urmii w Iranie. Okazało się, że mamy wspólnych znajomych. Powiedział mi, że do Tbilisi zawsze wraca jak do ojczyzny.

Asyryjczycy, których na Kaukazie nazywa się często Ajsorami, zamieszkiwali w Tbilisi dzielnicę Lebarado, Ormianie - Awla-bar, Azerbejdżanie - okolice łaźni, zwane Majdanem, Rosjanie - rejon dawnych carskich koszar (tak zwany Ósmy Pułk), a Żydzi - Nachałowkę i Dzielnicę Swanecką (Swanetisubani) w pobliżu dworca kolejowego.

Dawniej istniały „narodowe” profesje, na przykład dozorcami i nocnymi stróżami zostawali zwykle Kurdowie. Na Starym Mieście stanął jakiś czas temu pomnik takiego dozorca: przedstawia dobrodusznego brodacza w pumpiastych spodniach i kaszkiecie, z laską w spracowanej dłoni.

Najstarsze opisy miasta pachną baraním tłuszczem, czosnkiem i wschodnim bazarem, dźwięczą krzykami poganiaczy wielbłądów i roznosicieli wody. Opisy dziewiętnastowieczne dodają do tego bale u

namiestnika oraz przedstawienia w operze i teatrze, gdzie wystawiano modnych autorów z Francji czy Włoch. W tle pobrzmiwała baśń z tysiąca i jednej nocy. Podróżnik z Polski pisał o „na poły europejskim, na poły azjatyckim Tyflisie”.

Granica dwóch światów była wyrazista.

Zwycięstwo bolszewików odcięło Gruzję od Bliskiego Wschodu. Na drogach, którymi od wieków ciągnęły karawany, wyrosły zasieki, pola minowe, strażnice. Wyjechali Persowie, którzy prowadzili palarnie fajek wodnych i herbaciarnie. Tbiliski Orient skurczył się, skarłał, zszedł do podziemia.

W 1925 roku Joseb Griszaszwili napisał Pożegnanie ze starym Tbilisi:

Nie leją wina na mogiły, Znikły bagdadzkie barwne chusty, Bez śladu karczmarz znikł otyły Iprzed duchanem baran tłusty... Przełożył Anatol Stern

Mieczysław Lepecki był w Tbilisi na początku lat trzydziestych. Notował, że: Tyflis jest dzisiaj miastem o wyglądzie europejskim. Reżym sowiecki odarł go z wszelkich istniejących tam do niedawna śladów egzotyizmu. Ale dodawał: Zgląszach-towanie jest jednak tylko pozorne.

Gruzińska etnografka Nino Brailaszwili wspominała tuż przed rozpadem ZSRR: Jeszcze w latach trzydziestych naszego wieku spotykało się w starym Tbilisi zaułki, gdzie stragany i warsztaty rzemieślnicze były przytulone jeden do drugiego, a daszki nad nimi niemal się ze sobą łączyły. Jeden z takich zaułków nazwano nawet Ciemnym Bazarem. A obok były

Bawełniane Stragany... Była też ulica Srebrna, gdzie mieszkali i pracowali „złoci kowale”, mistrzowie jubilerscy. Zwykle przedzieraliśmy się tamtędy, wśród rwetesu i ścisku, wracając ze słynnych łaźni siarkowych, w których odwiedziny były dla starych tbilisczyków takim samym rytuałem, jak solidna porcja lula-kebabu po zażyciu kąpieli.

Miesięcznik „Wokrug Swieta” cytuje Aleksandra Ebanoi-dzego, pisarza i znawcę Tbilisi: Mury z rzecznego brukowca i niewielka cytadela nie mogły ochraniać przed wrogami i miasto nauczyło się bronić beztruską i radością życia. Ten, kto tak wiele razy powstawał z martwych, może uwierzyć w swoją nieśmiertelność.

Główną ulicą Tbilisi jest aleja Rustawelego. Została wytyczona w połowie dziewiętnastego wieku, gdy carskim namiestnikiem Kaukazu był książę Michaił Woroncow. Do końca stulecia obrosła gmachami urzędów, teatrów, muzeów, hoteli. Rychło przyćmiły one namiestnikowski pałac, który stanął na miejscu poprzedniego, gdzie Woroncow przyjmował Ha-dži Murata (od czasów sowieckich mieści się tam dziecięcy pałac kultury).

Rosja rządziła Kaukazem właśnie stąd, z Tbilisi, z alei Rustawelego (która do roku 1918 była prospektem Gołowińskim). Również stąd Gruzja rozpoczęła marsz do wolności. Tu ludzie po raz pierwszy wyszli na ulicę, aby bronić Stalina. Był 9 marca 1956 roku, w Moskwie kilka dni wcześniej skończył się XX Zjazd Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, na którym Nikita Chruszczow wygłosił referat o kulcie jednostki i jego następstwach. W Tbilisi zawrzało: wielki Stalin, ich Soso ma być zbrodniarzem?! W odczuciu demonstrantów referat obraził gruziński naród. Ktoś wpadł na pomysł, by wysłać depeszę do Moskwy. Tłum ruszył w stronę telegrafu. Padła seria z karabinu maszynowego. Na budynku telegrafu do dziś zachowały się ślady po kulach.

14 kwietnia 1978 roku na aleję wyszły dziesiątki tysięcy studentów. Protestowali przeciwko nowej konstytucji sowieckiej Gruzji, w której zabrakło zapisu o państwowym statusie języka gruzińskiego.

9 kwietnia 1989 roku żołnierze sowieckiego specnazu spa-cyfikowali przy użyciu gazów łzawiących i saperek trwające od wielu miesięcy protesty. Tragedia rozegrała się pod gmachem parlamentu, dziś stoi tam pomnik.

Na przełomie 1991 i 1992 roku na alei toczyły się ciężkie walki pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami prezydenta Zwiada Gamsachurdii. Wiele budynków legło w gruzach, hotel Grand Tbilisi (w którym w 1901 roku Władysław Emeryk zastrzelił Dagny Przybyszewską) został odbudowany dopiero po kilkunastu latach.

Aleja była areną rewolucji róż, która dała władzę Michei-łowi Saakaszwilemu (w listopadzie 2003 roku), manifestacji z żądaniem odejścia Saakaszwilego (w listopadzie 2007 roku), wieców przeciwko rosyjskiej interwencji w Gruzji (w sierpniu 2008 roku).

Poza chwilami przełomów jest to ruchliwa arteria wielkiego miasta i jednocześnie spacerowy deptak, gdzie zawsze można spotkać kogoś znajomego.

Aleja liczy półtora kilometra, można ją przejść w kwadrans albo przejechać w dwie minuty metrem. Turycie zajmie to godzinę: popatrzy na zabytki, zajdzie do sklepu. Do niedawna mógł wstąpić na oranżadę do pijalni wód Lagidze, gdzie ekspedientki w białych fartuchach i wykrochmalonych czepkach sprzedawały napoje z saturatorów*.

Jeśli zbłądzi na któreś z podwórek - z wyjątkiem tych paru wyremontowanych, gdzie mieszczą się angielska księgarnia

- Kultowy lokal przy Rustawelego 24 w 2008 roku został niestety zamknięty: Bez śladu karczmarz znikł otyły i przed duchanem baran tłusty...

i kluby młodzieżowe - zobaczy płataninę galeryjek, przybudówek, komórek, zewnętrznych schodów, jakichś przejść. Zobaczy spokojne życie: dzieciaki grające w nogę, kobietę nad balią wykrzykującą coś do stojącej w oknie sąsiadki, staruszków pochylonych nad warcabami. Czasem zobaczy jeszcze kawiarenkę internetową (z pewnością czynną całą dobę), kilka ulokowało się w takich miejscach.

Turysta może na chwilę przystanąć, pozdrowić kobiety, pokibicować dzieciakom, zagadnąć do staruszków. Jeśli będzie miał szczęście, dowie się, że jest na podwórku, gdzie mieszkał Siergiej Paradżanow albo gdzie dorastał Jewgienij Primakow, albo gdzie zaczynał śpiewać Wachtang Kikabidze. Może też zrobić w tył zwrot - i już za kilka sekund znowu oglądać fasady.

Aleja bierze początek kilkaset metrów od Starego Miasta, z jego łaźniami, świątyniami paru wyznań i pomnikiem dozorca Kurda, ale biegnie w przeciwną stronę. Inaczej niż rzeka Mtkwari, kieruje się na zachód: w stronę Morza Czarnego i dalej - Europy.

Arka

Tutaj się wszystko zaczęło.

Miesiąca siódmego, siedemnastego dnia miesiąca arka osiadła na górach Ararat. Woda wciąż opadała aż do miesiąca dziesiątego. W pierwszym dniu miesiąca dziesiątego ukazały się szczyty gór. [...] A kiedy w miesiącu drugim, w dniu dwudziestym siódmym ziemia wyschła, Bóg przemówił do Noego tymi słowami: „Wyjdź z arki wraz z żoną, synami i z żonami swych synów. Wyprowadź też z sobą wszystkie istoty żywe: z ptactwa, bydła i zwierząt pełzających po ziemi; niechaj rozejdą się po ziemi, niech będą płodne i niech

się rozmnażają". [...]

Synami Noego, którzy wyszli z arki, byli Sem, Cham i Jafet. Cham był ojcem Kanaana. Ci trzej byli synami Noego i od nich to zaludniła się cała ziemia.

Kultury Kaukazu i Czarnomorze to „księgi, z których uczyli się pierwsi ludzie”, pisał Osip Mandelsztam.

Udając się do Armenii - wspominała wdowa po nim, Na-dieżda - Mandelsztam powracał w matczyne łono... 1 po długim okresie milczenia właśnie w Armenii wrócił do niego wiersze. I już go nigdy nie opuściły.

Ararat zjawia się nagle. Nieważne, czy nadjeżdżasz z zachodu, czy ze wschodu, od północy czy od południa - przychodzi chwila, kiedy już jest, już go widzisz.

Widzisz i wiesz, że to on.

Od razu przytłacza cały krajobraz.

Nawet gdy zasłaniają go chmury, instynktownie wyczuwasz jego obecność.

Wypracowałem w sobie - to znowu Mandelsztam - szósty, araracki zmysł przyciągania przez górę. Zdołał się już przekształcić w rodzaj kontemplacji i dokąd by mnie nie poniosło, pozostanie już we mnie na zawsze.

Nie ma większej góry w promieniu setek kilometrów. Ararat (a właściwie Araraty, bo są dwa, Wielki i Mały) jest z innego wymiaru, z innej rzeczywistości.

Pisarz Andriej Bitów przeczuwał, że „górze tej przyszło zjawić się i wypiętrzyć jakby wbrew własnej woli - aby podać ramię arce”.

Ararat zdobyto w 1829 roku, ale w Armenii jeszcze długo nikt nie wierzył, że to możliwe. Wszyscy pamiętali, co przydarzyło się świętemu Jakubowi, biskupowi Nisibisu.

Tę historię znamy dzięki Faustowi z Bizancjum. Jakub, starzec pobożny i niezłomnej wiary, przez wiele lat prosił Boga, by pozwolił mu zobaczyć arkę. W końcu sam wyruszył na Ararat. Droga prowadziła przez urwiska i rozpadliny, przez piargi i turnie. Skały kaleczyły ciało, bezlitośnie piekło słońce, ale Jakub wytrzymał siły i parł do przodu. Kiedy pragnienie stało się nie do wytrzymania, upadł na kolana i odmówił modlitwę. Wtedy otworzyła się skała i wytrysnęła z niej woda (źródło bije w tym miejscu do dziś).

Gdy koniec wędrówki był bliski, siły opuściły Jakuba. Ogarnęła go niemoc, bez czucia osunął się na

ziemię i zapadł w głęboki sen. We śnie przyszedł do niego anioł: Jakubie, Jakubie powiedział. - Pan wysłuchał twoich próśb. To, co znajdziesz pod stopami, jest częścią arki. Weź to, ale nie wspinaj się wyżej. Taka jest wola Pana. Obudzwszy się, Jakub zobaczył pod stopami kawałek drewna. Wziął go i niezwłocznie udał się w drogę powrotną.

Relikwia arki Noego spoczęła w katedrze w Eczmiadynie obok włóczni, którą przebito bok Chrystusa (wcześniej włócznię przechowywano w klasztorze Geghard).

Przekonanie, że właśnie ta góra jest biblijnym Araratem, przyszło w średniowieczu. Wcześniej sytuowano Ararat bardziej na południu, w Taurusie. Opowieść o przystani Noego rozgłosili w Europie podróżnicy, kupcy i misjonarze, tacy jak Marco Polo i Wilhelm z Rubruk. Następnie opowieść wróciła nad Araks, potwierdzając lokalne legendy. Dla Ormian stała się religijnym dogmatem.

Turcy nazywają Ararat Agri Dagi, czyli Górą Bólu, Ormianie mówią zwykle Ararat, ale używają także starej nazwy, Masis.

Przed przyjściem chrześcijaństwa Masis uchodził za siedzibę duchów, kadzów.

Mojżesz Choreński, największy kronikarz starożytnej Armenii, żyjący w piątym wieku po Chrystusie, przekazał opowieść o niegodziwym Artawazdzie, synu cara Artaszesa, przykutym przez kadzów do skał Masisa. Łańcuchy Artawazda gryzły bez przerwy dwa psy, on sam też starał się zerwać okowy. Gdyby mu się udało, ziemia okryłaby się ciemnością, zapanowałoby zło i niesprawiedliwość. Raz do roku kadzowie kuli jednak żelazo, na ten odgłos łańcuchy odzyskiwały pierwotną grubość.

W czasach Mojżesza Choreńskiego kowale rozpoczynali dzień od uderzeń młotem w kowadło, żeby Artawazd nie wydostał się na wolność. Świat chroniła więc przed upadkiem ludzka praca.

Kronikarz jeszcze nie wiedział, że Masis to Ararat. Ale historia Artawazda była już dla niego klechdą, babcinym baj-durzeniem, echem pogańskiej przeszłości.

Może turecka nazwa góry to echo cierpień złego carewicza?

Każdy, kto był w Armenii, ma Ararat w paszporcie - na stemplu tamtejszej straży granicznej. 1

Dwa wierzchołki piętrzą się pośrodku armeńskiego godła. Wyższy jest z prawej strony, tak jak to widać z Armenii, spoczywa na nim arka Noego. (Góra była już w godle sowieckiej Armenii - ale bez arki). Turcy uważają, że to zamach na ich terytoria.

Ararat, symbol Armenii, leży w Turcji. Dla Ormian to krzyżująca niesprawiedliwość. Świętą górę widać już z Erywania. Od granicy będzie najwyżej trzydzieści kilometrów!

Ormianie nazywają Araratem wszystko, co się da: restauracje, hotele, stowarzyszenia, kluby sportowe, firmy, gazety, czasopisma. Najbardziej znany koniak też nazywa się Ararat.

Kiedy potop ustąpił, nie było jeszcze Armenii ani Turcji, ale byli Ormianie. Ich protoplasta Hajk miał być praprawnikiem Jafeta, syna Noego - a jeśli tak, to Jafet i sam Noe też przecież musieli być Ormianami! (Biblijny przekaz kończy się na wnukach Jafeta).

Ormianie widzą historię linearnie: bez zygzaków i zakrętów, bez żadnych przerw ani białych plam. Bez wątpliwości. Historia Armenii zaczyna się dla nich w arce. A na pewno sięga czasów sprzed powstania Urartu. Powie to każde ormiańskie dziecko.

(Państwo Urartu istniało między dziesiątym a szóstym wiekiem przed Chrystusem. W dziewiątym-ósmym było potęgą. Obejmowało Wyżynę Armeńską, także tereny obecnej Armenii. Stolicą była Tuszpa, dzisiejszy Wan, położony nad jeziorem o tej samej nazwie.

Urartyjscy królowie długo walczyli z Asyrią, aż w końcu jej ulegli. Ostateczny cios zadali indoeuropejscy Medowie.

Przodkowie Ormian musieli mieć związki z Urartu - ale jakie? Na pewno nie stanowili jeszcze jednolitej grupy, dopiero wyłaniali się z tygła narodów, jakim były Azja Mniejsza i Bliski Wschód - ale które konkretnie plemiona dały im początek? Tracko-frygijskie? Huryckie? Jedne i drugie? A może tajemniczy Kimmeriowie? Kim byli w takim razie Armeno-wie i Hajasowie? Poprzedzali Ormian, czy tylko zostawili im swoje imię?).

W ormiańskiej świadomości nie ma pytań, są odpowiedzi. Wskazali je badacze, podchwycili pisarze i poeci. Narodowy mit wykuwał już Mojżesz Choroński, który przytoczył korespondencję między królem Abgarem a Jezusem {Słyszałem -pisać miał Abgar do Zbawiciela - że Żydzi szemrzą przeciw Tobie i chcą Cię wydać na męki; mam miasto małe, lecz przyjemne, może ono wystarczyć dla nas obu). Mit rozkwitł w czasach sowieckich, w ratach po śmierci Stalina. Kulminacją były obchody 2750-lecia Erywania, zorganizowane w 1968 roku. W rzeczywistości upamiętniono rocznicę założenia przez króla Urartu Argisztego 1 twierdzy Erebuni, która istniała dawno temu na miejscu obecnej stolicy Armenii.

Urartu zostało zaanektowane, inkorporowane do ormiańskiej historii. Poszło łatwo, nie było innych spadkobierców. Następnym krokiem była teza, że to Ormianie założyli Urartu. To tak, jakby dowodzić, że Włosi stworzyli kulturę etruską! Politolog Ruben Barents stwierdził, że cywilizacja ormiańska ukształtowała się dziewięć-dwanaście tysięcy lat temu i dała światu rolnictwo osiadłe.

Trzeba uczciwie przyznać - inni walczą tą samą bronią. Rosyjski historyk Wiktor Sznirelman opisał w książce Wojny pamięci (Wojny pamięci), jak obok Ormian „ustarożytniają się” Azerbejdżanie, Gruzini, Abchazowie i Osetyjczycy. Wszystko po to, by dowieść swojego prawa do ziemi. Na Wschodzie fantazjowanie to nie grzech. Idolem Orientu był Hodża Nasred-din, kpiarz-filozof, który umiał każdego przegadać, omotać, zapędzić w kozi róg. Bujna fantazja ocaliła życie Szeherazadzie. Ale Ormianie zagalopowali się, przebili wszystkich, przekroczyli wszelkie granice.

Drażni to sąsiadów, obdarzonych mniej bujną wyobraźnią. W powieści Ali i Nino Kurbanda Saida pewien Ormianin przechwala się, że cerkiew Marasz w Karabachu ma pięć tysięcy lat. Zarzucają mu

kłamstwo - samo chrześcijaństwo nie jest takie stare. Chytrus nie traci rezonu: Zbawiciel, odpowiada, rzeczywiście przyszedł na świat niespełna dwa tysiące lat temu. Ale u nas, w Karabachu, pojawił się już trzy tysiące lat wcześniej!

Dzieje Ormian budzą podziw nawet bez Urartu. Pierwsze ormiańskie państwo powstało w 189 roku przed Chrystusem. Przetrwowało ponad sześćset lat. Zajmowało obszar osiem razy większy od współczesnej Armenii. Rządzili nim królowie z dynastii Artaszesydów (Artaksydów), a następnie Arsa-cydów.

Za Tigranesa 11 (95-56 r. p.n.e.) Armenia sięgnęła dwóch mórz: Śródziemnego i Kaspijskiego, wchłonęła Syrię i Kom-magenę. Był to szczyt jej potęgi, złoty wiek. W Erywanii na każdym kroku można kupić mapę państwa Tigranesa, sprzedają ją w kioskach i na straganach.

Potem Armenia była w rękach Persów, Bizantyjczyków i Arabów.

Drugie państwo istniało w latach 861-1045. Władzę sprawowali Bagratydzi (Bagrationi). Inna gałąź tej rodziny przez tysiąc lat rządziła Gruzją. Stolicą było Ani, miasto tysiąca i jednego kościoła, dziś w ruinie. Podobnie jak Ararat, Ani leży w Turcji, ale jeszcze bliżej granicy, właściwie - nad samą granicą.

Po upadku Ani, zdobytego najpierw przez Bizantyjczyków, a dwadzieścia lat później przez Seldżuków, których potem zastąpili Osmanowie, Armenia już się w tym miejscu nie odrodzi. Resztę weźmie Persja, a po niej Rosja.

Trzecie państwo leżało poza Wyżyną Armeńską: w Cylicji nad Morzem Śródziemnym. Wyemigrowało tam wielu Ormian z Ani. Przez trzysta lat (1080-1375) spokrewnieni z Bagratydami Rubenidzi (a później Hetumidzi i Luzyńiano-wie) manewrowali między muzułmańskim Bliskim Wschodem a chrześcijańskim Bizancjum. Był to czas krucjat - dzięki krzyżowcom Cylicja zwróciła się na Zachód. Król Leon 1 uznał się za lennika papieża. Ostatni król, Leon V, zmarł we Francji i został pochowany w bazylice Saint Denis.

A Cylicję podbili Mamelucy i Turcy.

Czwartym państwem była Demokratyczna Republika Armenii (1918-1920). Numer cztery i pół mogłaby nosić Armenia sowiecka (1920-1991): była kierowana z Moskwy, ale miała swój rząd, parlament, godło, flagę, hymn i urzędowy język ormiański.

Współczesna Armenia to piąte państwo Ormian w historii.

W armeńskim godle jest tarcza z symbolami czterech dynastii: Artaksydów, Arsacydów, Bagratydów i Rubenidów. Pośrodku tarczy widnieje, jak wiemy, Ararat. W godle znalazł się jeszcze miecz przecinający łańcuch (wyrwanie się z obcej niewoli), kłosa zboża (płodna armeńska ziemia) i gałąź oliwna (pokojowe zamiary i czyste serca ormiańskiego ludu). Tarczę podtrzymują lew i orzeł - symbolizujące państwowość sięgającą Urartu.

Jeśli liczyć Urartu, obecne państwo byłoby szóstym.

Jeśli iść jeszcze dalej - Urartu i Ararat brzmią tak podobnie! - numeracja całkiem się sypie.

Pocztówka z Armenii: na pierwszym planie wzgórze z kościółkiem, za nim monumentalny górski masyw pokryty wiecznym śniegiem.

Masyw to oczywiście Ararat. Kościółek jest częścią klasztoru Chor Wirap.

Tysiąc siedemset lat temu w tym klasztorze mieszkał święty Grzegorz.

Mieszkał - to za dużo powiedziane. Żył, egzystował w jamie, sześć metrów pod ziemią (chor wirap znaczy - głęboka studnia). Był ciężko bity, cierpiał głód. Przez piętnaście lat nie mógł rozprostować kości. Trudno powiedzieć, jak przeżył.

Więził go król Tirydates III. Grzegorz głosił Słowo Boże, a król nienawidził chrześcijan. Grzegorza nienawidził szczególnie - jego ojciec zabił ojca Tirydatesa.

Król wypatrywał nowych ofiar, łaknął krwi. Do Wagharsza-patu przybyło trzydzieści siedem dziewic, chrześcijanek. Uciekały od prześladowców. W Rzymie groziła im śmierć. Wpadły z deszczu pod rynną! Król upatrzył sobie Rypsymę, chciał ją pojąć. Stawiła opór. Zabił ją. I wszystkie pozostałe.

Wtedy miarka się przebrała. Król popadł w szaleństwo. Wydało mu się, że jest wilkiem. Wył po nocach, biegał na czworakach. Nie pomagały lekarstwa.

Chosrowiduchta, siostra króla, miała widzenie: Grzegorz uzdrowi króla.

Posłano po Grzegorza.

Uleczony król nawrócił się - i uczynił chrześcijaństwo religią państwową. Szerzył je tak samo gorliwie, jak wcześniej zwalczał. Grzegorz został pierwszym katolikosem Ormian. Otrzymał przydomek Lusaworicz: Illuminator, Oświeciciel.

Działo się to najpewniej w roku 301, choć część historyków uważa, że nieco później.

Po stu latach Mesrop Masztoc stworzył ormiański alfabet.

Oparł się na piśmie greckim, dostosował je do ormiańskiej fonetyki. Litery, które mu się nie podobały, wyrzucił. Zastępował je nowymi, wymyślonymi przez siebie. Musiały być nie tylko funkcjonalne, lecz także piękne.

Kościół Ormiański uznał go za świętego.

Pierwszym skreślonym po ormiańsku zdaniem był werset z Księgi Przysłów: By mądrość osiągnąć i karność, pojąć słowa rozumne (Prz. 1,2). Ponoć już w trakcie pisania Masztoc zobaczył, że brakuje mu jeszcze jednej litery, i stworzył ją na poczekaniu. Stała się trzydziestą szóstą literą alfabetu.

Początkowo używano samych wersalików. Było to tak zwane pismo żelazne, jerkathagir. Małe litery doszły później.

Alfabet powstał w ostatniej chwili. Persowie i Grecy z Bizancjum właśnie dokonali rozbioru Armenii, dni pierwszego państwa były policzone.

Ale Ormianie mieli już broń: trzydzieści sześć liter przypominających żelazne narzędzia.

Mesrop Masztoc zdążył już przetłumaczyć Biblię.

Tak uzbrojeni stawili czoło okupantom.

W 451 roku powstańcy pod wodzą Wardana Mamikoniana starli się na równinie Awarajr z armią perską. Ponieśli klęskę, ale szachowie przestali szerzyć zaratusztrianizm, który panował w Persji, i zostawili Ormianom swobodę wyznania. Rocznica bitwy obchodzona jest w Armenii jako święto narodowe.

Z powodu walk ormiańscy biskupi nie dotarli do Chalcedonu na czwarty Sobór Powszechny. Przyjęto na nim dogmat o dwóch naturach Chrystusa - boskiej i ludzkiej - zjednoczonych w jednej osobie. Kościół Ormiański tę naukę odrzucił. Ormianie od zawsze szukali ratunku w izolowaniu się, uwypuklaniu różnic, pielęgnowaniu swej odrębności i wyjątkowości.

Po setkach lat na tej glebie wyrosł ormiański mit.

Poeta Geworg Emin porównał ormiańskie litery do karnego wojska.

Dowódcami posyłającymi je do boju byli skrybowie, kopiści, pisarze, tłumacze.

Przepisywanie ksiąg stało się narodową pasją. Słowo pisane - świętością, niemal esencją ormiańkości. Fetyszem.

W klasztorach i pustelniach rzesze kopistów pochylały się teraz dzień w dzień nad traktatami starogreckich filozofów, pismami ojców Kościoła, pracami mędrców Wschodu i Zachodu, potem coraz częściej nad dorobkiem autorów ormiańskich.

Była to produkcja na skalę niemal przemysłową. W klasztorze Makinanoc nad jeziorem Sewan między siódmym a dziewiątym wiekiem mogło działać nawet osmiuset kopistów. Najpopularniejsze dzieła istniały w kilkuset rękopiśmiennych kopiach.

Ten ruch nie miał analogii w światowej kulturze.

Kopiści ścigali się z czasem. Wisiało nad nimi widmo zagłady. Nieprzyjaciel mógł pojawić się w każdej chwili. Wrogowie pustoszyli skrytoria, księżnice i akademie z większą zaciekłością niż miasta i pałace. A

wrogów nigdy nie brakowało.

W dwunastym wieku Seldżycy spalili dziesięć tysięcy tomów w bibliotece w Bagaberdzie w górach Zangezuru.

Wielką ilość manuskryptów spalił Tamerlan, a część wywiózł do Samarkandy.

Niekiedy wrogowie brali księgi do niewoli - zupełnie jak ludzi. Tak zdarzyło się z Homiliarzem z Muszu, który został uwolniony za cztery tysiące srebrnych monet. Na okup musiało składać się kilkaset osób.

Zachowały się księgi ze śladami krwi. Niektóre są nadpalone albo widać, że długo leżały w wodzie. Inne były cięte nożem. Wyglądają jak żołnierze po ciężkich bojach.

Do dzisiaj przetrwało trzydzieści tysięcy rękopisów, ułamek tego, co było napisane, ale i tak - niewyobrażalne bogactwo. Połowa jest w bibliotekach i muzeach na całym świecie: w Paryżu, Jerozolimie, Wenecji, Wiedniu, Isfahanie, Moskwie, Londynie, Los Angeles. Druga połowa znajduje się w Erywaniu, w Instytucie Rękopisów, znanym jako Matenadaran.

Własny, malutki Matenadaran gromadził każdy Ormianin. Bywało, że bezdzietne małżeństwo „adoptowało” księgę.

Mieczysław Lepecki, podróżujący po Kaukazie w latach trzydziestych ubiegłego wieku, zajechał do wioski w Górach Pambackich i wszedł do pierwszej z brzegu chaty: Patrząc na nędzną izdebkę, na brud w niej panujący, na stłoczenie licznej rodziny na przestrzeni paru metrów kwadratowych, a jednocześnie widząc tam wielką półkę z książkami ormiańskimi, drukowanymi w Erywaniu, widząc zaczytanych w miejscowych gazetach młodzieńców i dziewczęta, ogarnęło mnie zdumienie. Na początku lat dziewięćdziesiątych znajomy opowiadał mi: - Książki się teraz nie sprzedają. Nikt nie ma pieniędzy. Wszyscy biznesmeni, którzy założyli wydawnictwa, splajtowali. Ale jest wyjątek. Ludzie cały czas kupują literaturę historyczną. Schodzą nawet specjalistyczne, fachowe pozycje. Myślę, że to z patriotyzmu, bo z czego innego?

Dwa dzieła literackie zawładnęły ormiańską wrażliwością. Oba towarzyszą Ormianom od ponad tysiąca lat.

Epos rycerski Dawid z Sasunu nie ma autora - powstał z tysięcznych rapsodów, śpiewanych przez nieznaną liczbę bardów, z pieśni ludowych, z podań i legend. Postaci historyczne mieszają się tam z mitycznymi, fikcja pobrzmiewa echem prawdziwych wydarzeń.

Wtedy - w dziewiątym wieku - Armenia zbierała siły, by zrzucić władzę Arabów. Bohater eposu staje do walki z Meli-kiem z Msyru, który najechał jego kraj. Do pomocy ma konia o imieniu Dżalali i cudowny miecz. Po ciężkich bojach pokonuje Melika i własnoręcznie go zabija.

Dawid to heros o nadludzkiej sile, przez godzinę może zorać pole, z którym ledwie sprawia się przez tydzień siedmiu śmiertelników. Jest wspaniałomyślny: puszcza wolno żołnierzy Melika, przykazując, by

wrócili do Msyru i więcej nie nękali sąsiadów. Spełnia sen o władcy idealnym i o sprawiedliwości, która musi zatriumfować.

Zupełnie innym dziełem jest Księga śpiewów żałobliwych. Autor, Grzegorz z Nareku, był mnichem, przyjmuje się, że zmarł w roku 1003, mając pięćdziesiąt kilka lat. Świat doczesny nie interesował go, żył rytmem modlitw i postów, pracy i pobożnej lektury. Otrzymał wszechstronne wykształcenie, ale sam nazywał siebie „ostatnim z poetów, najpośledniejszym z kapłanów” Został świętym.

W dziewięćdziesięciu pięciu pieśniach, które składają się na Księgę, skołatana ludzka dusza, świadoma bezmiaru swych grzechów, rozmawia z Bogiem.

Grzech zmysły moje żądli, śmierć mi zadaje rany,

Jam przecie więzień zmysłów, na pastwę ich zawsze zdany;

I całą istotę moją miecz strachu tnie obosieczny,

ISądprzed wzrokiem zmąconym jawi się Ostateczny...

Jedynym ratunkiem jest całkowite poddanie się Bogu, ufność w Boże miłosierdzie:

Sławiony przez twór wszystek

Ukaż przychylność swej woli,

Potwierdź swe, Panie groźny, Imię niewymowne,

I racz mnie, nikczemnego, wybawić na nowo...

Krwią świętą Chrystusa Twego

Oznacz pewność zbawienia...

Oba fragmenty w przekładzie Andrzeja Mandaliana

Lud nazywał tę Księgę po prostu Narekiem. Panowała powszechna wiara w jej cudowną moc. Fragmenty Nareku czytano u łóża chorego, aby uśmierzyć jego ból. Zmarłym wtykano w rękę zwitek z przepisanej pieśni - jako posąg na tamten świat.

Została księgą narodową - choć nie mówi o dziejach narodu ani o jego bohaterach.

Narek i Dawid z Sasunu uzupełniają się. Epos uczy, jak zwyciężać wrogów, jak rządzić, jak pięknie kochać. Księga ukazuje z kolei potęgę słowa, wiary, modlitwy. Trudno orzec, która nauka była bardziej przydatna.

Ormianie wciąż dziwią się, jak zdołali przetrwać.

Ta sztuka nie udała się Hetytom, Hurytom, Partom, Frygom, Medom i dziesiątkom innych narodów i plemion.

Lewon Melik-Szachnazarian zauważył, że Ormian pociągają wyłącznie czarne karty historii. W wyniku tej wybiórczości - napisał w eseju Charakter narodu ormiańskiego - większość z nich, w tym ludzie wykształceni, uwierzyła, że dzieje Armenii to tysiąclecia goryczy i klęsk, że Armenia wiecznie znajdowała się pod czyimś jarzmem, a najbardziej pasującymi do niej określeniami są przymiotniki „męczeńska” i „sieroca”.

Rola ofiary, ocenia Melik-Szachnazarian, przypadła nawet Ormianom do gustu. Byle docenił to świat.

Epos Dawid z Sasunu znany jest też jako Sasna Dzurzer, czyli „sasuńscy śmiałkowie”. Tłumacz Leon Surmelian zwrócił uwagę na słowo dzurr. Znaczy ono „zwariowany”, „szalony”, „narwany” i ma pozytywne zabarwienie. Tym słowem opisuje się brawurowe wyczyny różnych śmiałków, ryzykanckie, zaprawione fantazją bohaterstwo, odwagę bez kalkulacji i kunktatorstwa.

Zdaniem Surmeliana, Ormianie są właśnie dzurr (opinię tę przytacza David Marshall Lang w książce Armenia. Kolebka cywilizacji).

Słowo, język i tworzone w tym języku piśmiennictwo okazały się arką, na której Ormianie przepłynęli historię.

Z nieba spadły trzy jabłka - to Osip Mandelsztam. - Pierwsze dla tego, kto opowiadał. Drugie dla tego, kto słuchał. Trzecie dla tego, kto rozumiał. Tak kończy się większość ormiańskich bajek.

Rabis

Aszot był rzeczowy:

- Ile masz czasu i co cię interesuje? Odpowiedziałem.

- Gdzie się zatrzymałeś?

- W hotelu Concorde, ulica Bliss. Już daję telefon...

- Nie trzeba. Nie wychodź z pokoju, odezwę się za dwadzieścia minut.

Nie wiedziałem, kim jest Aszot. Polecił go mój znajomy z Erywania. Miałem zadzwonić zaraz po przylocie, ale samolot koszmarnie się spóźnił i wykręciłem numer dopiero następnego dnia rano.

Nie miałem dużych planów. Przyleciałem do Bejrutu na półtorej doby: dwie noce i jeden dzień. W ciągu tego dnia chciałem dowiedzieć się czegoś o libańskich Ormianach. Nie byłem z nikim umówiony. Aszot był moim jedynym kontaktem.

Telefon zadzwonił po kwadransie:

- Teraz jest dziewięta trzydzieści. O dziesiątej piętnaście czekaj przed hotelem. Podjedzie auto, zielony mercedes, kierowca ma na imię Dawid. Najpierw pojedziecie do Anteliasu, przyjmie cię doradca katolikosy. O pierwszej masz spotkanie w partii Dasznakcutiun. Potem zjecie obiad. Od trzeciej trzydzieści będą czekać historycy z Komitetu Ormiańskiego,

a od piątej dziennikarze z radia Wan. Jeśli będziesz miał ochotę, po spotkaniach Dawid może cię jeszcze obwieść po mieście.

Nie dowiedziałem się, co robi Aszot. Nawet się nie zobaczyliśmy. Potem w Erywaniu zawsze zapominałem spytać. Do dzisiaj nie wiem, jak udało mu się w ciągu kwadransa ułożyć mi dzień (komórki nie były w tamtych czasach powszechne). Nigdzie na świecie nie spotkałem tak zorganizowanych ludzi, jak libańscy Ormianie.

Nikt nie wie, ilu Ormian mieszka poza krajem: może trzy i pół, może pięć milionów? Na pewno więcej niż w samej Armenii. Dla Ormianina życie w diasporze, emigracja jest czymś zwyczajnym, oczywistym: jego

domem jest cały świat. Pozbawieni przez setki lat własnego państwa, Ormianie wszędzie byli obcy - i wszędzie u siebie.

Ojczyzna Ormian, Wyżyna Armeńska, to przechodnie podwórze. Niezliczone ludy ciągnęły tędy na wschód, zachód, północ i południe, niezliczone armie toczyły ze sobą wojny. Rzym ścierał się tu z Persją i państwem Partów, Bizancjum z kalifatem bagdadzkim, Turcy z Persami, Rosjanie z Persami i Turkami. Polityka ormiańskich królów, książąt i nachararów (wielmożów) była wiecznym lawirowaniem wśród mocarstw, wybieraniem mniejszego zła, odsuwaniem nieuchronnej klęski. Historia Armenii to kronika podbojów, rozbiorów i uporczywego podnoszenia się z upadku.

Ale to także dzieje diaspory, której powodziło się znacznie lepiej.

Pierwsze ormiańskie kolonie powstały na Bliskim Wschodzie i w Bizancjum. W siódmym i ósmym wieku w Konstantynopolu i innych miastach istniały już ormiańskie dzielnice. Około dziesiątego, jedenastego wieku Ormianie dotarli na Krym: jedni przez Bizancjum i Bałkany, inni przez Gruzję i Kaukaz północny. W czternastym i piętnastym wieku było ich tak dużo, że półwysep zaczęto nazywać Armenia Maritima, nadmorską Armenią. Upodobali sobie Kaffę, dawniejszą i obecną Teodozję, należącą wówczas do genuńczyków. Po zajęciu Kaffy przez połączone siły Chanatu Krymskiego i Imperium Osmańskiego część przeniosła się na tereny Rzeczypospolitej - do Kijowa, Lwowa, Kamieńca Podolskiego. Dołączyli do rodaków, którzy osiedli tam wcześniej.

Trudnili się rzemiosłem i kupiectwem. Ruchliwi, znający obce języki, szybko dochodzili do majątków. Zmonopolizowali handel z Orientem: w Polsce rodził się sarmatyzm, szlachta chętnie kupowała wschodnie namioty, pasy, kobierce, końskie rzędy, białą broń, biżuterię (z czasem „wschodnie” tkaniny zaczęto wytwarzać na miejscu, takie manufaktury nazywano persjarniami). Polskie taryfy celne klasyfikowały zbiorczo rodzyнки, cytrusy, przyprawy korzenne, oliwę, kawę i herbatę jako „towar ormiański”.

W Rzeczypospolitej cieszyli się autonomią. Własne sądownictwo i samorządy gwarantował im Statut ormiański, zatwierdzony przez Zygmunta Starego w 1519 roku (pierwsze przywileje dostali jeszcze w 1356 roku od Kazimierza Wielkiego). Elita polonizowała się, sprzyjał temu udział w polskim życiu intelektualnym i służbie publicznej. Niejeden bogaty Ormianin - pisał historyk Antoni Mączak - potrafił wejść do ławy, rady miejskiej. Bliskie kontakty z magnatami i dworem królewskim ułatwiały uzyskanie korzystnych stanowisk serwi-torów i sekretarzy królewskich, a nawet nobilitację.

Zaufani jeździli w misjach dyplomatycznych i szpiegowskich na Wschód. Korzystali wtedy z pomocy ziomków z Bałkanów, Krymu, Turcji, Persji.

Ormianie rozproszyli się po świecie, ale nigdy nie tracili z pola widzenia historycznej ojczyzny ani siebie nawzajem. Opletli siecią powiązań, interesów, kontaktów większą część Europy i cały Bliski Wschód. Trudno było o lepszych pośredników.

Geografię ormiańskiego osadnictwa wyznaczały początkowo kościoły, a następnie drukarnie. Każda

ormiańska gmina chciała mieć własną świątynię. Przy świątyni najczęściej powstawała szkoła i skrytorium. Pierwsza książka wydrukowana w alfabecie ormiańskim ukazała się w Wenecji w 1512 roku. Kolejne drukarnie uruchomiono w Konstantynopolu, Rzymie i Lwowie, a następne w Paryżu, Isfahanie, Amsterdamie, Lipsku i Londynie. W siedemnastym i osiemnastym wieku spotykamy Ormian w Kalkucie i Madrasie, gdzie współpracują z Kompanią Wschodnioindyjską, oraz w Rosji. Gminy w Polsce tracą w tym czasie znaczenie, ulegają asymilacji, rozproszeniu.

Rosyjski pisarz Aleksandr Jericow (1841-1902) porównał Ormian do Żydów. Oba narody - pisał - mimo całkowicie odmiennych języków, tak są z zewnątrz do siebie podobne, że łatwo można je ze sobą pomylić, biorąc jeden za drugi; oba one od najdawniejszych czasów pisanej historii niejednokrotnie obracane były w niewolę i nierzadko poddawane prześladowaniom tak okrutnym, że na samą myśl włos się jeży na głowie, i zadajesz sobie tylko pytanie, jak po czymś takim nie zniknęły w ogóle z powierzchni ziemi. To się nie tylko Ormianom i Żydom nie przytrafiło, ale na odwrót, nieprzychylnie okoliczności wzmocniły je i rozwinęły w nich tę przedziwną zdolność przystosowania się, dzięki której znoszą wszystkie udręki i najsilniejsze zewnętrzne naciski.

Jericow zauważył, że Ormianie bardzo różnią się od Gruzinów: Gdy nadchodziły ciężkie czasy, Ormianin brał swój kij i szedł w dalekie kraje, podczas gdy sąsiad jego, Gruzin, który także przyjął chrześcijaństwo, postępował w takich wypadkach inaczej - pozostawał w swoich dolinach albo chronił się w pobliskich górach, gdy prześladowania stawały się nie do wytrzymania.

Podziw Jericowa budziła ormiańska solidarność: Na obczyźnie Ormianin starał się zachować swoje typowe właściwości i zawsze utrzymywał więzi ze swoimi ziomkami. Wyciągał wszystkie korzyści, jakie tylko były możliwe, ze swej nowej ojczyzny i umiał eksploatować jej bogactwa na użytek swój i na użytek swoich rodaków na Kaukazie [...].

Niewzruszona wiara, wytrwała energia w gromadzeniu bogactw materialnych, połączona ze zdrowym, troskliwie strzeżonym życiem rodzinnym - to te siły, które zapewniły Ormianinowi przetrwanie i rozwój w takich nawet okolicznościach, które inne nacje przywiiodłyby do pełnej zguby - podsumowywał pisarz. - Na Kaukazie kapitały obrotowe w handlu, a także zasoby nieruchomości prawie wyłącznie znajdują się w rękach ormiańskich. Z nimi nawet Żydzi nie są w stanie wytrzymać konkurencji.

W pierwszej połowie dziewiętnastego wieku Rosja podbiła wschodnią część historycznej Armenii - ziemie, na których powstanie dzisiejsze państwo armeńskie. Historyczna Armenia Zachodnia była w ręku Imperium Osmańskiego.

Stolicą rosyjskich Ormian stało się Tbilisi, powstał tam ormiański teatr, liczne ormiańskie szkoły i drukarnie (Erywań był wtedy kilkutyśieczną dziurą). Ormianie zdominowali tbi-liski przemysł i handel, wkrótce należała do nich większość fabryk, domów towarowych i banków. Inwestowali też w ropę naftową w Baku. Dochodziło do zadrażeń z Gruzinami: Mnie, jak każdemu mieszkającemu na

Zakaukaziu - pisał w Ocierkach zakawkazskoj żizni (Szkicach z życia zakaukaskiego) I. K. Kanadiejew - znane są liczne przypadki, kiedy posiadłość, kosztująca 7-8 tysięcy rubli, przechodziła po 5-6 latach w ręce Ormianina, który pożyczył [poprzedniemu właścicielowi, Gruzinowi] 200-300 rubli. Pod tym względem Ormianie osiągnęli wirtuozerię.

(Ormiańskie przysłowia uczą: „Zanim wejdiesz, pomyśl, jak wyjść”, „Zanim otworzysz usta, otwórz oczy”, „Najpierw policz, potem bierz”. Trudno o większy kontrast - wielkopań-ski, beztroski Gruzin i skryty, oszczędny Ormianin).

W 1890 roku powstała w Tbilisi Ormiańska Federacja Rewolucyjna Dasznakcutiun, jedna z pierwszych ormiańskich partii politycznych. Europa żyła wówczas „kwestią wschodnią”, która sprowadzała się do pytania: co zrobić z Turcją? Imperium, które rozciągało się na trzech kontynentach, chwiało się, dławił je archaiczny ustrój, krępowała prymitywna gospodarka, buntowały się podbite narody. Każde z mocarstw chciało wyrwać coś dla siebie.

Częścią kwestii wschodniej stała się kwestia ormiańska, po ormiańsku: haj dat. Ormianie marzyli o własnym państwie, chcieli je budować na ziemiach Imperium Osmańskiego. Liczyli na pomoc Francji i Anglii, ale przede wszystkim Rosji. Obok Dasznakcutiunu, o haj dat walczyły inne partie: Ramkavar--Azatakan, Hnczak, Armenakan... Wszystkie działały w diasporze, większość istnieje do dziś.

Imperium Osmańskie zamieszkiwały wówczas ponad dwa miliony Ormian. We wschodniej Anatolii (czyli Armenii Zachodniej) była to wiejska biedota - udręczona zmaganiem z przyrodą, samowolą urzędników podatkowych, najazdami Kurdów. W wielkich miastach, szczególnie w Konstantynopolu, żyli ormiańscy bogacze: sułtańscy dostojnicy, bankierzy i kupcy, mistrzowie rzemiosła, a także ormiańscy lekarze, prawnicy, artyści. Kształcili się często na Zachodzie, znali świat i języki. Wspierali haj dat, ale mieli nadzieję, że Imperium samo da się zreformować, ucywilizować, skłonić do ustępstw. To był przecież ich kraj!

Pogromy zaczęły się w 1895 roku. Okazały się wstępem, przygrywką do rzezi, do której doszło dwadzieścia lat później. Imperium gniło, ale było jeszcze na tyle silne, by spacyfikować własną ludność. W 1915 roku zginęło w Turcji od kilkuset tysięcy do półtora miliona Ormian (zależnie od szacunków i szacujących). Przede wszystkim wieśniaków z Anatolii, choć nie oszczędzono także konstantynopolskiej inteligencji.

Był to wówczas największy masowy mord w dziejach ludzkości.

W Turcji zostało może sto tysięcy Ormian. Ci, którzy uratowali się z rzezi, uciekli. Do Europy, Stanów, Ameryki Południowej. Byle dalej. Ale rzeź w nich została, żyli z nią. Przekazywali potomstwu, jak przekazuje się zły gen.

W nowych miejscach rzucili się do pracy. Praca miała dać im bezpieczeństwo. Pracą chcieli dowieść, że mają prawo do życia.

W ciągu paru dziesięcioleci stali się jedną z najbardziej wpływowych diaspor świata.

Nie zaczynali od zera. Na Zachodzie byli od dawna. Nie brakowało ich wśród europejskiej plutokracji. Krezusem był Calouste Gulbenkian, genialny finansista, nazywany „Panem Pięć Procent” - brał dla siebie pięć procent udziałów w kompaniach naftowych, których interesy prowadził. Majątek przepisał fundacji swojego imienia. Z kolei Boghos Nubar, syn trzykrotnego premiera Egiptu Nubara Paszy, założył stowarzyszenie dobroczynne (Armenian General Benevolent Union), wspierające ormiańską kulturę. Doświadczenie i kapitał starej emigracji połączyły się z energią nowych przybyszów. Dołączyli do nich uchodźcy z Armenii rosyjskiej, której w 1918 roku udało się wywalczyć niepodległość, ale dwa lata później została wchłonięta przez ZSRR.

Jak przed wiekami, życie gmin toczyło się wokół kościoła, szkoły i drukarni. Najważniejsza była teraz szkoła: ormiańskie dziecko musiało być kimś, musiało skończyć najlepszy college w okolicy, ale nie mogło przy tym zapomnieć, że jest Ormianinem (Ormianką), było zatem prowadzone na ormiańską mszę, do ormiańskiej świetlicy i ormiańskiego klubu sportowego.

Obok lektur zadanych w szkole czytało ormiańskie książki i czasopisma (w latach 1943-1967 tylko w Paryżu ukazywało się aż czterdzieści osiem ormiańskich gazet i magazynów!). Potem, gdy takie dziecko dorosło, tak samo wychowywało swoje dzieci. A one swoje.

Obsesją stało się badanie genealogii sławnych ludzi. Może ten amerykański pisarz miał ormiańską babkę? Albo tamta francuska aktorka - pradziadka z nazwiskiem kończącym się na -ian? Zainteresowany nie musiał o niczym wiedzieć. Witamy w ormiańskiej rodzinie! Był to rodzaj terapii, leczenie kompleksów: nie musimy już nic udowadniać, doszliśmy do czegoś, podbiliśmy świat!

Rzeczywiście, podbili. Nie ma takiej dziedziny, w której nie odnieśliby sukcesów. Biznes? Kirk Kerkorian z Beverly Hills, twórca kasynowej potęgi Las Vegas. Literatura? William Sa-royan. Kino? Reżyser Jerzy Kawalerowicz, aktorka Cher (naprawdę nazywa się Cherilyn Sarkisian LaPierre). Piosenka? Charles Aznavour (naprawdę Szanur Varenagh Aznavurian). Sport? Tenista Andre Agassi. Etyka? Jack Kevorkian, lekarz, propagator eutanazji, nazywany Doktorem Śmierć. Wszyscy żyli w diasporze. (Znani Ormianie ze Związku Sowieckiego to: kompozytor Aram Chaczaturian, reżyser Siergiej Paradzanow, polityk Anastas Mikojan, jego brat, konstruktor samolotów M?G, Artiom Mikojan, marszałek Iwan Bagramian, dysydentka Jelena Bonner, astrofizyk Wiktor Ambarcumian. Spośród nich tylko Ambarcumian mieszkał dłużej w Armenii).

Ważniejsze od tych gwiazd były jednak tysiące Ormian pracujących w biznesie, bankowości, kancelariach prawnych, mediach, agendach rządowych, na uniwersytetach. To oni wspierali ormiańskie stowarzyszenia, propagowali sprawę ormiańską w swoich środowiskach, budowali krok po kroku ormiańskie lobby.

W latach siedemdziesiątych w ogarniętym wojną domową Libanie powstała ASALA, Tajna Ormiańska Armia Wyzwolenia Armenii (LArmée secr?te arménienne de libération de TArménie). ASALA chciała zmusić Turcję do wzięcia odpowiedzialności za wymordowanie Ormian, wypłaty odszkodowań i zwrotu armeńskich ziem - te miały zostać włączone do sowieckiej Armenii. Była to organizacja terrorystyczna. Bojownicy, potomkowie Ormian ocalałych z rzezi, zabili na całym świecie ponad czterdziestu tureckich dyplomatów i członków ich rodzin. Ci ludzie, tłumaczyli bojownicy przed sądem, reprezentowali

państwo, które umywa ręce - byli zatem współwinni zbrodni i należała się im kara.

To była druga fala ormiańskiego odwetu. Wcześniej, jeszcze na początku lat dwudziestych, działali Komandosi Sprawiedliwości. Z ich rąk padł w Berlinie Talât Pasa, uważany za architekta rzezi (był oelonkiem rządzącego w latach 1913-1918 młodoturckiego triumwiratu i ministrem spraw wewnętrznych). W Rzymie zginął były wielki wezyr Said Halim, a w Tbilisi - Cemal Pasa, inny członek triumwiratu.

W latach osiemdziesiątych diaspora podjęła walkę o uznanie rzezi za ludobójstwo, takie jak Holokaust. W 1987 roku stosowną rezolucję przyjął Parlament Europejski. W ciągu następnych dwóch dekad kolejne państwa uznawały ludobójstwo. Ormiańskie lobby umiało już wpływać na rządy i parlamenty. Było stokroć skuteczniejsze od terrorystów z ASALA i Komandosów Sprawiedliwości.

Kiedy rozpadł się Związek Sowiecki i powstała wolna Armenia, Turcja od razu uznała jej niepodległość. Oba państwa nie nawiązały jednak stosunków dyplomatycznych. Przeszkodą był Górski Karabach, który Ormianie odebrali sojusznikom Turków, Azerbejdżanom, oraz spór o rzeź. Rząd Republiki Tureckiej odciął się od sułtanatu i dyktatury młodoturków, przyznał też, że miały miejsce masowe mordy - ale kategorycznie nie zgadza się na nazwanie ich ludobójstwem.

Według Ankary spiralę nakręciła Rosja, która w wojnie 1877-1878 odebrała Porcie kolejne okręgi historycznej Armenii - Kars i Ardahan (sułtan stracił wtedy także Batumi). Podburzeni przez Rosjan Ormianie stali się piątą kolumną Petersburga: masowo wspierali wroga, służyli mu jako przewodnicy i zwiadowcy. Wtedy zaczęły się pogromy. A po pogromach jeszcze więcej tureckich Ormian sprzyjało Rosjanom.

Sytuacja powtórzyła się po wybuchu pierwszej wojny: Rosjanie przerzucili przez granicę ormiańskich dywersantów, którzy manewrowali na tyłach frontu. Aby pozbawić Rosjan zaplecza, żołnierze tureccy pochodzenia ormiańskiego zostali internowani (wielu stracono). Następnie władze wysiedliły Ormian ze wschodniej Anatolii. Popędzono ich na południe, na pustynie Mezopotamii i Syrii. Pieszko przez góry i stepy, bez jedzenia i picia! Najwięcej ofiar pochłonęła właśnie ta deportacja. Według Turków przyczyną ich śmierci były głód i choroby, nieraz nadgorliwość lokalnego komendanta. Według Ormian już samo wysiedlenie skazywało tych ludzi na zagładę.

Turcy bronią się. Ludobójstwo, mówią, jest terminem prawniczym; zakłada działanie celowe. Przekonują, że tak nie było: trwała wojna, cierpieli wszyscy. W okolicach Wanu i Karsu przestały istnieć całe tureckie wsie, wycięte w pień przez ormiańskich bojówkarzy. Masowo ginęli Kurdowie. Nikt nie zamierzał unicestwić całej populacji Ormian.

Ormianie są przekonani, że zamierzał. I po stu latach ciągle się boją. Dlatego chcą postawić kropkę nad i, zamknąć „kwestię ormiańską”. Turcja islamizuje się, w 2007 roku młody turecki nacjonalista zabił w Stambule ormiańskiego dziennikarza Hrantę Dinka. Nikt nie wie, co przyniesie jutro.

Turcy też się boją. Być może Ankara uznałaby dla świętego spokoju ludobójstwo, ale kto da gwarancję,

że się na tym skończy? Że dziesiątki, setki tysięcy Ormian nie zażądają wtedy zadośćuczynienia, że sądów nie zasypie lawina pozwów, przygotowanych przez najlepszych adwokatów Francji i Ameryki? Pozwów, pod których ciężarem załame się budżet i całe tureckie państwo? Że któregoś dnia ktoś nie poprosi o Kars, a może i Erzurum? I że Turków nie postawią w jednym szeregu z Hitlerem?

Ery wań z kolei być może nie należałyby tak bardzo, gdyby nie diaspora. Ormianie z Armenii od dawna chodzą w dżinsach i kurtkach przywożonych przez Turków całymi kontenerami, uwielbiają Antalyę, coraz częściej odwiedzają Stambuł. W jednym z sondaży połowa była za nawiązaniem stosunków dyplomatycznych bez żadnych warunków wstępnych. Ale granica pozostaje zamknięta, trzeba jeździć przez Gruzję albo Iran.

- Diaspora musi brać udział w rozmowach - wzrusza ramionami K., erywański politolog. - Oni utrzymują ten kraj: inwestują, pomagają. Gdyby przestali, byłby dramat. Nie wolno się z nimi nie liczyć. A w sprawie ludobójstwa są mniej elastyczni od nas.

Azerbejdżanie oskarżają Ormian, że ci chcą mieć ich kosztem drugie państwo. Chodzi o Górski Karabach. Karabachu nie uznaje nikt, nawet Armenia. Ale Ormianie i tak mają dwa państwa: Armenię (po ormiańsku: Hajastań) i Spiurk, diasporę. W Erywanii jest Ministerstwo do spraw Diaspory. Diaspora nie potrzebuje ministerstw, ma komitety, partie polityczne, stowarzyszenia, szkoły, drukarnie. Ma pieniądze.

Granice między Armenią a Spiurkiem są płynne. Ktoś wyjeżdża, ktoś wraca. Pierwszych jest więcej, wyludniają się całe wsie. W gazecie ukazał się dowcip - hala wylotów erywańskiego lotniska Zwartnoc, napis na tablicy informacyjnej głosi: „Uprasza się ostatniego wylatującego o zgaszenie, światła!” Każdy emigrant osłabia Hajastan - ale jednocześnie wzmacnia Spiurk.

Armenia dzieli się na obwody, diaspora dzieli się na kontynenty i państwa: Amerykę i Europę, Rosję, Bliski Wschód.

- Mentalność mamy raczej wschodnią, orientalną - zamyśla się Szawarsz Koczarian, matematyk, doktor biologii, parlamentarzysta, wiceminister spraw zagranicznych Armenii. -Ale wyobrazenie, jak powinno być zbudowane państwo i co to jest prawo, wzięliśmy bez wątpienia z Zachodu. Zawsze byliśmy na styku Azji i Europy. Nie tylko geograficznie, także cywilizacyjnie, kulturowo.

- Ormianie żyją w demokratycznej Ameryce i autorytarnym Iranie - dodaje publicysta Dawid Petrosjan. -1 wszędzie czują się dobrze. Nie chodzi o to, że się przystosowujemy. My już mamy w sobie coś takiego dualistycznego.

Polski cmentarzyk w Isfahanie: kilkanaście grobów, wydzielona kwatery we wschodniej części cmentarza ormiańskiego. Leżą tu polskie dzieci, ewakuowane ze Związku Sowieckiego z Armią Andersa: Izabela Stefańska, lat 9, Lesław Biedul, lat 7 i jeszcze kilkoro innych. Jedno zupełne maleństwo - „Nie widziało światła dziennego, RIP”. I bezimienny „Obywatel Polski. Zmarł w 1944 r.”. Oraz „Nieznany Katolik, AD 1980”.

Leży tu także „grzesznik Teodor Miranowicz, posłannik Króla JM Polskiego”, który odszedł do Pana w drugi dzień Bożego Narodzenia 1686 roku. Był Ormianinem. Przybył do Persji namawiać szacha Safiego 11 do uderzenia na Turków: po zwycięstwie pod Wiedniem król Jan III Sobieski chciał ostatecznie rozprawić się z Wysoką Porta i szukał sojuszników. Misja zakończyła się fiaskiem, szach nie kwapił się do rozpoczynania wojny. Historycy oceniają Safiego 11 jak najgorzej: Me był skory do podejmowania jakichkolwiek działań w dowolnej sprawie, zadowolając się spokojnym życiem w otoczeniu haremu i kierujących nim [szachem] ministrów - napisał Bogdan Składanek.

Miranowicz na pewno nie czuł się w Isfahanie obco. W mieście, które było wówczas stolicą Persji, mieszkało wielu Ormian. Sprowadził ich szach Abbas Wielki, mieli rozwinąć handel z Europą. Ormiańska dzielnica powstała na południe od rzeki

Zajanderud. Została nazwana Nową Dżulfą - od Dżulfy nad Araksem, skąd pochodzili koloniści (przesiedlenie kosztowało życie dziesięciu tysięcy Ormian, takie były czasy). Gdy przybył Miranowicz, stało już kilka kościołów i ormiańska drukarnia. Ale napisy na grobie pośła wyryto po polsku i cyrylicą.

Katedrę Wank budowano pół wieku, łączy style ormiański i perski. Najciekawsze są freski. Przedstawiają sceny ze Starego i Nowego Testamentu, a także męki świętego Grzegorza Oświeciciela. Warto się przed nimi zatrzymać. Tortury, jakim oprawcy poddają swoją ofiarę, budzą przerażenie: mamy łamanie kołem, odcinanie kawałków ciała, wlewanie do gardła roztopionego żelaza. Ale na twarzy świętego nie widać bólu (nie widać także euforii ani uduchowienia, które pokazywałoby, że Grzegorz odnosi nad siepaczami triumf, w ogóle nie widać żadnych emocji!), nic nie da się także wyczytać z twarzy oprawców - ani sadystycznej przyjemności, ani współczucia, ani nawet znużenia. To twarze wyrobników, czyniących powinność rzetelnie, bez ekscytacji i bez ociągania się. Cierpienie wydaje się na tych freskach czymś naturalnym, tortury - rutyną. Ot, znowu kogoś łamią kołem i przypalają, nic nowego, odwieczny los. Banal.

Plac między katedrą, muzeum a pałacem biskupim (w Iranie są dwie ormiańskie diecezje, isfahańska i teherańska) zamiata stary Sarkis. Skończył siedemdziesiątkę, ale z werwą macha miotłą i energicznie podnosi z ziemi nieczystości.

- Żeby się kości nie zastały - śmieje się. - Widzisz, jeszcze się do czegoś nadaję!

Spytałem go, czy są w Nowej Dżulfie biedni Ormianie. Zamyślił się. Tak, jest trochę biednych, sam nie jest najbogatszy, tak się ułożyło, szkoda gadać. Ale nie ma nędzarzy. Ormianin nie może być nędzarzem ani żebrakiem. Jak nie ma rodziny, pomoże mu gmina, sąsiedzi, kościół. Tak jest po chrześcijańsku.

Ormiańskie towarzystwo sportowe „Ararat” powstało w Teheranie w 1944 roku. W jedenastu sekcjach trenuje regularnie trzy i pół tysiąca osób, w tym kilkaset wyczynowo. Klub piłkarski „Ararat” spadł ostatnio do drugiej ligi, ale w przeszłości grał nawet w ekstraklasie.

Sportowcy z „Araratu” trenują w kompleksie Marzawan, wybudowanym ze środków gminy ormiańskiej. W skład kompleksu wchodzi stadion na piętnaście tysięcy miejsc, hala na kilka tysięcy, kryty basen, korty tenisowe, dom weselny, pomieszczenia klubowe, cerkiew i duży parking.

Oprócz „Araratu” w Teheranie jest dziewięć innych ormiańskich towarzystw sportowych.

Ormianie mają także kilka zespołów muzycznych, profesjonalny zespół teatralny, skauting i rozmaite zrzeszenia. Teherański dom wydawniczy Alik wydaje książki, kalendarze, druki okolicznościowe i gazetę codzienną, która ukazuje się w nakładzie trzech tysięcy egzemplarzy. Działa partia Dasznakcutiun.

Klub „Armenia”, położony w pobliżu włoskiej ambasady, jest ulubionym miejscem spotkań zachodniego korpusu dyplomatycznego.

W Teheranie mieszka dwieście, trzysta tysięcy Ormian, w całym Iranie trzysta, czterysta tysięcy.

Poprosiłem Dawida, żeby zostawił mnie na bulwarze. Było już po zmroku, spotkanie w radiu Wan przedłużyło się, potem Dawid pokazywał mi jeszcze ormiańskie zaułki i zaciągnął na ormiańską kawę (którą w Turcji nazywają turecką, a w Gruzji -kawą po wschodniemu). Do hotelu było stąd parę kroków.

Żar popołudnia ustąpił, powietrze ostygło. Bejrut wylęgał z domów i spływał w stronę morza, bulwar zapełniał się krzykami dzieci, zapachem perfum, ognikami papierosów.

Tamta trójka stała na podwyższeniu, tuż obok latarni. Myślałem, że to uliczny teatrzyk, ale po chwili dobiegła stamtąd muzyka - przez zgiełk bulwaru przebił się bęben, potem dołączył przenikliwy duduk i jeszcze drugi duduk, który prowadził melodię. Rozpoznałem jazzowy standard. Przepchnąłem się w tamtą stronę.

Akurat skończyli. To byli Ormianie. Okazało się, że dwóch jest miejscowych, z Libanu, a jeden z Armenii, ale studiuje w Bejrucie. Grali trochę dla pieniędzy, trochę dla zgrzywy, widać, że dobrze się bawili.

Laski, wyznał bębniarz, zawsze lecą na muzę.

Na duduk lecą, na duduk, poprawił go drugi. Duduk to potęga! Wygląda jak zwyczajny flet, ale zastępuje całą orkiestrę. Możesz podrabiać organy, wiolonczelę, saksofon, możesz zagrać wszystko. Ale my gramy rabis.

Rabis?

No tak. Prawdziwy rabis! W Armenii, jak ktoś mówi rabis, to ma na myśli folklor miejski, piosenkę biesiadną, Arama Asatriana i całe to badziewie. A prawdziwy rabis to mieszanka, synteza. Bierzesz Yesterday albo What a Wonderful World, albo nawet Guantanamo i aranżujesz tak, jakby to była przyspiewka z okolic, gdzie żyli twoi dziadkowie. Łączysz Zachód i Wschód. Czujesz to?

Musisz posłuchać Dżiwana Gaspariana, na duduku wyczynia cuda. Grał z Brianem Mayem, Lionelem Richiem, Peterem Gabrielem, Andreasem Vollenweiderem. Pisał muzę dla Hollywood.

Wyobraź sobie - bierzesz fujarkę, taką samą, w jaką tysiąc lat temu dmuchał bliskowschodni chłop, i opowiesz swoją historię, a ona porusza Amerykanów.

To jest właśnie rabis.

Chaczkary

Brat Parkew nie był wylewny:

- Możesz zostać, ale nie odpowiem na twoje pytania.

Klasztor, a raczej to, co z niego zostało - zmurszały kościółek, piętrowy, na wpół zawalony dom mieszkalny, resztkę zagrody, wszystko z kamienia, z brunatnoczarnego tufu - znajdował się blisko miasteczka G., na Płaskowyżu Szirackim, sto dwadzieścia kilometrów od Erywania. W tym kraju - kawał drogi.

- Zostań rok, to sam wszystko zrozumiesz.

Brat Parkew wyglądał na czterdzieści lat, ale mógł mieć mniej, zwichrzona broda mogła go postarzać. Dwaj pozostali byli pewnie przed trzydziestką. W obejściu mieszkała jeszcze koza, która dawała mleko, i stadko kur, trzymany dla jajek.

Nie miałem roku, ale chciałem pobyc kilka dni. Dostałem izbę na piętrze, dwa na trzy metry, z materacem i miednicą. Zobaczyłem, że sufit przecieka, a mury toczy grzyb. Nowo wstawione okna już były wypaczone. Mój Boże, jak oni tu zimują? Prądu nie było, bracia mieli świece, ale mało i trzeba było oszczędzać.

Wstawali przed świtem, słyszałem, jak zbierają się i wychodzą. Pierwszego dnia zbiegłem za nimi na dół, już znikali

w głębi ciemnego podwórka, nie sposób było nadążyć. Znalazłem ich w kościele, odprawiali jutrznię, ściszone głosy wsiąkały w mrok, echo nieśmiało powtarzało modlitwę. Wyglądali jak w transie, jakby jeszcze spali i powtarzali przez sen automatyczne ruchy i zaklęcia.

Ożywiali się przy śniadaniu. Jedli bez słów, nie tracąc czasu, ledwie usiedli, zaraz podrywali się od stołu, w biegu uzgadniali, co kto dziś robi, i znikali do swoich zajęć.

Brat Parkew opiekował się kościołem. Chram miał może osiemset, może tysiąc dwieście lat. Był klasycznie ormiański, z kamienia, kopuła na kwadracie, w kwadrat wpisany krzyż. „Niepohańbiony przez Bizancjum” - pisał o takim stylu Man-delsztam.

Na ścianach zachowały się kamienne płaskorzeźby, symbole z ormiańskich legend i żywotów świętych. Innych ozdób nie było. W ormiańskich kościołach nigdy nie było drogich przedmiotów ani obrazów, żeby nie kusić losu.

Poprzedniej wiosny był tu biskup i odprawił nabożeństwo, pierwsze od siedemdziesięciu lat. Przed drugą wojną w kościele był skład, potem klasztor stał już pusty. Bracia wprowadzili się zaraz po upadku komunizmu, pierwsze lata zeszły im na doprowadzeniu go do jako takiego porządku. Teraz myśleli o większych naprawach.

Brat Parkew przypominał kościół, który przywrócili do życia: był otwarty, ale nieprzenikniony. Ze śniadą cerą, bujną brodą i kanciastymi ruchami tak samo dobrze, jak przygarbiony ze starości kościół, wtapiał się w powulkaniczny, pagórkowaty krajobraz tej części Sziraku.

Pasją brata Parkewa były chaczmary, czyli kamienie krzyżowe. Za kościołem stało ich kilka, oczyścił je z mchu i przywrócił do pionu. Chaczkar to esencja ormiańskości, synteza ormiańskiej sztuki i wiary. Są wszędzie tam, gdzie dotarli Ormianie, nie sposób pomylić ich z niczym innym. Z pozoru nic prostszego - kamienna płyta z wykutym krzyżem, tylko linia rzeźby zdradza biegłość artysty. Ale każdy chaczkar jest inny, nie ma dwóch takich samych, różnią się ornamentem, rysunkiem i charakterem. Jedne są dziękczynne, wotywnie, inne wyrzeźbiono w jakiejś intencji lub na pamiątkę ważnego wydarzenia, są też chaczmary nagrobne. Czasem spotykamy chaczmary wykute na skałach.

Od roku brat Parkew rzeźbił własny chaczkar, ale nie chciał powiedzieć dlaczego. Zawsze jest tysiąc powodów, a każdy z nich sam w sobie jest wystarczająco ważny.

Brat Suren zajmował się gospodarstwem: dbał o inwentarz, uprawiał ogród warzywny i niewielkie pole. Była to ciężka praca - w Armenii, jak mawiał pisarz Garegin Sewunc, chleb trzeba wydierać skałom. Dwumetrowy, stale przygarbiony Suren pracował z jakąś godnością, jakby odprawiał nabożeństwo.

Brat Wahram znał się na murarce i ciesielce, więc troszczył się o dom. Teraz próbował załatać dach i

osuszyć ściany. W planach miał doprowadzenie wody z odległego o kilometr źródła.

Nie widziałem, aby w ciągu dnia usiedli, co parę godzin przerywali pracę i szli się modlić, potem wracali do zajęć. Żyli z powietrza, z kilku jajek, szklanki mleka, kawałka chleba, który brat Suren piekł raz na tydzień; czasem ktoś z miasteczka przynosił im coś jeszcze. Pieniędzy nie mieli chyba żadnych.

Któregoś wieczora powiedziałem, że nazajutrz wyjeżdżam. Brat Parkew po raz pierwszy się uśmiechnął: - Wpadaj, kiedy będziesz chciał!

Już wiedziałem, dlaczego nie chciał rozmawiać: nie miał nic do powiedzenia. Tak sądził. Był zdziwiony, nawet zażenowany, że zainteresowałem się jego klasztorem. W dawnych wiekach w ormiańskich klasztorach kwitła teologia i filozofia, rozwijała się sztuka, pisano poezję. To było dopiero ciekawe! A oni - po prostu żyli. I modlili się. O co? O to samo, o co wszyscy mnisi we wszystkich czasach - o świat, o pokój na świecie.

I o czym tu mówić?

Do Eczmiadzynu dobrze pojechać w niedzielę, a jeszcze lepiej w święto: jest wtedy tłoczno, gwarno i wesoło. Pielgrzymi prowadzą barany z zawiązanymi na szyjach czerwonymi wstążkami, szeroko roznosi się zapach pieczonego i gotowanego mięsa. Każdy zaprasza na potrawę ofiarną, matagh. Obyczaj każe, aby się nią dzielić z biednymi, potrzebującymi, głodnymi.

Uczta pod eczmiadzyńską katedrą przypomina muzułmańskie święto Id al-Adha (Kurban), ale tradycja jest starsza niż islam i chrześcijaństwo, sięga podobno patriarchy Abrahama, który nie wahał się poświęcić Bogu swojego syna. A może pochodzi z przeszłości jeszcze bardziej zamierzchłej.

Ormiańska tradycja złąła w jedno to, co narodowe, i to, co religijne.

W Eczmiadzynie - i w innych świętych miejscach Armenii - sprzedaje się oprócz baranów także białe, ofiarne gołębie. Ptaki można uśmiercić, ale zwykle wypuszcza się je na wolność. Do nieba.

Eczmiadzyn to ormiański Watykan. Tu mieszka katolikos -głowa Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego.

Kościół jest apostolski, bo chrześcijaństwo w Armenii zaczęło się od apostołów, Bartłomieja i Tadeusza. Ormiański -bo żeby do niego należeć, trzeba urodzić się Ormianinem. Nie można się przechrzcić ani nawrócić. Dlatego Ormianin, który przyjmuje inną religię, zdradza nie tylko swoją wiarę, lecz także swój naród.

(Ormianie katolicy mają oddzielny Kościół Katolicki Obrządku Ormiańskiego, który podlega papieżowi. Ormianie ewangelicy skupieni są w szeregu Kościołów, nazywanych zbiorowo Ormiańskim Kościołem Ewangelickim. Ormiańskich katolików i ewangelików jest ponad pół miliona, dziesięć razy mniej niż wyznawców głównego nurtu).

Jego Świątobliwość Garegin 11, który sprawuje urząd od 1999 roku, jest sto trzydziestym drugim katolikosem w historii. Pierwszym katolikosem był Grzegorz Oświeciciel, dlatego Kościół bywa również nazywany gregoriańskim.

Pewnego dnia Grzegorz Oświeciciel miał widzenie: otworzyło się niebo i ukazał się Pan, którego otaczały zastępy aniołów. Następnie Pan spłynął na ziemię, a ta zajaśniała przedziwnym blaskiem. Pan uderzył w ziemię złotym młotem i wtedy pośrodku miasta Wagharszapat wyrósł złoty cokół, a z niego wystrzelił w niebo słupek ognia, zwieńczony promiennym krzyżem. Niebawem wokół słupa stanęły trzy inne, każdy czerwony jak krew, wznosiły się na grobach świętych dziewic: Rypsimy, Gajany i trzydziestu pięciu ich towarzyszek, zgładzonych przez króla Tirydatesa, zanim otrzymał łaskę wiary. Następnie słupy połączyły się ze sobą, stanęła na nich świątynia, a na kopule świątyni złoty tron i ognisty krzyż.

Na wzór świątyni z tego widzenia i we wskazanym przez Zbawiciela miejscu Grzegorz wybudował katedrę. Nazwał ją Eczmiadzyn, to znaczy „Jednorodzony zstąpił”. Tę samą nazwę przyjął Wagharszapat.

Było to na samym początku czwartego wieku. Tak mówi tradycja.

Historia zatoczyła koło.

W połowie piątego wieku, po bitwie pod Awarajr, katolikosy przenieśli się z Eczmiadzynu do Dwinu, tam rezydowali następne pięćset lat (dzieje Ormian, podobnie jak Żydów, Persów czy Chińczyków, mierzy się stuleciami). Potem katolikatę istniały w kilku innych miejscach, a w połowie jedenastego wieku stolicą Kościoła został na dłużej Sis w Cylicji (dzisiejsze miasto Kozan). Cztery stulecia później siedziba urzędu wróciła do Eczmiadzynu.

Do przenosin zmuszały zawirowania historii. Ziemię, na których mieszkali Ormianie, przechodziły z rąk do rąk, były dzielone i rozbierane. Katolikosy wybierali miejsca, które dawały większą swobodę działania, a przynajmniej pole manewru. Zawsze, gdy przestawało istnieć państwo armeńskie, katolikosy w naturalny sposób stawali na czele narodu i reprezentowali sprawę ormiańską na świecie.

Byli wśród nich ludzie wybitni: kompozytorzy, poeci, wielcy humaniści. Komitas i pisał w siódmym wieku duchowne pieśni, szarakany, śpiewane do dzisiaj. (Imię po nim przybrał geniusz ormiańskiej muzyki, Soghomon Soghomonian - znany w świecie właśnie jako Komitas). Nerses IV Sznorhali, żyjący w jedenastym wieku, zostawił tomy rozpraw naukowych oraz poemat Lament po Edessie, który należy do kanonu ormiańskiej literatury.

Nerses Sznorhali został świętym. Kościół Ormiański wynosił zwykle na ołtarze męczenników albo poetów.

Nie brakowało także intrygantów, ludzi ogarniętych pychą lub chorobliwie ambitnych. Trafiali się

uzurpatorzy. Kościół Rzymski miał antypapieży, w Kościele Ormiańskim byli anty-katolikosy. W pewnych okresach istniało obok siebie pięć niezależnych katolikatów. Niektóre tworzone z potrzeby chwili, z troski o ciągłość Kościoła, za innymi kryły się ludzkie namiętności.

Patriarchowie Cylicji długo nie chcieli uznać eczmiadzyń-skiego zwierzchnictwa. Nawet po powrocie katolikatów do Eczmiadzynu używali tytułu katolikosów. W dwudziestym wieku, już po rzezi Ormian, porzucili Sis i osiedli w Anteliasie pod Bejrutem. Szybko zyskali wielki wpływ w diasporze. Armenia była teraz rządzona przez komunistów i decyzja o stanowiskach w Eczmiadzynie zależała od Moskwy. Dla Ormian z Zachodu było to niedopuszczalne.

Nad Kościołem zawisło widmo schizmy.

Po upadku Związku Sowieckiego Eczmiadzyn i Antelias podały sobie ręce. Armenia była już niepodległa. Trudno, by głowa Kościoła urzędowała na emigracji. W 1995 roku na katolikos Eczmiadzynu został wybrany dotychczasowy katolikos Cylicji, Garegin 1. Ale patriarchowie Anteliasu nie zrezygnowali ze swojego tytułu.

- Jesteśmy samodzielni, nie ma pionowego podporządkowania Eczmiadzynowi. Uznajemy, że Eczmiadzyn jest ważniejszy, ale jego pierwszeństwo ma charakter symboliczny. To tak, jak z pierwszeństwem starszego brata przed młodszym, choć obaj są równi i znajdują się na jednym poziomie - tłumaczył mi Jean Salmanian, doradca katolikosy Cylicji, Arama 1.

Oprócz dwóch katolikatów w Kościele są dwa patriarchaty: Jerozolimy i Konstantynopola. Oba podlegają Eczmiadzynowi.

Z Erywania do Eczmiadzynu jest dwadzieścia kilometrów. Po drodze widać z lewej strony Ararat, a z prawej wygasły wulkan Aragac. Dawniej nazywali go Allahgóz albo Ałagez, z tureckiego - Oko Boga.

Na początku lat dwudziestych, zaraz po zwycięstwie bolszewików, podróżował tędy Egon Erwin Kisch, ojciec współczesnego reportażu. Zachwyił się ruinami Zwartnocu. Jeszcze nie wiedział, że była to bazylika, najwspanialszy ormiański chrám, jaki kiedykolwiek powstał i zbyt śmiały, by mógł przetrwać.

Bazylikę wyśnił katolikos Nerses tli, nazywany Budowniczym. Świątynię zbudowano na planie krzyża wpisanego w okrąg. Składała się z trzech cylindrów. Największy znajdował się na dole - wieńczył go spadzisty dach, z którego wyrastał drugi, mniejszy cylinder; trzeci i najmniejszy był na górze, nad nim była jeszcze kopuła. Zwartnoc stał ledwie trzysta lat, runął od trzęsienia ziemi w dziesiątym wieku. Może gdyby nie był tak potężny, gdyby nie kłuł w oczy na otwartej równinie naprzeciwko Araratu, gdyby przycupnął gdzieś w wąwozie, jak klasztor Norawank, lub ukrył się na górskim odludziu, jak Tatew - może wtedy nie rozpadłby się na tysięczne kawałki, może dałoby się go odbudować?

Ruiny odkopano już w dwudziestym wieku. Niedługo przed wizytą Kisch'a ekipa historyka Torosa Toromaniana odśloniła kapitele kolumn, które przypominały plecione kosze, fryzy z owocami winogron i granatów, kamienne zwierzęta i ptaki, kamienne postaci ludzi, chaczary. W tamtych zamierzchnych

wiekach Kościół był dla Ormian jedyną ojczyzną: już utracili pierwsze państwo, już zaznali niewoli i rozbiorów. Chram, który miał być samą doskonałością, który miał trwać wiecznie, a skończył jak wieża Babel, zawierał w sobie cały ich świat.

Kisch jechał do Eczmiadzynu, aby spotkać się z katolikiem -którym wówczas był Geworg v (jego pontyfikat przypadł na lata 1911-1930).

Samochód zatrzymał się przed pałacem patriarchy.

Ten wielki dom był niegdyś akademią duchowną, Dżemara-nem [Akademią] Ormian, i nad czerwoną kopułą z pewnością widniał krzyż, w każdym razie nie było tutaj świeckiej czerwonej gwiazdy o pięciu ramionach.

Gościa zaprowadzono do sali audiencyjnej.

Sufit to sklepienie ze stalaktytów, na ścianach obrazy, gobeliny i rzeźby w drzewie, wszystkie o tematyce zapożyczonej z najbliższego krajobrazu, stanowiącego jednocześnie symbol religijny: dwie zębate katedry lodowe Araratu, opromienione nimbem sławy i ukośnie podkreślone strugami deszczu, na szczycie góry wśród skośnych linii przycumowany statek, arka Noego.

Kisch był zadeklarowanym komunistą i ateistą - ale przede wszystkim dziennikarzem z krwi i kości, ciekawym świata i ludzi. Z rozmowy z Geworgiem zanotował, że komunistyczne władze „na ogół” zostawiły Kościół w spokoju: odebrano mu majątki („z wyjątkiem kilku winnic, około czterdziestu dziesięcin gruntów rolnych oraz budynków kościelnych i mieszkań księży”), ale „prawie” nie zamykano świątyń. Katolikos, „osiemdziesięcioletni starzec olbrzymiego wzrostu”, miał nadzieję, że władze zgodzą się na otwarcie wyższej szkoły duchownej - wszystkie kościelne szkoły średnie zostały zlikwidowane.

Dziesięć lat później Eczmiadzyn odwiedził Mieczysław Lepecki. „Papieżem” Ormian był już następca Geworga, Choren 1.

Po katedrze i skarbcu oprowadzał nas biskup Matheos. -Nasza katedra - mówił - jest już dzisiaj właściwie zabytkiem, muzeum. Nawet my, ludzie ubrani jak na dzisiejsze czasy dziwnie, jesteśmy częścią składową muzeum. Konserwują nas w tej atmosferze, jak żaby konserwuje się w spirytusie.

Biskup mówi te słowa bez goryczy, bez rozpacz. Padają z jego ust cicho, spokojnie... Patrząc na niego i podziwiam tę beznamiętną, animalną rezygnację.

Lepecki, ustosunkowany do komunizmu jak najgorzej, zauważył, że „reżym w Erywanii jest łżejszy i wyrozumialszy, aniżeli gdzie indziej”. Względną swobodę wyznania, przymykając oka na drobny handel, tłumaczył ormiańską lojalnością. Ormianie byli Moskwie wdzięczni, bo dała im namiastkę ojczyzny. Tu Ormianin nie jest psem, lecz panem - usłyszał Lepecki w Erywanii. Nikt tu nas nie ma prawa mordować -powiedział mu ktoś inny.

Zaskakująca łaskawość dla Ormian wynikała z geopolityki. Dzięki Armenii Stalin trzymał w ryzach

Azerbejdżan i Gruzję, Armenia była też użyteczna w grze o Bliski Wschód. Ale łaska dyktatora jeździła na pstrym koniu.

Choren zmarł oficjalnie na atak serca, jednak ze wspomnień rodziny katolikos, które ukazały się w okresie pierestrojki, wynika, że zamordowało go NKWD (wkrótce rozstrzelano

w Tbilisi dwóch jego braci, co potwierdzałyby tę tezę). Przed śmiercią powiedział krewnemu: „Mam już spakowane walizki”. Kościół uznał Chorena za męczennika.

Przez siedem lat patriarszy tron stał pusty. Wtedy katolikos Cylicji ogłosił, że to on będzie reprezentować wszystkich Ormian na całym świecie (poza ZSRR).

Stalin zgodził się na konklawe dopiero po drugiej wojnie. Właśnie zażądał od Turcji ustępstw terytorialnych i potrzebował Ormian do szantażowania Ankary. Później zarzucił ten pomysł i zajął się Europą Środkową. Głową Kościoła został najbliższy współpracownik Chorena, Geworg vi. Następne wybory odbyły się już normalnie.

Kolejny katolikos, Wazgen i, dożył wolnej Armenii. W świeckim życiu nazywał się Lewon Pałczian. Urodził się w Rumunii, skończył filozofię na bukareszteńskim uniwersytecie. Jego pontyfikat był czasem przełomu, zbliżenia z diasporą (odwiedził wszystkie większe skupiska Ormian na całym świecie), dialogu z innymi wyznaniami.

- To był mocny człowiek - wspominał Wazgena erywański publicysta. - Szanowali go nawet moskiewscy komuniści, a u nas miał pozycję silniejszą niż sekretarz partii. Wchodził do jednego czy drugiego ministra i mówił: „Nie podoba mi się to, co robisz. To i to powinieneś zmienić”. I oni go słuchali. Dzięki niemu przetrwaliśmy komunizm.

Pod koniec życia skurczył się, zapadł w sobie. Ciężko znosił zimy, które w pierwszych latach niepodległości były na złość surowe. Zamarzał cały kraj, nie było prądu, gazu i wody, na opał rozbierano płoty i rąbano drzewa po parkach. Gazety odliczały, ile dni zostało do wiosny. W przestronnych pokojach katolikos nadludzkim wysiłkiem utrzymymano temperaturę kilkunastu stopni.

Lubił przyjmować gości. Mówił trochę po rosyjsku i zapewne wszystko rozumiał. Języka uczyła go Polka. Ale wywiadów udzielał tylko po ormiańsku.

Biskup Wiken Ajkazjan, który kierował fundacją charytatywną, miał eleganckie biuro w centrum Erywania. Urodził się w Turcji, studiował w Jerozolimie, ale od dawna mieszkał na Zachodzie. Do Armenii przyjeżdżał na krótko. Znał biegle parę języków i pachniał czymś drogim. Rozmawialiśmy o wspólnej

deklaracji Jana Pawła 11 i katolika Garegina 1, następcy Wazgena. Dokument prostował nieporozumienia między Eczmiadzynem a Watykanem. Stało się to możliwe po upadku komunizmu.

Katolikat odzyskał swobodę, ale zaczął tracić wiernych.

- Przed 1990 rokiem kościoły były pełniejsze niż teraz -mówił biskup. - Ludzie postrzegali Eczmiadzyn jak jakąś wielką opozycję. To nie do końca było prawdą, ale przyciągało. Wtedy nie było takiej nędzy: wiadomo, że jak pójdziesz na mszę, to musisz kupić świeczkę, wrzucić coś do puszki i jeszcze dać grosz zebrzącej babci, bo inni patrzą na ciebie. A skąd niby masz na to wziąć, jeśli nie pracujesz? No więc nie idziesz, proste.

Na Bliskim Wschodzie do kościoła chodzą wszyscy wierni. Ormianie i w ogóle chrześcijanie są tam w mniejszości, parafia jest dla nich jak rodzina. Z kolei w Stanach chodzi połowa. To też bardzo dużo, ale taka jest specyfika Stanów. W Europie kościoły są od dawna puste: katolickie, protestanckie i nasze też. Armenia, widzi pan, europeizuje się.

Kiedy rodzi się dziecko, to zaraz się je chrzci, żeby zostało Ormianinem. Nawet jeśli rodzice niespecjalnie praktykują. Podobnie z pogrzebem: musi być z księdzem. Tak jest na całym świecie: i w Armenii, i w diasporze. Można się z tego śmiać, ale ja się nie śmieję. To tradycja. Bez niej ludzie nie wiedzieliby, kim są.

Ajkazjanowi było żal klasztorów. Za komunistów, wyliczał, był Eczmiadzyn, działało trzydzieści kościołów i czterdziestu księży, ale klasztory upadły, wymarły. Tylko gdzieniegdzie

324

325

przetrwali pojedynczy mnisi, bardziej lub mniej zdziwaczali. Bo choć życie monastyczne polega na odosobnieniu, to jeśli klasztor za bardzo oddala się od ludzi, psuje się. Teraz, mówił biskup, z powołaniami nie ma problemu, ale każdy chce zostać w Erywanii albo wyjechać za granicę. Do klasztoru idą dziś herosi.

Nie ma komu stawiać na odludziu chaczkarów. Nie ma komu modlić się za świat.

Sjunik

Granicę przekraczałem w środku nocy. Po stronie irańskiej brama była zamknięta i pomyślałem, że przyjdzie mi czekać do rana, ale ktoś poradził, żebym zastukał.

Przed bramą koczowało dobre trzydzieści osób, niektórzy siedzieli w samochodach, inni stali albo kucali na świeżym powietrzu i palili papierosy. Może umówili się z kimś, kto miał przyjechać z Armenii, może czekali na dzienną zmianę celników, a może nocą nie przepuszczano aut. W tej części świata tak wygląda każda granica: obok stanowisk odprawy, służb mundurowych, drobnego biznesu i podróżnych - tłum ludzi, którzy kręcą się bez ładu i wyraźnego celu. Wszyscy żyją z granicy. Ktoś wynajmuje się jako tragarz, ktoś inny pomaga wypełnić formularze, jeszcze ktoś pomaga w kontrabandzie - ale zajęcia większości nie sposób się domyślić. Podobnie jak przeznaczenia dziesiątek budek i kantorków, w których siedzą ni to urzędnicy, ni akwizytorzy: piją herbatę, ocierają pot - jesteśmy na południu - i przekładają papiery. Czasami ktoś wchodzi z plikiem dokumentów, wita się - tutaj każda rozmowa, nawet celnika z odprawianym pasażerem czy policjanta z zatrzymanym kierowcą zaczyna się od podania ręki - coś tłumaczy, wyjaśnia, i wychodzi po chwili z innym plikiem. Mężczyźni z kantorków - bo to męski świat, tu

sprawy załatwiają ze sobą mężczyźni, kobiety czekają w autach albo handlują rozłożonym na ziemi towarem - należą do przygranicznej klasy średniej, daleko im do mundurowych, ale stoją wyżej od przekupniów, tragarzy, różnych ułatwia-czy i pomagierów.

Na granicach w tej części świata czas toczy się w dwóch prędkościach. Najpierw porywa nas, gorączkowy, rozedrgany rytm wschodniego bazaru. Lądujemy w tłumie - mimo że na szosie dojazdowej mogło być całkiem pusto. Ktoś się przepycha, ktoś pokrzykuje, ktoś chce nam sprzedać papierosy, ktoś pakuje się autem pod prąd i trąbi, żeby ustąpić mu drogi, ktoś potrąca nas skuterem, wyładowanym kilkumetrową piramidą paczek, kartonów i worków (w Europie nie mamy pojęcia, ile rzeczy daje się przewieźć skuterem). Obok tego rozgardiaszu bije powolny i miarowy puls wschodniej biurokracji. Urzędnicy celni, policjanci, funkcjonariusze rozmaitych służb - a to migracyjnej, a to antynarkotykowej, a to sanitarnej - nigdy się nie spieszą. Dane podróżnych wpisują ręcznie do ogromnych ksiąg - nawet jak ktoś wklepie je zaraz potem do komputera. Każdym gestem pokazują, że reprezentują władzę. Wobec

takiego majestatu przygraniczny tłum na chwilę pokorniej, zbija się w kupę wokół okienek odpraw. Odtąd wszystko jest w rękach przeznaczenia.

Na tej granicy było podejrzanie spokojnie, ludzie z samochodów nie zamierzali szturmować przejścia, sprowadziły ich widać inne powody, równie nieprzeniknione. Zastukałem parę razy w bramę, echo z Gór Zangezurskich zabrzmiało jak odległa kanonada. Niebawem brama uchyliła się, wyjrzał zza niej żołnierz i popatrzył na mnie pytająco. Powiedziałem, że chcę przejść. Kiwnął głową i wpuścił mnie do środka.

W niewielkim pawilonie, wąskim jak wagon kolejowy, drzemało kilku pograniczników. Mój żołnierz obudził pierwszego z brzegu, ten długo szukał pieczętki, w końcu wbił ją w paszport i pokazał, że mogę iść.

Przejście zajmowało wiele hektarów, obok pawilonu z pogranicznikami stało kilka innych, a w oddali majaczył terminal dla ciężarówek. Ruszyłem w kierunku rzeki, po chwili zobaczyłem most i budkę strażniczą. Pokazałem paszport i wyszedłem z Iranu.

Po drugiej stronie Araksu, ormiańskiej, wisała rosyjska flaga i stał rosyjski żołnierz. Skąd się tam wziął? Otóż po upadku Związku Radzieckiego w Moskwie wymyślono termin „bliska zagranica”. Tak nazwano byłe republiki, teraz niepodległe państwa. „Bliski” nie znaczyło „przyjazny” czy „dobrosąsiedzki”, to słowo dookreślało tylko drugi człon nazwy, spoufalalo go, odzierało z należytą powagi. „Bliska zagranica” to zagranica trochę na niby, nie do końca, tak jakby. Na pierwszy rzut oka -zagranica jak każda inna, z ambasadami, flagami i hymnami, ale jak się dobrze przyjrzeć - przecież nie taka, jak Ameryka, Niemcy, czy nawet Polska.

Moskwa chciała, aby jej wojska stały nie tylko na granicach Rosji, ale także na zewnętrznych granicach byłego Związku, jednym słowem, żeby oddzielały bliską zagranicę od zagranicy dalekiej, rzeczywistej. Nie macie doświadczenia - tłumaczyli Rosjanie Tadżykom, Azerbejdżanom, Ormianom, Białorusinom, Gruzinom - my ochronimy wasze granice za was, zrobimy to lepiej i skuteczniej. Na Kaukazie tylko Azerbejdżanie nie skorzystali z oferty, nie chcieli już starszego brata. Gruzini nie mieli wyjścia: rozsypywało się im państwo. Potem przez kilka lat kombinowali, jak się Rosjan pozbyć. Ormianie zgodzili się z ochotą, bali się Turków. Ale Rosjanie obsadzili też granicę Armenii z Iranem.

Żołnierz sprawdził mój paszport i pokazał piętrowy budynek. Tam powinni być już Ormianie. Ale nikogo nie było. Obszedłem stanowiska odpraw, zajrzałem do jakiegoś biura. Nie wiedziałem, co dalej. Nie mogłem po prostu sobie pójść - bez pieczętki wjazdowej miałbym kłopoty przy wyjeździe. Zresztą, dalej pewnie była brama, której ktoś pilnował.

W czasach ZSRR żadnego przejścia tutaj nie było, do Iranu jeździło się przez Dżulfę w Nachiczewanie. Potem wybuchła wojna o Karabach i Armenia znalazła się w kleszczach: od wschodu zablokował ją Azerbejdżan, a od zachodu - Turcja (i należący do Azerbejdżanu Nachiczewan). W Gruzji, która graniczy z Armenią od północy, trwała wojna domowa i szalał bandytyzm, nie sposób było tamtędy niczego przewozić. Pozostawał Iran. Granicę otwarto - i popłynął potok towarów. Armenia była uratowana.

Może dziwić, dlaczego muzułmański, ba, fundamentalni-styczny Iran pomagał chrześcijańskiej Armenii.

Wyjaśnienie jest proste. W interesach Iranu leżało osłabienie Turcji, odwiecznego rywala, a ponadto członka NATO i sojusznika USA. W tym celu Teheran sabotował blokadę i współdziałał z Moskwą. Z czasem powstanie nawet sojusz rosyjsko-armeński--irański, konkurencyjny wobec osi łączącej Azerbejdżan i Gruzję z Zachodem. Rola religii w polityce zagranicznej bywa w tej części świata przeceniana.

Armenia mogła przyjąć znacznie więcej transportów, ale nie było dróg. Z granicy do miasta Kapan jechało się osiemdziesiąt kilometrów skalną półką, potem też było niewiele lepiej. W miarę przyzwoita szosa zaczynała się dopiero w Gorisie. Gdy uspokoiło się w Gruzji, a w Karabachu podpisano rozejm, irański szlak zamarł. Teraz jeżdżili tylko ci, którzy naprawdę musieli. Po dziesięciu latach zacznie się budowa nowej drogi i trasa znowu ożyje. Trafiłem na martwy sezon.

Znalazłem schody i wszedłem na piętro. Zobaczyłem uchylone drzwi i przytłumione światło. W pokoju siedzieli dwóch mundurowych, pogranicznik i celnik. Nareszcie! Po chwili miałem w paszporcie drugą pieczętkę (pierwsza była rosyjska).

Celnik zapytał, dokąd jadę.

- Do Erywania.

- Czym?

- Nie wiem, autobusem albo marszrutką.

- Autobus będzie jutro, jeździ co dwa dni.

- To najpierw marszrutką do Kapanu.

- Odjeżdża dziś w południe, ale potem trzeba nocować w Kapanie. Na jedno wyjdzie.

- No to taksówką do Kapanu.

- A skąd tu weźmiesz taksówkę?!

To mi nie przyszło do głowy. W tej części świata taksówki są wszędzie! To najprostszy smali business, wystarczy mieć auto i opłacić się policji, nie trzeba żadnych kursów, egzaminów, przeglądów ani kas fiskalnych, nie trzeba nawet koguta, każdy widzi, że samotny kierowca, który zaparkował na rogu, czeka na klientów. Zresztą, mało który siedzi i czeka, taksówkarze sami polują na pasażerów, wykrzykując „taxi, taxi” i ściągając przechodniów wzrokiem. W takich miejscach, jak lotniska, dworce, przejścia graniczne, nie dadzą spokojnie przejść, zastępują drogę, łapią za rękę, jeśli wyrwałeś się jednemu, zaraz dopadnie cię drugi. Tutaj nie mieli widocznie żadnych szans na zarobek.

- Pójdę pieszo do Meghri, tam coś znajdę.

- Osiem kilometrów, cały czas prosto - powiedział celnik. - Dojdiesz za półtorej godziny.

Przed konfliktem w Karabachu z Meghri do Erywanii można było dostać się pociągiem, który szedł przez Nachiczewan, samochody też jeździły tamtędy. Teraz miasteczko znalazło się na końcu świata: tory zarastały trawą, jedyna droga do stolicy wiodła przez niedostępny Zangezur. Mimo otwartej granicy Meghri pustoszało. Nikt nie chciał tam mieszkać.

Celnik dogonił mnie, zanim wyszedłem z budynku.

- Ja cię mogę zawieźć.

- Kończysz zmianę?

- Nie. Zamknę granicę.

- A jak ktoś będzie jechał?

Popatrzył na mnie jak na idiotę: sam widziałem, jaki tu ruch.

- Poczekaj sobie.

Chciał pięć dolarów do Meghri albo dwadzieścia do Kapanu. To była dobra cena. Wybrałem Kapan, jest większy i leży bliżej Erywanii. Po chwili siedziałem w wysłużonym żiguli.

W Meghri mieliśmy tankować, ale Aram - tak miał na imię celnik - minął stację benzynową i skręcił w stronę bazaru. Stali tam detaliści, sprzedawali benzynę z kanistrów. Zamiast liczby oktanów, na kartonikach mieli wypisane nieznane gdzie indziej nazwy: „Absolut”, „Ekstra”, „Hit”, „Super”. Jeden przygotował cały szyl: „Nietrefna, przysięgam na mamusię!”.

Benzyna pochodziła z przemytu, chłopcy przywozili ją z Iranu. Jako celnik Aram łapał ich, jako taksówkarz korzystał z ich usług. Łapał chyba niezbyt ochoczo, inaczej nie miałby na czym jeździć. Armenia sprowadzała paliwa przez Gruzję. Zanim dotarli do Meghri, robiły się nieludzko drogie, a czasem wcale nie docierały (oficjalnie z Iranu importowano tylko ropę naftową).

Za Meghri kończył się asfalt. Samochód, podskakując na kamieniach, gramolił się teraz pod górę, wyżyłowany silnik dudnił na jedynce, mdliło od wstrząsów i smrodu ulatniającej się benzyny i rozgrzanego skaju. Świt długo nie nadchodził. Ucieszyłem się, kiedy złapaliśmy gumę, można było wyjść na chwilę z auta. Niebo różowiało, ale kanion, którym jechaliśmy, leżał w głębokim cieniu. Pewnie nawet w ciągu dnia słońce zaglądało tu na krótko. O tej porze ledwie było widać brzeg kanionu i linię najbliższych szczytów.

Ta kraina nazywa się Sjunik albo Zangezur, jak miejscowe góry. To największa prowincja Armenii i chyba najładniejsza. Pełno tu megalitów i rysunków naskalnych, w wąwozach kryją się średniowieczne chramy. Z dala od szosy, na dziedzińcu klasztoru Tatew, stoi kolumna Gawazan, zakończona ażurowym chaczkaem. Kolumna mierzy osiem metrów i ma tysiąc sto lat. Jest budowlanym dziwem: przetrwała trzęsienia ziemi, a poruszona sama wraca do pionu. Nie wiadomo dlaczego.

Ta kolumna przypomina Ormian - można ich przyduścić, przyprzeć do ziemi, ale podnoszą się jak wańka-wstańka.

Sjunik zawsze najdłużej opierał się wrogom, którzy najeżdżali Armenię. Podbity wzniecał powstania. Do legendy przeszedł Dawid-bek, który w osiemnastym wieku wiele lat walczył z Persami i Turkami. W 1921 roku Garegin Nżdeh na krótko przegonił stąd bolszewików i ogłosił Republikę Górskiej Armenii.

W górach Sjuniku jest miedź i molibden, ale ludzie klepią biedę. Przemysł upadł, rolnictwo nigdy dobrze nie stało.

- Wyjeżdżają. - Aram pokazał opuszczone domy na skraju pierwszej od wielu kilometrów wsi. - Ktoś do Erywania, ktoś do Rosji, a kto może, na Zachód. - Zatrzymaliśmy się, żeby kupić papierosy, ale przydrożny stragan był zamknięty. Na szczęście wypatrzyła nas jakaś kobiecina i podbiegła z koszykiem towarów. Pewnie warowała przy drodze całą noc.

- Znam ją - powiedział Aram, gdy zrobiliśmy zakupy. - Zarabia na wesele dla najstarszego syna. Ma jeszcze dwóch młodszych, a w domu jest jedna para lepszych butów. Zostały po mężu, który rok temu zmarł na zawał. Chłopak nie chce się żenić, mówi, że nie potrzeba kolejnej gęby do wyżywienia. Matce nie mieści się w głowie, że może nie doczekać wnuków.

Zbliżały się wybory i już w Erywaniu przeczytałem w gazecie: Nowy parlament otrzyma w spadku kraj, w którym niecałe pięć procent ludności posiada siedemdziesiąt procent majątku narodowego, a ponad osiemdziesiąt procent mieszkańców żyje w skrajnej nędzy.

Aram też chciał emigrować:

- Widzisz, czym jeżdżę, przecież to wstyd. Siedzę w pieprzonej dziurze, w domu jestem raz na miesiąc, żona już zapomniała, jak wyglądam.

Mieszkał pod Erywaniem, ale na pracę w stolicy, na lotnisku czy w urzędzie celnym, gdzie można przez kilka miesięcy zarobić na mercedesa, nie było szans, za krótkie ręce. Celnicy nie mieli w Armenii pola do popisu: granice z Azerbejdżanem i Turcją były zamknięte, zostawała Gruzja albo Iran. Wybrał Gruzję, bo bliżej. Trafił na malutkie przejście za miastem Giumri.

- Rodziny z tego nie utrzymasz - pokręcił głową. Wystarał się o przeniesienie na południe, ale zanim załatwił

papiery, skończył się duży ruch. Zostali drobni szmuglerzy, tranzytowcy, którzy sprowadzali auta z Dubaju, i tacy jak ja, przygodni podróżni, rozglądający się za taksówką. Pech.

Miał brata na Ukrainie i myślał, żeby też się tam przenieść, ale musiał odłożyć jeszcze trochę grosza. Na miejscu chciał otworzyć bar:

- Taki, gdzie można wpaść z dziewczyną, wypić drinka, posłuchać muzyki. No wiesz, taki europejski.

W Kapanie okazało się, że autobus do Erywania dopiero co odszedł, ale za godzinę miała być marszrutka do Gorisu. Aram odszukał kierowcę i przykazał, żeby się mną opiekował.

- On jest naszym gościem - dodał. Potem spisał numery, bardziej dla fasonu niż z rzeczywistej potrzeby.

W tej części świata dobrze, jeśli nie przychodzi się znikąd. Kierowca widział, że nie jestem sam: mam ormiańskich znajomych i ktoś się może za mną ująć. Celnik spełnił obowiązki gospodarza. Nie zostawił mnie samego pośrodku obcego miasta, gdzie - czysto teoretycznie - mogło mnie spotkać coś złego. Nie byłem już anonimowy, wszyscy wiedzieli, że jadę z Iranu, chcę dostać się do Erywania i znam celnika Arama z przejścia w Agaraku. No i jestem gościem.

Gość - to słowo pojemne jak ocean. Gościem jest, rzecz jasna, ktoś, kto przyjechał z wizytą do cioci, ale także tramp, otwarty na ludzi i przygodę, reporter, którego ciekawi codzienne życie, i pracownik kontraktowy, który chociaż raz był w domu miejscowego kolegi. Nie wszyscy obcokrajowcy zaliczają się do tej grupy. Nie mieści się w niej członek ministerialnej delegacji, turysta z biura podróży, korespondent telewizyjny, przysłany na parę chwil do obsługi ważnego wydarzenia, ani cudzoziemiec z korporacji - choćby wzniesiono na ich cześć toast „Za drogich gości!” w czasie oficjalnego przyjęcia.

Pojęcie gospodarza jest jeszcze szersze - gospodarz to nie tylko ten, który przygarnął gościa pod swój dach, lecz także każdy, kto zetknął się z przybyszem i czuł się za niego odpowiedzialny: zadbał, by ten wsiadł do właściwego autobusu, nie zgubił się w mieście, zjadł porządny obiad, zwiedził miejscowe zabytki, poznał historię. Są tacy, którzy odłożą w tym celu swoją pracę, nadrobią drogi, spóźnią się na własny autobus.

Kierowca marszrutki z Kapanu do Gorisu chciał być moim gospodarzem, zapraszał do domu, namawiał, by zatrzymać się u niego tydzień. Bałem się takich zaproszeń, mogłem narobić kłopotów i wpędzić rodzinę w długi. Bo gościa trzeba podjąć czym chata bogata, a jak chata biedna, to się pożyczają; mogłem wypić wino, szykowane na chrzciny czy wesele. Oczywiście, kierowcy nie przyszło do głowy, że wprowadzę się na cały tydzień, ale gdybym zrozumiał go dosłownie, trudno byłoby mu się wykręcić.

Powiadają, że Hodża Nasreddin pozdrawiał wszystkich, którzy przejeżdżali obok jego domu, słowami:

- Witaj, zacny przybyszu. Zapewne ważne sprawy pchnęły cię w drogę i nie masz czasu, żeby zabawić na dłużej, ale wyglądasz na znużonego. Uczyni mi zaszczyt i bądź moim gościem. Odpoczniesz, podjesz sobie i pojedziesz dalej.

A trzeba wiedzieć, że Hodża, który cieszył się sławą mędrca, nie był człowiekiem majątnym. Przeciwnie, nędza wyłaziła ze wszystkich kątów i sami domownicy rzadko chodzili spać syści. Mięso jadło się w tym domu kilka razy w roku, na co dzień żyło się o wodzie i suchym chlebie. Ale Hodża nie chciał, by inni widzieli, że jest biedakiem.

Któregoś razu jeden z podróżnych postanowił skorzystać z gościnny. Zatrzymał się, przywitał z

gospodarzem i spytał:

- To gdzie mogę przywiązać konia?
- Najlepiej do mojego długiego języka - odpowiedział strapiony Hodża.

Autobus do Erywania miałem za kilka godzin. Pomyślałem, że zdążę zobaczyć Chyndzoresk. Z Gorisu to rzut kamieniem, najwyżej dwadzieścia kilometrów.

Wiedziałem, że za współczesnym Chyndzoreskiem rozciąga się osada jaskiniowa - a raczej nie tyle rozciąga, ile piętrzy, bo pieczary są wydrążone w zboczach góry i w ścianach kanionu. Niektóre służą do dziś, wieśniacy wykorzystują je na składy i spiżarnie, albo nawet na stajnie. Okolica przypomina Kapa-docję, ale jest bardziej zielona, w tej części Sjuniku rosną już lasy. I nie ma w ogóle turystów.

Takie domostwa opisał Ksenofont w Anabazie, zwiedzał je, ciągnąc do Trapezuntu: Mieszkania były podziemne; wejście było jakby otwór studni; na dole jednak były obszerne; wejścia dla bydła były wykopane, ludzie zaś schodzili po drabinie. W mieszkaniach były kozy, krowy i drób, wszystko wraz ze swoim potomstwem.

2360 lat później, w latach sześćdziesiątych minionego wieku, pisarz Wacław Kubacki był w podobnym domostwie w samym Erywaniu. Artakserkses mieszka w podziemnym domku. Żałuje, że nie może ugościć nas okazalej. A ja cieszę się w duchu, że na skutek powolnego działania urzędu kwaterunkowego zobaczę wreszcie archaiczną siedzibę ormiańską! Schodzimy po schodkach, pochylając głowy. Mieszkanie ładne i przyjemnie chłodne. Elektryczne światło. Łazienka i lodówka na prąd. Kuchenka na gaz z butli. Dywany w sypialni.

Rozpytywałem o transport, gdy jak spod ziemi wyrósł kierowca, z którym przyjechałem.

- Po co ci Chyndzoresk, przecież jedziesz do Erywania. Zajdź do nas, dostaniesz kawy, a potem wsiądziesz sobie do autobusu.

Powiedziałem, że bardzo chcę zobaczyć te pieczary.

- To zawiezie cię mój brat albo sąsiad. Ja nie mogę, mam jeszcze dwa kursy do Kapanu.

Zagiął na mnie parol, chciał mnie zatrzymać na noc. Przecież wróci do domu wieczorem, sam powiedział: dwa kursy. Nie zapraszałby gościa pod swoją nieobecność.

To była moja wina, nie powinienem kręcić się po okolicach przystanku, mogłem iść dwie przecznice dalej. Poeta Geworg Emin ostrzegął:

Ostrożnie, radzę, mów w Armenii -Echo powtórzy słowa w ciszy. W stromych wąwozach, wśród kamieni,
Słowa twe cały kraj usłyszy. Przełożył Witold Dąbrowski

Teraz miałem dwa wyjścia, mogłem stanowczo odmówić i urazić człowieka, który dawał mi serce na dłoni, albo poddać się i zmienić swoje plany. Spieszyło mi się, ale miałem jeszcze dzień w zapasie i byłem ciekawy prowincji, zwykle wpadałem tylko do Erywania. Cały czas liczyłem na Chyndzoresk. No i polubiłem tego kierowcę, żylastego górala z dużym nosem, który każde zdanie zaczynał od „My w Sjuniku”, jakby specjalnie podkreślał, że jeśli tutejsi Ormianie nie są lepsi od reszty rodaków, to na pewno różnią się od nich.

Pojechaliśmy jego marszrutką, zapełnioną już pasażerami do Kapanu. Zmienił trasę, klucząc po miasteczku, ale nikt nie miał pretensji - to się zdarza, widocznie jest coś do załatwienia, trzeba zaczekać. Zatrzymaliśmy się przed zielonym domkiem, kierowca zaciągnął ręczny, ale nie zgasił silnika. Zostawił marszrutkę i zaprowadził mnie do środka.

W domku była żona kierowcy i jego ojciec, stary pan Kamo; dzieci studiowały w Erywaniu. Posadzono mnie w pokoju i dostałem kawę, tymczasem w kuchni urządzono rodzinną naradę. Zrozumiałem, że mówią o Chyndzoresku i o samochodzie. Po kwadransie kierowca wrócił do pasażerów, zaraz potem dokądś wyszła kobieta, a pan Kamo przyczłapał do mnie i zaczął mi opowiadać, jak szturmował Berlin.

Kobieta wróciła po dwóch godzinach., Już od progu klarowała coś panu Kamo, on przerywał jej pytaniami. Rozmawiali po ormiańsku i nie wiedziałem, o co chodzi. W końcu staruszek powiedział, że zaraz przyjdą jego koledzy, żeby zagrać w nardy, i wrócił do wspomnień z wojny. Po dalszej godzinie rzeczywiście zjawili się czterech dziadków; jeden miał ze sobą planszę do nardów, znanych w Europie jako tryktrak. Za chwilę grali w najlepsze, gwarząc wesoło i popijając koniaczek. Byłem zły, uciekł mi autobus do Erywania i przepadł Chyndzoresk.

Okazało się, że bratu mojego kierowcy zepsuł się samochód, a sąsiad, który też miał auto, zachorował. Bywa. Gdyby miał kto ze mną jechać, wzięlibyśmy taksówkę, ale akurat nikt nie mógł, nawet brat, który siedział od rana w warsztacie. Samego oczywiście nie chcieli mnie puścić - nie po to byłem ich gościem, żeby włączyć się samopas, źle by to o nich świadczyło, oznaczało zupełny brak troski o podopiecznego.

Patrzyłem na pana Kamo i jego kolegów i myślałem o obrazie, jaki widziałem w Teheranie, w dawnym pałacu szacha. Przedstawiał dwóch mężczyzn: pierwszy, ubrany w surdut i cylinder, siedział na krześle i wyciągał rękę w kierunku drugiego, który pólleżał na dywanie, zatopiony w tunice, ciągnącej się po podłodze jak wschodnia opowieść. Ten obraz mówi o różnym pojmowaniu czasu. Na Zachodzie czas jest zważony i odmierzony, posiekany na godziny, minuty, sekundy, na Wschodzie płynie jak rzeka. Na Zachodzie jest czymś autonomicznym, zewnętrznym i niezależnym od ludzkiej woli

(choć można go zabijać lub toczyć z nim walkę), na Wschodzie - jest częścią natury.

Zachód utracił czas terażniejszy. Wszystko, co zdarzyło się minutę temu, jest już przeszłością, starocia, a to, co wydarzy się za minutę, należy do przyszłości, pracowicie zagospodarowanej w terminarzach i agendach. Na Wschodzie całe życie to rozciągnięta terażniejszość, ba, dawno zmarli przodkowie też żyją tu i teraz. Na obrazie z Teheranu obaj mężczyźni byli pokazani w czasie terażniejszym, ale każdy z nich -

w swoim własnym.

Koledzy pana Kamo cieszyli się z każdego łyku koniaku, z każdego rzutu kostką. Jak to dobrze być razem, rozmawiać i grać w nardy. Złość mi przechodziła.

Wrócił gospodarz i usiedliśmy do kolacji.

- My w Sjuniku - zaczął toast - czcimy swoich wielkich ludzi. Rzecz jasna, kochamy także Wardana Mamikoniana, króla Tigranesa Wielkiego i marszałka Iwana Bagramiana, ale jak spytasz, kto jest bohaterem narodowym, to miejscowi wymienią kogoś w ogóle nieznanego, kto urodził się w danej wiosce i na przykład dzielnie walczył na wojnie. W Sjuniku takich ludzi stawia się za wzór młodym, a nie tamtych herosów. Są bliżsi.

Wypiliśmy za wszystkich bohaterów wszystkich narodów.

Przed południem wyjechałem do Erywania. Autobus szedł z granicy irańskiej.

Chyndzoresk zobaczyłem parę lat później przy innej okazji. Myślałem wtedy, żeby odwiedzić kierowcę marszrutki i jego rodzinę, ale nie złożyło się.

Wszystko ma swój czas.

Tuf

- Wyobraź sobie, tutaj nie było metra - mówi Gajana. -Co to za stolica bez metra! Czuliśmy się upośledzeni, niedowartościowani. A najgorsze, że metro jeździło już w Tbilisi i w Baku. Wszyscy mieli na tym punkcie kompleksy.

W stolicy Gruzji podziemna kolejka ruszyła w sześćdziesiątym szóstym, a w stolicy Azerbejdżanu - w sześćdziesiątym siódmym. Gajana, drobna Ormianka o kanciastych ruchach, chodziła wtedy do szkoły. Nikomu nie śnił się rozpad ZSRR, ale pod hasłami o internacjonalizmie buzowały już narodowe emocje. Sukces sąsiada był odbierany jak osobista porażka i nie miało to nic wspólnego z socjalistycznym współzawodnictwem, do którego zachęcali sekretarze partii.

Rosja carska dzieliła się na gubernie i powiaty, Związek Sowiecki na republiki związkowe, które dawały namiastkę państwowości. Moskwa tępiła nacjonalizmy, ale lokalne władze znajdowały sto sposobów, aby zagrać na nosie sąsiadom.

24 kwietnia 1965 roku, w pięćdziesiątą rocznicę rzezi Ormian, w Erywaniu zebrał się wielotysięczny tłum. Żądał powrotu dawnych ormiańskich ziem znajdujących się w Turcji i przyłączenia do Armenii Górskiego Karabachu. Nawet katolikos Wazgen 1, który wyszedł do ludzi, nie mógł uspokoić nastrojów. Sytuacja wymykała się spod kontroli - a tego Moskwa nie tolerowała.

W tych dniach milicja zatrzymała Lewona Ter-Petrosjana, w przyszłości pierwszego prezydenta Armenii. Domagał się upamiętnienia ofiar rzezi. Za kilka miesięcy władze same rozpoczną budowę zespołu Cernakaberd (Jaskółczej Twierdzy), składającego się z pomnika i muzeum 1915 roku oraz parku. W stolicy stanie także pomnik generała Andranika Ozaniana, który w roku 1918 walczył przeciwko Turkom i Azerbejdżanom.

Ale prawdziwe mocne uderzenie przyniósł rok sześćdziesiąty ósmy: władze ogłosiły 2750-lecie Erywania. Datę założenia miasta odczytano z urartyjskiej inskrypcji, odkopanej na wzgórzu Arin-berd. To nic, że mówiła o mieście Erebuni, które ze współczesnym Erywaniem łączyła tylko lokalizacja - stolica Armenii była teraz starsza od Rzymu! Tbilisi i Baku nie miały w tej konkurencji szans. Na metro też przyszła pora. Ruszyło w roku osiemdziesiątym pierwszym, miało cztery stacje.

- Tutaj nie było miejskiej tradycji, rodów zasiedziały od wieków - mówi Gajana, która jest dziś doktorem historii i wziętym politologiem. - Wszystko działo się na naszych oczach. Pierwsze pokolenie, które mówiło o sobie: Erywań-czycy (właśnie tak, z dużej litery, bo nie chodziło o miejsce zameldowania), to ludzie urodzeni w latach czterdziestych, może trzydziestych. Pierwsza sowiecka inteligencja ormiańska. W najlepszym razie rówieśnicy moich rodziców. Później miasto tak gwałtownie urosło, że teraz nie wiesz, czy to stolica, czy milionowa wieś.

Przez pierwsze 2600 lat w Erywaniu nic się nie działo. Była to nędzna miejscina na jednym z kilku szlaków prowadzących z Persji nad Morze Czarne. Pewnie okresami całkiem pustoszała, bo w kronikach pojawiają się kilkusetletnie białe plamy. Wiadomo, że w siódmym wieku złupili ją Arabowie, a w czternastym - Tamerlan. Potem znalazła się na pograniczu persko-osmańskim i wiele razy przechodziła z rąk do rąk.

To, co jakimś cudem zachowało się z dawnych czasów - oprócz zasypanych piaskiem ruin Erebuni - zniszczyło trzęsienie ziemi w 1679 roku.

W osiemnastym i dziewiętnastym wieku przez osiemdziesiąt lat istniał Chanat Erywański - na pół niepodległe państewko w orbicie Persji, rządzone przez tureckich Kadzarów. W roku 1828 podbił je i przyłączył do Rosji (Ormianie mówią: wyzwolił) Iwan Paskiewicz, który za ten wyczyn otrzymał od cara tytuł hrabiego erywańskiego.

W połowie dziewiętnastego wieku Erywań został stolicą guberni. Miał trzydzieści tysięcy mieszkańców i ustępował Kutaisi i Gandzy, nie mówiąc o Tbilisi i Baku. Nawet Giumri było wtedy większe. Przy wąziutkich, krętych uliczkach stały parterowe domy z gliny, był tylko jeden hotel (też z gliny). Najpopularniejszą rozrywką były walki górskich kuropatw. Polski podróżnik notował: Znamy już saman, to jest poszarpaną i startą słomę, pozostałą po tutejszym młóceniu, co się za pomocą deski nabijanej krzemieniami odbywa. Otóż glina zmieszana z samanem i wyrobiona na cegłę surówkę jest materiałem, z którego wszystkie tu domy, ogrodzenia, nawet for-teczne ściany są zlepione. Po każdym deszczu żółte strugi ze ścian płyną i sieczka jak szydło z worka wygląda.

Twórcą nowego, sowieckiego Erywania był Aleksander Ta-manian. Zaprojektował miasto stu pięćdziesiąt tysięcy, zamknięte pierścieniem parków. W centrum wytyczył owalny plac, obramował go eliptyczną linią gmachów rządowych. Drugi plac wyznaczył na skraju śródmieścia. Postawił tam okrągły teatr opery i baletu (za tę bryłę dostał w Paryżu złoty medal); obok kazał wykopać staw, który teatralna publiczność nazwała Jeziorem Łabędzim. Pierwszy plac - imienia Lenina, oczywiście - był solenny i rzeczowy, drugi - bardziej uduchowiony i majestatyczny.

Rozpoczęło się wielkie budowanie, z dnia na dzień prowincjonalna dziura zaczęła przepoczwarzać się w metropolię.

Przybysz z Polski, który był w Erywaniu w połowie lat trzydziestych - dziesięć lat po rozpoczęciu prac - napisał: Tylko z ludnością coś nie w porządku. Ani rusz nie można by jej z takim spokojem przenieść do Warszawy, jak gmach opery. Ubrana jest dość fantastycznie. Jakieś kolorowe rubachy, jakieś dziwaczne z minionych lepszych czasów ubrania, jakieś płócienne pantofelki na nogach, zupełny brak kapeluszy, zastępowanych dość rzadko kaszkietami lub barwnymi jarmułkami, a wreszcie zdecydowana niechęć do krawatów i kołnierzyków - sprawiają, że tłum uliczny posiada barwę swoistą, w niczym niepodobną do barwy „europejskiej”, do której tak tęskni.

Wielkiemu budowaniu towarzyszyło wielkie burzenie. Pod buldożer szły dzielnice dawnego,

orientalnego Erywania. Slumsów z gliny nikt nie żałował, porządniejsze domy Tamanian kazał zostawić. Ale miasto wciąż pęczniało, połykając następne kwartały starej zabudowy. Przedmieścia rozlały się po Równinie Ararackiej, wspięły na okoliczne wzgórza. Planowane sto pięćdziesiąt tysięcy podwoiło się, potem potroiło. Znikały ciche zaułki i domy rodzinne, na to miejsce wkraczała wielka płyta i wybetonowane place zabaw. Nowe wieżowce oplatały kłęby przewodów, kabli i rur, które puszczono na zewnątrz -dla oszczędności.

W latach siedemdziesiątych nie było już kamiennych domostw, wykutych w wysokim brzegu Hrazdanu, ale trwały jeszcze erywańskie podwórka: zagmatwany patchwork komórek, galeryjek, zagród, gazonów i płachetków ziemi, gdzie sadzono warzywa. Pisał o nich Andriej Bitów:

Podwórka nie powielały jedno drugiego, ale też - na pozór -nie różniły się od siebie. Żadne nie było ani piękniejsze, ani bardziej intrygujące: każde było skończoną całością. W jaki sposób nawarstwiał się ten chaos dobudówek, zakamarków, listowia, światła i cienia, by złożyć się na harmonię i artystyczną doskonałość - niepodobna prześledzić ani ogarnąć. Widocznie samo życie, organizujące się w myśl swych nieumyślnych reguł, nie może wytworzyć formy niedoskonałej.

W latach dziewięćdziesiątych widziałem jeszcze takie miejsca wśród blokowisk: z ulicy prowadziły do nich wąskie bramy, w które patrzyło się jak w soczewkę lunety, aby za chwilę znaleźć się po drugiej stronie lustra:

Jeszcze w nowym wieku w samym centrum Erywania, na tyłach kamienic niedaleko polskiej ambasady i katedry Świętego Grzegorza, ciągnął się labirynt podwórek jak z obrazów Martirosa Sariana - wielkiego kolorysty i filozofa, który wierzył, że ziemia jest żywą istotą i ma duszę.

Resztki starówki padły podczas budowy ulicy łączącej plac Republiki (dawniej Lenina) z placem przed teatrem. Tę ulicę zaprojektował jeszcze Tamanian, ale zrobiło mu się żal starych domów.

Tamanian budował Erywań z tufu, który jest skamieniałym popiołem wulkanicznym. Dużo go tu mają, całe góry. Armenia to jeden wielki krater, tyle tu wygasłych wulkanów.

Ormianie zawsze budowali z tego, co mieli pod ręką. Ormiańskie kościoły wyglądają, jakby wyrastały z ziemi - bo są z tej samej materii, co podłoże, na którym stoją.

Poeta Geworg Emin zauważył, że w Armenii mówienie o ziemi ojczystej to chwyt literacki, przenośnia. Należałoby raczej powiedzieć: kamień ojczysty. Na powierzchni leży obsydian, szkliwo wulkaniczne, jak pisze Emin, „kamień przepławiony w szkło”. Głębiej zalegają tufy. Pod nimi jest bazalt.

Tuf przypomina pumeks: jest porowaty, oddycha. W domach z tufu nie ma wilgoci, latem taki dom chroni od upałów, a zimą od mrozów.

Tuf może być niebieski, żółty, pomarańczowy, rudawy, beżowy, brunatny. Łatwo się kroi w bloki. Można postawić dom w barwach tęczy albo ułożyć mozaikową fasadę. Ale Tamanian wołał róż i

erywańskie śródmieście jest różowe. Tylko gmachy rządowe przy placu Republiki wpadają w fiolet.

W różowym otoczeniu bloki z wielkiej płyty wyglądają jak spiętrzone slumsy na osiedlu lalki Barbie.

Najnowsza historia Armenii toczyła się na dwóch erywańskich placach.

Zaczęła się pierestrojka i ludzie, jak wszędzie w Związku Radzieckim, wychodzili na ulicę: najpierw po cichu, niepewnie, niby nic - ktoś rozwijał transparent, ktoś się przyłączał, ktoś tylko patrzył. Milicja nie wiedziała - bić czy nie bić? Wreszcie niechętnie biła, ale wtedy przychodziło jeszcze więcej ludzi i już nie było jak bić. Potem ulice zamieniły się w kluby polityczne czynne całą dobę, siedem dni w tygodniu, tylko mówcy się zmieniali. Władze nie wiedziały, co robić, Lenin o niczym podobnym nie wspominał, władza wymykała się władzy z rąk. Dobrze byłoby spytać Moskwy, ale Moskwa też nie wiedziała, sama miotła się od amnestii do chaotycznych represji, zresztą nie było już jednej Moskwy, monolit rozpadał się w oczach, twarogłowi komuniści stawali się nacjonalistami, sekretarze partii otwierali własne biznesy, ateści chrzcili się, popi szli do polityki.

Jak wszędzie w Związku Radzieckim, nagle stanęły fabryki i zniknęły towary w sklepach. W tym samym czasie przestały grać kaloryfery, wyłączyli gaz, prąd i wodę. Samoloty latały jak chciały: najczęściej nie latały, bo nie było paliwa, a jak latały, to nie było biletów. Nikt się już nie bał, gazety pisały takie rzeczy, za które niedawno szło się siedzieć, wszyscy zaczęli od tej wolności. Jeszcze nie zauważyli, że nie ma co do garnka włożyć.

Narody chciały wolności. Ormianie też, ale ważniejszy był Górski Karabach. Karabach należał do Azerbejdżanu, choć Ormian było tam wielokrotnie więcej. Ormianie żądali przyłączenia go do Armenii.

Sowieckiej Armenii.

O niepodległości mało kto myślał. Niezręcznie było oddzielać się od Rosji. Pewien profesor z uniwersytetu dowodził, że ormiański patriotyzm polega na tym, iż trzeba kochać Rosjan i nienawidzić Turków. Rosja miała jednak na głowie swoje sprawy i była daleko, a jedni i drudzy Turcy - zaraz za miedzą.

Napływali uchodźcy z Azerbejdżanu, mówili o pogromach, rabunkach i gwałtach. W odwecie Ormianie wyrzynali azer-bejdżańskie wioski. Zapłonęły azerbejdżańskie domy w Kara-bachu i ormiańskie w Baku. Dżinn wy dostał się z butelki.

Prezydentem został Lewon Ter-Petrosjan, członek Komitetu Karabach. Wkrótce Armenia opuściła Związek Radziecki. To był jedyny przypadek, gdy republika usamodzielniała się zgodnie z sowieckim prawodawstwem: tylko Ormianie wzięli na poważnie istniejące na niby procedury. I tylko w Armenii do władzy nie wrócili potem komuniści.

Wybuchła wojna. Zanosilo się na nią od dawna, ale dopiero teraz, kiedy nie było już ZSRR, Ormianie i Azerbejdżanie skoczyli sobie do gardeł. Armenia utrzymywała, że nie bierze w tej wojnie udziału, że z

Azerbejdżanem walczą Ormianie z Karabachu, a z Armenii tylko ochotnicy. Ale to nie była prawda, cały kraj się angażował. Rosjanie wspierali raz jednych, raz drugich, aż azerbejdżański prezydent Elczibej ogłosił, że będzie sprzedawał ropę zachodnim koncernom - wtedy postawili ostatecznie na Ormian. To przeważało szalę.

Ormianie wyrzucili Azerbejdżan nie tylko z Karabachu, lecz także z okolicznych powiatów. Karabach graniczył teraz z Iranem i Armenią, ogłosił się samodzielnym państwem, ale nikt go nie uznał, nawet Armenia (gdyby uznała albo gdyby połączyła się z Karabachem, znaczyłoby to, że akceptuje aneksję azerbejdżańskich ziem, i stałaby się agresorem). Bez Armenii Karabach nie dałby sobie rady - Ormianie z Karabachu mają dzisiaj armeńskie paszporty i jeżdżą na armeńskich numerach.

Mało tego: rządzą Armenią! Ale nie chcą zjednoczenia. Chcą niepodległego Karabachu. Mają się za kwiat narodu. Karaba-ska ormiańszczyzna jest twarda i kiedy tutejsi mówią w swoim dialekcie, Ormianin z Armenii nic nie rozumie.

W dziewięćdziesiątym szóstym w Armenii były kolejne wybory. Ter-Petrosjan ogłosił, że je wygrał. Jego rywal, Wazgen Manukian, dawny towarzysz z Komitetu Karabach, twierdził co innego. Wiadomo, że było dużo fałszerstw - czy na tyle dużo, żeby odwrócić wynik? Tłum na placu przed teatrem przez wiele dni żądał powtórzenia głosowania, ale Ter--Petrosjan odmówił. Mocno przywiązał się do fotela. Spuścił na ludzi policję i wojsko.

A może prezydent nie był winny wszystkich nieszczęść Armenii? Przecież nie on wywołał trzęsienie ziemi, które zrujnowało Spitak i okolice. Nie on zamówił mroźne zimy, tak dokuczliwe, że ludzie ścinali na opał drzewa w miejskich parkach, aby nie zamarznąć (kaloryfery w dalszym ciągu nie grzały). Nie on skłócił ze sobą Gruzinów, którzy pogrążyli się w wojnie domowej, odcinając wszystkie drogi z Armenii do Rosji i nad Morze Czarne. A Karabach? Tam walki wybuchłyby i bez niego. Nie, zamknięte granice z Azerbejdżanem i Turcją, zablokowane linie kolejowe i wyrzuceni z Azerbejdżanu Ormianie również nie mogą obciążać konta Ter-Petrosjana.

Dlaczego więc tłum żądał jego głowy? Chodziło o sprawiedliwość. Bo gdyby wszyscy cierpieli solidarnie, nie byłoby sprawy. Ale nie może być tak, że jednemu nie starcza na chleb, a drugi zajada się kawiozem.

Kolejny rok nie pracowały fabryki, nie działał transport. Ci, którzy mieli pracę, miesiącami czekali na wypłatę (starczała średnio na dwa kilo mięsa). Biznes - to był kiosk z piwem, warsztat samochodowy, biuro ogłoszeń. Żadne kokosy. Tymczasem ludzie władzy, a częściej ich dzieci, pociotki i zausznicy, rozbijali się najnowszymi dżipami. W Armenii asystent szefa jest ważniejszy od jego zastępcy, kierowca premiera - od wicepremierza. A jeszcze ważniejsza jest rodzina. Brat prezydenta, Telman Ter-Petrosjan, był dyrektorem zakładów zbrojeniowych Hrazdanmasz i ponoć kontrolował jedną trzecią armeńskiej gospodarki. Ponoć ukradł miliony. Potem został deputowanym, ale ktoś go zastrzelił. W Armenii ginęło wtedy wielu ludzi. Wpływowe rodziny podzieliły między siebie Ery-wań i cały kraj. Jak niegdyś Sycylię.

Prezydent był filologiem. Mówił pięknie. Czarował erudycją. Znał rosyjski, angielski, francuski, niemiecki, arabski, asyryjski, grabar (staroormiański) oraz grekę i łacinę. Do tego przesiedział swoje w sowieckim więzieniu. Jemu samemu korupcji nikt nie zarzucił. Najwyżej nieudolność. Ale kojarzył się z upokorzeniem, bezrobociem, nędzą, głodem, brakiem światła, gazu i wody, a nawet mroźnymi zimami i trzęsieniem ziemi.

Przez następne dwa lata rządził siłą rozpędu. Tracił znaczenie i poparcie. Stał. W desperacji mianował na premiera Roberta Koczariana, prezydenta nieuznanej Republiki Górskiego Karabachu. To był początek końca.

Za Koczarianem ciągnęła się legenda wodza zwycięskiej wojny. Ormianie nazywali go Żelaznym Robertem. Nie był intelektualistą, ale miał szelmowski urok. Gdy poczuł się pewniej, zaczął kopać pod prezydentem dołki. Zarzucał mu uległość w rozmowach pokojowych z Azerbejdżanami i brak troski o Karabach. Zamiast pomóc, ostatecznie go pogrążył. W końcu zmusił Ter-Petrosjana do dymisji i w cuglach wygrał przedterminowe wybory. Rządził Armenią przez dwie kadencje.

Erywań zaludnił się Karabachczykami, Koczarian ufał tylko swoim ziomkom. Każdy nowy dygnitarz potrzebował sekretarki, asystenta, ochroniarza, kierowcy, wreszcie zastępcy. Każdy przyjeżdżał z rodziną. Ormiańska rodzina to nie tylko żona z dziećmi, lecz także rodzice, teściowie, rodzeństwo, różni kuzyni. Bywało, że do stolicy przeprowadzały się całe wioski. Erywań był zdobyczą, łupem do zagarnięcia. Poddawał się łatwo, jak tuf. Erywańska inteligencja dawno wyjechała w świat. A może jej wcale nie było, może nie zdążyła jeszcze zaistnieć?

Nikt nie wie, jak zamachowcom udało się zmylić strażę. Wtargnęli do parlamentu - jednego z fioletoworóżowych gmachów przy placu Republiki - w chwili, gdy trwały przesłuchania członków rządu. Położyli trupem ośmiu polityków, w tym przewodniczącego izby Karena Demircziana i premiera Wazgena Sarkisjana. Ci dwaj jako jedyni mogli w przyszłości konkurować z Koczarianem o władzę. Przed kamerami - dramat rozgrywał się na oczach całej Armenii - zamachowcy oświadczyli, że chcieli ukarać skorumpowanych dostojników. Potem poddali się. Dostali dożywocie, ale sąd nie zdołał ustalić, czy działali na czyjeś zlecenie. Po dziesięciu latach nadal tego nie wiemy.

Koczarian miał wolne ręce. Dodatkowo trafił na dobrą koniunkturę: przyszły pierwsze większe inwestycje i trochę drgnęła gospodarka. Jednocześnie kraj coraz bardziej uzależniał się od Rosji.

(Ter-Petrosjan też stawiał na Rosję. Był przekonany, że nie ma innego wyjścia. Gdy mowa o Rosji, Ormianie tracą zdrowy rozsądek. Wszystko jej wybaczą, wszystko usprawiedliwią.

Rosja wielokrotnie ratowała Ormian z opresji, ale nigdy bezinteresownie. Jelcyń, z którym układał się Ter-Petrosjan, nie myślał o odbudowie imperium. Putin, który doszedł do władzy w tym samym czasie co Koczarian, wręcz przeciwnie. Lojalni Ormianie musieli zapłacić za rosyjski gaz tyle samo, co niepokorna Gruzja. Teraz naprawdę nie mieli wyjścia - Moskwa zablokowała budowę gazociągu tranzytowego z Iranu. Rosjanie przejęli za długi większość armeńskiego przemysłu, całą energetykę, transport i łączność.

Skłócona z sąsiadami Armenia zaczęła przypominać kolonię).

. Następcą Koczariana został Serż Sarkisjan, też Karabach-czyk. Wybory dwa tysiące ósmego roku znów były niespokojne. Rywalem Sarkisjana był Lewon Ter-Petrosjan, który po dziesięciu latach postanowił wrócić do polityki. Gdy ogłoszono wstępne wyniki, nie chciał pogodzić się z porażką. A może nie przegrał - tyle że głosy liczył już kto inny? W Erywaniu doszło do zamieszek, byli zabici i ranni, ale władze nie ugięły się przed tłumem, żądającym powtórzenia wyborów. Kto mieczem wojuje...

W Związku Sowieckim Radio Erywań, zwane także Radiem Armeńskim, było przez całe dziesięciolecia tematem niezliczonych anegdot, dowcipów i facecji. Wszystkie miały taki sam schemat: słuchacz zadawał radiu pytanie, na które następowała nieoczekiwana, błyskotliwa odpowiedź. Czasem po pierwszym pytaniu padało następne:

- Jakie jest najpiękniejsze miasto w ZSRR?

- Erywań.

- A ile potrzeba bomb atomowych, żeby zniszczyć Erywań?

- Tbilisi i Baku to też piękne miasta.

-

Poeta

Naprawdę nazywał się Harutiun Sajadian. Żył w osiemnastym wieku.

Urodził się najpewniej w Sanahinie w Armenii, ale dorastał już w Tbilisi, na Awlabarze, w ubogiej ormiańskiej rodzinie. Miał być tkaczem. Został poetą.

2

Wiemy o nim niewiele. Trochę sam zdradził w swoich wierszach, trochę możemy wyczytać z manuskryptów, które przepisywał, trochę z pism jego syna Ogana. Zachowało się parę dokumentów, kilka relacji ludzi, którzy go znali, i nieco opowieści z drugiej ręki. Badacze od dziesięcioleci wyłuskują te drobiny, zestawiają ze sobą, próbują ułożyć w całość. To robota żmudna i niepewna, trzeba mieć zacięcie detektywa i nieskończoną wiedzę o epoce. Trzeba znać ormiański, gruziński, azerbejdżański i perski - najlepiej razem z dialektami.

Trudność polega na tym, że Sajad-Nowa był mistrzem mistyfikacji: pisał językiem kodów i symboli, kochał niedopowiedzenia i wieloznaczności, tworzył nowe słowa, a starym nadawał nowe treści, układał piętrowe kalambury, mylił tropy, zacierał ślady. Jego poezja to gabinet luster - nie wiadomo,

na ile to, co mówi o sobie, jest prawdą, a na ile kreacją, gdzie jest obraz, gdzie jego odbicie, ile poziomów znaczeń kryje się po powierzchni każdego zdania. Nigdy nie mamy pewności, czy dotarliśmy już do najgłębszego poziomu - i czy w ogóle poszliśmy w dobrym kierunku.

Nie wiemy nawet, skąd się wziął przydomek poety. Większość badaczy uważa, że znaczy on po prostu „wnuk Sajada” ale niektórzy tłumaczą go jako „znamienityłowczy” „poławiacz serc pieśni” „pan muzyki” „książę poezji”, „nowy nauczyciel”.

Me każdy pić z mych zdrojów będzie, Szczególny mają smak te zdroje. Nie wszystkim moja myśl się przedzie, Sens dziwny mają słowa moje. Świat się niełatwo mnie pozbędzie Bo granitowe moje słoje...
Przełożył Witold Dąbrowski

3

Wiść o genialnym poecie z Awlabaru dotarła do króla Hera-kliusza II. Przez jakiś czas Sajad-Nowa był

trubadurem na jego dworze. Może należał do świty królewicza Jerzego, następcy tronu Kartlii i Kachetii?

Podobno zakochał się w siostrze króla, Annie, ale mogło chodzić o kogoś innego. Albo wcale się nie zakochał - tylko w pewnej chwili eksplodował tak namiętną liryką, że wszyscy dali się zwieść. Złe języki dopowiedziały resztę. Przepędzono Sajat-Nowę na cztery wiatry.

Niewykluczone, że sam wymyślił całą intrygę: szukał okazji, żeby odejść, bo miał dosyć dworu i dworaków.

Został księdzem, a potem mnichem. Kilka razy zmieniał klasztory. Ponoć uzyskał godność wardapeta.

Wiadomo, że miał żonę Marmar i czwórkę dzieci.

Nikt przed nim na Wschodzie tak nie pisał. To poezja muzyczna, pełna asonansów i aliteracji, ujęta w karb hipnotyzującej rytmiki. Sajat-Nowa robił z językiem co chciał, ciął go na frazy i ugniał jak glinę, głoski zamieniał w nuty, komponował z nich poematy. Pieśni, które ułożył, żyją do dziś.

Wyzwolił się z oków czasu i miejsca, rozplątał w wierszach, nie znać, że był czeladnikiem tkackim, nadwornym poetą He-rakliusza, mnichem; nie znać pochodzenia społecznego ani narodowego. Pisał o miłości, cierpieniu, człowieczym losie. Cieszył się nadchodzącą wiosną i wadził z Bogiem.

Z pewnością zdawał sobie sprawę z własnego talentu.

Walerij Briusow uważał, że twórczość Sajat-Nowy „to jeden z najwspanialszych wzlotów ludzkiego ducha”.

Czemu wilgotne oczy mam, czemu mi krew wysysa ona? Choroba, miłość - jednym są, lekarstwem także tylko ona! Musiałem chory w łożu lec, ale mój wzrok przyciąga ona! Tylko gdy umrę, do mnie, ach, jedynie wtedy przyjdzie ona! [...]

Tyś, Sajat-Nowo, w biedę wpadł. Przełożył Piotr Kuncewicz

5

Najpiękniej opowiedział o nim światu inny tbiliski Ormianin, Siergiej Paradżanow. Poświęcił mu film Barwy granatu.

Paradżanow kręcił filmy tak, jak się maluje obrazy: nie ma w nich fabuły, składają się z ciągu scen, w

których wielką rolę gra kompozycja, położenie ludzi i przedmiotów. Najdrobniejszy szczegół, nawet kolor ma symboliczne znaczenie.

Sceny są niemal statyczne, prawie zawsze nieme. Aktorzy fotografowani są w zbliżeniach, ich ruchy są powolne, zautomatyzowane, często powtarzane po wielokroć, najprostsza czynność staje się w ten sposób rytuałem. Czasem aktorów w ogóle nie ma, wtedy oglądamy martwą naturę.

Sajat-Nowa w dzieciństwie: mały chłopiec leży na ziemi wśród suszących się ksiąg. Wiatr przewraca kartki. Chłopiec rozkłada ręce. Teraz wygląda jak ukrzyżowany.

Sajat-Nowa zmarł: dwa anioły, każdy z jednym skrzydłem, ustawiają poetę pośrodku pustego duktu, on zaczyna iść w kierunku horyzontu, anioły zabierają jego instrument (trzystruno-wy saz z długim gryfem) i oddalają się.

6

Był Ormianinem, większość życia spędził w Gruzji, a najczęściej pisał po azerbejdzańsku. Na 230 utworów, które zachowały się do naszych czasów, po azerbejdzańsku jest 115 - równo połowa. 60 utworów jest po ormiańsku, 34 po gruzińsku, reszta po per-sku albo w kilku językach naraz. Niektóre wiersze są napisane w połowie po azerbejdzańsku, a w połowie po ormiańsku. Zachował się wiersz, w którym każda z czterech zwrotek napisana jest innym językiem, do tego w trzech różnych alfabetach.

Któż byłby lepszym patronem podzielonego i skłóconego Kaukazu?

Znał muzułmański Wschód, mieszkał w Persji i dzisiejszym Azerbejdżanie, może dotarł do Afganistanu i Turcji. Nie bardzo nadawał się na mnicha. Brakowało mu pokory. Powiadają, że wymykał się z klasztoru, by wystąpić w przebraniu jako ludowy pieśniarz, aszug. Cały czas pisał erotyki. Ale nie ma wątpliwości, że czuł się chrześcijaninem. Widać to, gdy powtarza za Pawłem:

Żółć ofiarują ci - słodyczą Płać za ich trudy, Sajat-Nowo! Przełożył Andrzej Mandalian

Żył długo - jak kaukaski aksakał. W chwili śmierci miał osiemdziesiąt trzy lata (część badaczy uważa, że urodził się nieco później, wtedy miałby siedemdziesiąt trzy albo siedemdziesiąt osiem).

Zginął tragicznie - jak kaukaski dzygit. Stało się to w czasie najazdu na Tbilisi szacha Agi Muhammada Chana, kastrata, który kalectwo zagłuszał okrucieństwem. Poeta schronił się w jednym z kościołów, ale siepacze nie oszczędzili świątyń. Jak chce legenda, mógł ocalić życie, przyjmując islam.

Przed najazdem zatroszczył się, żeby wyprawić bliskich w bezpieczne miejsce - jak kaukaski ojciec

rodziny.

8

Ucisz się, krnąbrne serce, świat jeno marność płocha, Wszystko, cośmy rzucili, niewarte ani trocha...
Które są rzeczy pierwsze: pióro, pieśń czy też księga? Rozmłowane w pieśni - prawdę księgi ukochaj.
Przełożył Andrzej Mandalian

III SADACHLO

Sadachlo - to po gruzińsku. Po azerbejdzańsku będzie Sada-chtły, a po ormiańsku - Sadachli.

Wieś leży w Gruzji, tuż przy granicy z Armenią i bardzo blisko granicy z Azerbejdżanem.

Tutaj Gruzini, Ormianie i Azerbejdżanie mieszkają razem od pokoleń. Większość ma gruzińskie obywatelstwo. Ale jeszcze niedawno przeważali Ormianie z Armenii i Azerbejdżanie z Azerbejdżanu. Przyciągał ich bazar, który wyrósł spontanicznie pod koniec Związku Radzieckiego, a po paru latach stał się największym targowiskiem Kaukazu. Można tu było kupić i sprzedać wszystko, łącznie z bronią i narkotykami (kradzione na Zachodzie i sprowadzane przez Turcję samochody oraz rosyjskie łady i wołgi, ściągane bez cła z fabryk w Togliatti i Niżnym Nowogrodzie, trafiały na giełdę w pobliskim Gardabani). Gdy w Górskim Karabachu trwała wojna, w Sada-chole Azerbejdżanie handlowali z Ormianami naftą, benzyną, olejem napędowym i opałowym. Detaliści przywozili towar w kanistrach i beczkach, mafie pchały całe cysterny do wrogiego kraju przez tutejsze przejście kolejowe.

Ale w Sadachle dominowali chłopci, którzy wyrwali się z kołchozów i sowchozów, robotnicy z upadłych fabryk, zdeklasowani inteligenci, próbujący swoich sił w biznesie. Na tysiącach

straganów, ciągnących się w kilkunastu rzędach wzdłuż granicznej rzeki, zalegały warzywa i owoce, nabiał i wędliny, rosyjskie i ukraińskie cukierki, turecka konfekcja, irańskie proszki do prania, elektronika z Dubaju, papierosy, herbata, szwarc, mydło i powidło.

Zarabiano się na układach Ormian z Iranem, Gruzinów z Turcją i Azerbejdżan z Rosją, na różnicach cen i klimatów: najpierw pojawiały się pomidory azerbejdżańskie, po nich gruzińskie, na końcu armeńskie i tak

dalej. Zyskiem trzeba się było dzielić z armią różnych „opiekunów” i z władzą: po drodze z Tbilisi (niespełna siedemdziesiąt kilometrów) naliczyłem w swoim czasie dwadzieścia dziewięć posterunków drogówki, na każdym brali dolara od samochodu (przy dostawczakach stawka rosła do pięciu dolarów). Interes jednak się kręcił, bazar utrzymywał pół miliona ludzi w Gruzji, Armenii i Azerbejdżanie. Transakcje zawierano w dolarach, rublach, dramach, manatach i lari, a pod koniec nawet w egzotycznych euro. Roczne obroty sięgały miliarda dolarów, co wielokrotnie przewyższało oficjalną wymianę handlową między trzema państwami. Sadachlo pracowało całą dobę, siedem dni w tygodniu, okrążył rok.

W końcu, w grudniu 2005 roku, Saakaszwili zamknął bazar i uszczelnił granice. Wcześniej stoczył zwycięską walkę z łapówkarstwem w służbach mundurowych. Gospodarki Kaukazu Południowego były już na tyle silne, że mogły obejść się bez Sadachla.

Przestało istnieć ostatnie miejsce, gdzie zwykli Gruzini, Azerbejdżanie i Ormianie mogli się spotkać, wypić herbatę, porozmawiać.

Na Kaukazie nie należy ufać pierwszemu wrażeniu.

Ormianie nie znoszą Azerbejdżan: nazywają ich „Turkami” i obarczają winą za zło, jakiego doświadczyli od całego świata tureckiego, łącznie z tragedią 1915 roku. Pamiętają pogromy w Sumgaicie i Baku u schyłku lat osiemdziesiątych. Ale ormiański biznesmen prędzej zaufa Azerbejdżaninowi niż Gruzinowi. Spotykałem ormiańskich uchodźców, którzy opowiadali, jak azerbejdżańscy sąsiedzi ratowali ich życie i majątek.

Azerbejdżanie generalnie nienawidzą Ormian. Pamiętają pogromy w 1918 roku i rzeź wioski Chodżały w 1992 roku, w trakcie wojny karabaskiej. Nigdy nie wybaczą okupacji azerbejdżańskich ziem i upokarzającej klęski na froncie. Ale prawdziwi bakińcy tęsknią, oczywiście po cichu, do ormiańskich sąsiadów. Wolą Ormian niż swoich rodaków z prowincji, którzy zajęli należące do tamtych mieszkania. (- Mieliliśmy podobne zwyczaje - opowiadał mi Azad, który przez wojnę w Kara-bachu musiał rozstać się z ormiańską dziewczyną. - Nikomu nie przeszkadzało, że wyznajemy różne religie. Jakie piękne rodziły się dzieci!). «.

Wydawałoby się, że Ormianie powinni lubić Gruzinów, a Gruzini Ormian, że to naturalni sojusznicy. Armenia i Gruzja to chrześcijańskie wyspy w morzu islamu, a na dodatek przez wieki rządziła nimi ta sama dynastia Bagratydów (Bagrationich po gruzińsku). Nic podobnego: trudno znaleźć bardziej zaciekle rywali. Kłóć się o wszystko - kto jest lepszym chrześcijaninem, kto ma bogatszą kulturę i piękniejsze kobiety. W 1918 roku stoczyli wojnę o prowincję Lori i powiat borczaliński, a pod koniec lat osiemdziesiątych o mały włos nie wybuchła wojna o Dża-wachetię (ale podczas wojny rosyjsko-gruzińskiej w sierpniu 2008 roku Ormianie momentalnie pospieszyli z pomocą humanitarną i utworzyli korytarz dla ewakuacji cudzoziemców).

Odwrotnie ma się rzecz z Gruzinami i Azerbejdżanami: niby nic ich nie łączy, ale współzycie układa się, jak na Kaukaz, wyjątkowo zgodnie. (Azerbejdżanie traktowani są przez obu sąsiadów trochę z góry,

można ich lubić lub nie, można z nimi walczyć lub współpracować, ale prawdziwym punktem odniesienia są dla siebie Gruzini i Ormianie: to moja ojczyzna,

moja ziemia i mój dom - a to mój odwieczny rywal, znany jak własne pięć palców i równie jak one niezbędny do życia).

Wyliczankę można ciągnąć w nieskończoność:

Gruzini boją się Rosji jako państwa, imperium, ale uwielbiają rosyjską kulturę. Cztery tygodnie po bombardowaniu Gori, gdy rosyjskie wojsko utrzymywało jeszcze niedaleko miasta „strefy bezpieczeństwa”, rozmawiałem tam po rosyjsku. Nikt nawet krzywo nie spojrział! Z kolei Ormianie zawarli z Moskwą sojusz, ale błyskawicznie derusyfikują się.

Mimo szeregu wojen w Gruzji cały czas mieszkają tysiące Osetyjczyków, niektórzy mają gruzińskich współmałżonków i nikt nie robi im krzywdy. Abchazowie niby lubią Rosjan, ale...

Ale, ale, ale.

Niewielu podróżników, którzy zjeździli Kaukaz, nie uległo pokusie ciągłego porównywania ze sobą Gruzinów, Ormian i Azerbejdżan. Autorem może najbardziej obcesowej, jaskrawo przerysowanej charakterystyki trzech narodów był Tadeusz Wyganowski, który na początku dwudziestego wieku układał pierwszy ropociąg łączący Morze Kaspijskie z Czarnym:

Z mieszkańców tamtejszych najbardziej dodatnie wrażenie robią Gruzini, pomimo wielu wad swoich'. Z wielu względów przypominają oni Polaków. Ta sama butność, porywczość, zarozumiałość i lekkomyślność, mniej tylko od nas posiadają patriotyzmu, egoizmu i blagi. Plemiona górskie i Tatarzy [Azerbejdżanie], pomimo swoich dzikich instynktów i zupełnej pierwotności obyczajów, imponowali mi dzielnością, graniczącą z szaleństwem i skłonnością do szlachetnych porywów. Ormianie bardzo są niesympatyczni i przez ogół nie lubiani, ze względu na swoją chciwość i bezczelność.

Według większości podróżników Gruzini są szczodrzy, przyjacielscy, gościnni, rycerscy, kulturalni, ale (znowu to „ale”) leniwi, nieodpowiedzialni, pyszałkowaci. To indywidualiści, co szczególnie widać, gdy zestawia się ich z Ormianami, którzy nie mogą żyć poza wspólnotą. Ormianie cenią wykształcenie, są elastyczni, wytrwali, pracowici, oszczędni i, jak przystało na ludzi Kaukazu, gościnni. Stereotyp przypisuje im także chy-trość, skłonność do machinacji i manipulacji. Ich patriotyzm jest patriotyzmem języka, kultury, religii: gdziekolwiek rzuci ich los, stworzą wokół siebie małą Armenię (zachowując przy tym lojalność wobec państwa, w którym mieszkają). Gruzin to patriota ziemi, który nie wyobraża sobie życia poza swoją małą ojczyzną - wioską, doliną, powiatem. Azerbejdżanie, zwani w starszej literaturze

Tatarami, Tiurkami albo po prostu Muzułmanami, uchodzą za gościnnych, rodzinnych, uczynnych, serdecznych, odważnych - a także bezmyślnych, okrutnych, służalczych. Dla Azerbejdżanina ojczyzną jest jego rodzina, ród, klan - i miejsce, skąd wywodzą się przodkowie, nawet gdy następne pokolenia mieszkały już gdzie indziej.

Kiedyś dostałem do wiadomości e-mail. Adresatka, pracownica organizacji pozarządowej ze Stanów Zjednoczonych, pierwszy raz w życiu jechała na Kaukaz. Jej znajoma, która spędziła w regionie wiele lat, uznała za stosowne, obok kontaktów i informacji praktycznych, przekazać tamtej taką refleksję:

Gruzini uważają, że są najlepsi na świecie, i jest to dla nich tak oczywiste, że nie ma potrzeby o tym mówić.

Ormianie również uważają, że są najlepsi na świecie, ale ponieważ mają pewne wątpliwości, podkreślają to na okrągło, co denerwuje Gruzinów i Azerbejdżan (zwłaszcza gdy mowa o NAJBARDZIEJ STAROŻYTNYM narodzie Kaukazu i całej planety).

Azerbejdżanie mają się za gorszych od innych (oceniają się niewspółmiernie surowo), ale nigdy głośno tego nie powiedzą. Przeciwnie - będą krzyżeć, że najlepsi są właśnie oni.

Znajomy teatrolog (Azerbejdżanin) ułożył własną hierarchię:

- Na Kaukazie Południowym najbardziej pracowici są Ormianie, potem, o parę długości dalej, jesteśmy my, a na samym końcu Gruzini. Nie wiem, skąd Gruzini biorą tyłu wspaniałych

364

365

aktorów, scenarzystów, reżyserów. Przecież sztuka też wymaga pracy!

Politolog Sasza Rusiecki (Gruzin) twierdzi, że Gruzini, Ormianie i Azerbejdżanie to bracia przyrodni - z tej samej matki, ale od różnych ojców. Mówi to oczywiście półżartem, ale ten żart tłumaczy zarówno zaskakujące podobieństwa, jak i głębokie różnice, które dzielą narody Kaukazu, a także konflikty między nimi.

Politolog Wiken Czeterian (Ormianin) dodaje, że wszystkie trzy narody uważają się za ofiary: historii, złych sąsiadów, Kremla. Swoje działania uważają za reakcję obronną. Nie poczuwają się w związku z tym

do odpowiedzialności za zaistniałą na Kaukazie sytuację - za konflikty, wojny, przelew krwi. Czasami mają rację.

Po Kaukazie krąży nieskończenie wiele dowcipów, których tematem jest rywalizacja trzech narodów o palmę pierwszeństwa. Najbardziej podoba mi się dowcip o kosmonaucie.

W czasach intensywnego podboju kosmosu, gdy Związek Sowiecki co chwilę wystrzeliwał nową raketę, Gogi spotyka Arama:

- Wy, Ormianie, macie takie dobre układy z Ruskimi, a jeszcze żaden z waszych nie był w kosmosie - szydzi. - Nie możecie sobie załatwić kosmonauty?

- Nie chcemy - odpowiada Aram. - Gdyby jeden Ormianin poleciał, wszyscy inni umarliby z dumy, a wszyscy Gruzini z zawiści. Chcesz, żeby na naszym Kaukazie zostali sami Turcy?!

Gruzin Waliko, bohater kultowego radzieckiego filmu Mi-mino, umówił się z kobietą w restauracji prestiżowego hotelu Rossija w Moskwie. Aby jej zaimponować, zamówił u orkiestry gruzińską pieśń z dedykacją „dla drogiego gościa ze słonecznej Gruzji”. Kobieta nie przyszła, ale wśród gości znalazł się Ormianin Rubik. Kiedy usłyszał dedykację, zamówił pieśń ormiańską - i po chwili cała Rossija dowiedziała się, że przy jednym ze stolików siedzi „specjalny gość ze słonecznej Armenii”.

Waliko i Rubik mogliby być bohaterami innego dowcipu: Ormianin, wychodząc z moskiewskiej restauracji, zostawia szatniarzowi dziesięć rubli napiwku (dziesiąta część sowieckiej pensji). Widząc to, Gruzin daje natychmiast sto rubli i dorzuca w prezencie swój płaszcz.

Na Kaukazie wymyśla się dowcipy, aby oswoić i zakłócić rzeczywistość. Rywalizacja Ormian, Gruzinów i Azerbejdżan dawno sięgnęła głębokiej historii. Teraz trzy niepodległe państwa rzucają do walki cały swój potencjał: uniwersytety, instytuty, akademie. Każdy uważa, że jeśli dowiedzie, iż jego przodkowie byli tu pierwsi, będzie musiał to uznać cały świat. Każdy jest przekonany, że da^ć to udowodnić. Trzech południowo-kaukaskich „przyrodnich braci” stało się zakładnikami narodowych kompleksów, obsesji i mitów.

Najgorętszy spór dzieli Ormian i Azerbejdżan: stawką jest Górski Karabach. Jedni i drudzy święcie wierzą, że kluczowe jest, kto zamieszkiwał tam pięć czy dziesięć tysięcy lat temu. Na pierwszej linii frontu, ramię w ramię z żołnierzami, stoją uczeni: historycy, archeolodzy, filolodzy, specjaliści od dawnych rękopisów i pierwotnych narzędzi rolniczych, znawcy kultu Księżycy i paleozoologii.

Azerbejdżanie i Gruzini oraz Gruzini i Ormianie nie zgłaszają wobec siebie roszczeń terytorialnych - ale jeszcze nie przeprowadzili pełnej delimitacji granic i chętnie wskazują na ziemie sąsiada, mówiąc z przekonaniem: „To i to należy się nam!”. Do terenów spornych należą wielonarodowe okolice Sadachla: azerbejdżańskie podręczniki utrzymują, że ludność turecka pojawiła się tam jeszcze przed naszą erą

(gruzińskie - że w siedemnastym wieku), z kolei Ormianie dowodzą ormiańskości szeregu dawnych świątyń oraz osobistości historycznych (zdaniem Gruzinów, cerkwie były gruzińskie, podobnie jak osobistości).

Odrzucane jest wspólne dziedzictwo. Tylko Ormianie chcą pamiętać, że twórca ich alfabetu, Mesrop Masztoc, ułożył również dwa inne alfabety: gruziński i albański (Albanii Kaukaskiej). W Tbilisi i w Baku (Azerbejdżan uważa się za spadkobiercę Albanii) nie mogą się z tym pogodzić. „Przyszedł Ormianin i przyniósł nową biedę” - mówi stare gruzińskie przysłowie. Ormianie śmieją się, że Gruzini sami przyszedli po prośbie do Masztoca. Mnich jadł właśnie makaron. Niezadowolony, że mu przeszkadzają, rzucił garść klusek na podłogę: „To będzie wasz alfabet!” (Gruziańskie litery, pełne brzuszków, krągłości, zawijasów, to przeciwieństwo surowego abecadła Ormian).

Są tacy, którzy chcą zatrzymać to szaleństwo. W 2009 roku w Erywaniu ukazała się książka Pozytywne przykłady z historii współistnienia narodów i krajów Kaukazu Południowego. Redaktor Stiepan Grigorian (Ormianin) zamówił artykuły u autorów z Azerbejdżanu, Armenii i Gruzji. We wstępie napisał, że w nauce i systemie oświatowym trzech państw tkwi potencjał, który mógłby służyć budowie zaufania pomiędzy trzema narodami. Przyszedł czas zastanowić się nad tym wszystkim - podsumował.

Profesor Parwin Darabadi (Azerbejdżanin) sądzi, że obiektywny podręcznik historii Kaukazu Południowego może stworzyć jedynie cudzoziemiec: Być może ktoś się z tym nie zgodzi, ale według mnie nie ma innego wyjścia. Proszę zauważyć, że dzieje Francji epoki Napoleona najrozsądniej ujął rosyjski historyk Tarle. Ludzkość zna wiele podobnych przypadków.

Mam w domu mapy, przedstawiające Wielką Armenię, Wielką Gruzję i Wielki Azerbejdżan.

Wielka Gruzja jest najskromniejsza: na wschodzie sięga po Saingilo, zwane też Wschodnią Kachetią, z miastem Kachi (Gach) i kawałkiem Płaskowyżu Jorskiego (obecny Azerbejdżan), na południu - po prowincję Lori ze Stepanawanem i Alawerdi (obecna Armenia), na północy - po Wierchnij Zaramag w Osetii Północnej i okolice Soczi (obecnie Rosja). Najdalej sięga na zachód i południowy zachód: obejmuje ziemie dawnego państewka Tao-Klardżeti i znaczną część Lazyki, z Tortumem, Ar-dahanem i Rize, ale bez Trabzonu (obecnie Turcja). Wielka Gruzja jest większa od dzisiejszej najwyżej półtora raza.

Wielki Azerbejdżan obejmuje dzisiejszy Azerbejdżan - poszerzony o armeńskie prowincje Sjunik i Tawusz - oraz osiem północnych prowincji obecnego Iranu. Liczy może trzysta tysięcy kilometrów kwadratowych. Ponad trzy razy więcej niż obecnie.

Najbardziej imponująca jest Wielka Armenia: obejmuje północ Iranu i Iraku, większą część Syrii, Liban, północną część Izraela (do Hajfy) i niemal całą wschodnią Turcję; na Kaukazie należą do niej południowe kresy obecnej Gruzji, a z obecnego Azerbejdżanu - ziemie leżące na południe od rzeki Kury (w tym Tałysz, Nachiczewan i Górski Karabach). Na wschodzie dotyka Morza Kaspijskiego, na zachodzie - Śródziemnego. Tak wyglądało państwo Tigranesa Wielkiego w czasach największego rozkwitu, w latach 80-70 przed Chrystusem. Potem Tigranes został pobity przez Pompejusza i utracił szereg prowincji na zachodzie i

południu, ale Armenia wciąż była kilkakrotnie większa niż obecnie. Jej serce stanowił trójkąt między jeziorami Wan, Sewan i Urmia. Teraz w jej granicach znajduje się tylko Sewan.

Współczesne mapy polityczne wyglądają przy tamtych jak wyrzut sumienia: oto, co zostało z dziedzictwa przodków! Ale one także nie oddają dzisiejszego stanu rzeczy. Pokazują granice, które w rzeczywistości częściowo nie istnieją, a nie pokazują szeregu innych, przecinających brutalnie drogi i linie kolejowe, najeżonych drutem kolczastym i strzeżonych przez uzbrojone wojsko. Trudnych, a czasem niemożliwych do przekroczenia.

Na Kaukazie Południowym oprócz trzech państw istnieją trzy parapaństwa: Abchazja, Osetia Południowa i Górski Karabach. Posiadają własne terytorium, ludność i wybrane w wyborach władze, utrzymują własne siły zbrojne i wydają znaczki pocztowe. Brakuje im tylko jednego: międzynarodowego uznania. Co prawda, po wojnie z Gruzją w sierpniu 2008 roku, Rosja uznała niepodległość Abchazji i Osetii i wysłała ambasadorów do Suchumi i Cchinwali, ale do początków 2010 roku jej śladem poszły tylko Nikaragua, Wenezuela i Nauru.

Granice parapaństw są uwzględnione na mapach, wydanych w samych parapaństwach oraz w państwach zaprzyjaźnionych. A także na mapach pokazujących miejsca konfliktów.

Górski Karabach, zwany przez Ormian Arcachem, oderwał się od Azerbejdżanu. W Związku Sowieckim miał status obwodu autonomicznego. Ormianie byli tam w wyraźnej większości. Wyjątkiem było miasto Szusza (po ormiańsku: Szuszi), położone niedaleko stolicy obwodu, Stepanakertu (po azerbejdżańsku: Chankendi), gdzie dominowali Azerbejdżanie.

Karabach był enklawą, zewsząd otaczał go Azerbejdżan nie-autonomiczny - choć w pewnym miejscu do granic Armenii było tylko kilka kilometrów. Konflikt tlił się przez dziesięciolecia. Tamtejsi Ormianie nigdy nie pogodzili się, że obwód pozostał przy Azerbejdżanie. Od końca lat osiemdziesiątych otwarcie żądali przyłączenia do Armenii.

W latach 1992-1994 toczyła się wojna, w wyniku której siły ormiańskie opanowały prawie cały obwód (z wyjątkiem skrawków na północy i wschodzie), a także okolice miasta Agdam oraz ziemie położone między Karabachem a Iranem i Armenią. Na tych obszarach utworzono oddzielne państewko. Republika Górskiego Karabachu (RGK) składała się z samego Karabachu oraz z „ziem okupowanych”, traktowanych jako kordon bezpieczeństwa.

Na reklamowych billboardach zasięg armeńskich telefonii komórkowych prezentują połączone kontury Armenii i RGK, jakby to był jeden organizm, podobnie reklamują się towarzystwa ubezpieczeniowe. W Erywanii działa ambasada RGK, gdzie można dostać karabaską wizę (taka wiza w paszporcie uniemożliwia późniejszy wjazd do Azerbejdżanu), „granica” armeńsko-karabaska nie jest zresztą praktycznie kontrolowana.

Proces pokojowy, toczący się pod egidą tak zwanej Mińskiej Grupy OBWE (Francja, Rosja i USA), nie przyniósł przez kilkanaście lat większych rezultatów - poza spotkaniami prezydentów Azerbejdżanu i

Armenii (Baku nie uznaje Stepanakertu jako samodzielnej strony konfliktu). Sukcesem było samo utrzymanie rozejmu: Azerbejdżanie i Ormianie stanęli naprzeciwko siebie wzdłuż linii przerwania ognia, nie było pomiędzy nimi żadnych sił rozjemczych ani stref buforowych, jedynie zasieki i pas zaoranej ziemi. Rocznie ginęło w strzelaninach kilkunastu, kilkudziesięciu żołnierzy, ale działania wojenne nie zostały wznowione.

Sytuacja zaczęła się zmieniać jesienią 2008 roku, po wojnie gruzińskiej. Zaktywizowała się Moskwa, która podjęła własną próbę uregulowania konfliktu. Chciała doprowadzić do zawarcia porozumienia i stać się jego gwarantem, aby umocnić swoją pozycję w regionie. Równolegle rozpoczął się żmudny proces normalizacji stosunków armeńsko-tureckich (na początku lat dziewięćdziesiątych granice Armenii z Turcją i Azerbejdżanem zostały zamknięte, a szlaki komunikacyjne - zablokowane).

W marcu 2010 roku możliwy wydawał się taki scenariusz: Ormianie wycofują się z „ziem okupowanych”, na które wracają azerbejdżańscy przesiedleńcy, jednocześnie zostają odblokowane szlaki komunikacyjne - drogi i linie kolejowe - oraz otwarte granice. Bezpieczeństwa Ormian, Azerbejdżan i szlaków strzegą wprowadzone do rejonu konfliktu siły pokojowe (pytanie - czyje?). Sam Karabach pozostaje przy Ormianach, ale ustalenie jego formalnego statusu zostaje odłożone o kilka dekad (w praktyce pewnie: na święte nigdy).

Być może jednak przez kolejne dwadzieścia lat nic się nie zmieni i RGK będzie nadal nieuznaną republiką, parapań-stwem - jak Turecka Republika Cypru Północnego (uznawana tylko przez Ankarę).

Osetia Południowa i Abchazja to odmienne przypadki.

Pierwszą wymyślili bolszewicy. W sercu Gruzji, parędziesiąt kilometrów od rogatek Tbilisi, utworzyli Południowoosetyjski Obwód Autonomiczny.

Osetyjczycy są narodem indoeuropejskim, Osetia po ose-tyjsku to Iryston - kraj Aryjczyków. Matecznikiem Osetyjczyków są ziemie obecnej Osetii Północnej, wchodzącej w skład Rosji. Stamtąd migrowali na południe, przekraczając Kaukaz. Szukali lepszego życia - przeludnione ojczyste wąwozy, najeżdżane przez Czeczenów i Czerkiesów, nie mogły wykarmić rosnącej populacji. Osetyjski książę Dawid Soslan został drugim mężem gruzińskiej królowej Tamar, od niego zaczęła się migracja na skalę masową. Na początku dwudziestego wieku Osetyjczycy dominowali w górskiej części Kartlii Wewnętrznej (Szida Kartli). Swoim zwyczajem, trzymali się dolin i wąwozów - w stolicy, Cchinwali, w przededniu pierwszej wojny światowej mieszkało zaledwie kilka osetyjskich rodzin.

Abchazowie to naród kaukaski, tak jak Gruzini, ale nie mają z nimi wiele wspólnego. Bliższe Abchazom są czerkieskie ludy Kaukazu północno-zachodniego: Szapsugowie, Adygejczycy, Kabardyjczycy, a zwłaszcza Abazyjni.

Na terenie Abchazji (a z całą pewnością w jej zachodniej części) Abchazowie są ludnością rdzenną. W ósmym wieku utworzyli cesarstwo, rządzone przez dynastię Leonidów, które obejmowało również zachodnią Gruzję z miastem Kutaisi. Gruzini historycy piszą, że było to państwo gruzińsko--abchaskie,

gdzie dominowały język i kultura gruzińska, ale wkład Abchazów musiał być na tyle znaczny, że Jerzy IV, syn królowej Tamar i jej następcy (1213-1223), używał abchaskiego przydomka Lasza. Rzecz jasna, historycy abchascy dowodzą, że cesarstwo nie miało z Gruziniami wiele wspólnego.

Gruziński złoty wiek, trwający od końca jedenastego do połowy trzynastego stulecia oraz następne dwieście pięćdziesiąt lat to jedyne dłuższe okresy w historii, gdy Abchazja wchodziła w skład Gruzji. Potem była na przemian to samodzielna, to uzależniona od Turcji (elity przyjęły wówczas islam, który nie zakorzenił się w narodzie), a w 1810 roku została włączona do Rosji, choć jeszcze przez pół wieku zachowała własną dynastię książęcą. Resztki autonomii utraciła po wojnie kaukaskiej, w której Abchazowie walczyli po stronie górali (odwrotnie niż Gruzini). Po tej wojnie oraz po szeregu nieudanych powstań niemal połowa Abchazów uciekła do Imperium Osmańskiego. Abchazja opustoszała.

Abchazowie i Osetyjczycy wystąpili przeciwko niepodległej Gruzji (1918-1921) i poparli władzę sowiecką. Mniejszości narodowe podburzyli bolszewicy, chcący odzyskać Kaukaz dla Rosji. Po ich zwycięstwie Abchazja otrzymała początkowo status republiki związkowej, a następnie została wcielona do Gruzji jako republika autonomiczna.

Gruzja stała się modelową ofiarą sowieckiej polityki „dziel i rządź”: na jej obszarze powstały trzy jednostki autonomiczne (obok Osetii Południowej i Abchazji także Adżaria), zajmujące ponad jedną piątą powierzchni kraju. Kontrola Tbilisi nad własnym terytorium została mocno ograniczona.

Niepokoje w gruzińskich autonomiach zaczęły się w późnych latach osiemdziesiątych (w Abchazji do buntów i demonstracji dochodziło już wcześniej). Przyczyny były trzy: wyzwolony pierestrojką wzrost świadomości narodowej i narodowych ambicji (połączony ze złagodzeniem reżymu policyjnego), rzeczywiste (i urojone) winy i błędy Tbilisi oraz działania Moskwy, która podsyciła i wspierała ruchy odśrodkowe, próbując starymi metodami utrzymać w ryzach rozpadające się imperium. Pierwszy prezydent Gruzji, Zwiad Gamsachurdia, zamiast łagodzić nastroje, nieostrożnymi gestami dolewał jeszcze oliwy do ognia. Gruziński nacjonalizm zderzył się z nacjonalizmami mniejszości narodowych.

Wojny w Osetii Południowej (1991-1992),! Abchazji (1992-1993) wygrali wspierani przez Moskwę separatyści. Utworzyli dwa parapaństwa. Trudno powiedzieć, jakie mieli wówczas cele. Większą autonomię? Jakąś federację? Pełną niepodległość? Sami tego nie wiedzieli, sytuacja była zmienna i niepewna.

Stan zawieszenia trwał dziesięć lat. Paradoksalnie był wszystkim na rękę. Parapaństwa utrwaliły niezależność od Gruzji. Gruzja, rządzona już przez Eduarda Szewardnadzego, zyskała czas, aby okrzepnąć i pozbierać się po serii wojen, nie tracąc nadziei na powrót prowincji (poparcie dla jej integralności deklarowali wszyscy, łącznie z Rosją). Rosja, dzięki wpływom w Abchazji, a zwłaszcza w Osetii (jej atutem były także bazy wojskowe w samej Gruzji i w Armenii), pozostawała ważnym graczem na Kaukazie Południowym. Moskwa zdominowała również niemrawy proces pokojowy: rosyjscy mediatorzy pośredniczyli w negocjacjach pomiędzy stronami konfliktów (obok ONZ i OBWE), w Abchazji stacjonowały rosyjskie siły pokojowe (formalnie: siły Wspólnoty Niepodległych Państw), a w Osetii -

rosyjski batalion (był też batalion gruziński i batalion osetyjski).

Micheil Saakaszwili, który stanął na czele rewolucji róż (w listopadzie 2003 roku), a dwa miesiące później został kolejnym prezydentem Gruzji, postawił sobie za cel zintegrowanie kraju z Zachodem i przywrócenie kontroli nad separatystycznymi prowincjami. Wkrótce w Gruzji zadomowili się amerykańscy instruktorzy wojskowi, rozmaici trenerzy, doradcy i eksperci. Gruzkańska armia, do niedawna najłabsza w regionie, z dnia na dzień zaczęła rosnać w siłę. Po nieudanej próbie odzyskania

Osetii (co zamroziło kontakty z separatystami - wcześniej z Tbilisi do Cchinwali kursowały już autobusy), Saakaszwili utworzył alternatywny południowoosetyjski rząd, a następnie powołał gruzińską administrację w niekontrolowanej przez Suchumi górnej części Wąwozu Kodorskiego w Abchazji. Moskwa zaczęła z kolei wydawać mieszkańcom Abchazji i Osetii rosyjskie paszporty.

W pierwszej połowie 2008 roku rosyjska polityka zagraniczna poniosła dwie porażki: nie zdołała zapobiec ogłoszeniu przez Kosowo niepodległości (uznanej przez większość państw Zachodu) ani groźbie przyjęcia Gruzji i Ukrainy do NATO -po szczycie Sojuszu w Bukareszcie furtka dla ich członkostwa pozostała otwarta. Rozszerzenie NATO na państwa WNP byłoby dla Rosji klęską. Na Kaukazie Południowym Moskwa już od jakiegoś czasu traciła pozycje na rzecz Zachodu: musiała ewakuować bazy wciskowe (z wyjątkiem jednej, w Armenii), nie udało się jej powstrzymać budowy rurociągów, którymi przez Azerbejdżan i Gruzję popłynęły w świat kaspijskie węglowodory. Tymczasem, po dwóch kadencjach Władimira Puti-na i kilku latach świetnej koniunktury, Rosja łapała oddech i przystępowała do odbudowy imperium. W odpowiedzi na Kosowo i szczyt w Bukareszcie, demonstracyjnie zacieśniła kontakty z gruzińskimi parapaństwami.

Kaukaz znowu był areną rywalizacji mocarstw. Do tradycyjnych graczy: Rosji, Turcji i Iranu, dołączyły Stany Zjednoczone i - w skromniejszym zakresie - Unia Europejska. Zbigniew Brzeziński w swojej Wielkiej szachownicy porównał Azerbejdżan do korka od butelki „zawierającej bogactwa naturalne basenu Morza Kaspijskiego i Azji Środkowej” ale bez Gruzji (z Armenią toczył wojnę, a tranzyt przez Iran był nie do przyjęcia dla Waszyngtonu) Azerbejdżan pozostawał ślepym zaułkiem. Korkiem był raczej cały region - i o niego toczyła się gra.

Kolejna wojna była nieunikniona.

Na przełomie kwietnia i maja 2008 roku gwałtownie zaostrzyła się sytuacja wokół Abchazji: doszło do serii zamachów i incydentów szpiegowskich oraz kilkakrotnej wymiany ognia. Strony oskarżały się wzajemnie o złamanie rozejmu i groziły użyciem siły, ale do wybuchu walk nie doszło. W pierwszych dniach sierpnia podobna eskalacja przemocy nastąpiła wokół Osetii Południowej. Dodatkowo, z terenów, które kontrolowali separatyści, ostrzelano z moździerzy gruzińskie pozycje.

7 sierpnia tuż przed północą wojska gruzińskie weszły do Osetii. Decyzja o ataku sprawiała wrażenie podjętej ad hoc, ale prawdopodobnie wszystko było przygotowywane od dłuższego czasu. Gruzini opanowali większą część Cchinwali i kilka innych miejscowości.

8 sierpnia od rana trwały walki gruzińsko-osetyjskie, a w ciągu dnia w rejon konfliktu swoje wojska zaczęła ściągać Rosja (wiele wskazuje, że były tam wcześniej i szykowały się dokładnie na taki scenariusz). Rosyjskie lotnictwo przystąpiło do bombardowania celów w Gruzji nieautonomicznej, między innymi w Poti nad Morzem Czarnym. Kreml tłumaczył interwencję koniecznością obrony własnych obywateli, w tym żołnierzy z jednostek pokojowych.

9 sierpnia Osetyjczycy i Rosjanie wyparli Gruzinów z Cchinwali. Rosjanie kontynuowali naloty na cele w Gruzji, w tym na Gori. Tego samego dnia siły abchasko-rosyjskie wkroczyły do Wąwozu Kodorskiego, tworząc drugi front. W Gruzji wprowadzono stan wojenny.

10 sierpnia do gruzińskich wybrzeży Morza Czarnego podpłynęła rosyjska marynarka wojenna. Gruzja wycofała jednostki pozostające jeszcze w Osetii Południowej, ogłosiła jednostronny rozejm i zaapelowała do Rosji o przystąpienie do rozmów w sprawie zaprzestania walk. Moskwa zignorowała apel.

11 sierpnia rosyjskie wojska lądowe wkroczyły w dwóch miejscach - od strony Abchazji i Osetii Południowej - do

Gruzji nieautonomicznej. Rosjanie zajęli bez walki miasto Gori, a także miasta Zugdidi i Senaki na zachodzie kraju. Gruziańska wojska zostały przegrupowane, rozpoczęto przygotowania do obrony Tbilisi.

12 sierpnia w południe prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew ogłosił zakończenie operacji. Rozejm negocjował występujący w imieniu Unii Europejskiej prezydent Francji Nicolas Sarkozy. Wbrew uzgodnieniom Rosjanie opuścili Gruzję nieautonomiczną dopiero w pierwszych dniach października, a z enklaw na terenie parapaństw, które przed wojną były pod kontrolą Tbilisi (na przykład z Wąwozu Kodorskiego czy Achalgori w Osetii Południowej) w ogóle się nie wycofali. 26 sierpnia Moskwa uznała niepodległość obu gruzińskich parapaństw (w granicach dawnych sowieckich autonomii), a 17 września zawarła z nimi traktaty bazowe o przyjaźni, współpracy i pomocy wzajemnej.

2 października Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy przyjęło rezolucję, która oceniała, że za wybuch wojny odpowiedzialne są zarówno Rosja, jak i Gruzja, natomiast wina za to, co zdarzyło się później, spada na Rosję. 30 września następnego roku swój raport opublikowała komisja powołana przez Unię Europejską. W jej ocenie działania wojenne rozpoczęła Gruzja, ale Rosja odpowiada za poprzedzający je wzrost napięcia w rejonie parapaństw.

Jak się wydaje, głównym celem Moskwy była demonstracja, że Kaukaz Południowy to obszar wpływów rosyjskich, oraz niedopuszczenie do przyjęcia Gruzji i Ukrainy do NATO. Rosji mogło też zależeć na skompromitowaniu prezydenta Saaka-szwilego na arenie międzynarodowej oraz na osłabieniu zaufania do Gruzji jako stabilnego kraju tranzytowego dla surowców energetycznych z Kazachstanu i Azerbejdżanu.

Uznanie przez Rosję nie rozstrzygnęło przyszłości parapaństw, choć w krótszej perspektywie nie zanoszą się na większe zmiany. Osetia Południowa chce się połączyć z Osetią Północną (i w ten sposób zostać częścią Rosji), a Abchazja

376

377

marzy o prawdziwej niepodległości, jednak zależność obu republik od Moskwy jest tak wielka, że żaden ruch sprzeczny z rosyjskim interesem nie wchodzi w grę. Zarówno Rosja, jak i parapaństwa wykluczają jakkolwiek ich przyszłą zależność od Gruzji.

Na miejscu, jak zwykle, wszystko wyglądało inaczej.

Gruzini, poza opozycją, wcale nie obciążali Saakaszwilego winą za wojnę i nie zamierzali go obalać (na co chyba po cichu liczyła Moskwa). Mówili mi, że wojna wybuchłaby tak czy tak. Walczyli o swoje, za słuszną sprawę! Zawiódł Zachód, który nie przysłał wojska, nie zrzucił na Rosjan bomb, nie postawił Moskwie ultimatum.

- Jak zwykle zostaliśmy sami - mówili.

Żałowałem, że nie było już bazaru w Sadachle. Wystarczyło pobyc tam parę godzin, wypić kilka herbat (z Azerbejdżanami) czy kaw (z Gruzinami i Ormianami) i znało się najświeższe plotki z trzech krajów, orientowało w wysokościach łapówek, wiedziało, co na każdy temat mówi kaukaski vox populi. Teraz trzeba było w tym celu objeżdżać cały region.

Nie było wspólnego bazaru, ale we wszystkich trzech krajach jak dawniej uderzała niesamowita łatwość nawiązywania kontaktów. Na Kaukazie wystarczy czasem uśmiechnąć się, zagadnąć sąsiada w marszrutce, przysiąść do kogoś na ławce w parku, by potoczyła się opowieść o życiu, dzieciach, historii, religii i kosmosie. Zresztą, nie trzeba zagadywać, sami zaczepią, poczęstują jabłkiem, spytają, skąd jesteśmy i jak mamy na imię. Trzeba tylko niespiesznie przejść się po mieście, tu i tam przystanąć, nie spuszczać wzroku, nie udawać, że interesują nas tylko czubki własnych butów.

Tak zaczynają się znajomości - od uśmiechu i kilku prostych pytań. Czym się zajmujesz? Czy podoba ci się w Gruzji (Armenii, Azerbejdżanie)? Skąd masz taki fajny plecak? Zapytają i sami się przedstawiają - na

ulicy, w marszrutce i w pociągu, w sklepiku i w barze, nieraz w urzędzie, dokąd przyszedłeś załatwić sprawę, i na granicy, którą chcesz przekroczyć. Pytają zazwyczaj bezinteresownie, zaciekawieni innym człowiekiem i światem, jaki w sobie nosi. Gdzie są ładniejsze dziewczyny? Czy dużo się u was pije? Ile się zarabia? A na dolary? W jakim wieku zakładacie rodzinę? Czy też macie góry?

Pytają także po to, by ogarnąć i nazwać otaczającą rzeczywistość - nie można bowiem spędzić obok kogoś dwóch godzin w autobusie czy samolocie i nie wiedzieć, jak się ten ktoś nazywa, czy jest żonaty, ile ma dzieci i co go sprowadza do naszego kraju!

Pytają wreszcie, bo nie znoszą anonimowości i kontaktów formalnych, kiedy to petent spotyka się z urzędnikiem, pacjent z lekarzem, a klient ze sprzedawcą: wołają, gdy człowiek spotyka się z człowiekiem. Policjant, który zatrzymuje samochód, wyciąga do kierowcy rękę i wita się. W telewizji nie usłyszymy, że sąd skazał Timura S. na rok więzienia, ale że sędzia taki a taki wydał wyrok w sprawie Timura Sultaniszwilego (Sul-taniana, Sułtanzadego). W kronice wypadków przeczytamy, jak nazywał się staruszek, potrącony przez samochód, a nieraz - pod jakim adresem mieszkał (gdybyśmy chcieli złożyć kondolencje rodzinie).

Kiedyś przekraczałem granicę. Posterunki jednej strony od posterunków drugiej dzielił spory kawałek, paliło upiorne słońce, a ja miałem wielką torbę pełną książek. Doszedłem ledwie żywy, wlokąc za sobą nogi. Na mój widok żołnierzyk z wojsk pogranicznych skoczył do pakamery, przyniósł stamtąd krzesło i postawił w cieniu: - Odpocznij sobie! (Innym razem na tej samej granicy - podobnie, jak na paru innych - domagano się ode mnie łapówki. W takiej sytuacji zwykle ratowałem się drobnym gadżetem z Polski, ale podziwiałem artyzm celników, umiejących tak oplatać ofiarę, że ta sama sięgała do kieszeni. Chodziło o to, by zapłacić nie obcemu funkcjonariuszowi, ale Giwiemu, Arsenowi albo Mamedowi, który ma żonę, trójkę dzieci i złą teściową, i właśnie dał ci torbę orzechów. Taka łapówka mniej boli, niezręcznie nawet mówić o łapówce, teraz to coś jakby bezzwrotna przyjacielska pomoc).

Przy całej zapiekłości i złości w sporach z sąsiadami, ludzie Kaukazu są otwarci na innych i unikają ortodoksji. Prawie nie spotyka się fanatyków, fundamentalistów, ekstremy. W mużułmańskim Azerbejdżanie, po sąsiedzku z Kubą (Gubą), leży osiedle Żydów Górskich Krasnaja Słoboda, zwane Kaukaską Jerozolimą. W centrum stolicy chrześcijańskiej Armenii oddano wiernym osiemnastowieczny Błękitny Meczet (w czasach sowieckich mieściło się tam muzeum Erywania).

Najwyższy podziw budzi szacunek dla starszych: rodziców, dziadków, przodków. Własnych i obcych. W ich obecności wstaje się, uważnie słucha tego, co mają do powiedzenia, stawia za wzór swoim dzieciom. Kaukaskie przysłowie mówi, że tam, gdzie nie ma mądrych starców, nie ma też dobrej młodzieży.

Oprócz tego Kaukaz uwielbia się bawić - śpiewać, tańczyć, biesiadować, pić wino.

Tamtej jesieni najważniejszym tematem na całym Kaukazie była wojna rosyjsko-gruzińska, zwana powszechnie pięciodniową. Zarówno Azerbejdżanie, jak i Ormianie stali murem za Gruzinami. Owszem, surowiej niż Gruzini oceniali Saaka-szwilego, mając mu za złe, że dał się sprowokować (nikt nie miał wątpliwości, że wpadł w pułapkę zastawioną przez Rosjan), ale w tym konflikcie uważali Gruzję za ofiarę. W Azerbejdżanie dowiedziałem się, że po wybuchu wojny na stacjach benzynowych jednej z sieci auta na

gruzińskich numerach mogły przez kilka dni za darmo tankować. Ormianie cieszyli się, że Gruzja nie była atakowana z ich terytorium (z rosyjskiej bazy wojskowej). Tak przynajmniej zapewniało armeńskie kierownictwo.

Gruzini wcale nie zostali sami.

W Baku dojrzewał lokalny skandal literacki. Pisarz Alekper Alijew przygotowywał właśnie do druku swoją najnowszą powieść Artusz i Zaur, opowiadającą historię homoseksualnej miłości Ormianina i Azerbejdżanina, co naruszało od razu dwa tabu: obyczajowe i etniczne. „Chcę rozprawić się z absurdem naszych kaukaskich wojenek, tak jak Kusturica rozprawił się w swoich filmach z Bałkanami” - mówił Alijew w jednym z wywiadów. Książka zaczynała się sceną przyjazdu Zaura do Tbilisi - bohaterowie musieli się gdzieś ze sobą spotkać, Gruzja narzucała się sama. W południowokaukaskiej układance zawsze muszą być trzy elementy.

- Zobacz, jacy jesteśmy europejscy! - powiedział mi azer-bejdżański intelektualista, gdy powieść się ukazała. - W literaturze już spełniamy standardy unijne.

Europa, Azja. Odkąd jeżdżę na Kaukaz, zadaję sobie pytanie, jaki to kontynent. Nie ma jednej odpowiedzi. Nawet geografowie nie są zgodni (choć większość uważa, że jednak Azja). Oczywiście, wszystko można zadekretować: w styczniu 2010 roku przewodnictwo w Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie objął Kazachstan, a Izrael od dawna startuje w rozgrywkach sportowych w grupach europejskich. Gdyby jednak brać pod uwagę kryterium kulturowe, według mnie najważniejsze, granica przecinałaby region, ale nie prostą kreską, tylko zakosami, łukami, esami-floresami, zostawiając po obu stronach liczne enklawy należące do sąsiada. Na dodatek zmieniałaby co chwilę swój przebieg.

Książki cytowane i przywoływane

ABASOW ALI, Islam w sowriemiennom Azerbajdżanie. Obrazy i realii, [W:] Azerbajdżan i Rossija. Obszczestwa igosudarstwa, RED.

DMITRIJ FURMAN, MOSKWA 2001, S. 280-310. ALIJEW ALEKPER, Artusz i Zaur, TŁUM. DŻACHANGIR FARADŻUŁAJEW,

[BAKU 2009]. [HTTP://WWW.SOUTHCAUCASUS.COM/INDEX.PHP?PAGE=](http://www.southcaucasus.com/index.php?page=)

PUBLICATIONS&ID=2370; DOSTĘP 20.02.2010. ALIJEW SZAMIL, Archaicznyje motiwy. (Bielizna). Litieraturnyj sce-

narij. Wtoroj wariant, [BAKU 2005]. MASZYNOPIŠ W POSIADANIU

AUTORA.

AMIRADŻIBI HELENA, Guram Gabiskiria, „PRO GEORGIA", T.VIII, WARSZAWA 1999, S. 111-116.

ANDRZEJKOWICZ-BUTOWT MICHAŁ, Szkice Kaukazu, T. I-II, WARSZAWA 1859.

ASAD-BIEK MUHAMMED, Stalin. Kariera fanatika, [BRAK NAZWISKA

TŁUMACZA], BAKU 2003. BADDELEY JOHN, The Rugged Flanks of the Caucasus, RICHMOND, SURREY 1999.

BAKICHANOW ABBAS-KULI-AGA, Giulistan-i iram, RED. ZIJA BUNIJATOW, BAKU 1991.

BANINE, Kawkazskije dni, TŁUM. ULWIJA ACHUNDOWA, BAKU 2006. BARENC RUBEN, Geopolitika. Wzgliad iznutri, JEREWAN 1999. BERSON JAN OTMAR [STANISŁAW], Minus Moskwa, WARSZAWA 1935.

BITÓW ANDRIEJ, Uroki Armenii. Putieszestwije iz Rossii, [W:] Impierija w czetyriech izmierienijach, MOSKWA 2002, S. 423-498.

Brailaszwili Nino, Georgia as I Saw It. Ethnographical Sketches, [brak

nazwiska tłumacza], Tbilisi 1990. Brzeziński Zbigniew, Wielka szachownica, tłum. Tomasz Wyżyński,

Warszawa 1998.

Bunijatow Zija, Azierbajdżan w vn-ix ww, [w:] Izbrannyje soczinie-nija w triech tomach, Baku 1999, s. 25-404.

Czeterian Wiken, Małyje wojny i bolszaja igra, tłum. Alida Goncze-gulian, Jerewan 2003.

Dawid z Sasunu. Epos staroarmeński, spolszczył Igor Sikirycki, Warszawa 1983.

Dumas Alexandre, Kawkaz, tłum. M. I. Bijanow, red. P.N. Roborow-skiej, Tbilisi 1988.

Elliott Mark, Azerbaijan with Excursions to Georgia, wyd. 3, Hind-head 2004.

Emin Geworg, Siedem pieśni o Armenii, tłum. Irena Lewandowska,

Witold Dąbrowski, Warszawa 1975. Habib oglu Hadzi Nizam, Zapletin Gieorgij, ja Ataga Dżaddi!...,

wyd. 2, Baku 2003. Gogitidze Mamuka, Gruziński) gienieralitiet (1699-1921), Kijew

2001.

Górski Stefan, Łódź społeczna. Obrazki i szkice publicystyczne, Łódź 1904.

Górecki Wojciech, Planeta Kaukaz, Warszawa-Poznań 2002. Gralewski Mateusz, Kaukaz. Wspomnienia z dwunastoletniej niewoli, Lwów 1877.

Grzegorz z Nareku, Księga śpiewów żalobliwych, tłum. Andrzej Man-dalian, Witold Dąbrowski, Anna Kamieńska, Teresa Lechowska, Marek Starowieyski, Wiktor Woroszyński, Warszawa 1990.

Husejnow Elmar, Poka goritswecza... Sbornik izbrannykh statiej iz żurnała „Monitor”, 1.1—II, Baku 2007.

Ihnatowicz Ireneusz, Mączak Antoni, Zientara Benedykt, Żarnow-ski Janusz, Społeczeństwo polskie od x do xx wieku, wyd. 2, Warszawa 1988.

Jericow Alensandr, Armianie, [w:] Żywopisnaja Rossija. Otiecziestwo nasze w jego ziemielnom, istoriczieskom, plemiennom, ekonomii-czieskom i bytowom znaczenii, red. P. P. Siemienow, t. ix, Kawkaz, Sankt-Pietierburg-Moskwa 1898.

Joseliani Otia, W niewoli u niewolnych, tłum. Ewa Brzozowska-Bryll,

Ernest Bryll, Warszawa 1975. Junusow Arif, Islām w Azierbajdżanie, Baku 2004. Kaczmarek Jacek, Epitafium dla Włodzimierza Wysockiego, [http://](http://www.kaczmarek.art.pl/tworczosc/wiersze_alfabetycznie/)

www.kaczmarek.art.pl/tworczosc/wiersze_alfabetycznie/

kaczmarekiego/e/epitafium_wysocki.php; dostęp 20.02.2010. Kanadiejew I.K., Ocierki zakawkazskoj żizni, Sankt-Pietierburg

1902.

Kapuściński Ryszard, Kirgiz schodzi z konia, wyd-. 5, Warszawa 2007. Karny Yo'av, Highlanders. A Journey to the Caucasus in Quest of

Memory, New York 2000. Kasumowa Sara, Azierbajdżan w iii-vu ww, Baku 1993. Kawtaradze Wano, Na putjach k konfiedieracji Kawkaza, Warszawa

1937.

Khudazarov Telman, Teach Yourself Azeri, Baku 2004.

Kipling Rudyard, The Ballad of East and West,

<http://www.keHs-craft.com/BarrackR00mBallads/BarrackR00mBalladsCh01.html>; dostęp 20.02^2010.

Kisch Egon Erwin, O carach, popach i bolszewikach, tłum. Maria Traczewska, Warszawa 1957.

Kolbaja Dawid, Etnograficzne i historyczne wiadomości w Tragica ver-tentis belli persici historia polskiego misjonarza jjana] T[adeusza] Krusińskiego, „Pro Georgia”, t. iv, Warszawa 1994, s.5-14.

Ksenofont, Wyprawa Cyrusa, tłum. Artur Rapaport, Kraków 1924.

Kubacki Wacław, Malwy na Kaukazie, Warszawa 1969.

Lang David Marshall, Armenia. Kolebka cywilizacji, tłum. Tadeusz Szafar, Warszawa 1975.

Lang David Marshall, Dawna Gruzja, tłum. Wojciech Hensel, Warszawa 1972.

Łąpczyński Kazimierz, Przejazd przez szczyty Kaukazu, „Tygodnik Ilustrowany” 1868, s.n, nr 40-44.

Łąpczyński Kazimierz, Z Tyflisu pod Ararat, „Tygodnik Ilustrowany” 1866, t.14, nr 367-387.

Lebied' Aleksandr, Za dierżawu obidno, Kirów 1995.

Lech Marek, Kuchnia długowiecznych, Baku 2004. Maszynopis w posiadaniu autora.

Lepecki Mieczysław, Sowiecki Kaukaz, Warszawa 1935.

Lindqvist Sven, Wytępić całe to bydło, tłum. Milena Haykowska, Warszawa 2009.

Mahmud z Hinalugu, Sobytia wDagiestanie i Szirwanie xiv-xv ww,

tłum. Amri Szichsaidow, Machaczkała 1997. Mamiedowa Farida, Kawkazskaja Ałbania i Ałbany, Baku 2005. Mandelsztam Osip, Podróż do Armenii, tłum. Ryszard Przybylski,

Warszawa 2004.

Márquez Gabriel García, Jesień patriarchy, tłum. Carlos Marrodán Casas, Warszawa 2002.

Materski Wojciech, Gruzja, wyd. 2, Warszawa 2010.

Mehmandarowa Giulnara, Chynałyg, Baky 1998.

Mielikow Rauf, Etniczieskaja kartina Azierbajdżana w pieriod ache-menidskiego władczyestwa (vi-iv ww. do n.e.), Baku 2003.

Mielik-Szachnazarian Lewon, Charakter armianskiego naroda, Jerewan 1999.

Miłosz Czesław, Zniewolony umysł, Kraków 2009.

Nawrócenie Kartlii (Mokcewaj Kartlisaj), opr. Dawid Kolbaja, Warszawa 1995.

Peradze Grzegorz O., Przeznaczenie, „Pro Georgia”, t. XIII, Warszawa 2006, s. 151-157.

Peradze Grzegorz O., Religia Szoty Rustawelego, „Pro Georgia”, t. XIII, Warszawa 2006, s. 177-180.

Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu (Biblia Tysiąclecia), wyd. 3, Poznań-Warszawa 1982.

Poezja armeńska, wybór: Andrzej Szymański i Piotr Kuncewicz, Łódź 1984.

Poezja gruzińska, wybór: Igor Sikirycki, Łódź 1985.

Położitielnyjepriemery iz istorii sosuszcziestwowania narodów i stran

Jużnogo Kawkaza, red. Stiepan Grigorian, Jerewan 2009. Pruszyński Ksawery, Cień Gruzji, [w:]
Opowiadania, Warszawa
1998, s. 169-200.

Reiss Tom, Orientalista, tłum. Dorota Kozińska, Warszawa 2007. Rustaweli Szota, Witeż w tygrysiej
skórce, spolszczył Igor Sikirycki,

Warszawa 1978. Said Kurban, Ali i Nino, tłum. Mirza Husejnzade, Baku 2004. Saint Exupéry de
Antoine, Mały książę, tłum. Jan Szwykowski,
wyd. 12, Warszawa 1988.

Składanek Bogdan, Historia Persji, t. III, Warszawa 2007. Strumpf Edward, Obrazy Kaukazu. Kartki z
podróży, Warszawa 1900.

Suworow Wiktor, Akwarium, tłum. Andrzej Mietkowski, Warszawa 1992.

Świętochowski Tadeusz, Azerbejdżan i Rosja. Kolonializm, islam

i narodowość w podzielonym kraju, Warszawa 1998. Szewardnadze Eduard, Przyszłość należy do
wolności, tłum. Krystyna

Damm, Warszawa 1992. Sznirelman Wiktor, Wojny pamiaty. Mify, identicznost' i politika

w Zakawkazje, Moskwa 2003. Trunk Jechiel Jeszaja, Pojln. Obrazy i wspomnienia z Łodzi, tłum.

Anna Ciarke, Łódź 1997. Wacznadze Merab, Guruli Wachtang, Istorija Gruzii (xix-xx wieka).

Uczebnik dla ix klasa, tłum. Luara Gureszidze, Tbilisi 2003. Wiejdienbaum Jewgienij, Bolszoj Ararat i popytki woschożdzenija

na jego wierszinu, fw:] Kawkazowiedienije. Istorija. Etnologija.

Putiesiestwija. Litieratura, red. J.G. Wiejdienbaum, t.i. Kaw-

kazskije etiudy. Issliedowanija i zamietki J. G. Wiejdienbauma,

Tiflis 1901, s.1-68. Wyganowski Tadeusz, Wspomnienia z Kaukazu, Warszawa 1907. Ziemcow Ilja, Partija iii mafija? Razworowannaja riespublika, Paris

1976.

Złote kamienie. Dawne i nowe wiersze Azerbejdżanu, wyb., opr. Tadeusz Chróścielewski, Igor Sikirycki, Łódź 1975.

Jeśli nie podano tłumacza na język polski, cytaty z prac obcojęzycznych przełożył autor.

Spis treści

11

I AZERBEJDŻAN

13

Punkt widzenia

15

Lekcja geografii

27

Dzienniki bakijskie (i)

31

Wnuczka imama

47

Dzienniki bakijskie (2)

49

Palimpsest

69

Dzienniki bakijskie (3)

71

Wódz

99

Dzienniki bakijskie (4)

103

Solidny

113

Dzienniki bakijskie (5)

115

Mamed

123

Dzienniki bakijskie (6)

125

Pir

135

Dzienniki bakijskie (7)

139-

Iczeri Szeher

159-

Dzienniki bakijskie (8)

161 •

Hinalug. Koniec historii

177 •

Dzienniki bakijskie (9)

Ketman

Dzienniki bakijskie (10)

II GRUZJA I ARMENIA

Na granicy Przedmurze Ikona Stół

Złote runo Tbilisoba Arka Rabis

Chaczkary Sjunik Tuf Poeta

III SADACHLO

KSIĄŻKI CYTOWANE I PRZYWOŁYWANE

WYDAWNICTWO CZARNE S.C.

www.czarne.com.pl

SEKRETARIAT: ul. Kołłątaja 14, Ul p. 38-300 Gorlice, tel./fax +48 18 353 58 93

e-mail: arkadiusz@czarne.com.pl, mateusz@czarne.com.pl

REDAKCJA: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa tel./fax +48 18 351 02 78, tel. +48 18 351 00 70 e-mail: redakcja@czarne.com.pl

SEKRETARZ REDAKCJI: zofia@czarne.com.pl

DZIAŁ PROMOCJI: ul. Andersa 21/56, 00-159 Warszawa tel./fax +48 22 62110 48

e-mail: anna@czarne.com.pl, agnieszka@czarne.com.pl, stanislaw@czarne.com.pl

DZIAŁ SPRZEDAŻY: Beata Motyl, MTM Firma

ul. Zwrotnicza 6, 01-219 Warszawa, tel./fax +48 22 632 83 74

e-mail: mtm-motyl@wp.pl

Skład: D2D.PL

ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków, tel. +48 12 432 08 52 e-mail: inf0@d2d.pl

Druk i oprawa: READ ME

ul. Olechowska 83, 92-403 Łódź, tel. +48 42 649 33 91

Wołowiec 2010 Wydanie 1

Ark. wyd. 14,5; ark. druk. 24,5

Jak można chcieć do NATO, a jednocześnie uważać, że Stalin i Chrystus to najbardziej wpływowe osobistości w dziejach świata?

W jaki sposób Polacy budowali naftową potęgę Azerbejdżanu?

Po co Sowieci wymyślili Osetię Południową i dlaczego wybuchła wojna w Gruzji?

Wreszcie czy Kaukaz Południowy z najstarszymi chrześcijańskimi państwami - Armenią i Gruzją - to jeszcze Europa, czy już Azja?

To tylko kilka pytań, na które w „Toaście za przodków” stara się odpowiedzieć Wojciech Górecki. Znakomity znawca Kaukazu, latami podróżował po nim jako ekspert Ośrodka Studiów Wschodnich, przyglądał się z bliska jako pracownik polskiej ambasady w Baku, a że do wiedzy eksperta dodał nieprzeciętny talent reporterski, od książki trudno się oderwać. Czytając, pamiętajmy o tradycyjnym zakończeniu ormiańskich bajek - z nieba spadły trzy jabłka, jedno dla tego, kto opowiadał, drugie dla tego, kto słuchał, trzecie dla tego, kto zrozumiał. Jednym słowem - toast za autora.

Maria Przełomiec